



BERNARD MINIER

SPIRALA ZŁA

Martin Servaz
walczy o honor
i własne życie



REBIS

BERNARD MINIER



Przełożyła
Monika Szewc-Osiecka



Dom Wydawniczy REBIS

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

Prolog

WTOREK, 21 CZERWCA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

ŚRODA, 22 CZERWCA

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

CZWARTEK, 23 CZERWCA

25

26

27

28

PIĄTEK, 24 CZERWCA

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

SOBOTA, 25 CZERWCA

41

42

43

44

45

46

47

48

49

NIEDZIELA, 26 CZERWCA

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

PONIEDZIAŁEK, 27 CZERWCA

60

61

62

63

64

WTOREK, 28 CZERWCA

65

666

67

68

69

70

71

72

Epilog

Dodatek

Podziękowania

Pozostałe książki Bernarda Miniera

Tytuł oryginału: *Un œil dans la nuit*

Copyright © XO Éditions 2023
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2023

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Elżbieta Bandel

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Michał Pawłowski/www.kreskaikropka.pl

Fotografie na okładce
© Snowblind6 Photography/Getty Images
© Umberto/unsplash

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Spirala zła*, wyd. I, Poznań 2024)

ISBN 978-83-8338-828-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

*Dla Ambre, Carlosa, Émilie i Isabelle:
oni wiedzą dlaczego*

Tam, gdzie nie pracuje wyobraźnia, nie ma i grozy ¹.

Arthur Conan Doyle

1. A. Conan Doyle, *Stadium w szkarłacie*, przeł. E.S., s. 23, cytata za <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/doyle-stadium-w-szkarlacie.pdf>, dostęp 5.08.2023.

[\[wróć\]](#)

Prolog

– Ja umieram, proszę księdza.

Pacjent wpatrywał się w kapłana. Mrugnął i jego oczy żywo zalśniły w półmroku pokoju.

Mężczyzna miał pięćdziesiąt osiem lat, był scenografem filmowym w stanie spoczynku i rzeczywiście umierał.

Na zewnątrz panowała burzowa noc. Raz po raz błyskało, a znad gór dobiegały odległe jeszcze grzmoty. Pokój wypełniał miarowy, przytłumiony szum aparatury. A z korytarza mimo późnej pory dochodziły typowe dla niewielkiego szpitala odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi oraz echo kroków.

Kapłan się pochylił. Jego twarz znalazła się w plamie światła.

– To raczysko jest wszędzie – wyartykułował Matthias Laugier. – Przerzuty, tak to nazywają. Ja mówię na niego Wróg. Bo to jest wojna. Którą przegrałem. Swoją drogą nie miałem żadnych szans.

Na twarzy księdza Daniela Eyengi malowało się głębokie skupienie. Pacjent sam poprosił o spotkanie z nim. O jego stanie zdrowia kapłan dowiedział się od personelu medycznego. Rak opłucnej, faza terminalna. Z przerzutami do otrzewnej, osierdzia, jąder, krtani. A wszystko to przez azbest; do chwili wydania zakazu powszechnie wykorzystywany podczas produkcji filmów, w scenografii i sprzęcie.

– To azbest – powiedział Matthias Laugier, jakby czytał w jego myślach.
– W tamtych czasach było go dużo w dekoracjach filmowych, w przewodach wentylacyjnych, nawet w sztucznym śniegu. Wszędzie. Teraz jest zakazany. Ale ta cholerna choroba ujawnia się dopiero po trzydziestu latach.

Duchowny skinął głową. Przed nim, na blacie szpitalnego stolika, stało plastikowe pudełeczko z odrobiną oleju pobłogosławionego podczas ostatniej mszy krzyżma. Zanim dotknął chorego, włożył rękawiczki. W poświęceniu lampy widział wąską twarz o ostrych kościach niemal

przebijających się przez skórę – szarą, jakby ktoś natarł ją popiołem – i głęboko zapadniętych oczach.

Omiótł wzrokiem słabo oświetlony pokój w poszukiwaniu kosza na śmieci. Zgodnie z protokołem antycovidowym nie miał prawa niczego stąd wynieść. I tak rękawiczki, pudełeczko i zapieczętowana pipeta z kroplą konsekrowanego wina, którą umieści na języku chorego – miały trafić do kosza, a następnie zostać spalone. Wino pochodziło z ostatnio odprawionej mszy, a pipetę kupił w aptece.

– Wezwałem księdza nie tylko po to, żeby otrzymać namaszczenie – oświadczył mężczyzna bardzo dziwnym tonem.

Eyenga przeniósł uwagę na pacjenta.

– Gdybym powiedział, co widziałem, nie mógłby ksiądz zasnąć, słowo daję! Straciłby ksiądz wiarę.

Pacjent wpatrywał się w kapłana nieruchomym wzrokiem. W jego oczach Eyenga dostrzegł błysk, od którego przeszedł go dreszcz.

– Co masz na myśli, synu?

– Piekło, proszę księdza... Byłem jednym z piekielnych demonów.

Duchowny poczuł na karku lodowaty powiew.

– Niech się pan opamięta i nie wygaduje takich rzeczy – powiedział zduszonym głosem.

Usłyszał charczący oddech i pomyślał o dotkniętych martwicą płucach.

– Nie ma ksiądz pojęcia, co tam widziałem. Co robiliśmy... Jeśli istnieje jakieś światełko na końcu tego tunelu, to dla nas jest to blask piekielnych płomieni.

W tych słowach było coś przerażającego, ale i komicznego zarazem. Po pobrużdżonym policzku spłynęła łza. Nagle ręką, w której tkwił wenflon, mężczyzna ścisnął otuloną rękawiczką dłoń księdza. Eyenga się wzdrygnął. Po chwili pacjent sięgnął do szuflady w szafce nocnej po drugiej stronie łóżka. Na jej dnie spoczywała zaklejona koperta. Złapał ją sękatymi palcami i podał rozmówcy.

– Ksiądz wie, że przez ten pieprzony COVID nie można stąd niczego wynieść, a nie mogę tego zrobić osobiście. Bardzo proszę...

Eyenga niepewnie zerknął na drzwi.

– Synu, wiesz, że mi nie wolno. – Nigdy nie przyzwyczai się do nazywania „synem” człowieka starszego od siebie, w dodatku z wyrokiem śmierci. – Wszystkie rzeczy, których tutaj używam, wylądują w koszu.

– Księżę, proszę. To ważne.

Dłoń z kopertą drżała. Na szarym papierze widniały ornament w kształcie spirali oraz imię i nazwisko.

– Co to jest? – zapytał.

– Proszę. Niech ksiądz to dla mnie zrobi. Nalegam, żeby przesyłka została dostarczona do rąk własnych. To moja ostatnia wola.

Przez twarz chorego przebiegł grymas bólu. Mężczyzna wyglądał na zrozpaczonego. Kapłan odczytał nazwisko na kopercie. Kenneth Zorn. Ciekawe, pomyślał.

– Kto to jest?

– Bez trudu znajdzie go ksiądz w Internecie. Nie znam jego aktualnego adresu. To naprawdę ważne. Proszę...

Duchowny zerknął na zegarek. Godziny odwiedzin już dawno minęły, ale miał pozwolenie na drobne odstępstwa, zwłaszcza w takich sytuacjach jak ta. Od czasu do czasu półmrok szpitalnej sali rozjaśniał blask błyskawicy. Czerwiec był w tym roku wyjątkowo upalny i ciemne czoło kapłana zrosił pot.

– Synu, ale ja...

– Księżę, proszę, ja bardzo proszę – błagał Laugier. – Jeśli chce ksiądz uratować duszę... Jeżeli to w ogóle jeszcze możliwe.

Eyenga się zawahał. Zaszło mu w ustach. Był nowoczesnym kapłanem, obeznanym z techniką i nauką, niezbyt przesądnym, a jednak w jego głowie zrodziła się pewna irracjonalna myśl. Miał wrażenie, jakby tutaj, w tym pokoju, działała jakaś zła siła.

Znowu zadrżał, jakby było mu zimno. Chciał teraz tylko jednego: czym prędzej uciec z tego miejsca. Wziął kopertę. Kim jest ten Zorn? Pomacał ją i wsunął do kieszeni kurtki. Co to za ważny przedmiot? Coś z biżuterii? Pendrive? Sięgnął do plastikowego pojemniczka z olejem i namaścił czoło oraz dłonie pacjenta, recytując słowa, które powtarzał tak często, że w końcu straciły dla niego sens:

– „Panie Jezu, Odkupicielu wszystkich ludzi, w swojej męce wzięłeś na siebie nasze cierpienia i znośłeś nasze słabości, pokornie Cię błagamy za naszego chorego brata...”

Dziesięć minut później pośpiesznie przemierzał korytarz. Z ulgą wyszedł wprost w objęcia gorącej nocy. Ponad dachami Ax-les-Thermes trzaskały

błyskawice podobne niewidzialnym dłoniom rozdzierającym czarne płótno. Wciąż jednak nie padało.

Przyśpieszył kroku i dotarł do place du Breilh, gdzie wcześniej zaparkował volvo. Kawiarnie były pozamykane, światła w hotelowej restauracji pogaszone, na parkingu stał tylko jego samochód. Pośród ciszy uśpionego miasteczka na tle gór odcinała się dzwonnica kościoła Świętego Wincentego. Po chłostanym rozbłyskami nocnym niebie przetaczało się dudnienie burzy.

Serce kapłana również dudniło. Odczucie, jakie miał w szpitalnym pokoju, przypomniało mu przeżycie z dzieciństwa, kiedy brał udział w rytuale *bwiti* w swojej wiosce na brzegu Zatoki Gwinejskiej. Nagle wszystko do niego wróciło. Nieruchome wody delty, zgiełk afrykańskiej nocy, blask świec, tykwy i misy wypełnione kolorowymi proszkami, czarownik intonujący rytualne formuły. Kiedy uczestniczył w tej ceremonii, miał osiem lat. Tego wieczoru poczuł tę samą ciemną, silniejszą od śmierci moc. I ten sam pierwotny lęk. Dlaczego? To, czego doświadczał, było niedostępne dla jego umysłu. Co to było?

Nagle czerń nieba przeszła wyjątkowo jasna błyskawica. Na mgnienie oka na nawierzchnię parkingu padł gigantyczny cień krzyża stojącego na szczycie kościoła. Odwrócony krzyż skierowany w jego stronę. Eyenga był na placu sam; sam na końcu ogromnego krzyża rozciągającego się u jego stóp.

Zdjęty atawistycznym strachem czym prędzej otworzył samochód i usiadł za kierownicą.

„Piekło, proszę księdza... Byłem jednym z piekielnych demonów”. Z sercem walącym jak młot odpalił silnik, wyjechał z parkingu i ruszył uśpionymi ulicami miasteczka, przekraczając dozwoloną prędkość. „Piekło, proszę księdza... Byłem jednym z piekielnych demonów...”

Dopiero po przejechaniu dobrych kilku kilometrów zdołał wyrównać oddech.

WTOREK, 21 CZERWCA

We śnie przez jego głowę przemykały kolejne obrazy. Koń bez głowy wiszący na przewodach kolejki linowej pośród lodowatej zamieci. Grupa studentów otaczających basen, w którym unoszą się lalki o nieruchomych niebieskich oczach. Owczarek niemiecki bohatercko broniący swojego pana przed pożarciem przez wilki w polskim lesie. Płonąca jak pochodnia górską willa, a wraz z nią dwie stracone, przeklęte dusze. Dwie siostry w sukienkach komunijnych trzymające się za ręce w blasku księżyca. Pokryta skorupką lodu postać na tafli zamrożonego jeziora. Młody mężczyzna z głową jelenia potrącony przez samochód na pustej drodze. I wiele innych scen. Ujrzał ojca siedzącego przy biurku z pianą na ustach. I martwe dziecko, jego dziecko. Ujrzał wiele martwych osób – kobiet, mężczyzn, dzieci... Ujrzał morderstwa, tortury, rzezie, nienawiść, zemstę, żądzę zysku, żalobę, głupotę. I wiedział, że nikt nie może tego zmienić. Bo tak jest od zarania dziejów.

Ostry dźwięk sprawił mu ból niczym wbijający się w środek ucha sztylet. Obudził się. Pomyślał, że ilekroć jego telefon dzwoni o świcie, oznacza to, że ocean nocy właśnie wyrzucił na brzeg dnia nowe zwłoki.

Tablica przy wjeździe do okazałego szpitala psychiatrycznego informowała, że na lewo znajdują się pawilony dla chorych, kawiarnia i audytorium, na prawo zaś część administracyjna, parkingi, stołówka dla personelu i dział koordynacji opieki.

Nie musiał jednak szukać. Na wprost niego obracające się koguty radiowozów rzucały niebieski blask, oświetlając monumentalne arkady zwieńczone wieżą kaplicy.

Zaparkował, wysiadł z samochodu i zapytał znudzonego ochroniarza o drogę – mężczyzna najwyraźniej nie widział miejsca zbrodni, w przeciwnym razie z pewnością nie byłby tak zrelaksowany – po czym przeszedł przez bramę, skręcił w prawo i ruszył otwartym kruzgankiem.

Oto architektura ubiegłego wieku w pełnej krasie: ciężki kamienny okręt, mroczny, a przecież stworzony do naprawiania dusz, pomyślał, przechodząc przez kolejne plamy ostrego porannego światła i pasy cienia pod arkadami. Ale duszy, w przeciwieństwie do przedmiotu, nie da się naprawić. Co najwyżej można próbować zapobiec jej autodestrukcji, pomóc przetrwać. I nie ranić innych.

A jednak właśnie w tym miejscu ktoś odebrał komuś życie.

– Cześć, Servaz, przepraszam, że cię budzę – powitał go wcześniej nowy nadkomisarz po drugiej stronie słuchawki. – Mieliśmy morderstwo.

– Morderstwo? – powtórzył nie całkiem jeszcze przytomny Martin.

Został wyrwany z koszmarne snu. Zobaczył w nim wszystkich zmarłych, których zostawił na poboczu drogi, wszystkich, którzy przedwcześnie pożegnali się z życiem, wszystkich, których spotkał w swojej policyjnej karierze.

– Najlepiej by było, gdybyś przyjechał.

W końcu otworzył oczy i zerknął na drugą połówkę łóżka: była pusta i zimna. Kiedy pod prysznicem zastanawiał się, czy jego sąsiad Radomil, bułgarski muzyk, który przed kilkoma laty przyjechał z córką do Tuluzy, już wstał i czy dziewczyna mogłaby się zająć Gustavem, jego telefon

znowu się odezwał. Tym razem dzwonił Vincent Espérandieu, jego zastępca.

– Jedziesz już?

– Jeszcze nie.

– Masz kogoś do opieki nad Gustavem?

– Zamierzałem zatrudnić Anastasię, córkę sąsiada. Ciągłe szuka jakiejś roboty.

– Nie musisz. Poprosiłem Charlène, żeby po niego podjechała. Młody zje śniadanie z Flavienem i Megan.

Charlène: piękna małżonka jego zastępcy¹. Gustav będzie szczęśliwy, mogąc zjeść w towarzystwie swoich „kuzynów”. Tak ich nazywał. A Vincent był najlepszym przyjacielem i najlepszym zastępcą Martina. Może nawet jedynym przyjacielem. Oczywiście oprócz Samiry, innej wybitnej członkini jego grupy. Ale Samira była tak bardzo inna, niezależna. Po raz kolejny pomyślał, że jeśli chce nacieszyć się synem, musi to zrobić teraz. Wiedział, że im Gustav będzie starszy, tym mniej będzie chciał spędzać czas z ojcem. Znał rozwiązanie: zostawić kryminalnych, znaleźć sobie spokojną posadkę w policji z regularnym grafikiem i wolnymi weekendami i olać całą resztę.

Chciał też poświęcić więcej czasu Léi, jeśli ona kiedykolwiek wróci z Afryki. Léa... Poczł ukłucie w sercu.

Kawałek dalej zauważył umundurowanego policjanta, któremu pokazał legitymację. Mężczyzna wskazał mu drogę. Kilka metrów dalej stał jeszcze jeden. Oprócz policji nie było tu nikogo.

W pewnej odległości pod innym rzędem arkad nowy nadkomisarz prowadził ożywioną rozmowę z prokuratorem oraz dwoma mężczyznami w białych fartuchach – prawdopodobnie pielęgniarzami albo psychiatrami.

Hervelin – szczupły, około czterdziestki, ale wyglądający na dziesięć lat mniej, zawsze w dobrze skrojonym garniturze i jedwabnym krawacie – był najmłodszym szefem wydziału kryminalnego w całej jego historii. Jego droga na firmament tuluskiej policji była godna rakiety SpaceX. Przyczyna owego błyskotliwego awansu była prosta: do pracy w terenie nie nadawał się zupełnie, był jednak ekspertem od statystyki, regulacji, gadki, a wkrótce – Servaz był o tym przekonany – miał się stać ekspertem od otwierania parasola. Najskynniejszego detektywa w firmie Hervelin od razu zaczął

postrzegać nie jako atut, lecz jako zagrożenie dla własnej kariery. Wszyscy bowiem mieli świadomość, że Servaz to zarazem najbardziej niesubordynowany policjant w wydziale. Nowy nadinspektor kątem oka dostrzegł, że ktoś nadchodzi, i odwrócił się. Nie wyglądał na szczególnie zadowolonego z obecności celebryty.

– To jest komendant Servaz – oświadczył krótko, z twarzą bez wyrazu. – Będzie kierował grupą prowadzącą to śledztwo.

– Tak, tak, wszyscy znają komendanta – odparł urzędnik.

Servaz przyłapał się na tym, że się zastanawia, czy to, co przed chwilą usłyszał, było komplementem czy kpiną. Zdawał sobie sprawę, że zarówno w policji kryminalnej, jak i w prokuraturze uchodzi za swoistą legendę, ale również za anomalię, że krążą na jego temat najprzeróżniejsze plotki oraz prawdziwe i zmyślane opowieści i że każdy nowy pracownik policji i tuluskiego sądu prędzej czy później o nim usłyszy. W związku z tymi pogłoskami otrzymywał też wiele pytań. Jak to robi, że ma tak spektakularne wyniki? Dlaczego wciąż służy w stopniu komendanta? Dlaczego nie poprosi o inny przydział?

– Komendancie, to jest doktor Rollin. – Nadinspektor strząsnął z marynarki niewidzialny pyłek. – Jest dyrektorem tej placówki. A to pan Joubert, pielęgniarz.

Servaz przyjrzał się obu mężczyznom. Psychiatra – około pięćdziesiątki, w okularach, o siwej czuprynie i pociągłej twarzy, z dłońmi głęboko wbitymi w kieszenie o dwa rozmiary za dużego fartucha, który wisiał na jego ramionach jak na wieszaku. I pielęgniarz, lat na oko trzydzieści, z długą, przyciętą prosto brodą, modną w dzisiejszych czasach wśród panów przed czterdziestką – ulice pełne są osobników, którzy przywodzą na myśl istoty pozaziemskie przebrane za świętych mikołajów. Na twarzy młodego pielęgniarza malowało się napięcie, na twarzy lekarza – osłupienie. Servaz zastanawiał się, na ile trafnie odgaduje jego stan ducha.

– Muszę przyznać, że w mojej karierze widziałem wiele szokujących rzeczy i wielu agresywnych pacjentów – zaczął doktor Rollin, wyraźnie poruszony. – Ale to... to, co się tam stało... to przechodzi wszelkie pojęcie.

Servaz spojrzał na szefa, który natychmiast odwrócił wzrok.

– Kto znalazł ciało? – zapytał.

– Ja – powiedział pielęgniarz. – W trakcie porannego obchodu. Od razu zawiadomiłem pana dyrektora.

Co tu się stało? Dwaj mężczyźni, zaprawieni przecież w bojach, sprawiali wrażenie wstrząśniętych.

– To był pana pacjent? – Servaz zwrócił się do psychiatry.

Lekarz skinął głową.

– Stan Du Welz. Czterdzieści pięć lat. Pracował w branży filmowej. Wracał tu regularnie co jakiś czas. Psychotyk, z diagnozą schizofrenii paranoidalnej. Ale był ustabilizowany farmakologicznie i korzystał z odpowiedniego protokołu leczenia.

– Drugi pacjent, hmm... uciekł – dodał Havelin. – Mieszkał po sąsiedzku z ofiarą.

Servaz spojrział na psychiatrę. Twarz mężczyzny była niemal tak biała jak jego fartuch. Nie bez powodu. Nie był to pierwszy pacjent, który samowolnie opuścił mury Camelotu. Od początku roku lokalna i regionalna prasa już kilka razy donosiła o ucieczkach tutejszych pacjentów. W placówce zwiększono nadzór, wzmocniono dyżury i zaczęto stosować środki przymusu bezpośredniego, a w weekendy zamykano budynki szpitalne, co spotkało się z krytyką Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia, którzy pomstowali, że szpital to nie więzienie i że przy takich środkach ostrożności zmieni się on we wrzący kocioł.

– Porucznik Cheung i kapitan Espérandieu są już w środku. – Havelin wskazał podbródkiem na otwarte drzwi, wyraźnie się nie kwapiąc, by przekroczyć próg.

Servaz przyjrzał się dokładnie. Solidne białe metalowe skrzydło. W ścianie duży przycisk, dzięki któremu można było je otworzyć z zewnątrz.

Wszedł do środka. Jego oczom ukazał się korytarz. Po obu stronach drzwi z okienkami, przez które personel mógł zajrzeć do pomieszczenia, nie przeszkadzając pacjentom. Do zdarzenia doszło w sali po prawej – wskazywały na to błyski fleszy i dobiegający stamtąd znajomy głos:

– Mężczyzna wyglądający na Europejczyka leży na plecach – mówiła Samira. – W ustach knebel z jakiejś tkaniny. Kostki i nadgarstki unieruchomione pasami stabilizującymi o długości metr dziesięć, z metalowymi klamrami przymocowanymi do łóżka. Liczne rany cięte na twarzy, klatce piersiowej, kończynach, podbrzuszu, pachwinach, narządach płciowych. Dużo krwi, jednak morderca omijał tętnice. Ciało jest zimne,

początki stężenia pośmiertnego, krew zaschła i stwardniała. Nie żyje od kilku godzin.

Przekroczył próg. W nozdrza uderzył go smród. Wymiociny, pot, odchody. Vincent i Samira stali plecami do drzwi, podobnie jak technicy w białych kombinezonach, niebieskich rękawiczkach i ochraniaczach na buty. Samira mówiła do telefonu.

Jeden z techników trzymał w ręku notatnik i zgodnie ze starą szkołą robił szkic. Servaz zauważył, że działania przebiegają w dziwnym spokoju. Atmosfera przywodziła na myśl czuwanie przy zmarłym. Nawet Samira dyktowała wyniki wstępnych oględzin głosem cichszym niż zazwyczaj. Kiedy patrząc ponad głowami swoich zastępców, zobaczył łóżko, zrozumiał dlaczego. Obserwował całą scenę od progu – bez ruchu, czujnie, z absolutnie jasną głową, jak zawsze, kiedy znalazł się na miejscu zbrodni.

Miał przed sobą przerażający obraz – w pokoju o wymiarach trzy na cztery metry morderca dokonał prawdziwej rzezi.

Przez zakratowane okno wpadały pierwsze promienie słońca. Kładły się na łóżku, mieszając się z potężnym halogenowym blaskiem reflektorów oświetlających ofiarę. Martwy mężczyzna był nagi, miał na sobie jedynie slipy. Niebieskawe zabarwienie twarzy i plamy opadowe na ciele, ściemniała w procesie utleniania, zakrzepła krew, którą obficie nasiąkł materac – wszystko wskazywało na to, że Samira miała rację. Ofiara nie żyła od kilku godzin.

Ostre światło reflektorów przydawało całej scenie makabrycznej intensywności, a blask poranka zabarwiał ją perwersyjną nutą poezji. Uwagę Servaza przykuły jednak obrażenia. Nacięcia i rany szarpane, krzyżujące się i równoległe, odcinały się od białej skóry. Konstelacja czerwonych smug oraz brunatnoczarnych plam na ciele i łóżku wyglądała jak abstrakcyjne malowidło. Oprawca wybrał szczególnie wrażliwe miejsca: sutki, policzki, palce, boki, a także wystający z opuszczonych slipów penis, u którego nasady biegło głębokie nacięcie. Bawełniane majtki, kiedyś białe, były przesiąknięte krwią.

Do ust ofiary zabójca wcisnął zwiniętą, prującą się gazę, która teraz ubrudzona była wymiocinami. Na podbródku i klatce piersiowej również widniały ślady wymiocin, co oznaczało, że napastnik w którymś momencie wyjął knebel. Chciał, żeby ofiara coś powiedziała? A może upajał się jej

krzykiem, bo lubi, kiedy ktoś go błaga go o litość? I nikt niczego nie słyszał?

Samira kontynuowała nagrywanie:

– Obfite krwawienia z ran. Z całą pewnością *ante mortem*...

Servaz przyjrzał się łóżku i solidnym skórzanym pasom z metalowymi klamrami służącym do unieruchomienia zbyt pobudzonego pacjenta. Zastanawiał się, czy wszystkie łóżka na tym oddziale są identyczne, czy też Stan Du Welz cieszył się tu szczególnym traktowaniem.

Jakkolwiek było, morderca wykorzystał to wyposażenie: ułożone wzdłuż tułowia ręce Du Welza były przypięte, podobnie jak rozłożone na kształt litery V nogi. To, co miało go chronić przed nim samym – albo chronić przed nim innych – obróciło się przeciwko niemu.

Nie było widać żadnych śladów walki. Dlaczego? – zastanawiał się Martin. Czuł się wyczerpany. Zbyt wiele już widział, zbyt wiele słyszał. Gliny, sędziowie – wszyscy oni spędzają czas na zasypywaniu dziury, która i tak nie przestaje się powiększać. Jaki to ma sens? Im więcej spraw rozwiązesz, tym więcej pojawia się nowych. Czasy, w których myślał, że to, co robi, czemukolwiek służy, dawno minęły.

Poczuł, że jego mózg zaraz eksploduje. Zakasłał.

– O, jesteś – zauważyła Samira, odwróciwszy się w jego stronę. – Niefajnie, co? Jak sądzisz, co może skłonić człowieka do zrobienia czegoś podobnego?

Wypowiedziała te słowa takim tonem, jakby mówiła o pogodzie. To go otrzeźwiło. Wystarczyły dystans i zimna krew Samiry Cheung, by mógł zacząć dzień pracy. Zupełnie inaczej przedstawiała się strona wizualna; Samira tak przypominała policjantkę, jak halloweenowa dynia chińską wazę. Z oczami podkreślonymi grubą czarną kreską wyglądała tyleż fascynująco, co niepokojąco. Byle jak obcięte czarne włosy i ubiór – lateksowe spodnie, nabita ćwiekami skórzana kurtka i czarna koszulka bardziej przywoływały na myśl kochankę sado-maso niż śledczą z policji kryminalnej.

– Straszne – stwierdziła lakonicznie, strzelając balonówką.

– Gdzie patolog?

– Patolożka. W drodze – odparł Espérandieu.

W Wydziale Medycyny Sądowej Szpitala Uniwersyteckiego w Tuluzie pracowała tylko jedna kobieta: doktor Fatiha Djellali. Kompetentna,

doskonała w swoim fachu. Nareszcie jakaś dobra wiadomość.

Vincent był blady. Nim również wstrząsnął ten widok.

Jeden z techników pochylał się nad zakrwawionym materacem. Zwilżał fragment tkaniny kropelkami soli fizjologicznej, by następnie za pomocą wacika pobrać próbkę. Servaz schylił się obok niego. Zauważył coś obok nieruchomej dłoni nieboszczyka.

Dziwny, niezrozumiały detal. Spirala. Wyglądało to tak, jakby ofiara – mimo że jej nadgarstek tkwił w skórzanej obręczy – paznokciem palca wskazującego narysowała spiralę w świeżej krwi wsiąkającej w materac. Mimowolny odruch czy wiadomość pozostawiona śledczym?

Servaz wstał. Czuł, że coś się dzieje. Że ta sprawa jest absolutnie wyjątkowa. Skinął na fotografa i pokazał mu swoje odkrycie. Błysnął flesz.

Espérandieu również pochylał się nad niezwykłym motywem odcinającym się na tle brunatnej krwi. Perfekcyjnie wykreślona spirala.

– Kurwa, a to co za horror? – rzucił.

1. Zob. *Bielszy odcień śmierci*, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2012. [[wróć](#)]

– Cholera – rzuciła Fatiha Djellali.

Tylko tyle. Servaz zauważył jednak chwilę zawahania, kiedy patolożka wchodziła do pokoju. Ledwie dostrzegalnie zmarszczywszy brwi, wyjęła telefon i uruchomiła nagrywanie – tak jak zrobiła to wcześniej Samira.

Zerknęła na zegarek.

– Dwudziesty pierwszy czerwca dwa tysiące dwudziestego drugiego roku, godzina siódma trzynastie, Szpital Psychiatryczny Camelot, route d’Espagne, Tuluza – powiedziała.

Obserwowali, jak powoli obchodzi łóżko i nie pomijając niczego, opisuje wszystko, co widzi, dodając szczegóły fizjologiczne i anatomiczne do wcześniejszych obserwacji Samiry.

Była wysoką kobietą o brązowych oczach i długich, lśniących włosach czarnych jak węgiel. Roztaczała wokół siebie aurę takiej żywotności, że zdaniem Servaza musiała wkurzać zmarłych, z którymi miała do czynienia. Odwróciła się do mężczyzn w białych kombinezonach i wskazała na palce lewej dłoni denata.

– Kto pobrał odciski? – zapytała ostro.

Jeden z techników wskazał na siebie.

– Trzeba było poczekać na mnie – powiedziała z wyrzutem. – Niech pan włoży jego dłonie w papierowe saszetki.

Servaz się uśmiechnął. Cała Fatiha. Nagle stwierdził, że ma ochotę na papierosa. Dlaczego zawsze chce mu się palić w jej towarzystwie? Czyżby po to, żeby mógł się upewnić, że on sam jeszcze nie umarł?

– Zważywszy na ilość krwi, żył, kiedy morderca się nad nim pastwił – stwierdziła.

– Ciało jest zimne i sztywne, musi tak leżeć od kilku godzin.

– Utrata krwi mogła przyspieszyć spadek temperatury – zauważyła. – Ale tak, zgadzam się.

– A kim jest ten drugi gość, to jego sąsiad? – zwrócił się Servaz do zastępcy.

– Ten, który zwiął? Mieszkał po drugiej stronie korytarza. Niejaki Jonas Résimont.

– Martin! – Patolożka lekko podniosła głos.

Odwrócił się. Fatiha stała pochylona nad twarzą zmarłego. Pęsetą wyjęła z jego ust knebel i umieściła go w przezroczystej torebce podsuniętej przez Espérandieu, który odpowiadał za zabezpieczenie śladów. Używając latarki medycznej, zaglądała denatowi do ust. Martin podszedł bliżej i również zajrzał do środka. Obrzmiały język wypełniał prawie całą jamę ustną.

– Zerknij do gardła, tam gdzie języczek.

Wykonał polecenie. Języczek, podobnie jak migdałki, był dwukrotnie lub trzykrotnie powiększony.

– Co tu się stało?

– To wynik wstrząsu anafilaktycznego – odparła. – Przyjrzyj się dokładnie.

Skoncentrował się. Na śluzówce widać było małe białe punkty. Ukłucia... Zrozumiał. Wstrząs wywołała reakcja alergiczna.

Wsunęła pęsetę między zęby zmarłego. Servaz się cofnął, by ułatwić jej zadanie. Kiedy wyjęła szczypczyki, jego oczom ukazał się owad w czarno-żółte prążki. Pszczoła.

– Zważywszy na to, ile jest tych użądleń, założę się, że nie jest jedyna.

– Okej, doszło do reakcji alergicznej. A to znaczy, że kiedy ktoś włożył mi do gardła te pszczoły i zatkał gazą, gość jeszcze żył, tak?

– Istnieje taka możliwość.

– A krew?

– Krwawienie z ran było obfite. Czyli zostały zadane *ante mortem*. Nie było jednak krwawienia z tętnic: napastnik je ominął. Nie ulega wątpliwości, że ofiara była torturowana. Nie sądzę jednak, żeby ubytek krwi był na tyle duży, żeby doprowadził do śmierci. Żaden z ważnych narządów nie został uszkodzony. Moim zdaniem zmarł przez te pszczoły. Badanie gardła i aparatu oddechowego nam to potwierdzi.

– O kurwa – szepnął Espérandieu. – Uduszenie z powodu użądleń. Śmierć z kłębiącym się rojem pszczół w gardle. Naprawdę trzeba być miłośnikiem przyrody.

– A wymiociny na klatce piersiowej? – spytał Servaz.

– Ten, kto go torturował, musiał w równych odstępach czasu wyjmować gazę. Oczywiście zanim wepchnął mu do gardła pszczoły.

– I nikt nie słyszał, jak facet wrzeszczy?

Martin się zastanawiał, czy krzyk w szpitalu psychiatrycznym nie działa jak alarm samochodowy w mieście. W końcu wszyscy się przyzwyczajają i przestają zwracać na niego uwagę.

– Wygląda na to, że morderca wpuścił pszczoły, a potem definitywnie wcisnął knebel – ciągnęła patolożka. – Na podniebieniu miękkim, o tutaj, jest większa rana. – Skierowała w to miejsce światło latarki. – Możliwe, że powstała w wyniku zadrapania pojemnikiem z pszczołami, który włożono mu do ust.

– Skąd ten Résimont, jeśli to on jest zabójcą, wziął pszczoły? – głośno myślał Servaz. Zwrócił się do Vincenta i Samiry: – Zorientujcie się, czy na terenie placówki są jakieś ule.

Opuścił pokój i wszedł do sali naprzeciwko, w której uwijali się inni technicy. Była podobna do pierwszej. Łóżko, niewielkie biurko, krzesło.

Kilka książek, szafa. Z tą różnicą, że łóżko nie miało zamontowanych pasów.

Również tutaj okno było zakratowane. Servaz przez chwilę się zastanawiał. Jedyne wyjście były drzwi.

– A zatem gość, który tutaj leżał, ten... Résimont, wszedł do pokoju naprzeciwko, znęcał się nad jego mieszkańcem, po czym włożył mu do gardła pszczoły i zwiął. – Czuł, że coś tu nie gra. To się nie trzyma kupy, pomyślał. – A gdzie je wcześniej trzymał? – zapytał. – Jak długo pszczoły mogą przeżyć w pojemniku, nawet takim z dziurkami? Będziemy potrzebować specjalisty pszczelarza. – Wrócił na korytarz i przyjrzał się drzwiom: nie było w nich zamków. Wyszedł na krużganek. – Sale nie są zamykane na noc? – zapytał.

– Nasi pacjenci mają zakaz wchodzenia do pokoi innych pacjentów – odparł psychiatra. – Ale nie są izolowani. Izolacja to zawsze środek ostateczny, ograniczony w czasie, stosowany proporcjonalnie do ryzyka.

Proporcjonalnie do ryzyka... Servaz zastanawiał się, co na temat tego określenia powiedziała by Stan Du Welz.

– Na wniosek regionalnej agencji zdrowia po styczniowych ucieczkach uruchomiliśmy śledztwo administracyjne i od razu przeprowadziliśmy kontrolę – usprawiedliwiał się psychiatra.

Servaz przypomniał sobie, że zbiegów ujęto po kilku godzinach od ucieczki. Jeden z nich zdążył jednak napaść na jakąś starszą panią w centrum miasta.

– I jakie były wnioski z kontroli?

– Jeszcze ich nie otrzymaliśmy.

– Po pół roku? – zdziwił się.

– Ponieważ sprawę rozdmuchały media, zabezpieczyliśmy drzwi i wzmocniliśmy ochronę – kontynuował Rollin.

Servaz nie podjął wątku. Pod sklepieniem, w pobliżu jednej z kolumn, zauważył kamerę. Była skierowana na metalowe drzwi.

– Te drzwi są na noc zamykane na klucz?

– Jak najbardziej – odparł pielęgniarz. – W placówkach psychiatrycznych można stosować elektroniczne zamki, pod warunkiem że personel dysponuje kluczami. Aby wejść do tego pawilonu, wciska się guzik, ale wychodząc, trzeba użyć klucza. To powszechne rozwiązanie.

Servaz spojrział na Espérandieu.

– Kraty w oknach zostały sprawdzone?

Vincent skinął głową.

– Są nietknięte – powiedziała Samira, podchodząc bliżej. – Gość wyszedł drzwiami. Nie ma innej drogi. Sprawdziłam wszystkie możliwości.

– To znaczy, że jakimś sposobem zdobył klucz. Rozumiem, że kradzieże kluczy się tutaj nie zdarzają? – zapytał Servaz.

Młody mężczyzna pokręcił głową.

– Nie do końca. Często brakuje jakiegoś klucza, zabezpieczenia też czasem nie działają. Tak bywa w tego typu placówkach.

Servaz zauważył, że pielęgniarz się poci.

– Pan się nazywa Joubert, tak?

– Tak. Ghislain Joubert. Wszystko, co wiedziałem, powiedziałem już pana kolegom – wybełkotał mężczyzna, który najwyraźniej nie miał ochoty się powtarzać.

– Wie pan, gdzie są nagrania z tej kamery?

– Tak. W pomieszczeniu ochrony.

– Może nas pan tam zaprowadzić? – Servaz rzucił niedopałek na dziedziniec, po czym tknięty wyrzutami sumienia podniósł go i zaniósł do kosza kilka metrów dalej. – Niech pan włączy odtwarzanie od osiemnastej – zwrócił się do ochroniarza siedzącego przed monitorem, gdy znaleźli się w biurze ochrony.

Mężczyzna rozwinął kalendarz po prawej stronie obrazu. Wybrał miesiąc, dzień i godzinę: 20-06-2022. 18:00.

– W przyśpieszonym tempie – poprosił Servaz.

Kilka sekund przed dziewiętnastą na ekranie pojawiła się sylwetka psychiatry w ujęciu z góry. Servaz zobaczył, jak lekarz wciska guzik po prawej stronie drzwi, po czym znika w środku.

– Kiedy pan u niego był, nie spał?

Rollin przytaknął.

– Wyglądał, jak na niego, normalnie?

Psychiatra się zawahał.

– Mielśmy z nim pewien kłopot. W ciągu dnia wykazywał nerwowość, pobudzenie. Zostałem o tym poinformowany przez dyżurną pielęgniarkę. Kiedy go widziałem wieczorem, wydawał się jednak spokojny. Ale i tak wolałem mu coś zaaplikować.

– Podał mu pan środek uspokajający?

– Nasenny.

To dlatego nie było śladów szamotaniny. Spał, kiedy napastnik go związał.

– To się często zdarzało? Często dostawał środki nasenne?

Lekarz skinął głową.

– A ten jego sąsiad?

– Spał już. To nic dziwnego przy lekach, które biorą. Nie było powodów, żeby go budzić.

– Czy oni mogą mieć swoje rzeczy w pokojach?

– Oczywiście.

Na ekranie zobaczyli, jak psychiatra wychodzi i znika z pola widzenia kamery po lewej stronie.

– Stop – powiedział Servaz.

Ochroniarz zatrzymał odtwarzanie.

– Świetnie. Damy panu pendrive. Skopiuje pan na niego to nagranie od dziewiętnastej dziewięć. Rozumie pan?

Mężczyzna potwierdził skinieniem głowy.

– Dziękuję. Idziemy dalej. Można przyspieszyć?

Lekko drżący obraz białych drzwi miał w sobie coś hipnotyzującego. Wszyscy wpatrywali się w monitor. Czekali na moment, w którym przejdzie przez nie Jonas Résimont, sąsiad Stana Du Welza i główny podejrzany.

Około 21.30 pojawiła się pielęgniarka w białym fartuchu. Podobnie jak psychiatra wcisnęła guzik i zniknęła w środku.

– Wie pan, kto to jest? – zapytał Espérandieu.

– To pielęgniarka dyżurna. Robi obchód. Dowiem się, jak się nazywa. Mamy tu kilkuset pacjentów, którymi opiekuje się bardzo liczny personel.

Kobieta wyszła po zaledwie minucie. Krótco po dwudziestej trzeciej guzik nacisnęła inna pielęgniarka. Ta była w środku około dziesięciu minut. Przesuwały się kolejne obrazy. A raczej jeden obraz – zamkniętych drzwi.

Północ... Servaz westchnął. Atmosferę panującą w niewielkim pomieszczeniu można było kroić nożem. Wszyscy stali pochyleni nad ekranem. Nadchodziła chwila prawdy.

Godzina pierwsza. Druga, trzecia i czwarta. Servaz zerknął na Samirę. Jej twarz zdradzała konsternację. On czuł to samo. Śmierć Du Welza nie mogła nastąpić tak blisko świtu, to absolutnie niemożliwe – krew nie

zdążyłaby skrzepnąć, a ciało stężeć. Widział tylko jedno rozwiązanie: Jonas Résimont spędził przy zwłokach kilka godzin i dopiero później zdecydował się uciec. A to znaczyło, że wkrótce się pojawi.

Piąta... Od schylania się Servazowi zeszywniał kark. Piąta czterdzieści... Przed białymi drzwiami stanęła kolejna osoba. Zobaczyli, jak wciska guzik. Servaz zmarszczył brwi.

– To ja – oświadczył Ghislain Joubert, który stał za nimi.

Po krótkiej chwili pielęgniarz pojawił się z powrotem w drzwiach, spanikowany, z telefonem przy uchu.

– Dzwonię do pana dyrektora – wyjaśnił.

– To niemożliwe – szepnął Vincent.

Servaz odwrócił się do Rollina.

– Czy jest pan pewien, że Stan Du Welz żył, kiedy pan u niego był?

Psychiatra spiorunował go wzrokiem.

– Oczywiście!

– Nic z tego nie rozumiem – rzucił nadinspektor, wstając i pocierając gładko ogolone policzki. – Którędy wyszedł morderca?

– Osobiście sprawdzałam kraty – wtrąciła się Samira. – Jedyne wyjście prowadzi przez te drzwi.

Servaz się wyprostował. On również nic z tego nie rozumiał. Jak ten cholerny Résimont to zrobił? Co to za sztuczki pod okiem kamery?

– Macie sprawdzić sufity podwieszane, ściany, podłogi. Wszystko. A pana poproszę o plany szpitala – zwrócił się do Rollina. – Będziemy oglądać to nagranie do skutku. I roześlemy list gończy za Jonasem Résimontem wraz z wnioskiem o rejestrację w FPR. Dowiedźcie się, czy ma rodziców, przyjaciół, rodzinę. I przetrząsnijcie ten budynek. Gdzieś przecież, do cholery, musi być.

FPR, baza osób poszukiwanych: ponad 620 tysięcy rekordów, 39 milionów wejść w ubiegłym roku. Sprawdzanie jej to jak szukanie igły w gigantycznym stogu siana. Espérandieu zaklął pod nosem, nie przestając się wpatrywać w obraz zamkniętych drzwi.

– Szlag, co tu się dzieje?

Górskie szczyty skąpane w słońcu. W dolinie, od strony północnej, cień. Stoki północne i południowe, niczym dwie strony życia: mroczna i świetlista. W górze czyste niebo. I las, gęsty las porastający zbocza.

11.58, upalne czerwcowe przedpołudnie. W słuchawkach Sigur Rós. Wyjechała z Tuluzy przed niespełna dwiema godzinami, pokonała sto kilometrów autostradą A64, po czym skręciła na południe i wjechała w górską dolinę, ruszyła w kierunku granicy z Hiszpanią. Teraz mknęła pośród krajobrazu, w którym ciemne lasy rodem z bajek z dzieciństwa przeplatały się z poprzecinanymi przez srebrzyste potoki nasłonecznionymi łąkami z pasącymi się stadami owiec.

Na przedniej szybie jej lancii ypsilon, mającej na liczniku 200 tysięcy kilometrów przebiegu, tańczyło światło. Kiedy zanurzyła się w głębokim lesie, w zielonej tkance pełnej żyłek światła i połyskujących cieni, wewnątrz samochodu od razu wypełniła rześka wilgoć.

Taki klimat bardziej pasował do celu jej podróży. A raczej – do osoby, dla której tu przyjechała. Na tę myśl Judith poczuła, jak skręca jej się żołądek. Do tej pory mieli kontakt wyłącznie mailowy. Musiała się bardzo powstrzymać, by nie zasypywać go wiadomościami. Chciałaby mu zadać milion pytań.

Jude, to jakiś cud, że ci odpowiedział, nie? – pomyślała. Swoją drogą dlaczego to zrobił? Wszyscy mówią, że jest aroganckim, zgorzkniałym, cynicznym, szalonym mizantropem. Krążyła nawet plotka, jakoby złamał zuchwę jakiemuś paparazzo, który kręcił się koło jego domu, i spoliczkował sławnego aktora, który nie chciał grać według jego zaleceń – a były one zawsze niesłychanie precyzyjne, ponieważ Morbus Delacroix nie był reżyserem, który daje swoim aktorom wolną rękę.

Delacroix... Nazwisko, na którego dźwięk mdleli wszyscy studenci filmoznawstwa. Kultowy reżyser dla całego pokolenia kinomaniaków. Gość, który nakręcił takie filmy jak *Ceremonia*, *Perwersje*, *Monstrum*, *Erzebet* i *Bloody Games* – pięć najlepszych horrorów pierwszej dekady

XXI wieku, po czym nagle zakończył karierę i w wieku trzydziestu pięciu lat zamieszkał w Pirenejach.

Od dwunastu lat, kiedy jego ostatni film stał się medialnym skandalem i trafił na pierwsze strony gazet, wszyscy marzyli o tym, by przeprowadzić z nim wywiad. Delacroix jednak całkowicie wycofał się z życia publicznego i oficjalnie prowadził pustelniczy żywot w sercu gór. Odmawiał spotkań z dziennikarzami. Unikał kamer i fotografów. Odrzucił niesamowitą propozycję nakręcenia serialu grozy złożoną przez jedną z platform streamingowych.

I zgodził się porozmawiać właśnie z tobą, Judith Tallandier, młodą studentką filmoznawstwa... Dlaczego? – zastanawiała się. Co takiego w mailach, które do niego wysłała, przykuło jego uwagę i przekonało go, że będzie godną rozmówczynią?

Z pewnością mogła się pochwalić, że zna jego dzieła lepiej niż ktokolwiek. Nie było sekwencji, planu, cięcia, których by nie przestudiowała. Ani jednej recenzji, ani jednego artykułu na jego temat, których by nie przeczytała.

Twórczość Morbusa Delacroix zawsze budziła skrajne reakcje – zarówno pozytywne, jak i negatywne – w prasie i wśród szerokiej publiczności. Dla jednych było to „kino chore, perwersyjne, a przy tym cudownie bogate”, pełne „przeróżających, wprawiających w konsternację historii”; według innych w jego dorobku znalazły się „jedne z najbardziej kontrowersyjnych filmów w całej historii kina”. W druzgocących recenzjach ostatni obraz Delacroix *Bloody Games* został nazwany „pornotorturą przesuwającą granice tego, co moralnie akceptowalne”, a nawet „najbardziej skandalicznym i najobrzydliwszym filmem wszech czasów”. Najzacieklejsi krytycy twierdzili, że miejsce Morbusa Delacroix jest w psychiatriku.

Reżyser przeklęty? Kultowy? Geniusz czy kuglarz? Przeceniany czy niedoceniany? A jego filmy? „Zwykłe popisy wykorzystania efektów technicznych” czy też, jak twierdzili inni, „dzieło głębsze niż mogłoby się wydawać, prawdziwe kino autorskie”, którym pogardzano tylko ze względu na gatunek, do którego należało?

Judith miała na ten temat własne zdanie. Pamiętała, że kiedy oglądała filmy Delacroix po raz pierwszy, miała poczucie zanurzenia w znajomym świecie, niektóre sceny sprawiały wrażenie, jakby były echem jej własnego

życia, tak jakby między nią a reżyserem istniało jakieś połączenie. Jak gdyby ktoś wyjął z zakamarków jej mózgu najbardziej przerażające fantazje, a reżyser wyeksponował je w ostrym chirurgicznym świetle.

Dziś, 21 czerwca, w dzień letniego przesilenia, wciąż nie mogła dojść, dlaczego zgodził się z nią spotkać. Może dlatego, że obiecałaś, że rozmowa posłuży ci wyłącznie do napisania pracy?

Z jakiego powodu jej zaufał? Czy każe jej podpisać jakąś klauzulę poufności? Nie dostała jednak żadnego pisma od prawnika ani agenta. Pokonała serię zakrętów w iglastym lesie, wyjechała na prostą drogę, która przecinała porośniętą wysoką trawą łąkę, i wtedy przypomniała sobie okoliczności, w których po raz pierwszy oglądała *Ceremonię*, długometrażowy debiut mistrza, porażający remake *Pięknej i Bestii*. Film, który wszedł na ekrany w 2003 roku, ale który Judith obejrzała wiele lat później w niewielkim tuluskim kinie, był prawdziwym objawieniem. Nie był to bynajmniej tandetny horror ociekający krwią i naszpikowany straszidłami (i o wiele mniej brutalny niż kolejne filmy). Opowiadał o nieprzeciętnej urody dziewczynie dorastającej w wiosce w Europie Środkowej w nieokreślonej epoce, w cieniu zamku zamieszkiwanego przez straszliwego potwora, który władał okolicą, siejąc powszechny postrach, i wydawał krwawe, perwersyjne przyjęcia.

By uchronić ją przed niepowstrzymaną żądzą Bestii, która porywała i gwałciła młode kobiety, rodzice używali rozmaitych sposobów, by ją oszpecić: ilekroć wychodziła z domu, smarowali jej twarz sadzą, upychali orzechy w policzki, mazali włosy błotem, pod brudną sukienkę wkładali poduszki. Bestia bowiem wszędzie miała szpiegów, którzy szukali świeżego mięsa dla swojego pana. W końcu jednak szpiegzy wypatrzyli Bellę kąpiącą się nago w rzece i wieść o niewiarygodnej urodzie dziewczyny dotarła do uszu potwora. Dziewczyna miała już narzeczonego, któremu była przyobiecana, a jej rodzice w sekrecie przygotowywali tytułową ceremonię. Oczywiście kasztelan dowiedział się również o istnieniu narzeczonego. Wyzwał nieszczęśnika na pojedynek i rozplątał na dwoje swoim obosiecznym mieczem.

Film kończył się niesamowitym, wbijającym w fotel, niekończącym się ujęciem śledzącym – prawie tak długim jak w arcydziele Antonioniego *Zawód reporter*. Kamera bardzo wolno zstępowała po zalesionym wzgórzu ku potokowi płynącemu w dole między drzewami i skałami, przy

akompaniamencie *Wyspy umarłych* Rachmaninowa. Sunęła wśród pni, wycelowana w dwie maleńkie postaci leżące na przeciwległym kamienistym brzegu. Wreszcie, gdy przecinała szeroki, wzburzony nurt, widz uświadamiał sobie, że ma przed oczami scenę seksu, w której młoda kobieta, krzycząc bynajmniej nie ze strachu, dobrowolnie oddaje się straszliwej kreaturze, która wcześniej zmasakrowała jej narzeczonego.

Następnie kamera ruszała w przeciwnym kierunku, oddalając się od pary w tym słynnym długim ujęciu, pośród okrzyków rozkoszy bohaterki zmieszanych z uroczystą, posępną muzyką Rachmaninowa.

Judith wiedziała, że wzorem Antonioniego przy montażu tej sekwencji Delacroix nie przeprowadził ani jednego cięcia. To był techniczny majstersztyk. Film był pełen takich mistrzowskich ujęć. Kiedy wychodziła z salki kinowej, miała poczucie, że właśnie przeżyła coś absolutnie wyjątkowego – oraz że odkryła geniusza.

Jej entuzjazm dla pierwszego dzieła dwudziestoczteroletniego zaledwie filmowca podzielali recenzenci. „Les Cahiers du cinéma” doceniły śmiałość i świeżość gry czernią i bielą, która momentami przywodziła na myśl *Andrieja Rublowa* Tarkowskiego. Magazyn „Première” zachwycił się „dopracowaną formą, znacznie przewyższającą zwykłe produkcje tego gatunku”, nazywał też film „szalonym, diabolicznym i perwersyjnym”. „Studio Magazine” określiło go mianem politycznej przypowieści oraz „powrotem pożądania w coraz bardziej purytańskim krajobrazie kina”, a „Mad Movies” – „momentem czystej poezji strachu”.

Delacroix szybko jednak wprowadził swoich admiratorów w konsternację drugim filmem pełnym bezprecedensowej, celowej przemocy, który większość komentatorów uznała za „przyprawiający o mdłości” i „odrażający” – i właśnie z takimi określeniami zaczęto kojarzyć twórczość młodego reżysera.

Z zadumy wyrwała nagle Judith świecąca się na czerwono kontrolka paliwa. Cholera, mam nadzieję, że na tym zadupiu jest jakaś stacja benzynowa, pomyślała. GPS wskazywał, że najbliższa będzie za pięć kilometrów.

Judith zaparkowała lancję przy dystrybutorze i wysiadła. Teraz mogła docenić piękno doliny. Do niewielkiej drogi okalającej parking schodziły strome, porośnięte nieprzeniknionym lasem górskie zbocza. W oddali na tle bezchmurnego błękitu wznosił się potężny skalisty grzbiet. Krajobraz był piękny, spokojny, wręcz idylliczny, a jednak cała ta sielanka przyprawiała ją o lekkiego pietra. Judith swobodniej czuła się w mieście – tutaj było zbyt cicho, zbyt pusto.

Do terminala umieszczonego między dwoma dystrybutorami wsunęła kartę banku internetowego, który kusił studentów „darmowymi” ofertami. Zważywszy na zawrotne ceny paliwa, zatankowała bezołowiowej za jedyne piętnaście euro. Judith zarządzała skromnym studenckim życiem z dnia na dzień, płynnie poruszając się w świecie stypendiów, zapomóg, czynszów, wakacyjnych prac, zatrudnienia w niepełnym wymiarze godzin i różnych wydatków. Nie ma innego wyjścia, jeśli człowiek stracił matkę w wieku lat dwunastu, a ojca nigdy nie poznał.

Częściowo ugasiwszy pragnienie swojego samochodu, ruszyła do sklepu znajdującego się po drugiej stronie parkingu. Promienie słońca delikatnie muskały jej skórę. Miała na sobie białą koszulkę z czerwonym napisem REDRUM¹ na piersi i bojówki w kolorze khaki. Uznała, że na spotkaniu z reżyserem nie obowiązuje specjalny dress code – pewnie gość ma gdzieś, jak się ubierasz, pomyślała – i że będzie lepiej, jeśli pozostanie sobą.

Z głośnika sklepowego radia płynął stary kawałek Stonesów. Mijając w drodze do toalety regały niewielkiego sklepiku, pomyślała o *Perwersjach*, drugim dziele w ostrej, mrocznej i dekadencej filmografii Morbusa Delacroix, tym, które ostudziło nadzieje krytyków, ale zaostrzyło apetyty fanów. Fabuła *Perwersji* była absolutnie klasyczna: z więzienia o specjalnym nadzorze udaje się uciec trzem osadzonym, którzy następnie ukrywają się w domu bogatej rodziny na skraju lasu. Znęcają się nad mieszkańcami i wykorzystują ich do najbardziej okrutnych i zбочzonych zabaw, jakie można sobie wyobrazić. Z całej masakry uchodzi z życiem

tylko jeden chłopiec, który wcześniej pomógł oprawcom zamordować swoją siostrę i rodziców. Oglądając ostatnie ujęcie, w którym widać w dużym zbliżeniu, jak malec idzie bezludną drogą z pustym spojrzeniem i twarzą opryskaną krwią, widz wie, że uciekinierom udało się stworzyć kolejnego psychopata.

Temat ogrywany do znudzenia przez kino eksploatacji, a jednak Delacroix zdołał wynieść go na wyżyny: film został nakręcony z ręki, bez ozdobników, w suchym, nerwowym, mistrzowskim stylu, niemal bez muzyki. Kwintesencja trwogi budząca podszytą niepokojem fascynację.

Większość recenzji, mimo że ich autorzy nie odmawiali reżyserowi umiejętności, była krytyczna, ale Judith zachwycała się grą aktorów, zwłaszcza jedenastoletniego chłopca. W filmie wystąpił również autentyczny więzień odsiadujący siedmioletni wyrok za gwałt – jego obecność na ekranie stała się pierwszym z długiej serii skandali, które towarzyszyły Morbusowi Delacroix przez całą karierę.

Weszła do kabiny i zamknęła za sobą drzwi. Uch...! Jaki smród! Zauważyła, że podłoga jest uwalana na wpół płynnymi, na wpół stałymi nieczystościami. Wysikała się bez siadania, zgięta, z czołem niemal przyklejonym do drzwi. Spuściła wodę i czym prędzej wyszła. Klucząc ostrożnie między kałużami, podeszła do umywalki.

Cholera, ale capi... Na ścianie po lewej widniał jakiś napis. Odruchowo zerknęła w tamtym kierunku. I poczuła, jakby w jej czaszce nastąpiło zwarcie. Jakby wywaliło jej korki. Jakby na chwilę odcięto jej zasilanie. Oto co przeczytała:

JUDITH, TY CIEKAWSKA ŚWINTUCHO

Czując w skroniach pulsowanie krwi, rozejrzała się dookoła. Osłupiała. Zdębiała. Judith... Jakie było prawdopodobieństwo, że te słowa w takim miejscu są skierowane do innej osoby?

Nie, to niemożliwe. Nikt nie mógł przewidzieć, że zatrzyma się akurat na tej stacji. Zresztą kto wiedział, że akurat tego dnia będzie tędy przejeżdżała? A poza tym kto byłby na tyle głupi, żeby przyjechać tutaj i zostawić tę wiadomość, nie mając pewności, że Judith będzie tankować w tym miejscu? To niemożliwe...

Zareagowała niemal odruchowo. Wypadła z toalety, jak tornado przebiegła przez sklep i galopem, przy akompaniamencie śpiewu ptaków i brzęczenia owadów, pokonała skąpany w słońcu parking. Usiadła za kierownicą i wyjęła telefon.

„Ty ciekawska świntucho...” To sformułowanie coś jej mówiło. Maile od Delacroix. Odszukanie ich zajęło jej kilka minut. W jednej z wiadomości pisał: „Jest pani ciekawska, Judith”. Szlag, co to znaczy? W co on gra?

Okej, Jude, uspokajała się, ale nadal pozostaje pytanie, skąd on mógł wiedzieć, że się tu zatrzymasz. To nie ma sensu. Schyliła się, by wyjąć ze schowka zamykany na szyfr i zaopatrzonej w szlufkę na długopis notatnik o wymiarach 21 na 15 centymetrów, który kupiła online. Otworzyła go i napisała:

Dzień 1 (ciąg dalszy). Zatrzymałam się po drodze. W toalecie na stacji benzynowej znalazłam skierowaną do mnie wiadomość JUDITH, TY CIEKAWSKA ŚWINTUCHO. Nie kumam. Kto mógł wiedzieć, że tu będę? I kto oprócz NIEGO jest poinformowany o moim przyjeździe? Czuję się jak w którymś z jego filmów...

Pogrążona w myślach machinalnie spojrzała w lusterko wsteczne. Około czterech metrów za samochodem zobaczyła jakąś sylwetkę. Strój w kolorze khaki – jakby leśnika czy myśliwego – czapka z daszkiem odwróconym na kark. Mężczyzna stał oparty o jeden z betonowych słupów podtrzymujących zadaszenie. Jego oczy zasłaniały okulary słoneczne, więc nie mogła stwierdzić, czy gość ją obserwuje, ale wszystko w jego postawie wskazywało na to, że tak właśnie jest.

Poczuła lekkie mrowienie w karku. Uświadomiła sobie, że się poci. Czego się gapisz, dupku? Znowu zerknęła w lusterko. Nawet z tej odległości widziała głębokie, jakby wyżłobione nożem, pionowe bruzdy na jego policzkach. Przypominał stare, pociemniałe drzewo. Po ruchach zuchwy poznała, że żuje gumę. Wyglądał jak jeden z bohaterów Stephen Kinga. Nagle poczuła, że marzy tylko o tym, by zawrócić i wiać.

Jednym ruchem zatrasnęła dziennik, rzuciła go na fotel pasażera i przekręciła kluczyk w stacyjce. Entuzjazm, który czuła, jadąc tutaj, uleciał, ustępując miejsca podskórnemu niepokojowi. Jakim człowiekiem

jest Morbus Delacroix? Kto zostawił dla niej wiadomość w toalecie?
Nieważne. Niezależnie od wszystkiego musi jechać dalej.

1. Słowo *redrum* pojawia się w filmie *Lśnienie* Stanleya Kubricka; w odbiciu lustrzanym to *murder*, morderstwo. [\[wróć\]](#)

Servaz patrzył, jak kropla wody wolno tocząca się po szybie rozdziela się na dwie mniejsze, które płyną dalej, podczas gdy w szkło uderzają kolejne i dołączają do tych pierwszych, tworząc podobne wzory. Nieustannie powracający motyw, ciągle i ciągle.

Martin nie był naukowcem – znajdował upodobanie raczej w literaturze i muzyce Mahlera – w przyrodzie fascynował go jednak fakt, że te same motywy powtarzają się w nieskończoność na różnych poziomach. Z przestępczością było podobnie. Powracała bez końca. On i jego koledzy stanowili zapórę, która miała chronić społeczeństwo przed jej skutkami, nie była ona jednak tak szczelna jak ta szyba.

Odwrócił się tyłem do ponurych chmur, z których lały się na miasto strumienie wody, i spojrzął na członków swojej grupy śledczej.

– Co wiemy o ofierze?

– Stan Du Welz – zaczęła Samira. – Syn Belga i Francuzki. Czterdzieści pięć lat. Rodzice nie żyją, ma siostrę, która mieszka w okolicy. Pracował w branży filmowej jako fachowiec od efektów specjalnych oraz jako kierownik planu. Ktoś wie, co robi kierownik planu?

– Zajmuje się logistyką – wyjaśnił Vincent. – Z grubsza rzecz ujmując, dba o to, żeby reżyser, technicy i aktorzy mieli jak najlepsze warunki pracy. To niezbędny trybik w tej maszynie.

– Okej. No więc dopóki stan psychiczny mu tego nie uniemożliwił, Du Welz pracował w filmie – mówiła dalej Samira.

– Czy wiadomo, przy jakich filmach był zatrudniony? – zapytał Espérandieu z czystej ciekawości.

Zajrzała do notesu.

– *Kalwaria, Ceremonia, Czary, Perwersje, Monstrum, Bloody Games, Hordy...*

Vincent gwizdnął z uznaniem.

– Same horrory.

Servaz pomyślał, że Samira sama wygląda jak żywcem wyjęta z horroru. Nie oszczędzała na czarnej kredce ani na cieniu do powiek. Powinien był się już do tego przyzwyczaić. W końcu pracowali razem od czternastu lat. Ale do Samiry Cheung nie da się przywyknąć, nawet jeśli człowiek docenia jej profesjonalizm i prostolinijność. Choć z tym drugim różnie bywało.

– A o głównym podejrzanym? Résimoncie? Co wiemy?

– Sprawdziliśmy ściany, podłogę, sufity, plany budynku – odpowiedziała. – Jest tylko jedno wyjście, przez drzwi.

Jeszcze raz odtworzył w głowie ciąg zdarzeń. Doktor Rollin wchodzi do pawilonu o dziewiętnastej, rozmawia z Du Welzem i stwierdza, że jego sąsiad, Jonas Résimont, śpi. Wszystko jest okej. Potem w odstępie dwóch godzin pojawiają się dwie pielęgniarki. Nie wszczynają alarmu, a to oznacza, że o dwudziestej trzeciej Stan Du Welz z pewnością jeszcze żyje, a Résimont nadal jest w swoim łóżku. Ale o piątej czterdzieści rano pielęgniarz Ghislain Joubert wchodzi do pawilonu i odkrywa, że Du Welz został zamordowany, a Résimont zniknął. A przecież w żadnej chwili nie było widać, żeby ten ostatni przechodził przez drzwi. Gdzie jest haczyk?

– Od osiągnięcia pełnoletności Jonas Résimont podobnie jak Du Welz często wracał do szpitala – powiedział Vincent. – Nie miał stałego adresu, ale od czasu do czasu pomieszkiwał w squatach. Zdaniem lekarzy w dzieciństwie był podtruwany przez matkę, która chciała utrzymać go w stanie choroby, żeby nigdy nie opuścił rodzinnego domu.

– Zastępczy zespół Münchhausena – uściślił Servaz. – Matka z jednej strony troszczy się o dziecko, a z drugiej znęca się nad nim, doprowadzając je do choroby.

– Tak jest. Kiedy lekarz rodzinny na to wpadł, zawiadomił opiekę społeczną. Matka trafiła za kratki, a syn do rodziny zastępczej.

Zamiast komentarza znowu rozległy się dwa gwizdnięcia. Servaz pomyślał, że miłość przybiera czasem naprawdę dziwną postać.

– Miał jakieś rodzeństwo?

– Był jedynakiem. A jego matka zmarła trzy lata temu.

– Kto się zajmuje rozpytaniem wśród sąsiadów? – zapytał, choć znał już odpowiedź, ponieważ widział, kogo nie ma na zebraniu.

– Roussier i Gadebois – odpowiedział Vincent.

Servaz się skrzywił. W grupie śledczej Roussier i Gadebois mieli różne, niekoniecznie pochlebne przydomki: Żółw i Anty-Zając, Laurel i Hardy,

Ślepy i Kulawy.

– Samira, jedź do Camelotu. Przyciśnij wszystkich, którzy mieli dostęp do pokoju ofiary. Łącznie z personelem administracyjnym, pacjentami, którzy spotykali Du Welza, wszystkimi, którzy mieli z nim bliższy lub dalszy kontakt. A przede wszystkim te dwie pielęgniarki. Siedź tam tak długo, jak będzie trzeba.

Jaka była ostatnia myśl gościa od efektów specjalnych przed odejściem z tego świata? Jaki ostatni obraz miał przed oczami, zanim wszystko zgasło? Może najbardziej spektakularny efekt specjalny w jego życiu?

– Przejrzyjcie jeszcze raz nagrania. Upewnijcie się, że nie brakuje ani jednej minuty, że żadna kamera nie zepsuła się w trakcie pracy. Prześwietlcie tego pielęgniarza, Ghislaina Jouberta. Sprawdźcie, czy miał już do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, czy nie ma jakichś długów z hazardu i tak dalej.

– A dlaczego nie Rollina? – zaproponowała Samira.

– Słusznie. Psychiatrę również. Sprawdźcie życiorysy wszystkich. Przesłuchajcie ich.

Zauważył Havelina, który stał w drzwiach, oparty ramieniem o framugę. Zastanawiał się, od jak dawna inspektor się im przysłuchuje.

– Do roboty! – zawołał tamten, klaszcząc w dłonie. – Szybko się uporamy z tą sprawą! I postarajcie się przy pisaniu raportów. Mają być przejrzyste, zwięzłe i dokładne. Zrozumiano?

Servaz powstrzymał się od komentarza. Zebrał papiery, minął przełożonego i wyszedł bez słowa. W jaki sposób Jonas Résimont zdołał wyjść niezauważony przez kamerę? To pytanie nie dawało mu spokoju. Był 21 czerwca, godzina 13.34.

Chmury nadeszły od zachodu. W jednej chwili zajęły całe niebo, pochłaniając światło. Nagle atmosfera się zmieniła. Zrobiło się mroczno, zimno i nieprzyjaźnie. Od strony gór zaczęły docierać groźne pomruki, na przednią szybę samochodu spadły pierwsze krople deszczu.

Cholera! Co jest z tą pogodą? Nie dość, że padało, to jeszcze się ochłodziło. Judith włączyła światła. Mało brakowało, a przegapiłaby odbijającą w prawo drogę, zasłoniętą bujną kępą leszczyn i akacji. Nie było żadnej tablicy, jedynie biało-czerwony słupek kilometrowy w wysokiej trawie i pokrzywach na poboczu. To musi być tutaj, mówił, że trzeba zjechać kilka kilometrów przed wsią. A GPS wskazywał, że do wsi drogą na wprost jest trzy kilometry. Skręciła w prawo i dokładnie w tym momencie rozpętała się nawałnica.

Szybko pięła się pod górę przez las, który nagle wydał jej się mroczny i niegościnnie. Strumienie wody smagały asfalt i roślinność. Chwilami sklepienie z gałęzi było rzadsze i wtedy jak w otwartej ranie widziała tonące w chmurach szczyty, niemal zlewające się z szarym niebem. Klimat żywcem wyjęty z filmów Morbusa Delacroix.

Było ciemno, deszcz wystukiwał dudniące staccato na dachu lancii, a wycieraczki pracowały pełną parą, zgrzytając po szybie, przez którą i tak niewiele było widać. Rzęch ledwie wyrabiał na zakrętach tak ostrych, że Judith czuła, że albo się rozsypie, albo z któregoś wypadnie.

Wypadek... To słowo podziało na nią jak porażenie prądem. Wypadek – taką informację umieszczą w akcie zgonu. Przestań o tym myśleć, zganił ją wewnętrzny głos. Bębnienie deszczu o dach i liście oraz zimne krople spadające jej na policzek przez lekko uchyloną szybę stanowiły jakby kontrapunkt dla jej myśli.

Miała zmienić bieg, gdy nagle tuż za zakrętem w blasku samochodowych reflektorów zobaczyła jakieś znaki wyryte w korze drzewa. Co to jest? Może jakieś złudzenie optyczne. Ale nie, mimo deszczu nie miała wątpliwości.



Odwrócony krzyż, a pod spodem jej inicjały... Judith poczuła, jak krew ścina jej się w żyłach. Mocno chwyciła kierownicę. W kinie nazywa się to przestrzenią spoza kadru: coś, czego nie ma na ekranie, ale czego widz domyśla się na podstawie wytrzeszczonych oczu aktora lub aktorki. Można puścić wodze wyobraźni. W horrorach często właśnie poza kadrem czai się potwór, zagrożenie, niebezpieczeństwo...

Mało brakowało, a zatrzymałaby się i zawróciła, żeby sprawdzić. Ale po co? Była pewna, co widziała. Najpierw tamten napis w toalecie, a teraz to. Kto chciał jej zagrać na nerwach? Delacroix? No, kochana, teraz nie ma już wątpliwości: tylko on wiedział, że będziesz tędy przejeżdżać. Ale dlaczego? To jakiś niezdrowy żart? Przejaw ponurego, wykolejonego poczucia humoru? A może to coś bardziej... złowrogiego?

Przypomniała sobie spotkanie w wydziałowej kafejce z Mehdim, Ludo, Evą i Camille. Mehdi był fanem horrorów, Ludo uważał je po prostu za rozrywkę – ale on w ogóle traktował życie jak rozrywkę – Eva jako wyniosła intelektualistka miała je w pogardzie, a oportunistka Camille nie miała zdania. Rozmowę na temat Delacroix zaczął Mehdi. To był jego konik. Użył wtedy feralnego sformułowania *elevated horror*. „Co to jest?”, zapytała Eva, wydymając usta, z lekką odrazą na twarzy, jak zawsze, kiedy rozmawiali na temat kina gatunkowego. „Film grozy o ambicjach mniej lub bardziej artystycznych dla inteligentnych dorosłych widzów: Ari Aster, Jordan Peele, David Robert Mitchell... czaisz?” Eva zarechotała pobłażliwie, doprowadzając Judith do wściekłości. „Ty tak na poważnie? Nie ma czegoś takiego jak inteligentny film grozy. To niemal oksymoron. Nawet taka *Psychoza* to najgorszy film, jaki nakręcił Hitchcock. Jak u Tarantina, wirtuozeria, ale zero głębi, niedojrzałe kino dla geeków i pryszczatych gimnazjalistów. I taki dupek śmie obrażać Truffaut. A co do tego twojego Delacroix, to jego kino wywołuje u mnie odruch wymiotny. To jest czyste zło. Tak, zło”, powiedziała z naciskiem, kiwając głową.

Judith nie cierpiała tyrad Evy, jej zadęcia, doktrynerstwa i nietolerancji – ale teraz przez chwilę się zastanawiała, czy aby w ostatnim punkcie

koleżanka nie miała racji.

Ksiądz Eyenga zakończył połączenie. Zauważył, że ma mokre dłonie. I że serce wali mu jak młot. Właśnie rozmawiał z mężczyzną, którego nazwisko figurowało na kopercie – tej, którą wręczył mu Matthias Laugier. Kenneth Zorn. Oczywiście był to pseudonim.

Poprzedniego wieczoru po powrocie bez trudu znalazł go w Google’u. Kenneth Zorn, właściwie Victor Kern, był producentem filmowym. Wyszukiwarka wypluła kilkadziesiąt wpisów z jego nazwiskiem, w tym hasło w Wikipedii. Zgodnie z zawartymi tam informacjami od jakiegoś czasu nic większego nie wyprodukował. Urodził się 12 lutego 1977 roku, był wdowcem lub rozwodnikiem – przy słowie „współmałżonek” napisane było „Mina Romay (1998–2012)” – i miał dwoje dzieci. Obecnie mieszkał w miejscowości Perros-Guirec w Bretanii.

Wikipedia zawierała też – choć niepełną – listę wyprodukowanych przez niego filmów. *Night Invaders*, *Panny w bieli*, *Szkarłatny bóg*, *Ceremonia*, *Perwersje*, *Erzebet*, *Bloody Games*...

Eyenga żadnego z nich nie widział. Nie miał czasu na chodzenie do kina. Ani na oglądanie telewizji. Jego dni przypominały maratony. Między laudesami a nieszporem musiał odwiedzić dwadzieścia siedem miejscowości. Lekko licząc, przejeżdżał kilkaset kilometrów tygodniowo. O 8.30 odprawiał mszę dla garstki wiernych – od dawna emerytów, których obecność sprawiała, że kościół wydawał się jeszcze bardziej pusty, niż gdyby rzeczywiście nikogo w nim nie było. Następnie odwiedzał najbardziej samotne, najuboższe ze swoich owieczek, te, które nie mogły się już przemieszczać, spotykał się z młodymi chrześcijanami w regionie, podtrzymywał chwiejny płomyk wiary, sam nieustannie zatroskany z powodu zła panoszącego się w jego kraju.

W kraju i na kontynencie, który miał kształt czaszki i na którym można było obserwować niezrównane wschody słońca. Co ja tutaj robię? Dlaczego wybrałem sobie tę ziemię, przecież nie jest moja i w nic już nie wierzy?

Więcej trudności nastęczyło mu znalezienie numeru telefonu Zorna. Nigdzie go nie było. W końcu dodzwonił się do proboszcza parafii Perros-Guirec, który podobnie jak on pochodził z Afryki. Krótko nakreślił mu sytuację. „Nie ma problemu, dowiem się i oddzwonię”. Pół godziny później miał odpowiedź. „Dziwny parafianin z tego Zorna” – oświadczył jego

rozmówca. „Jak to?” „Zrozumiesz, kiedy go zobaczysz”. Nie musiał jednak czekać na spotkanie, by zrozumieć, co jego kolega miał na myśli.

Przypomniał sobie rozmowę telefoniczną i nie mógł powstrzymać dreszczy. Nigdy w życiu nie miał do czynienia z takim cynizmem. Z początku jednak Zorn wydał się uprzejmy, choć jego głos dość nieprzyjemnie szeleścił w słuchawce.

– Miło z księdza strony, że się ksiądz fatyguje – oświadczył producent.

– Przyznam, że niewiele z tego rozumiem – wyznał kapłan, streściwszy mu wcześniej rozmowę z Matthiasem Laugierem. – Zna go pan?

– Tak, tak, pracowaliśmy razem. Był... to znaczy jest bardzo dobrym technikiem.

– On niedługo umrze. Boi się. Prawie mnie zmusił do zabrania tej koperty, nalegał, żebym oddał ją panu do rąk własnych.

– Rozumiem.

Kapłan jednak nie rozumiał.

– Wie pan, co jest w środku?

– Czy ksiądz ją otworzył? – zapytał w odpowiedzi Zorn tym samym słodkim głosem.

– Ekhm. Oczywiście, że nie.

– Ksiądz jest człowiekiem z zasadami, prawda? Człowiekiem cnotliwym...

Na dźwięk tego słowa Eyenga zadrżał. Sposób, w jaki Zorn je wypowiedział, wprowadził go w głęboką konsternację, tak jakby chodziło o coś – tak, właśnie – o coś obscenicznego. Jakby producent filmowy sobie z niego kpił.

A potem jego rozmówca zaczął mówić do słuchawki szeptem, tak że duchowny musiał wyteńczyć słuch.

– Czy samotność czasem księdzu nie ciąży? Czy w czasie masturbacji zdarza się księdzu myśleć o szatanie?

Eyenga był tak zaskoczony, tak wstrząśnięty, że zastanawiał się, czy dobrze usłyszał. To było takie niespodziewane. I takie... niestosowne.

– Co... co pan powiedział? – wybełkotał po chwili milczenia. – Chyba źle zrozumiałem.

– Nieważne. Przejęczyłem się

Ale on był absolutnie przekonany, że nie, Kenneth Zorn bynajmniej się nie przejęczył. Doskonale wiedział, co robi i co mówi – i do kogo.

– Przepraszam, czasami jestem zbyt bezpośredni – tłumaczył się Zorn. – Podam księdzu adres. Zobaczysz ksiądz, że to zaskakujące miejsce. Kiedy zamierza ksiądz przyjechać?

Mało brakowało, a trzasnęłyby tym wszystkim, posłałby go do – nomen omen – diabła. Ale w tym sposobie mówienia – powolnym, przymilnym i świszczącym jak syczenie węża – było coś takiego, że wbrew sobie postanowił się zgodzić. Dlaczego? Nie był w stanie tego wyjaśnić.

Odda mu tę kopertę. Obejrzał zdjęcia Zorna w sieci; widać było po nim upływ czasu, ale wyraz twarzy wciąż miał tak samo arogancki, te same miękkie, przesadnie zmysłowe usta, to samo lśniąco, cyniczne spojrzenie. Chciał zobaczyć to oblicze z bliska, spojrzeć zło w twarz. Nie wiedział, skąd ma tę pewność, ale w głosie rozmówcy wyczuł to samo, co czuł w pokoju umierającego mężczyzny – działanie jakiejś formy zła. Był o tym przekonany.

Odczytał podyktowany przez producenta adres. Zamek na wyspie, w departamencie Côtes-d’Armor. Usiadł przy komputerze leżącym na stole w zakrystii. Otworzył mapę Google. Chodziło nie tyle o wyspę, ile o maleńki kawałek kamienistego lądu obsadzony kilkoma sosnami i smagany wiatrem.

Na fotografiach zamek przypominał raczej manoir, coś pomiędzy Tudorami a neogotykiem, i był jedyną budowlą wznoszącą się na skale kilkaset metrów od brzegu. Jak twierdziło biuro informacji turystycznej, podczas przypływu można było się do niego dostać łodzią, a podczas odpływu – pieszo. Autorzy opisu zastrzegali jednak, że budynek to własność prywatna i jest niedostępny dla turystów.

Kolejne minuty spędził na studiowaniu możliwości dojazdu na miejsce. Najszybszą opcją okazał się znowu samochód. Osiem godzin drogi. Będzie musiał odwołać wszystkie zobowiązania. Dokończył kawę, zamienił białą albę na koszulę z koloratką i spakował rzeczy.

Ujęcie śledzące, plener, dzień.

Lancia wolno sunie długą aleją zadaszoną baldachimem z gałęzi, który jednak nie zatrzymuje deszczu. Jest szaro, samochód się kołysze, wjeżdżając w wypełnione wodą koleiny. Po obu stronach drogi plątania drzew, jeżyn i innych krzaków, a za nimi nieprzebyta gęstwina, w której panuje wieczny mrok. A w oddali jego dom – kryjówka – nora...

Była zaskoczona. Spodziewała się jakiejś bramy, ogrodzenia, budki strażnika... Tymczasem budynek o fasadzie porośniętej bluszczem drżącym pod wpływem ulewnego deszczu oddzielała od lasu jedynie przestrzeń wysypana żwirkiem.

Gdy parkowała, opony zgrzytnęły o podłoże. Wysiadła i od razu poczuła na skórze wilgoć. To był ciepły letni deszcz, od którego szeleściły zarośla za jej plecami, a w powietrzu unosiły się roślinne aromaty.

W zasięgu wzroku nie było nikogo. Zastanawiała się, czy rzeczywiście ktoś tu na nią czeka, czy Delacroix nie zapomniał o spotkaniu. Omiotła wzrokiem okna. Budynek był duży i miał swoje lata, ale niczym szczególnym nie różnił się od innych domów w okolicy. Wyglądało na to, że w środku nie ma żywego ducha.

Co on kombinuje? – pomyślała. Przecież na pewno słyszał, jak przyjechałam. A może nie słyszał?

Nagle zza pleców doszedł ją zgrzyt kroków na mokrym żwirku. Odwróciła się. W strugach deszczu zobaczyła kobietę w pelerynie i wysokich botkach na obcasie, z dwoma umięśnionymi, czarno-płowymi molosami na smyczy. Od razu pomyślała o scenie z Barbarą Steele w *Masce szatana*.

Kobieta zatrzymała się dwa metry od niej. Psy podeszły jeszcze bliżej i wbiły w Judith wzrok. Pod kapturem widać było piękną twarz o niemal doskonałych rysach okoloną ciemnymi włosami – gdyby była trochę młodsza, mogłaby być modelką, pomyślała dziewczyna.

– Dzień dobry. Nazywam się Judith Tallandier, studiuje filmoznawstwo. Jestem umówiona z panem Delacroix.

Kobieta przypatrywała jej się nieufnie.

– Jest pani tego pewna? Morbus nie ma w zwyczaju zapraszać znajomych, zwłaszcza studentek.

Nawet nie próbowała wyglądać na sympatyczną.

Bierze mnie za jedną z wielu fanek gotowych na wszystko, byle tylko znaleźć się blisko idola, stalkerek, które uprzykrzają życie celebrytom, pomyślała Judith.

– Kontaktowaliśmy się mailowo – oświadczyła, czując, że się czerwieni.
– Umówiliśmy się...

– Ach tak – przerwała jej kobieta. – Morbus koresponduje z wieloma osobami, ale bardzo rzadko spotyka się z kimś spoza grona najbliższych przyjaciół. Jeśli to prawda, to jest pani szczęściarą. Sprawdźę, czy jest wolny. Zapraszam do środka.

Weszła za kobietą i psami po kamiennych schodach zaokrąglonych od wieloletniego użytkowania, i znalazła się w mrocznym, wyłożonym bardzo ciemnym drewnem przedsionku. Zobaczyła otwarte drzwi wychodzące na korytarz przecięty szarymi smugami światła – tamtędy właśnie ruszyła kobieta z psami.

Judith poczuła, że jej tętno przyśpieszyło. Ujrzenie go było teraz kwestią zaledwie kilku minut. Od ilu miesięcy, od ilu lat na to czekała! Jej uwagę przykuły drewniane elementy wystroju: rzeźby, płaskorzeźby, sceny biblijne, święci, demony... Święty Jerzy walczący ze smokiem, Jezus na pustyni. Ich widok przywodził na myśl kruchą bardzo starej kaplicy albo kościoła. Ozdoby z pewnością pochodziły z jakiejś budowli sakralnej.

Usłyszała odgłos kroków. I co ty mu powiesz? – pomyślała w przypływie lekkiej paniki. Powinnaś się nad tym zastanowić wcześniej, kochana. Na pewno będzie cię sprawdzał.

A potem się pojawił. Patrzyła na niego bez ruchu, niemal z zapartym tchem. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, był fakt, że jest jeszcze niższy niż na zdjęciach. Znacznie niższy od kobiety, która stała obok niego.

Miał bardzo interesującą bladą twarz o ostrych rysach, wydatnych ustach i pokaźnym nosie. O tak, emanowała z niej wręcz zjawiskowa brzydota. Lśniące, czarne jak mika oczy. Porażająca bladość. Oblicze fauna, satyra. Demona, pomyślała. Twarz, która nie dostarczała absolutnie żadnych

informacji na temat jego nastroju. To maska na użytek nieznanym, mechanizm obronny, podpowiedział głos w głowie Judith. Trudno było określić, w jakim jest wieku, choć ona wiedziała, że ma czterdzieści siedem lat.

– Dzień dobry – powitał ją.

Miękki, nosowy, niemal zniewieściały głos. Który, podobnie jak rysy, w żaden sposób nie zdradzał nastroju. Jego oczy natomiast lśniły z niemal niestosowną intensywnością – stwierdziła w duchu, że to najczarniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Ogromne tęczęwki w kolorze węgla, bez widocznej źrenicy, tak że zastanawiała się, czy Delacroix nie nosi soczewek kontaktowych.

– Dzień dobry, panie Delacroix – powiedziała. – Nazywam się Judith Tallandier. Byliśmy umówieni na dziś.

Nie przytaknął ani nie zaprzeczył, tylko wpatrywał się w nią bez ruchu. Kiedy w końcu mrugnął powiekami przypominającymi błoniaste owadzie skrzydła, poczuła mrowienie, jakby pod jej skórą przeszedł prąd.

– Tak jak panu pisałam, studiuje filmoznawstwo na Wydziale Literatury Nowoczesnej Uniwersytetu Toulouse-Jean Jaurès, pamięta pan? Piszę pracę dyplomową pod tytułem *Ukazać zło: okrucieństwo i transcendencja w twórczości filmowej...* ekhm... *Morbosa Delacroix*. Jestem też... jedną z pana największych fanek.

Brawo, zakpiła z siebie. Ostatnim zdaniem właśnie zrujnowała własną wiarygodność. Jestem jedną z pana największych fanek. Genialne, kochana.

– Filmoznawstwo? – podjął po niekończącej się sekundzie milczenia. – Ukazać zło? Dawno nie słyszałem czegoś równie absurdalnego. Tak, pamiętam naszą korespondencję. Ale nie przypominam sobie, że bym panią zapraszał. Chyba byłem naćpany.

Poczuła, że odwaga wycieka z niej jak woda przez otwarty odpływ zlewu. Przez chwilę nie słyszała nic poza szalonym bębnieniem własnego serca.

– Ale... – zaczęła.

– Pani ulubiony film – przerwał jej lodowatym tonem.

Zawahała się zaskoczona.

– Eee... *Monstrum*.

Jego spojrzenie stało się jeszcze twardsze.

– Nie pytam o moje filmy! – warknął. – Chodzi o to, jaki jest pani ulubiony film w ogóle. Obojętnie jakiego gatunku.

Zatkało ją. Niewiele brakowało, a odpowiedziałyby, że widziała setki filmów i trudno wybrać jeden, ale od razu zrozumiała, że taka odpowiedź by mu się nie spodobała. Myśl! Nagle przypomniała sobie, jakie filmy wymienił sam Delacroix w jednym ze swoich ostatnich wywiadów, kiedy jeszcze ich udzielał: *Mechaniczna pomarańcza* i *Pragnienie*.

– *Mechaniczna pomarańcza* – wydukała.

Gospodarz lekko się skrzywił.

– Inny – zażądał.

Zrozumiała jego strategię. Jasne, nie oczekuje ode mnie głasków, pomyślała. W tym samym wywiadzie oświadczył, że nie znosi Felliniego. Jak miłośnik kina może nie znosić Felliniego? – zastanawiała się wtedy.

– *Wałkonie*.

– Dlaczego? – zapytał zaintrygowany.

Najwyraźniej zdołała wzbudzić jego ciekawość.

– Dlatego, że przedstawia ludzi, jakich wszyscy znamy.

Skrzywił się jeszcze bardziej.

– Taaak. I każdy ma swoją „Różyczkę”, co? Nie znoszę Felliniego – rzucił cierpko.

– Wiem. To mój ulubiony reżyser. Po panu.

Rzucił jej spojrzenie o temperaturze ciekłego azotu.

– Pochlebstwem niczego pani nie osiągnie – wycedził.

Ostatnie słowa podziały na Judith jak zimny prysznic. W jednej chwili miała dość tej jego wyniosłości i uszczypliwości, pogardliwego tonu i zgrywania się na sadystycznego dyrektora haerów. Wystarczy. Nie będzie się więcej poniżać. Wal się, Morbusie Delacroix.

– Sądzę, że marnuję pański czas – oświadczyła. – Pójdę już.

Nie czekając na jego reakcję, odwróciła się na pięcie. Już przekraczała kamienny próg i przymierzała się, by pobiec w deszczu do swojej lancii, kiedy za jej plecami rozległ się wybuch gromkiego śmiechu zakończony atakiem kaszlu palacza.

– Proszę zaczekać! Niech pani wraca! – wołał. – Proszę! Niech się pani tak nie dąsa!

Mówił teraz innym tonem. Bardziej pojednawczym, wręcz zmartwionym.

Odwróciła się. Wyglądał na skruszonego – a przynajmniej tak zinterpretowała jego minę.

– Przepraszam. Naprawdę, Judith. Obawiam się, że jestem pozbawiony superego i całego tego freudowskiego badziewia.

– Nie ulega wątpliwości, że Morbusowi brakuje manier – potwierdziła stojąca obok kobieta, która wcześniej nie wtrącała się do rozmowy. – Rodzice nie wychowali go jak należy.

Z jego ust wydobył się sardoniczny rechot, znowu zakończony atakiem kaszlu.

– Kiedy miałem osiem lat, ojciec poczęstował mnie pierwszym papierosem, a rok później pierwszym kieliszkiem alkoholu – powiedział, kiwając głową, z lekko rozbawioną miną. – I to jest moim zdaniem prawdziwe wychowanie. Wpajał je we mnie przez skórę, ma się rozumieć. Kiedy był pijany, prał mnie na kwaśne jabłko, a potem zasypiał. Obawiam się, że jestem chodzącym stereotypem, Judith.

– Kiedy Morbus miał osiemnaście lat, położył ojcu na policzku gorące żelazko matki i wyszedł z domu – dodała kobieta z uśmiechem na twarzy. – Nie wygląda na takiego, ale jest naprawdę wredny.

Teraz on się uśmiechnął.

– Policzek ojca się fajczył i pachniał grillowanym kurczakiem – powiedział. – Musiałaby pani widzieć jego minę.

Judith знаła tę historię. Zgłębiła całą dostępną wiedzę o Morbusie Delacroix. Udała jednak zdziwioną i rozbawioną. Kobieta zdjęła kaptur i wyciągnęła ku niej dłoń w rękawiczce. Dziewczyna była zaskoczona jej żelaznym uściskiem. Bez nakrycia głowy gospodyni była jeszcze ładniejsza. Roztaczała wokół siebie aurę zmysłowości, jej zielone oczy pod cienkimi łukami brwi emanowały siłą. Teraz Judith ją rozpoznała: widziała ją we wszystkich filmach Delacroix. Aktorka nigdy nie grała głównych ról, ale zawsze wcielała się w przeciwniczkę, wroga, służkę diabła, wampiryzę, współniczkę mordercy.

Swoją największą rolę zagrała w *Erzebet*, filmie zainspirowanym postacią węgierskiej hrabiny Elżbiety Batory, „Krwawej Hrabiny”, która, jak głosi legenda, aby zachować wieczną młodość, miała się kąpać we krwi swoich ofiar – młodych dziewczyc. Judith przypomniała sobie, że kobieta grała doradczynię Erzebet i że na końcu filmu została oskarżona o czary,

ukamienowana i ostatecznie spalona przez mieszkańców miasteczka.
Nazywała się...

– Mam na imię Artemisia – powiedziała tamta ciepłym, niskim głosem –
i jestem żoną Morbusa. Kochanie, może byśmy zaprosili tę młodą osobę do
środka?

– Spóźniliście się – nie omieszkała zauważyć Fatiha Djellali.

Wydział Medycyny Sądowej Szpitala Uniwersyteckiego w Tuluzie. Jej królestwo, którym rządziła niczym najwyższa kapłanka. Widok tak pełnej energii kobiety pośród nieruchomych ciał, wnętrzości i ludzkich szczątków zawsze robił niesamowite wrażenie.

Włosy – tak czarne, że pochłaniały światło lampy bezcieniowej – upięła w wysoki kok. Miała na sobie bluzę, plastikowy fartuch, dwie pary rękawiczek, okulary ochronne i czepek.

– Przepraszam – powiedział Servaz. – Czy coś nas ominęło?

Zauważyli, że przystąpiła już do świeckiego obrządku profanacji. Jej asystent – milczący brodac, którego Martin widział u jej boku podczas każdej sekcji – robił zdjęcia. Wyciągnęła w stronę Servaza i Espérandieu hermetycznie zamknięty szklany flakon.

Pszczoly. Martwe. Servaz je policzył. Jakiś tuzin.

– Były w gardle i przełyku.

Dopiero wtedy zauważył, że szyja Du Welza od podbródka aż do klatki piersiowej została rozcięta i otwarta niczym ciało ryby. By dostać się do przełyku, Fatiha musiała wyjąć tchawicę – rurkę z chrząstek o pierścieniowatej budowie.

– Możliwe, że niżej jest ich więcej. Powiem wam, jak rozetną klatkę piersiową. – Kruczoczarne włosy patolożki kontrastowały z woskowobiałą skórą denata jak czarny aksamit rzucony na biały marmur. – Rany cięte zostały zadane bardzo ostrym narzędziem. Jest ich w sumie dwadzieścia: trzy na policzkach, jedna na nosie, pięć na klatce piersiowej na wysokości sutków, trzy na brzuchu, pięć na palcach i śródreżcu, dwie na płatkach uszu, które prawie zostały odcięte, i jedna, bardzo głęboka, u podstawy penisa. Narzędzie węższe od noża, w pierwszej chwili obstawiałam skalpel, ale to był raczej nowy cutter. Rany nie były bezpośrednią przyczyną zgonu, choć mogła się do niego przyczynić duża utrata krwi. Sądzę jednak, że pacjent udusił się w wyniku obrzęku po ukąszeniach pszczoł w obrębie układów

pokarmowego i oddechowego. Nie widać śladów walki, ale są wyraźne otarcia na kostkach i nadgarstkach na wysokości pasów unieruchamiających. Musiał się gwałtownie wyrwać. Podejrzewam, że był na tyle otumaniony, że morderca zdołał go przypiąć, zanim się obudził. Badanie toksykologiczne nam to potwierdzi. Chcę ci coś pokazać – dodała.

Servaz przyjrzał się głębokim czarnym ranom i całemu krwawemu obrazowi dookoła. Obrazowi szalonego okrucieństwa mordercy. Rany wyglądały jak usta o bezwstydnie rozwartych wargach całujące ciało Stana Du Welza, ciało podwójnie udręczone – najpierw przez oprawcę, a następnie przez patolożkę.

Zastanawiał się, jak długo jeszcze da radę to ciągnąć. Większość oficerów śledczych z policji kryminalnej w jego wieku odchodziła już ze służby. Wieloletni kontakt z najbardziej szokującymi i niezrozumiałymi aspektami ludzkiej duszy nie może pozostać bez śladu.

Trzymając palec kilka centymetrów nad niemal przezroczystą skórą, Fatiha przesuwiała nim wzdłuż kończyn, barków i boków ofiary. Zorientował się, co chciała mu pokazać: w wielu miejscach znajdowały się małe, ledwie widoczne, wypukłe ślady. Zastanawiał się, co to jest. Blizny? Ale po czym?

– Minęło sporo czasu, zanim zrozumiałam – przyznała. – Bo nie ma w tym żadnej logiki. – Podniosła się i dumnie spojrzała na niego zza okularów. – Zagadkowe, co? To stare blizny. Nie pasują do żadnej operacji chirurgicznej, do żadnego znanego zabiegu. W sumie nie mają racji bytu.

Servaz popatrzył jej prosto w oczy.

– Ale zgadłaś, skąd się wzięły – powiedział, rozumiejąc, że kobieta celowo zwleka z odpowiedzią, by w pełni docenił jej przenikliwość.

– Tak, zgadłam. Żeby powstały takie blizny, trzeba poważnej interwencji. To nie są zwykłe miejsca po szwach. Zostały zrobione na bloku chirurgicznym.

– I co to znaczy?

– To znaczy, jak sądzę, że nasz kolega w którymś momencie życia uprawiał body art.

– Body co?

– Sztukę, w której materiałem jest ciało artysty – wyjaśnił Espérandieu. On i Samira z pewnością najlepiej z całej grupy orientowali się w kontrkulturze. – Ryzykowne praktyki mające na celu przekroczenie

zwykłych granic ciała i zakwestionowanie stosunku do niego poprzez ekstremalne ingerencje, na przykład implanty, operacje, okaleczenia, wbijanie haków, podwieszanie i tak dalej. Albo poprzez dobrowolne zadawanie sobie cierpień, samookaleczenia, skaryfikacje. Bawi się w to całkiem sporo osób.

Servaz zmarszczył brwi.

– Najwyraźniej po jakimś czasie tego pożałował i chciał odzyskać normalny wygląd, więc kazał sobie powymować te wszystkie szpeje, stąd blizny – oświadczyła patolożka. – Ale hospitalizacja Du Welza nie ma nic wspólnego z body artem. Hmm... Te praktyki to nie jest działka psychiatrii.

Martinowi przemknęła przez głowę pewna myśl.

– A czy istnieje taka możliwość, że on chciał zainscenizować własną śmierć, wykorzystując współudział swojego sąsiada?

Fatiha Djellali uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Martin, odpowiedź na to pytanie należy do ciebie. Nie do mnie.

Filmy. Tysiące filmów. Wszędzie. Płyty Blu-ray, DVD, a nawet pieczołowicie opisane kopie na taśmach 35 mm. Wszystko na ciągnących się wzdłuż ścian podświetlanych półkach, które były jedynym źródłem światła w niekończącym się korytarzu. Najwyraźniej Morbus Delacroix nie był miłośnikiem VOD. Albo filmy z jego nadzwyczajnej kolekcji były niedostępne na platformach streamingowych.

Judith korciło, by go zapytać, ile ich tu jest. Pięć, dziesięć, dwadzieścia tysięcy? Przypomniała sobie słynne zdanie, które Spielberg wypowiedział do Tarantina: „DVD to kokaina; filmy 35 milimetrów to heroina”.

Chyba odgadł jej pytanie, bo powiedział:

– W całym domu jest trzydzieści tysięcy filmów, a w tym korytarzu około dziesięciu tysięcy. Wiele filmów klasy Z. Perełki. Filmy nieme. Obrazy, których nie da się znaleźć nigdzie indziej. Czy pani wie, że osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu procent filmów niemych na zawsze zaginęło, podobnie jak połowa filmów amerykańskich nakręconych przed rokiem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym? Wszystkie te dzieła, wybitne i kiczowate, przepadły. Zaginął nawet drugi film Hitchcocka!

Miała ochotę się zatrzymać, ale on szedł naprzód. Mimo niewysokiego wzrostu emanował jakąś zwierzęcością – może za sprawą krępej sylwetki zapaśnika albo zwinnych ruchów dzikiego kota. Następnie wszedł do pomieszczenia, które okazało się jeszcze dziwniejsze. Ściany z szarego kamienia grube niczym mury obronne, potężne dębowe bele na suficie, parkiet z szerokich klepek z surowego drewna, a po prawej, na całej powierzchni ściany, ogromne panoramiczne okna z widokiem na Pireneje stawiające czoło kamiennym falom o grzbietach z chmur.

Pomieszczenie było przestronne, wysoko sklepienie. Wyglądało na to, że zgromadził tu pamiątki ze swojego dawnego życia: plakaty, stare kamery, projektory, części układów optycznych, różne tajemnicze sprzęty, klisze filmowe, kasety, a nawet szyny ślizgowe do kamery.

– Mój ostatni nabytek – powiedział, wskazując na urządzenie, które wyglądało na bardzo stare. – Prototyp projektora z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego roku, wcześniej czegoś takiego nie znano. Mam tu sprzęty, które należały do Mélièsa, do Abla Gance’a, do Orsona Wellesa, do Hannsa Heinza Ewersa, autora scenariusza *Studenta z Pragi*, z pewnością pierwszego filmu z gatunku, który potem zaczęto nazywać niemieckim ekspresjonizmem.

Opadł na fotel stojący niedaleko przeszklonej ściany, a jej wskazał skórzaną sofę naprzeciwko. Kiedy usiadła, utkwiał w niej wzrok.

– Studentka filmoznawstwa... – skomentował nosowym, niemal kobiecym głosem. – Czy pani w ogóle wie, w co się pakuje, Judith? – Jego oczy lśniły. – Czy ma pani świadomość, że kino nie jest niewinne? Czy zdaje sobie pani sprawę z bezwstydną siłą filmowych obrazów? Ich magii? Ich przewrotności?

Zadrzała. Najwyraźniej gość lubił szokować. A sposób, w jaki śledził jej najdrobniejsze reakcje, wskazywał na niemal chorobliwą ciekawość. Rozejrzała się dookoła i o mało nie podskoczyła, kiedy ujrzała dwumetrowego potwora, który przypominał przerażające straszdyła rodem z japońskich czy tajlandzkich horrorów: długie czarne włosy, zmarszczki pokrywające połowę bladej twarzy, usta otwarte w niemym krzyku i białe oczy.

Zbita z tropu znowu spojrzała na Delacroix. Mężczyzna się uśmiechał. Zauważył mój strach i delektuje się nim jak ambrozją, pomyślała.

– Kino grozy opowiada o nas samych, Judith. Wydobywa na powierzchnię nasze najgłębsze lęki. Lęk przed śmiercią, przed bólem, przed chorobą, przed ciemnością... lęk przed potworem, który mieszka w naszym wnętrzu. – Jego niespieszny sposób mówienia budził głęboki niepokój. –

Bo tak naprawdę nie liczy się światło, a cień. Chodzi o to, żeby uczynić widzialnym to, co niewidzialne. Wprowadzić w kadr to, co jest poza kadrem. Bardzo niewielu twórcom się to udaje.

Góry za oknem wciąż były skąpane w deszczu. Z dolin unosiły się kłaczki białej mgły, a szczyty wbijały się w przecinane jasnymi rozbłyskami atramentowoczarne niebo. W domu jednak nie było słyhać nic, nawet odległego echa burzy. Delacroix pochylił się do przodu.

– Zna pani tę anegdotę, jak to Sidney Lumet zapytał wielkiego Kurosawę, dlaczego wykadrował ujęcie w filmie *Ran* w taki, a nie inny

sposób? Kurosawa odpowiedział Lumetowi, który próbował przeniknąć tajemnicę tego wspaniałego ujęcia, że gdyby przesunął kamerę o dwa centymetry w lewo, w kadr weszłaby fabryka Sony, a gdyby przesunął ją o dwa centymetry w prawo, w kadrze znalazłoby się lotnisko. A jak pani wiadomo, akcja filmu toczy się w Japonii w szesnastym wieku.

Co miała z tego zrozumieć? Że reżyserowie nie są półbogami? Że spektakularne efekty w sztuce są często wynikiem decyzji, których artysta wcale nie planował?

– Judith, kręcenie filmu to zawsze czarna msza. I czasem w tym procesie działają czary. Z głębi wyłania się coś, co dostrzega widz. Tego się nie da opisać.

Ostatnie słowo wypowiedział z takim naciskiem, jakby ssął najpyszniejszego cukierka. Judith miała wielką chęć, by robić notatki, aż ją skręcało – ale bała się, że go zdenerwuje.

– Magii, jaką emanują niektóre ujęcia w historii kina, nie da się wytłumaczyć, ale nie można jej też zaprzeczyć – dodał. – Jaka jest pani ulubiona scena?

– Końcowa sekwencja z *Ceremonii* – odparła bez wahania.

Uśmiechnął się z błyskiem w oku.

– Jakaś inna.

– *Lawrence z Arabii*, scena, w której Omar Sharif ubrany na czarno wjeżdża na wielbłądzie w miraż pośrodku pustyni. Sam wygląda nierzeczywiście, a czas jest rozciągnięty w nieskończoność.

– Jeszcze inna.

– Hmm... – Musiała się chwilę zastanowić. – Ostatnia scena z *Magnolii*, gdy kamera bardzo wolno zbliża się do twarzy leżącej w szpitalnym łóżku Claudii i ta piosenka... Claudia nagle podnosi wzrok i uśmiecha się do widza, tuż przed końcowym cięciem.

– A jeszcze inna.

Zaczynało jej brakować pomysłów.

– *Bloody Games*. Scena, w której wampir zostaje spalony przez promienie wschodzącego słońca i ostatnią częścią jego ciała, jaką widzimy, jest odpadający zwęglony penis.

Reżyser zachichotał.

– Feministki potraktowały ją symbolicznie! A to był zwykły żart. – Spowaźniał. – Niektóre filmy, choć zdarza się to bardzo rzadko, potrafią

ubrać w obraz nasze najbardziej przerażające koszmary, prawda, Judith? Sięgnąć do najgłębszych doświadczeń. Czy tak było z panią w przypadku *Bloody Games*? Dała pani radę obejrzeć ten film do końca? – zapytał, znowu wbijając w nią wzrok.

Tak, obejrzała go do końca razem z kolegami w małym dzielnicowym kinie. Kiedy włączono światła, uświadomili sobie, że sala w dużej części opustoszała. Zapamiętała ten seans jako jedno z najbardziej odrażających, a zarazem fascynujących doświadczeń filmowych w swoim życiu. Wyszła z sali rozdygotana, z sercem w gardle, i zobaczyła, że jej koledzy są równie wstrząśnięci.

– Kurwa, co to było? – zapytał Ludo.

– Arcydzieło. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem – oświadczył drżącym głosem Mehdi, chłopak, który zaraził ją twórczością Morbusa Delacroix. – Co nie?

– To było obleśne – rzuciła Camille. – I ta ostatnia sekwencja ze zbiorowym gwałtem. Fuj!

– To jest feministyczna metafora – zawyrokowała Eva, grupowa intelektualistka. – Potwór to mężczyzna.

– To coś znacznie więcej! To jakby Mizoguchi i Dario Argento razem wzięci! – podniecał się Mehdi.

– Ależ to jest zwykły horror – zaproponowała Eva, która wybrała się na ten film wyłącznie dla towarzystwa.

– W życiu nie widziałam czegoś tak ohydneho – stwierdziła Camille. – A co ty o tym myślisz, Jude?

Zawahała się.

– Gość jest geniuszem – odpowiedziała powoli. – I niebezpiecznym świrem.

Zakaślała z miną jednocześnie zaczepną i pełną szacunku.

– Tak – odparła. – Zostałam do końca.

– Ale nie obejrzała pani drugi raz, prawda?

– Nie, nie obejrzałam.

– A moje pozostałe filmy?

– *Ceremonię* trzy razy, *Erzebet* dwa, *Monstrum* cztery i *Perwersje* raz.

Monstrum było jej ulubionym dziełem. Bo Delacroix potrafił też wzruszać. Robił to właśnie w *Monstrum*, zaledwie sześćdziesięciotryminutowym filmie, w którym – w nieokreślonym

miejscu i czasie – Andreïowi i Ludmile urodziło się odrażające dziecko potwór, które mimo wszystko postanowili kochać i otoczyć czułą opieką. Niestety im bardziej potworek rósł, tym bardziej matka nie mogła na niego patrzeć, zwłaszcza w trakcie posiłków. Doszło do tego, że błagała męża, by zabił dziecko, które w końcu sama zaczęła nazywać „Monstrum”. Kiedy jednak przyszło co do czego, mężczyzna nie był w stanie odebrać mu życia, ponieważ wiedział, że kryjący się w brzydkiej powłoce chłopiec jest uosobieniem miłości i czułości – ilekroć ich spojrzenia się spotkały, ojciec rozpływał się ze wzruszenia. Postanowił więc ukryć go w szopie pod lasem i sfingować jego śmierć, przygotowując pusty grób.

Matka jednak odkryła ten wybieg. Ponieważ była zbyt tchórzliwa, by zamordować dziecko własnymi rękami, wmówiła mu, że ojciec chce je zabić, dlatego powinno uciec i ukryć się w lesie – jednocześnie okolicznym myśliwym zaoferowała nagrodę za zabicie „piekielnej kreatury”.

Judith przypomniała sobie, że płakała przy każdym pojawieniu się Monstrum z tym jego łagodnym, prostodusznym spojrzeniem. Delacroix zdołał wspaniale przekazać niewinność dziecka ukrytą za jego potworną powierzchownością. Obraz wywołał skandal w niektórych środowiskach feministycznych. Nie, miłość ojca nie może być większa niż miłość matki. Mężczyzna nie może kochać bardziej niż kobieta.

Delacroix się z tego cieszył. Uwielbiał, gdy go nienawidzono, wyzywano, kiedy nim pogardzano. Sprawiał wrażenie, jakby nienawiść i niechęć innych działały na niego jak dopalacz, a media dostarczały mu tego dopalacza pod dostatkiem.

– Dlaczego przestał pan kręcić filmy? – zapytała odważnie, zaskakując samą siebie. – Nigdy nie podał pan powodu.

Po raz pierwszy zobaczyła, że reżyser się waha, jakby zniknął, zamykał się w sobie. Nie odpowiedział.

– A więc chce pani napisać o mnie pracę? – zapytał po dłuższej chwili milczenia. – O moim kinie, moich filmach, moich... dzieciach. Czemu nie? Jeśli w ogóle ktoś ma o nich pisać, to lepiej, żeby zrobiła to pełna entuzjazmu studentka i fanka horrorów niż jakiś zakompleksiony krytyk, który uważa kino grozy za gorszy sort. – Delacroix kiwał głową w zamyśleniu. Judith zgadła, że rozważa za i przeciw. Była ciekawa, czy każe jej podpisać klauzulę poufności. – Pod jednym warunkiem – powiedział wreszcie i oblizał wargi szpiczastym koniuszkiem języka.

Stwierdziła, że reżyser ma zmysłowe usta. Jak u kobiety, pomyślała.

– Chcę mieć prawo do wglądu w to, co pani napisze.

– Nie ma mowy – odparowała.

Hej, Jude! – odezwał się jej wewnętrzny głos, który zawsze przywoływał ją do porządku. Wygląda na to, że się rozkręcasz. Wielki Morbus Delacroix oferuje ci pomoc, a ty go wysyłasz na drzewo? Szacun...

Spojrzał na nią zaskoczony, a potem się uśmiechnął.

– Proponuję tylko, że przeczytam pani pracę i poprawię ewentualne błędy. Niczego nie będę narzucał. Będzie pani mogła napisać wszystko, co pani zechce. Ma pani moje słowo... Albo pani w to wchodzi, albo nie.

– Jeśli tak, to wchodzę – odparła, odwzajemniając uśmiech.

Delacroix skierował wzrok na góry i ponure niebo za mokrą szybą. Była dopiero 17.30, a ściemniło się tak, jakby zapadał zmierzch.

– Robi się późno. Przy takiej pogodzie droga przez dolinę jest niebezpieczna. Zresztą wygląda na to, że mamy sobie sporo do powiedzenia – stwierdził, zacierając dłonie. – Proponuję, żeby została pani tutaj na noc. Artemisia pokaże pani pokój. W suterenie jest basen i siłownia. Kostiumy kąpielowe w szatni. Niech się pani czuje jak u siebie.

Nie wierzyła własnym uszom. Czy dobrze usłyszała? Wiszące nad górami chmury przybierały kształty twarzy. Jakby były widzami, a ona i Delacroix – aktorami w jakimś filmie.

Brawo, kochana, udało się. Poszło łatwiej, niż sądziłaś!

Bo nie przyjechała tu wyłącznie po to, żeby zdobyć materiał do pracy. I nie tylko po to, by spotkać się z najwybitniejszym reżyserem filmowym, jakiego wydał ten kraj. I nie jedynie dlatego, że była fanką mistrza. Nie. Miała jeszcze jeden powód. Bardziej egoistyczny, bardziej osobisty, bardziej... tajemniczy.

– ...nigdy nie było niewinne – mówił właśnie Delacroix.

Uświadomiła sobie, że dała się porwać nurtowi myśli i przestała go słuchać.

– Proszę?

– Kino nigdy nie było niewinne, Judith – powtórzył, wstając. – Żaden film taki nie jest.

Servaz odpalił wyszukiwarkę i przeglądał wszystko, co zdołał znaleźć na temat body artu. Przebiegał wzrokiem kolejne strony i był coraz bardziej zszokowany. Co za czasy! Zobaczył ludzi, którzy wszywają sobie rogi w czoło, grzebienie w czubek głowy albo rozcinają język, żeby przypominał język węża. I innych, którzy kazali sobie wszczepić pod skórę haki i podwieszać się na linach. I jeszcze innych, całych w protezach i podoszywanych ogromnych ustrojstwach. Zobaczył filmik z artystą, który odprawiał mszę po łacinie i udzielał komunii, w której zastąpił hostię pasztetem upieczonym z dodatkiem własnej krwi. Gdzie indziej jakiś performer przecinał sobie żyły ostrzem brzytwy. Jeden z tekstów głosił: „Skandaliczne, szokujące, poetyckie lub bluźniercze – obok widowisk, jakimi raczą nas wielcy przedstawiciele body artu, rzadko można przejść obojętnie”.

Psiakrew, mam pięćdziesiąt trzy lata, a już czuję się staro, pomyślał. Czy to normalne? Materiałów w Internecie było tak dużo, że skończył dopiero po dwóch godzinach. Jakich modyfikacji dokonywał na swoim ciele Stan Du Welz, jakie cierpienia dobrowolnie sobie zadawał? Czy jego śmierć miała z tym związek? Czy była to skrajna postać eksperymentu, czy też mężczyzna po prostu padł ofiarą napaści ogarniętego szaleństwem współpacjenta? Co do jednego Servaz miał pewność: morderca był starannie przygotowany. Przyniósł żywe pszczoły i korzystając z faktu, że Du Welz był pod wpływem leków uspokajających, przypiął go do łóżka. To było zaplanowane, szalone i chore. A fakt, że sprawca wpisywał się w kategorię morderców zorganizowanych, nie był dobrą nowiną.

Wyświetlił na monitorze fotografie obu mężczyzn. Résimont – zabójca zorganizowany. Proste włosy, cienkie jak bibułka. Błede, wodniste oczy. I Stan Du Welz – pospolita, okrągła twarz bez znaków szczególnych, krótkie włosy, brązowe oczy. Nic dziwnego, że poprzez body art chciał się jakoś wyróżnić.

Servazowi nagle zachciało się palić. W takich sytuacjach wychodził z budynku komisariatu, przecinał bulwar i spacerował brzegiem canal du Midi. Mimo ryku samochodów widok jego niezmaconych wód zawsze go uspokajał. Na dworze grzmiało i padał deszcz. Schował się pod dużym parasolem i pośród szumu spadających kropeł zaczął myśleć o Léi.

Co ona teraz robi? Z kim sypia? Po poronieniu Léa złamała obietnicę i wyjechała z Lekarzami bez Granic do Afryki¹. W dalszym ciągu tam była. Dwa lata. Myśli o niej powracały coraz rzadziej. Prowadziła blog, na który Servaz początkowo zaglądał każdego ranka, potem z mniejszą częstotliwością, a z czasem w ogóle odpuścił. Nie mógł znieść tych jej selfiaczków ze szczęściem malującym się na twarzy, zdjęć kolegów, o których nie wiedział nic poza tym, że jeden z nich, przystojny lekarz koło czterdziestki, często kręcił się w jej pobliżu.

Niepokój powrócił. Czy ją stracił? Mimo że do niego pisała, był coraz bardziej przekonany, że tak. Na początku dzwoniła prawie codziennie, żeby porozmawiać z Gustavem. Teraz robiła to nie częściej niż raz, dwa razy w tygodniu.

Kiedy znowu został jedynym opiekunem syna, by móc mu poświęcać więcej czasu, postanowił, że poprosi o zmianę przydziału – ale nadal tego nie zrobił. A teraz czuł, że nowe śledztwo jeszcze bardziej wszystko skomplikuje. To była sprawa z gatunku tych, co nigdy nie dają spokoju, sprawa, na którą każdy glina pragnie trafić w swojej karierze, ale która szybko zmienia się w żarłoczne monstrum pożerające wolny czas, wakacje, życie osobiste, wpija się w egzystencję niczym rak. Przynajmniej w przypadku pewnej kategorii policjantów – a on do niej należał. Nie mógł sobie już pozwolić na coś takiego.

Gdzie się podział Résimont, człowiek cień zdolny przenikać przez mury? Czy uderzy po raz kolejny? Tajemnica jego ucieczki prześladowała Servaza. Popatrzył na zielone wody smaganego deszczem kanału. Ten widok oraz regularne stukanie kropeł o liście platanów miały w sobie coś kojącego. Powoli wrócił na komisariat. Przed płaskorzeźbą przy wejściu zobaczył niewielkie zgromadzenie. Aparaty fotograficzne, mikrofony, a nawet jedna czy dwie kamery. Cholera. Przypomniał sobie, że na 17.30 w Pałacu Sprawiedliwości zaplanowano briefing prasowy. Po serii ucieczek

pacjentów z tuluskich psychiatryków na początku roku ta sprawa z pewnością trafi na pierwsze strony gazet.

Aby uniknąć pytań, zawrócił, wszedł przez garaż i minąwszy recepcję, dotarł do wind. Znalazłszy się w swoim biurze, sięgnął po pendrive z nagraniami z Camelotu i wetknął go w port komputera. Na ekranie znowu ukazały się białe drzwi. Już miał odpalić odtwarzanie, kiedy do pokoju wpadł Espérandieu.

– Chcesz wiedzieć, jaki zawód wykonuje siostra Stana Du Welza?

– Mów.

– Jest pszczelarką.

Servaz na chwilę zaniemówił.

– Gdzie mieszka?

Vincent zajrzał do notatek.

– W Ariège. Ma gospodarstwo między Gaudiès a Hargą, przy drodze na Fontvilaine.

Spojrzał na zegarek. 18.05. Spokojnie zdążyliby pojechać na miejsce i ją zatrzymać. Jednak jeśli to zrobią, będzie ją maglował do późnego wieczora. Wiedział, że za bardzo by się tym wszystkim przejął. Pomyślał o synu; on również go potrzebuje. Nie tylko ofiary.

– Zadzwon do sądziego – powiedział. – Zwiniemy ją jutro skoro świt.

Wieczorem Gustav testował granice swojego ojca – bywało tak zresztą często od czasu, gdy Léa wyjechała. W wieku dziesięciu lat był drobniejszy od rówieśników, w związku z czym w szkole bywał obiektem drwin. Ilekroć tak się działo, wracał do domu w złym humorze i odreagowywał na Martinie. Dzieci nie mają litości, Rousseau się mylił – nieprawda, że to społeczeństwo je psuje. Takie po prostu są. I trzeba z tym żyć.

Przyczyną jego niskiego wzrostu była atrezja dróg żółciowych. Choroba wątroby. Gustav otrzymał nową wątrobę – a raczej kawałek wątroby Martina – w wieku pięciu lat. Wspominając to wydarzenie, Servaz miał przed oczami szalone dni w Austrii i swój pościg w szpitalnej piźniamie po śniegu za Hirtmannem ².

– Kiedy Léa wróci? – zapytał Gustav, spoglądając sceptycznym okiem na swoje purée. – Ty nawet nie potrafisz gotować.

Czy tylko mu się zdaje, czy dzieci w tych czasach rzeczywiście są dojrzałe, twardsze i bardziej harde niż dawniej? A może to on się starzeje? Léa zawsze panowała nad sytuacją. Przed wyjazdem do Afryki pracowała na oddziale pediatrycznym szpitala Purpan w Tuluzie. W każdych okolicznościach miała szybki refleks, odpowiednie podejście i cierpliwość, której jemu stanowczo brakowało – i Gustav był do niej bardzo przywiązany.

Co ona teraz robi? Czy właśnie je z kolegami kolację w którejś z restauracji w Brazzaville? A może jest w towarzystwie tego przystojnego lekarza, którego tak często widywał na zdjęciach? W ostatnich wiadomościach wyczuł u Léi nową radość – była to jednak radość, z której on był wykluczony – a jednocześnie jakiś nowy dystans. Zaczęła w nim kiełkować podejrzliwość. Miał wrażenie, że między nim a Léą w cieniu kryje się ktoś trzeci.

I już samo przypuszczenie, że może tak być, okazało się dla niego nieskończenie bolesne – nawet sobie nie wyobrażał, że aż tak to odczuje. Cóż to była za kobieta! Kochał w niej wszystko. Wszystko w niej podziwiał. Zastanawiał się, jak by zareagował, gdyby Léa powiedziała mu, że kogoś poznała. To było egoistyczne, ale nie dopuszczał myśli, że całe to dobro mogłoby przypaść komuś innemu.

1. Zob. *Polowanie*, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2021.

[\[wróć\]](#)

2. Zob. *Noc*, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2018. [\[wróć\]](#)

Dzień 1 (ciąg dalszy). Nadal nie mogę w to uwierzyć. Będę nocować u Morbusa Delacroix. W jego kryjówce. W tym niesamowitym domu w sercu gór, w miejscu, w którym schował się przed światem. Zgodził się mnie gościć – mnie, zwykłą studentkę.

Końcówka długopisu szybko, z lekkim chrobotem, sunęła po papierze notatnika. Judith miała okrągłe, płynne, lekkie pismo. Styl, który według ekspertów charakteryzuje osobę serdeczną, delikatną i dyskretną. Akurat! Pisała dalej:

A co jeśli jestem Czerwonym Kapturkiem w wilczej jamie? Kto mnie uratuje, jeśli się okaże, że gość jest nie tylko takim wariatem i geniuszem jak mówią, ale też zбочonym amatorem świeżego ciała? Ta jego laska wcale nie wygląda na szczególnie zrównoważoną...

Nagle przed jej oczami pojawiło się wspomnienie napisu na ścianie toalety stacji benzynowej. A potem odwrócony krzyż z jej inicjałami wyżłobiony w korze drzewa. Wiadomości przeznaczone dla niej.

Zastanawiała się, czy w domu nie ma ukrytych kamer. Widziała to w *Bloody Games*: jedna kamera w gałce prysznic, druga nad łóżkiem w pokoju gościnnym, trzecia w toalecie.

Omiotła wzrokiem pokój utrzymany we fiołkowo-białocukierkoworóżowych barwach, niewielki kominek, w którym strzelały krótkie polana, okno z zasłonami z luksusowo wyglądającej ciężkiej tkaniny, które chroniły przed złą pogodą – pokój, w którym zrobiono wszystko, by otoczyć gości ciepłem i miękkością. Było tu nawet łóżko z baldachimem. Po to, żeby ją łatwiej uśpić?

Daj spokój z tą paranoją. Wiesz, po co tu jesteś, nie? Udało ci się wejść do środka. Teraz się zastanów, od czego zacząć. Czego dokładnie szukasz?

Sprawdziła godzinę na wyświetlaczu komórki. Cholera, powinnam już zejść. Czekają na mnie z kolacją. Tak na marginesie – nie widziałam jeszcze żadnego personelu. Zdziwiłabym się, gdyby sami tu gotowali i sprząkali.

Wyskoczyła z łóżka. Ostatni raz przejrzała się w lustrze niewielkiej łazienki i wyszła. Dotarła korytarzem do lśniących drewnianych schodów, które dyskretnie zaskrzypiały pod jej stopami. Starła się nie śpieszyć i nie robić hałasu. Dlaczego? Boisz się, że im przeszkadzasz? Że jesteś tutaj nie na miejscu?

Z dołu dochodziły głosy Morbusa i Artemisii. Była zbyt daleko, by usłyszeć, o czym mówią. Zeszła kilka stopni, instynktownie stąpając jeszcze ciszej. No, kochana, zachowujesz się, jakbyś ich szpiegowała. W co ty grasz? To już chyba nie są zwykłe badania naukowe...

– Ufasz jej? – usłyszała z dołu pytanie Artemisii.

Twardy, metaliczny głos. Judith wzdrygnęła się i zamarła w bezruchu w połowie schodów.

– Co masz na myśli?

– Nie sądzisz, że to dziwne, że zwala się tu ni stąd, ni zowąd, pod pretekstem pisania pracy? A jeśli to jedna z tych stukniętych fanek? Pomyślałeś o tym?

– A co to zmienia? Jutro stąd wyjedzie.

Cisza.

– A może jest jeszcze gorzej? Może szuka tu czegoś innego?

– Czegoś innego? To znaczy?

– Dobrze wiesz, o czym mówię.

O 20.30 ojciec Eyenga zaparkował przed wejściem do niewielkiego dwugwiazdkowego hotelu naprzeciwko plaży.

Pogoda była paskudna. Miał wrażenie, jakby znalazł się pośrodku zdewastowanego krajobrazu, pandemonium skał, żwiru i granitowych budynków smaganych lejącym się z czarnego nieba ulewnym deszczem i bijących o brzeg fal, których huk niemal zagłuszał krzyk mew. Było co najmniej o piętnaście stopni mniej niż na południowym wschodzie i bardzo szybko uświadomił sobie, że jest zupełnie nieprzygotowany na taką temperaturę.

W hotelu było jednak ciepło i wygodnie i bardzo szybko poczuł się w nim dobrze. Przy rocznej pensji wysokości 3600 euro, którą ledwie podwajały przychody z intencji mszalnych, nocleg i kolacja w hotelu były dużym obciążeniem dla jego portfela, zamierzał jednak poprosić o dodatkowy zastrzyk gotówki swoją siostrę. Była zatrudniona w konsulacie Kamerunu w Marsylii i choć religia niespecjalnie ją interesowała, zawsze była gotowa wspomóc braciszka.

Stawił się w recepcji udekorowanej szklanymi szaławkami oraz sieciami rybackimi i zazdrośnie spojrzął na opustoszałą jadalnię, której duże okna z kretonowymi zasłonami wychodziły na plażę. Dziesięć minut później jadł owoce morza z kromką chleba z masłem i już nie uważał swojego położenia za aż tak nieprzyjemne. Plaża była pusta. Słyszał tylko huk morza, krzyki ptaków i szum deszczu.

Wody niewielkiej zatoki nieustannie zmieniały kolor. Duchowny był zafascynowany mnogością cypli, przesmyków i wysp, które miał przed oczami. Na wprost, za szeroką plażą i pasmem spienionej, białej wody, wyłaniał się spośród sosen zbudowany na skale zamek. Eyenga pomyślał o *Czarnej wyspie*, jednym ze swoich ulubionych komiksów, i o gorylu ścigającym Tintina.

– Zna pan właściciela tego zamku? – zapytał hotelarza, który przyniósł mu lambic zamiast deseru.

– Pana Zorna? Tak. Wszyscy go tu znają. Bywa u nas czasem na kolacji.

– Jaki on jest?

Kapłan zauważył wahanie w oczach rozmówcy; mężczyzna przez chwilę szukał właściwych słów.

– To dziwny facet... W każdym razie nie wydaje mi się, żeby księdzu było z nim po drodze.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony.

Mężczyzna przez chwilę mu się przyglądał.

– Nie sądzę, żeby był religijny. Wręcz przeciwnie, jeśli chce ksiądz znać moje zdanie.

Eyenga był zbity z tropu. Miał ochotę poprosić o wyjaśnienia, ale hotelarz już zdążył odwrócić się na pięcie. Dlaczego ciągle towarzyszyło mu jakieś złe przeczucie, jakby intuicja ostrzegała go przed czymś, co właśnie zaczynało się materializować? Jak cień, który stopniowo przesłaniał krajobraz.

W okna jego pokoiku z widokiem na morze uderzał wiatr, a fale rozbijały się o brzeg. Tej nocy trudno mu było zasnąć.

ŚRODA, 22 CZERWCA

Wyszedł z mieszkania o 7.45. Vincent czekał na niego w samochodzie zaparkowanym przy krawężniku. Na myśl, że znowu musiał zostawić Gustava pod opieką Anastasii, bolało go serce, ale cieszył się, że przynajmniej spędzili razem wieczór.

Usiadł na miejscu pasażera i otworzył okno, żeby zapalić. Vincent prowadził jak ojciec, który zabiera rodzinę na wakacje, i Servaz po chwili poprosił go, by dodał gazu. Kiedy przyśpieszyli i ruszyli obwodnicą na południe, poczuł wiatr we włosach – dziwnie ciepły jak na tak wczesną porę.

Pięćdziesiąt dwie minuty później skręcili w wąską drogę między polami rzepaku, zalaną słońcem, które stało już wysoko na niebie. Temperatura wzrosła jeszcze o kilka stopni. Krajobraz był rozświetlony, ale jednocześnie pusty, wyludniony, jakby mieszkańcy dokądś puciekali – niczym na niezamieszkaną wrogiej planecie z powieści science fiction.

Na końcu drogi pojawiło się stare gospodarstwo – długi szary budynek, wokół którego jak okiem sięgnąć ciągnęły się pola rzepaku. Asfalt był w złym stanie i szybko się skończył. Jechali teraz wyboistą drogą, kołysząc się i podskakując na koleinach pozostawionych przez traktory. Minęli stodołę i w chmurze pyłu zaparkowali przed głównym budynkiem.

Wysiedli z samochodu i natychmiast uderzyło ich nieruchome gorące powietrze. Zza rogu budynku wyłoniło się stadko gęsi i ruszyło w ich kierunku. Servaz podszedł do drzwi. Nie było dzwonka. Zapukał. Żadnej odpowiedzi. Przykleił nos do najbliższego okna. W domu panował półmrok. Zauważył wiekowe meble, kominek i płytki na podłodze, ale nikogo nie dostrzegł.

– Gęsi – odezwał się Vincent za jego plecami.

Servaz wyczuł w głosie zastępcy lekki niepokój. Odwrócił się. Było ich nie więcej niż dziesięć. Duże ptaki odważnie dreptały w ich stronę na płaskich stopach. Kiedy podeszły bliżej, wyciągnęły szyje i zaczęły z siebie wydawać groźne, ochryple dźwięki.

– To jest zachowanie terytorialne – wyjaśnił. – Bronią swojego terenu. Gęsi od starożytności są znane jako znakomite strażniczki. Trzeba czytać Tytusa Liwiusza. Rzym, gęsi kapitolinińskie, te sprawy... Zachowajmy spokój. – Nie potrafiłby stwierdzić, które z nich są samicami, a które samcami. Uznał jednak, że ptak, który idzie na czele peletonu i który najbardziej się awanturuje, to gąsior. – To bardzo inteligentne zwierzęta – dodał.

I bardzo wierne, pomyślał. Całe życie z jedną partnerką.

Gęś idąca na przedzie wyciągnęła szyję prawie poziomo i wydała z siebie imponujący syk, który pozostałe natychmiast podjęły.

– Co one robią? – zapytał Vincent zaniepokojony.

– Przygotowują się do ataku. Wycofaj się. Powoli. Patrz na nie. Nie odwracaj się plecami.

– Spadajcie! Ale już! – zawołał Espérandieu, wymachując rękami.

Cholera, pomyślał Servaz. Najlepszy sposób, żeby pogorszyć sytuację. Zobaczył, że jego kolega coraz szybciej cofa się w stronę pól.

– Nie biegnij – napomniął go.

– Chyba coś do mnie mają.

Servaz widział nagrania z gęśmi atakującymi krowy, słonie, a nawet goryla i tygrysa. Sam nigdy jednak nie był świadkiem takiego ataku. Być może do dziś. Jakby na potwierdzenie jego obaw samiec znajdujący się na czele ruszył na Vincenta, który popełnił fatalny błąd: odwrócił się i zaczął uciekać. Martin zobaczył, jak gęś zamachała skrzydłami, wzbiła się w górę, podleciała do jego zastępcy i uszczypnęła go w szyję.

– Kurwa! Ona mnie gryzie! Zastrzel ją!

Servaz o mało nie wybuchnął śmiechem. Wyobraził sobie, jak tłumaczy się z faktu, że musiał użyć służbowego pistoletu, by bronić kolegi po fachu przed gęsią. Espérandieu biegał w kółko po polu rzepaku, a za nim gromadka ptaków na czele z samcem, który w regularnych odstępach czasu startował do ataku z powietrza. Servaz prawie miał ochotę wyjąć telefon i nagrać to widowisko. Nagle u podnóża pagórka rozległy się dwa gwizdy, a po nich krótkie polecenie:

– Wystarczy, dziewczyny! No już, sio!

Jeszcze jedno gwizdnięcie. Gęsi natychmiast się uspokoiły i podreptały tam, skąd przyszły.

W dolnej części pola, niedaleko uli, Servaz zauważył kobietę. To była Victoire Du Welz, siostra Stana. Pszczelarka.

Powoli ruszyli jej na spotkanie. Miała na sobie bluzę, rękawice ochronne i kapelusz z siatką. Servaz zauważył kwadratową twarz i małe, lśniące oczy o twardym spojrzeniu. Dookoła niej latało kilka pszczoł.

– Jesteście z policji, tak? – rzuciła. – To pan do mnie wczoraj dzwonił? Przyjechaliście w sprawie mojego braciszka?

– Tak jest, pani Du Welz – odparł. – Musimy pani zadać kilka pytań.

– Pośpieszcie się, mam robotę.

Servaz i Vincent wymienili spojrzenia. Wyglądało na to, że kobieta wcale nie jest wstrząśnięta śmiercią brata.

– Czy mogłaby pani do nas podejść?

– A co? Pszczoł też się boicie? – zarechotała, idąc w ich stronę.

– I proszę zdjąć kapelusz.

Wykonała polecenie i zmierzyła go wzrokiem.

– I co chcecie wiedzieć, panowie eksperci?

– Wyrazy współczucia z powodu...

– Niech się pan nie fatyguje. Ja i mój brat nie nadawaliśmy na tych samych falach.

– Proszę to wyjaśnić.

– Zauważył pan, że siedział w wariatkowie. Stan był słabeuszem. Nadwrażliwiec od najmłodszych lat. Już w szkole był niedorajdą.

Nie to co ty, pomyślał Servaz. Letni krajobraz, błękitne niebo, jaskrawożółty rzepak – wszystko to nagle nabrało ponurych odcieni. Poczuł lodowatą obojętność bijącą od tej kobiety.

– Po śmierci naszych rodziców nigdy się nie pozbierał – powiedziała.

– Kiedy zmarli i w jaki sposób?

Wzruszyła ramionami.

– Wypadek samochodowy. Stan miał osiem lat, ja dwanaście.

– Odwiedzała go pani w szpitalu? – zapytał Vincent.

– Ma pan na myśli wariatkowo? Nigdy.

Ostatnie słowo było jak topór spadający na katowski pień. Odwróciła się i patrzyła na ule.

– Skoro już jesteście z policji... W marcu ktoś mi ukradł dwadzieścia pięć uli. Te fujary żandarmi nic z tym nie robią. Może wy coś możecie?

– Rozmawiam z panią o zamordowaniu pani brata, a pani...

– Kradzieże uli są nagminne – mówiła dalej, jakby nie usłyszała. – Do tego skażenie atmosfery, globalne ocieplenie, szerszeń azjatycki. Bez pszczół możemy się pożegnać z setkami upraw, wiedzieliście o tym?

– Pani Du Welz...

– Zauważyliście, że one się nigdy nie zderzają? Gdyby to były samoloty, to na jeden ul potrzeba by ze stu kontrolerów lotów. Są niesamowite.

– Kiedy widziała pani brata po raz ostatni? – zapytał Servaz głośniej.

Odwróciła głowę.

– Nie pamiętam. Kilka miesięcy temu.

– Gdzie pani była w nocy z poniedziałku na wtorek?

– U przyjaciół w Foix.

– Czy oni to potwierdzą?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Oskarża mnie pan? Mój brat mnie nie obchodził. To był zwykły czubek. Dlaczego miałabym jechać go zaciukać w tym pieprzonym psychiatryku?

– Ktoś pani powiedział, w jaki sposób został zabity?

– Czytałam, że zarznął go jakiś inny świr.

Niech żyje prasa, pomyślał Servaz.

– Zginął od uządleń pszczół.

Przez sekundę wyglądała na zmieszaną.

– Jak to?

– Ktoś włożył mu pszczoły do ust – wyjaśnił Espérandieu.

W jej oczach pojawił się błysk gniewu.

– A wy jako sprytni policjanci pomyśleliście sobie: o kurczę, jego siostra jest pszczelarką. To ona!

– Proszę uprzejmiej – warknął Espérandieu.

Odwróciła się w jego stronę.

– Spadaj na drzewo, cioto.

– Okej – powiedział wściekły Servaz. – Dwudziestego drugiego czerwca o godzinie dziewiątej siedem zostaje pani zatrzymana za współudział w zamordowaniu brata, Stana Du Welza.

– Hę? Co? Jaki współudział? Nie możecie tak...

– Ależ możemy.

– Szlag, powinniście mi odczytać moje prawa.

– To prawda. Ma pani prawo zatelefonować do kogoś bliskiego.

Zarechotała gorzko.

– Bliskiego? Miałam tylko brata, a on nie żyje!

– Ma pani przecież osoby, które pani tu pomagają.

– To fajłapy! Kto się zajmie gospodarstwem? Ulami? Może wy, zasrane psy? – wrzeszczała.

– Ma pani prawo do porady lekarskiej i kontaktu z adwokatem. Jeśli nie ma pani adwokata, zostanie pani przyznany z urzędu.

– Hej, zostaw mnie! – ryknęła, zamierzając się łokciem na Vincenta.

Policjant zgiął się wpół.

– Kurwa, rozwaliła mi nos!

Servaz rzucił okiem na zastępcę. Espérandieu broczył krwią.

– Dobra, skuwamy ją. Na trzy. Raz...

Vincent znał ten numer. Nie czekając na „dwa”, rzucili się na kobietę. Zgodnie z przewidywaniami ruszyła do ataku, rycząc jak jeleni na rykowisku.

– Zostawcie mnie! Zostawcie mnie! Pieprzone psy! Naziści!

Upadli w rzepak i zaczęli się przewalać we wściekłej kotłownianinie, rozgniatając rośliny. Servaz zdołał zapiąć jej kajdanki, ale tylko na jednym nadgarstku.

– Przestańcie mnie obmacywać – zawołała. – Oskarżę was o napaść seksualną!

Znany trik – najbardziej zaprawieni w bojach, gdy tylko się ich aresztuje, szukają jakiegoś uchybienia, sposobu, żeby wnieść skargę na działania policji. Servaz o mało nie stracił zimnej krwi.

– Niech się pani przymknie! – warknął zdenerwowany, zapinając jej kajdanki na drugiej ręce.

Gdy ją podnieśli, splunęła w ich stronę. Plwocina przeleciała tuż obok policzka Martina. Przez całą drogę do samochodu kobieta się opierała, wrzeszczała, syczała i wierzgała.

– Moje gęsi odgryzą wam tyłki! – wybuchła po raz ostatni.

Servaz był mokry od potu. Od przytrzymywania miotającej się kobiety bolały go nadgarstki i palce. Spojrzał na Vincenta, który przed zajęciem miejsca za kierownicą przeczesał włosy, i nie mógł powstrzymać uśmiechu. Przypomniał sobie, że kiedy jego zastępca zaczynał służbę, nosił tylko markowe ciuchy i opadającą na czoło grzywkę, z którą wyglądał jak gimnazjalista. Ciągłe poprawiał fryzurę, przez co stał się obiektem plotek

wśród starych wyjadaczy, przywykłych do bardziej „męskiej” policji. Dziś włosy na czole Vincenta cofały się niczym armia w odwrocie. Ech, życie, pomyślał Servaz. Wojna z czasem, której nigdy się nie wygrywa.

Kiedy usiadł na miejscu pasażera, uświadomił sobie, że ma mokre plecy. Vincent ruszył. Tym razem nie trzeba było mu mówić, żeby przyspieszył. Był tak wkurzony, że nie zważając na koleiny, dodał gazu.

– Chcecie wiedzieć, kto zabił mojego brata? – rzuciła nagle siedząca z tyłu Victoire Du Welz.

Servaz się odwrócił. Wyglądała na spokojną, choć od walki w rzepaku wciąż miała czerwoną twarz. Po skroni spływała jej kropla potu. Mówiła teraz innym, bardziej wyważonym tonem. Spojrzała w oczy Servaza wzrokiem pełnym czystej nienawiści – nie potrafił jednak stwierdzić, kogo ta nienawiść dotyczy.

– To ten pieprzony filmowiec...

– Pobudka – rozległ się władczy głos w jej śnie. – No już, niech pani wstaje...

Głos przeniknął do jej świadomości, znajdującej się w połowie drogi między snem a jawą, jak płyn wsiąkający w bibułę.

Otworzyła jedno oko. Jakiś kształt przesłaniał jej światło słońca. Zobaczyła utkwione w sobie nieruchome, badawcze spojrzenie. Ktoś przyglądał jej się z bliska. Ze zbyt bliska.

W jednej chwili usiadła w głowach łóżka i skuliła się. Ujrzała pochyloną nad sobą zjawiskowo brzydką twarz Morbusa Delacroix.

– Co pan tu robi? – zapytała.

– Budzę panią, nie widać? No już, niech pani wstaje. Straszny śpioch z pani. Jest dziesiąta.

– Co?!

Zerknęła na wyświetlacz telefonu.

– To przez to górskie powietrze. – Uśmiechnął się. – Niech się pani szykuje. Za dziesięć minut zabieram panią do miasta. Dziś wieczorem mamy gości i muszę zrobić zakupy.

Podszedł do drzwi.

– Do miasta?

– Paradis. Osiem tysięcy czterystu siedmiu mieszkańców. Jedyne miasto w tej dolinie. Proszę się nie martwić, mamy całą drogę na rozmowy o kinie, a po południu będę do pani wyłącznej dyspozycji.

I już go nie było.

Uspokoila oddech i zaczęła się zastanawiać, jak długo nad nią stał i obserwował, jak spała.

Gnał krętą drogą na łeb, na szyję. Judith zaciskała pośladki za każdym razem, gdy zbliżali się do ostrego wirażu, i w dole, między drzewami widziała dolinę. Żeby było ciekawiej, kiedy Delacroix obracał kierownicę

i rzucał Judith o drzwi, jego oldskulowe méhari sprawiało wrażenie, jakby miało się rozlecieć na kawałki.

Pędził po zboczu porośniętym klonami, bukami i modrzewiami, a włosy Judith tańczyły na wietrze niosącym zapach żywicy i gnijącej ściółki.

– Boi się pani? – rzucił, podnosząc głos, by przekrzyczeć podmuchy i warkot silnika.

– Słucham?

– Co noc śnią mi się koszmary, pani nie? O ile osobiście jestem tchórzem, o tyle przerażające rzeczy na ekranie mnie fascynują – mówił dalej, nie czekając na odpowiedź i zbyt szybko wchodząc w kolejny zakręt.

– Kręcenie horrorów było taką przewrotną zemstą na moich lękach. –

Oderwał wzrok od drogi, by spojrzeć na Judith, i dziewczyna musiała się powstrzymać, by go nie ostrzec przed kolejnym zakrętem. – Mario Bava powiedział coś podobnego. Bava zrobił kilka dobrych filmów, ale był zbyt skromny, żeby nakręcić arcydzieło. To się udaje tylko najbardziej zarozumiałym.

– Na przykład?

Niebo zadrżało od potężnego wystrzału, którego dźwięk poniósł się echem po górach.

– Dreyer. Bergman. Bresson. Clouzot. Wilder. Lean. Kubrick. Hitch... Niech pani nie będzie śmieszna. Wie pani, co mam na myśli.

Delacroix? – pomyślała. Uważasz się za jednego z nich? Założyłabym się, że tak.

Jechali tak szybko, że wiatr świstał jej w uszach. Uświadomiła sobie, że nie wymienił ani jednego reżysera, który urodziłby się po roku 1930. On sam przyszedł na świat w 1976. Dokładnie o północy. Mogłaby wyrecytować jego biografię z pamięci.

Podniosła wzrok na ciemne niebo nad górami. Chmury układające się w groźne twarze powróciły. Znowu zanosilo się na deszcz.

Kiedy w końcu znaleźli się na płaskim dnie doliny i ruszyli prostą drogą do miasta, odetchnęła z ulgą. Pomyślała, że czuje się tak, jakby to Mehdi siedział za kierownicą i prowadził zbyt szybko po jakiejś imprezie. W takich okolicznościach wszyscy pasażerowie modlili się, by dotrzeć do właściwego portu.

8407 mieszkańców
Wysokość: 802 m n.p.m.

Minęli tablicę i wjechali do miasteczka. Szaroczarne budynki niczym kamienie nagrobne, sklepy z odzieżą, których wystawy wyglądały na niezmienniane od dziesięciu lat, opustoszałe kawiarniane ogródki – wyjątek stanowiła para motocyklistów, którzy zatrzymali się tu przejazdem – i mały kwadratowy plac z fontanną pośrodku, na którym Morbus postanowił zaparkować. Odwrócił się i sięgnął po niewielki przedmiot leżący na tylnej kanapie.

Kompaktowy monokular Pentax VM6×21WP, czarny i lekki, i w przeciwieństwie do kamer typu GoPro umożliwiający obsługę jedną ręką. Tak mały, że reżyser trzymał go w zamkniętej dłoni. Kiedy tylko wysiedli, zaczął nagrywać.

– Niech pani patrzy, Judith – powiedział. – Prawdziwy świat jest tutaj, dosłownie w oku kamery. – Odwrócił się, by ją sfilmować, a ona natychmiast poczuła się nieswojo. – Kamera jest jak przedłużenie mojego ciała, jak jego część, jest dla mnie tak samo ważna w relacjach ze światem jak oczy, ręce czy kutas. Widziała pani *Człowieka z kamerą filmową*?

Dziga Wiertow, 1929, pomyślała, ale ograniczyła się do krótkiego „tak”. Nie chciała przed nim zgrywać wzorowej uczennicy. Przeciął placyk i wciąż filmując, wszedł do supermarketu przez przesuwne szklane drzwi. Judith podążała za nim.

– Cześć, Ronaldo.

Kasjer miał na sobie starą koszulkę z portretem słynnego piłkarza. Łysy, około pięćdziesiątki. Przechodząc obok, Delacroix skierował kamerę w jego stronę.

– Dzień dobry, panie Delacroix – odpowiedział Ronaldo, uśmiechając się do kamery. Nie wyglądał na zaskoczonego.

Serio? – pomyślała. Nie do wiary. Typ filmuje wszystkich dookoła, jakbyśmy grali w jednym z jego pieprzonych filmów...

Delacroix wziął wózek i ruszył w zalane blaskiem świetlówek alejki. Jedną ręką wkładał zakupy, a w drugiej trzymał włączoną kamerę. Jakaś klientka spojrzała na niego z dezaprobatą. Delacroix zrobił zbliżenie jej zmęczonej, niemiłej twarzy. Wściekła pokręciła głową i odeszła.

Judith uzmysłowiła sobie, że Delacroix mówił prawdę – patrzył na świat za pośrednictwem obiektywu kamery. Zastanawiała się, czy pozwala mu to zobaczyć rzeczy, których nie dostrzega gołym okiem.

Powtórzyli to samo doświadczenie u rzeźnika, w warzywniaku i w sklepie z winem, po czym ruszyli do samochodu. Reżyser ani na chwilę nie odłożył kamery, nawet przy kasie. Co on robi z tymi wszystkimi filmami? – zastanawiała się. Ogląda je po nocach? Gdzieś wyczytała, że facet sypia tylko po trzy godziny. Co takiego widzi, czego nie widzą inni? Co stara się wydobyć na powierzchnię? To w sumie dość zabawne – niby przestał kręcić, a przecież ciągle coś filmuje. „Dla innych zawsze jesteśmy obrazem”. Gdzie ona to wyczytała?

Na placu zauważyła grupkę młodych ludzi zgromadzonych wokół ławki niedaleko samochodu Delacroix. Wyglądali na znudzonych. Kiedy tylko zobaczyli, że Delacroix ze swoją minikamerą zmierza w ich kierunku, jak jeden mąż odwrócili głowy w jego stronę.

Morbus, nie! – pomyślała Judith. Ale reżyser już wycelował w nich oko kamery.

– Ej! Co ty tam filmujesz? Przestań! – zawołał niewysoki, błydy blondynek w skórzanej kurtce, siedzący na oparciu ławki.

Delacroix na przekór wycelował kamerę w jego stronę. Judith zrozumiała, że włączył zoom.

– Głuchy jesteś? Mówiłem, żebyś przestał mnie filmować!

– Nie widzisz, że ten dupek cię prowokuje? – krzyknął jeden z jego kolegów.

Blondynek zeskoczył z ławki i ruszył na reżysera. Pozostali natychmiast poszli w jego ślady. Wyglądało na to, że mimo niskiego wzrostu to on jest szefem bandy.

– Morbus, niech pan przestanie – szepnęła.

Delacroix wyglądał jednak na całkowicie pochłoniętego swoim zajęciem. Nie przestał nagrywać, nawet gdy tamci zaczęli go otaczać. Jeden z nastolatków próbował mu wyrwać kamerę, ale mężczyzna zręcznie się uchylił, po czym wskoczył na opuszczoną przez nich ławkę i zaczął ich filmować z góry.

– Ja pierdołę, ten skurwiel szuka guza! – zdenerwował się jeden z chłopaków.

– Chujek ma się za Spielberga!

– Zamknijcie się – nakazał blondynek, podchodząc do ławki. – Gościu, oddaj mi tę kamerę, ale już – spokojnie, ale stanowczo zwrócił się do reżysera.

– Morbus, proszę – powiedziała Judith.

Czuła, że jest cała napięta. A Morbus jakby nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia, z wściekłości tych smarkaczy, którzy wpatrywali się w niego jak hieny gotowe do ataku. Jakby sobie drwił z niebezpieczeństwa. Albo jakby się nim bawił. Bo Delacroix wciąż filmował.

– Sto euro za jeden uśmiech – rzucił.

– Co?

– Jeden uśmiech na waszych ślicznych buźkach, a zarobicie sto euro.

– Cholera, gościu, jesteś jakimś zbokiem czy co?

– On jest pierdolnięty, niech zeżre tę swoją kamerę! – zawołał inny. – Chuj z jego forszą!

Judith zauważyła, że blondynek zbladł.

– Kurwa, stary, wyślemy cię do szpitala!

– Co tu się dzieje?

Odwrócili głowy w kierunku, z którego dochodził głos. Funkcjonariusz policji municypalnej. Z lekkim brzuszkiem, z kciukami wsuniętymi za pas, szedł ku nim spokojnym krokiem.

– Gościu z tą cholerną kamerą nas prowokuje! Filmuje nas bez naszej zgody! Czy to jest dozwolone? – poskarżył się jeden z młodych ludzi.

– Panie władzo, to nielegalne! – zawtórował mu sąsiad. – On nie ma prawa!

– Morbus, proszę opuścić kamerę – zaordynował policjant.

– Niech mi pani opowie o swoim dzieciństwie – zwrócił się do niej, kiedy pośród pomruków nadchodzącej burzy i pełzających nad górami błysków jechali do domu.

– O moim dzieciństwie?

– Tak, o pani dzieciństwie. Jacy byli pani rodzice, czym się zajmowali, gdzie pani dorastała?

– Naprawdę to pana interesuje?

Wiatr dmuchał mu w twarz, a włosy tańczyły za jego głową jak czułki ukwiału.

– Tak, interesuje mnie to. Ludzie mnie interesują. Artyści tacy są, kradną życie innym. No już, niech pani wybierze ze swojego życia jakiś wycinek, który zasługiwałby na uwiecznienie go w filmie.

Wzruszyła ramionami; na policzku poczuła pierwsze krople deszczu. Delacroix tak się znęcał nad samochodem, że zastanawiała się, czy dadzą radę wjechać na górę.

– Żadna część mojego życia na to nie zasługuje – odparła.

– Ależ z całą pewnością zasługuje – zaoponował. – Każdy ma w życiu przynajmniej jeden taki epizod.

Przechylając się, wszedł w kolejny zakręt. Judith uczepliła się drzwi.

– Moja matka... – zaczęła wreszcie po chwili namysłu.

Rzucił jej przenikliwe spojrzenie. Jego palce mocno obejmowały kierownicę.

– Moja matka wszystkiego się bała. Ciągłe się o mnie martwiła, chciała mnie zatrzymać w domu, chronić... Gdybym jej słuchała, nigdy nie wystawiłabym nosa na zewnątrz. Ilekroć szłam się spotkać z koleżankami, dosłownie umierała ze strachu. Inne dziewczyny śmiały się ze mnie i z nadopiekuńczości mojej matki. Kiedy byłam z nimi, zawsze się jej wstydziałam. Do tego stopnia, że któregoś dnia, po tym, jak mnie wkurzyła, uklęknęłam na łóżku, złożyłam dłonie i pomodliłam się, żeby umarła, żeby nie musiała się już wstydzić. I miesiąc później... ona umarła.

Zaczęła widzieć niewyraźnie, co uświadomiło jej, że ma łzy w oczach. Delacroix nie odezwał się ani słowem, nie powiedział nawet, że mu przykro – i była mu za to wdzięczna. Wiatr osuszył jej łzy. Spojrzała na widoczne nad koronami drzew coraz ciemniejsze niebo, po którym tańczyły błyskawice.

– Czy możemy porozmawiać o pana ostatnim filmie? – zapytała po chwili.

– *Bloody Games*? Co chciałaby pani wiedzieć?

– Nie, nie o tym. O innym, tym, który nigdy nie wszedł do kin.

Milczenie.

Kolejny zakręt pokonał z jeszcze większą prędkością – aż drążek i skrzynia biegów zaprotestowały ze zgrzytem, a opony zapiszczały na asfalcie. Judith kurczowo uczepliła się drzwi. Serce jej waliło. A potem w jednej chwili reżyser zwolnił i na prostym odcinku drogi zatrzymał samochód na zwirowym poboczu. Spojrzała na niego zaskoczona. Na jego

twarzy malowała się teraz uderzająca wrogość, a jego spojrzenie stało się zimne i metaliczne jak niebo.

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz – oświadczył. – O *Orfeuszu* nie będziemy rozmawiać. Ani teraz, ani nigdy.

Kiedy Servaz postanowił wznowić przesłuchanie Victoire Du Welz, była 14.30.

Pierwsze podejście niczego nie wyjaśniło. Trzymała się wersji, którą przedstawiła w gospodarstwie, że w nocy z poniedziałku na wtorek była w Foix u przyjaciół. Najpierw poszli do restauracji, a potem u nich spała, ponieważ wypijała zbyt dużo, żeby prowadzić. I że nie zna Jonasa Résimonta.

Servaz poprosił Samirę o sprawdzenie miejsc logowania i szczegółowych billingów telefonu pszczelarki. Czekali na odpowiedź operatora. Fakt, iż Victoire, która – jak sama twierdziła – wychodziła dość rzadko, wybrała na nocleg u przyjaciół akurat tę noc, kiedy został zamordowany jej brat, budził podejrzenia, że alibi jest sfabrykowane. W końcu uzyskali nazwiska i adres rzeczonych przyjaciół i Martin polecił Vincentowi, by się z nimi skontaktował. Już się zbierał, żeby iść do zatrzymanej i jej adwokata, kiedy jego zastępca wszedł do biura.

– Przyjaciele potwierdzają. Wersje obu stron są zgodne. Ta sama restauracja, ten sam czas.

– Mogli uzgodnić zeznania.

– W sprawie morderstwa? – Espérandieu nie krył sceptycyzmu.

Servaz pokiwał głową. Vincent ma rację, to się nie trzyma kupy. Do pokoju weszła Samira.

– Mamy odpowiedź. Jej telefon rzeczywiście logował się w pobliżu restauracji, do której mieli jechać, a trzy godziny później niedaleko domu jej przyjaciół. Natomiast ani razu w ostatnim czasie nie logował się w okolicach szpitala psychiatrycznego ani w Tuluzie.

– Cholera.

– Co robimy? – zapytała.

– Ciśniemy ją dalej – zaproponował Vincent. – Ale pszczoły nie wystarczą. Na obecnym etapie nie przesłucha jej żaden sędzia śledczy, a żaden sędzia do spraw wolności i zatrzymań nie każe jej zamknąć

w areszcie. W dodatku jeśli nie zrobimy postępów, nie dostaniemy zgody na przedłużenie zatrzymania.

– Brak logowania nie oznacza jeszcze, że mówi prawdę – zauważył Martin. – Mogła zostawić telefon w domu, kiedy spotkała się z Résimontem. Mogła też dostarczyć mu pszczoły kiedy indziej. A swoją drogą gdzie on jest? Mamy jakieś nowe informacje?

– Na razie nic – stwierdziła Samira z ponurą miną. – Z tymi pszczołami to może być zbieg okoliczności. W regionie jest sporo pasiek.

– Ale ona jest jego siostrą i jest pszczelarką, nie dogadywali się, a w ustach jej brata znaleziono pszczoły – przypomniał Vincent. – Mimo wszystko warto zbadać ten trop, nie?

Servaz zerknął na zegarek.

– Mamy dwadzieścia godzin. Moim zdaniem wiele nie zdziałamy. Ale byłbym za tym, żeby spędziła noc w „akwarium”. I żeby odpowiedziała za znieważenie funkcjonariusza na służbie.

– Jestem za – zawtórował mu Espérandieu przez nos. – To przecież była napaść.

Wciąż miał w nozdrzach sączki: jego nos był przez to spłaszczony jak u boksera, ale na szczęście nie był złamany. Servaz po raz pierwszy od wielu godzin się uśmiechnął.

– Ze strony gęsi czy ich właścicielki?

Samira parsknęła śmiechem. Twarz Vincenta przybrała kolor cegły, z której wykonanych jest wiele tuluskich budynków. Lekarz chciał mu dać dzień zwolnienia, ale Espérandieu odmówił – choć firma powoli się zmieniała, wciąż było to środowisko wybitnie samcze.

– Wracamy do niej – zarządził Servaz. – Samira, chodź ze mną. Vincent, dociśnij laboratorium w sprawie badań toksykologicznych Stana Du Welza. I zapytaj Fatię, czy już ustaliła przyczynę zgonu.

– Rozmawiałem z nią.

– I?

– W dalszym ciągu skłania się ku pszczołom, ale ponieważ nie ma pewności, nie chce o tym pisać w raporcie z sekcji, żeby sprawa nie ucierpiała, gdyby jakiś adwokat przyczepił się do tego na rozprawie.

– Mądra decyzja – stwierdził Martin.

Victoire spojrzała na wchodzącego do pokoju Servaza i dokładnie w tym momencie znowu rozległ się grzmot. Kiedy pokonywał odcinek między drzwiami a swoim krzesłem, podążyła za nim wzrokiem jak legwan albo kameleon. Na jej szerokiej, puciołowatej twarzy mopsa malował się uśmiech – najwyraźniej była zadowolona z przesłuchania.

– Pani brat przeszedł szereg operacji. Czy wie pani coś na ten temat? – zaatakował od razu.

– Komendancie – wtrącił się adwokat. – Nie rozumiem tej natarczywości. Moja klientka już...

– Mecenasiu, na tym etapie nie powinien pan się wtrącać.

– Chce pan rozmawiać o tych chorych historiach?

Skinął głową, by zachęcić rozmówczynię do kontynuowania wątku.

– Nazywał to „transformacjami ciała” – zarechotała. – Co za debilizm! Trzeba być naprawdę stukniętym, żeby sobie robić coś takiego.

– Wie pani, gdzie był operowany?

– W Paryżu. To było w czasach, kiedy jeszcze pracował w filmie. Mówiłam panu, że to od tej roboty tak ześwirował. Spotykał się z czubkami, którzy mieli się za artystów. – Wydała z siebie dźwięk, który przypominał pisk szczura. – Dziwni ludzie. Nie wiem, kim są, jeśli o to panu chodzi. I nie chcę wiedzieć.

Spojrzała na niego z miną wyrażającą najwyższą odrazę i uświadomił sobie, że znowu jest mokry od potu. Może po zakończeniu tej sprawy powinienem zrobić jakieś badania, pomyślał.

– Czy odwiedzała go pani w tamtym czasie w Paryżu? – włączyła się Samira, która siedziała obok Martina.

Victoire Du Welz przez chwilę zdawała się zbita z tropu wyglądem policjantki – podobnie jak wtedy, gdy Samira weszła do pomieszczenia. Zobaczyli, że próbuje zebrać wspomnienia. Nagle jej oczy błysnęły, jakby właśnie sobie o czymś przypomniała.

– Raz, kiedy go odwiedziłam, zabrał mnie w miejsce, gdzie zbierały się takie okazy jak on. To się nazywało... chwila... Cabaret Rouge.

Servaz nigdy nie słyszał o takim lokalu. Zanotował nazwę.

– Kiedy to było?

– Nie wiem. Dwa, trzy lata temu? Pamiętam, że chciał mnie poznać z jakimiś ludźmi. Niektórzy bardzo mi się nie spodobali.

– Co pani ma na myśli?

Wzruszyła ramionami.

– Bo ja wiem, wyglądali jakoś... Mieli w sobie coś fałszywego. Wierzcie mi, potrafię rozpoznać kłopoty z daleka, a ci ludzie cuchnęli nimi na kilometr. Ostrzegałam Stana, że powinien przestać się z nimi spotykać, że ściągną mu na głowę problemy.

Servaz trzykrotnie podkreślił słowa „Cabaret Rouge”. Intuicja podpowiadała mu, że to może być coś ważnego.

– Pamięta pani, jak się nazywali? Czy mogłaby ich pani opisać?

Spojrzała na niego nieufnie, mrużąc oczy.

– Żartuje pan? To było dawno. Pokłóciliśmy się, powiedział mi, że w ogóle go nie rozumiem i ciągle tylko krytykuję to, co robi, że jestem głupia. Od tego czasu więcej się do niego nie odezwałam.

Servaz popatrzył na rozmówczynię. Jej zawziętość sprawiała, że po plecach przechodziły mu ciarki. Pomyślał o Léi. Ona też była na swój sposób zawzięta. Zaczął się zastanawiać, co mogłoby ją przekonać do powrotu.

– Wie pani, czy on chciał być pochowany w trumnie czy skremowany?

– A dlaczego miałyby mnie to obchodzić?

– Czy macie gdzieś rodzinny grobowiec?

Victoire Du Welz popatrzyła na Samirę niezadowolona, z miną nadąsanego dziecka.

– Tak, mamy. Ale zostało tam tylko jedno miejsce i ono jest dla mnie.

W niewielkim malowniczym porcie wiatr wiał jeszcze mocniej niż na hotelowej plaży. Duchowny po raz kolejny uświadomił sobie, że nie ma odpowiednich ubrań.

– Jest pan dobrym pływakiem? – zapytał wysoki mężczyzna w żółtym sztormiaku, który przedstawił się jako Kenneth Zorn.

– Nie bardzo.

Z niepokojem spojrzął na szalupę, małą niebiesko-białą łódkę z napisem ALGOL na burcie. Gdzieś już widział, a może słyszał tę nazwę, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Nie był specjalistą, ale pogoda wydawała mu się niezbyt odpowiednia do żeglugi – przez powierzchnię morza przetaczały się szare bałwany, a z pochmurnego nieba lały się strumienie deszczu; chwilami przez chmury prześwitywało słabe światło, ale natychmiast znikało, niczym rozbłyski latarni. Stali na mokrym nabrzeżu. Eyenga podał Zornowi kopertę.

– Chyba nie przyjechał tu ksiądz tylko po to, żeby przekazać mi tę przesyłkę? Skoro pokonał ksiądz taki kawał drogi, to znaczy, że chciał ksiądz zrozumieć, dlaczego ta koperta jest taka ważna dla tego biedaka Matthiasa Laugiera. Mylę się?

Eyenga się zamyślił. Producent miał rację. Chciał zrozumieć, chciał wiedzieć. Chciał wiedzieć, czy jego pierwsza intuicja – o działaniu w tej historii złych mocy – była słuszna. Jeszcze raz przypomniał sobie słowa pacjenta: „Piekło, ojciec... Byłem jednym z piekielnych demonów...”.

– Cóż, mogę się księdzu odwdziaczyć przynajmniej tak, że zaproszę księdza do mojego zamku. Zobaczy ksiądz, to miejsce jest jedyne w swoim rodzaju. – Dostrzegł niepokój na twarzy duchownego. – Proszę się nie bać, nie wypłyniemy na pełne morze. Wyspa leży niecałe dwieście metrów od brzegu. Morze już zaczęło opadać. Przyływ był o czternastej, a o dwudziestej będzie odpływ. Nie mamy wiele czasu. Za godzinę już tam nie dopłyniemy.

Eyenga się zawahał. Czemu nie, skoro już tu jest? Wszedł na pokład, kurczowo trzymając parasol – podmuch wiatru natychmiast wywrócił czaszę na drugą stronę. Po zaciętej walce kapłan zdołał go wyprostować, niezdarnie utrzymując równowagę.

– Daleko ksiądz nie zajedzie z tym parasolem – ostrzegł go Zorn. – Proszę uważać, bo wypadnie ksiądz za burtę. Niech ksiądz usiądzie.

Kiedy Eyenga zajął miejsce, producent filmowy uruchomił silnik o mocy dwudziestu koni mechanicznych i skierował łódź ku przesmykowi między dwoma cyplami – Ploumanac’h od wschodu i Trégastel od zachodu. Kiedy tylko je minęli, znaleźli się w objęciach wiatru, morskiej piany i zacinającego deszczu, a łódka zaczęła wznosić się i opadać na falach. Podmuchy wiatru szybko uporały się z parasolem i duchowny położył bezużyteczny przedmiot na dnie. Deszcz bębnił o kadłub i obmywał mu twarz, zmuszając do nieustannego mrugania. Jego kurtka, koszula i spodnie bardzo szybko przemokły.

Fale, sól, jod, bryzgi piany. Duchowny skierował wzrok ku czarnej, smaganej ulewą wyspie, która, tak jak oni, poddawana była szarżom morza, i zaczął się zastanawiać – nie bez pewnej obawy – czy nie utknie w tym mrocznym miejscu w towarzystwie tego dziwnego osobnika, z dala od stałego lądu i ludzi.

Od chwili wypłynięcia z portu Zorn nie powiedział ani słowa. Korzystając z faktu, że filmowiec wpatrywał się w wyspę, Eyenga uważnie mu się przyjrzał. Końska twarz poorana głębokimi bruzdami, długie włosy, krzaczaste brwi, zaskakująco duże usta i – co dziwne – brzydkie, nachodzące na siebie zęby. Całość przywodziła na myśl maskę z niskobudżetowego filmu.

Kapłan zwrócił uwagę na skały, które znalazły się niebezpiecznie blisko, ale Zorn znał się na rzeczy – manewrując między nimi, doprowadził łódkę do osłoniętej piaszczystej plaży.

– Wysiadka – powiedział.

Przemoczony i trzęsący się z zimna Eyenga stanął na grząskim piasku. Wdychając pełną piersią morskie powietrze, kuląc się przed wiatrem, dotarł do wyżłobionych w skale schodów i podniósłszy oczy na szarą bryłę zamku, omiół wzrokiem jego wieże, blanki i okna. Prosta, masywna budowla musiała sobie dobrze radzić w starciu z nawałnicami. Posadzone wokół niej sosny skrzypiały, a srebrzyste mewy wesoło tańczyły na wietrze.

Zorn podniósł silnik, wyciągnął łódkę na brzeg i zacumował ją do zardzewiałej obręczy.

– Zapraszam – powiedział. – Później schowam łódź.

Otworzył ciężkie drzwi zwykłym kluczem i schronili się pod dachem w wąskim, łukowato sklepionym korytarzyku, w którym nie mogłoby się minąć dwóch mężczyzn. Na jego końcu znajdowały się schody prowadzące do przestronnej, wysokiej sali o kamiennych ścianach pokrytych tkaniną i drewnem. Mimo średniowiecznego wyglądu pomieszczenie nieoczekiwanie okazało się przytulne. Eyenga powiódł wzrokiem po lampach, dywanach, głębokich sofach i antykach.

– Zaraz wracam – poinformował Zorn.

Kiedy duchowny został sam, jego uwagę przykuł znajomy zapach kadzidła i konopi. Na ścianach wisiały oprawione w ramki plakaty filmowe; rozpoznał produkcje Zorna wymienione w Wikipedii: *Ceremonia*, *Erzebet*, *Bloody Games*... I inne, takie jak *Egzorcysta*. Czy istnieje choć jeden ksiądz, który nie słyszałby o *Egzorcystyce*?

Zorn wrócił po pięciu minutach ubrany w ekstrawaganckie czerwono-czarno-złote kimono przewiązane w pasie, tak że Eyenga mógł zobaczyć jego nagie stopy i gładkie łydki. Producent podał duchownemu ręcznik i czystą koszulę.

– Proszę. Utopi się w tym ksiądz, ale zawsze to coś suchego.

Kapłan rozebrał się do pasa, wytarł i włożył koszulę, której rękawy rzeczywiście okazały się o wiele za długie. Zauważył, że przez cały czas trwania tej operacji Zorn bacznie mu się przyglądał.

– Całkiem niezłe mięśnie jak na księdza – stwierdził.

Eyenga od razu poczuł ochotę, by znaleźć się gdzie indziej. Z pewnym przestachem przypomniał sobie słowa, które Zorn wypowiedział przed wypłynięciem: „Za godzinę już tam nie dopłyniemy”. To oznaczało, że nie ma co liczyć na szybki powrót na stały ląd. Ani teraz, ani w najbliższych godzinach. Przynajmniej łodzią. Czy byłby w stanie dojść tam pieszo i nie utopić się po drodze? Nie potrafił pływać i nie wiedział, jak długo trwa odpływ.

Zorn sięgnął po porzucony wcześniej na oparciu fotela uszaka żółty sztormiak, z którego woda kapiała wprost na dywan, wyjął z niego kopertę i rozerwał ją. Ksiądz Eyenga wiedział, co w niej jest. Pendrive. 32 gigabajty.

Producent przez chwilę przyglądał się przedmiotowi zbity z tropu. Podszedł do sekretarzyka sąsiadującego z birmańskim posążkiem Buddy o nieprzeniknionym wyrazie twarzy, otworzył laptop i usiadł. Włączył urządzenie i wetknął pendrive do gniazda USB. Po chwili na ekranie pojawiła się twarz Matthiasa Laugiera wpatrującego się w obiektyw.

– Cześć, Zorn.

Kapłan, który stał nieruchomo pośrodku pomieszczenia, wstrzymał oddech i przełknął ślinę. Głos Laugiera brzmiał zupełnie inaczej niż w szpitalu. Było w nim coś złowieszczego. Zniknęło również zbolące spojrzenie. Z oczu mężczyzny wyzierało przerażające okrucieństwo. Filmik został nakręcony w innym miejscu – za plecami mężczyzny widać było oparcie krzesła, a dalej ścianę z pomalowanej na biało cegły.

– Zorn, ja zdycham – mówił dalej tym samym tonem. – Czeka mnie piekło. I ten ksiądz, który do mnie przyszedł, niczego tu nie zmieni. Jeśli to oglądasz, wiesz, o czym mówię. Bo to znaczy, że dał ci kopertę.

Zorn się odwrócił i przelotnie zerknął na duchownego, który stał za jego plecami, po czym wrócił do nagrania. Eyenga zamarł. Czy mu się przywidziało, czy w oczach producenta zobaczył strach? Co to znaczy?

– Rak. Od azbestu. W tamtych czasach azbest był wszędzie. – Nastąpiła chwila milczenia. Laugier spuścił wzrok, jego rzęsy drżały, po czym znowu nienawistnym wzrokiem spojrzał wprost w obiektyw. – Ale ty też masz zagwarantowane piekło, Zorn. Ty i cała reszta. Bo zanim umrę, opowiem o wszystkim. Założę się, że nigdy się nie nawróciłeś. Że robiłeś to dalej. Że wszyscy robiliście to dalej. Wylądujecie w piekle, będę tam na was czekał. Na razie, Zorn.

Ostatnie spojrzenie i film się zatrzymał. Ekran wypełniła czerń.

A potem nastąpiła cisza. Z zewnątrz dochodziły stłumione przez grube mury odgłosy burzy. Zorn powoli odsunął krzesło od sekretarzyka, popatrzył na kopertę ze spiralnym ornamentem i swoim nazwiskiem, po czym odwrócił się do Eyengi. Jego oczy lśniły.

– Co ksiądz o tym sądzi?

Duchowny starał się odpowiadać spokojnie, choć serce waliło mu jak szalone.

– Zakładam, że pan wie, co on ma na myśli.

– Owszem.

Eyenga wskazał na spiralę na kopercie.

– Co oznacza ten rysunek?
– Chyba nie jest ksiądz szczególnie miłośnikiem kina grozy?
Kapłan podniósł wzrok i przelotnie spojrzął na plakat *Egzorcysty*.
– Oglądałem *Egzorcystę*. Raz. Uważam, że ten film jest przesadzony.
Producent jakby na chwilę zapomniał o pendrivie i kopercie.
– Czy ksiądz brał kiedyś udział w egzorcyzmach? – zapytał ze szczerym zainteresowaniem.
Eyenga się zawahał.
– Tak. Ani trochę nie wyglądało to tak jak w tym filmie.
Kenneth Zorn w zamyśleniu pokiwał głową.
– A czy ksiądz wie, że głos demona w *Egzorcystcie* podkładała stara bigotka?
Duchowny zmarszczył brwi.
– Jak to?
– Reżyser William Friedkin poszukiwał głosu, który pasowałby do przerażającego demona Pazuzu przemawiającego przez usta małej Regan. W końcu znalazł taki głos: a należał on do pięćdziesięcioośmioletniej aktorki, bardzo wierzącej, nałogowej palaczki, która kiedyś nawet dostała Oscara, ale później popadła w zapomnienie i wpadła w alkoholizm. Nazywała się Mercedes McCambridge. Aby wydobyć z siebie gardłowe rejestry, jakich życzył sobie Friedkin, zażądała burbona, surowych jajek i papierosa. Kazała się też mocno przywiązać do krzesła, by poczuć cierpienie, jakie było udziałem opętanej dziewczynki. I poprosiła, by w charakterze doradców i przewodników towarzyszyli jej dwaj zaprzyjaźnieni kapłani. Friedkin jej nie oszczędzał. Czasem żeby nagrać jedno słowo, wymagał nawet trzydziestu powtórzeń, a nagrania trwały po dziesięć godzin dziennie. Mercedes zgadzała się na to wszystko bez mrugnięcia okiem. Ale w trakcie przerw jej przyjaciele księża czytali jej Biblię, a mieszkała w hotelu niedaleko studia, ponieważ po całym dniu nagrań była zbyt wyczerpana psychicznie i fizycznie, żeby prowadzić samochód. – Zorn zarechotał z rozbawieniem. – Następnie Friedkin zmiksował jej krzyki, śmiech i dźwięki, które zdołała z siebie wydobyć, z kwikiem świń prowadzonych na rzeź, a także podobno z prawdziwym nagraniem głosu egzorcyzmowanego dziecka. Nie wiem, w jaki sposób je zdobył. Friedkin obiecał McCambridge, że zostanie wymieniona w czołówce. Nie dotrzymał jednak słowa i biedna Mercedes McCambridge

musiała walczyć w sądzie o umieszczenie jej na liście płac. Jak ksiądz widzi, w moim środowisku roi się od drani, egoistów, kłamców i psychopatów.

Mężczyzna wpatrywał się w duchownego.

– Czy pan jest jednym z nich? – zapytał ostrożnie Eyenga.

Producent rozciągnął wielkie usta w uśmiechu, który wyglądał jak szczelina w murze.

– Któż to wie? Czy ksiądz wierzy w piekło?

– A pan?

– Ja, proszę księdza, widziałem piekło. Już w nim jestem – odparł Zorn.

W jego głosie dało się wyczuć niepokój. Nie spuszczał teraz kapłana z oczu, które lśniły jak dwie bryłki rozdmuchiwanego żaru. Eyenga poczuł zimny dreszcz. Ten człowiek jest szalony, nieźrównoważony. Niebezpieczny? To pytanie należało sobie postawić, skoro był z nim sam na tej przeklętej wyspie.

Kapłan się wzdrygnął, gdy Zorn złapał go za rękę. Powoli odwrócił jego dłoń wnętrzem do góry, pochylił się i przesunął po niej językiem, od czubków palców do nadgarstka. Dotyk mokrego, ciepłego, śliskiego języka przyprawił Eyengę o gęsią skórę. Gwałtownym ruchem odsunął rękę.

Zorn świdrował go wzrokiem. A po chwili spomiędzy jego warg popłynęły niezrozumiałe, wypowiedane gardłowym głosem słowa, które wstrząsnęły duchownym do szpiku kości. Usłyszał coś jakby: *Ol gnay zodaneta gah ialprg Azazel, Enay thahaotahe ol zodameta, micma, micma micalz bransg gah...*

Cofnął się, oszołomiony i przerażony. Czuł, że jego głowa płonie.

– Kim pan jest? Co to ma znaczyć? – zawołał niemal histerycznie.

I nagle przypomniał sobie, gdzie widział nazwę ALGOL wypisaną na burcie łodzi. Zrozumiał też, jakim językiem mówił Zorn. Producent wstał. Jego wysoka postać górowała teraz nad kapłanem.

– Powinien ksiądz wybrać ciemności. I zrozumieć, że otchłań jest nieskończonym źródłem mocy.

– Dość tego! – krzyknął Eyenga, rozdarty między wściekłością a strachem. – Proszę mnie odwieźć na ląd!

Zorn obojętnie wzruszył ramionami.

– Obawiam się, że będzie ksiądz musiał wracać pieszo. Droga wodna będzie odcięta jeszcze przez kilka godzin. Niech ksiądz trochę zaczeka,

inaczej porwie księdza prąd. Niestety nie uniknie ksiądz zmożenia butów.
Koszulę może ksiądz zatrzymać w prezencie.

Co ja mam robić na tej kolacji? A przede wszystkim kim są goście? To jacyś sąsiedzi? Artyści?

Judith rozejrzała się dookoła. Nigdy nie widziała wewnętrznego basenu, a tym bardziej wewnętrznego basenu takich rozmiarów. Wielki, podświetlany od dołu niebieski zbiornik z pachnącą chlorem wodą znajdował się w przestronnym podziemiu budynku. Była tu sama. Pływała na osobliwym dmuchanym fotelu – takim, jakie można zobaczyć w serialach.

Poruszyła palcami stóp, mącąc powierzchnię wody. Po powrocie do domu postanowiła sprawdzić, czy w szatni jest kostium kąpielowy w jej rozmiarze; był.

Co ja mam robić na kolacji z tymi ludźmi, ja, biedna mała studentka? Zastanawiała się, czy to przyjęcie nie jest pułapką zastawioną na nią przez reżysera. Czy stanie się obiektem żartów pozostałych gości? Czy będą się z niej wyśmiewać? Nagle poczuła ucisk w żołądku. Skup się, Jude. Pamiętaj, po co tu jesteś. Resztą się nie przejmuj, podpowiedział jej wewnętrzny głos.

Oczami duszy ujrzała hasło z toalety na stacji benzynowej, odwrócony krzyż ze swoimi inicjałami na drzewie, przypomniała sobie podsłuchaną poprzedniego wieczoru rozmowę między Artemisią i jej mężem.

Ktoś wie... Ktoś podążał za nią jak cień, ktoś śledził ją aż do tego miejsca, a może przybył tu przed nią. Ktoś wysyła jej ostrzeżenia, a może przeciwnie, chce ją przestraszyć, skłonić, żeby odstąpiła od swojego planu. Czy to on? Morbus? Ale przecież ugościł ją w swoim domu, a wystarczyło, żeby zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Niezależnie od tego, kto to jest, ona nie odpuści. Nie zatrzyma się, dopóki nie znajdzie tego, czego szuka. O nie! Nie ma mowy. Przecież nie na darmo podjęła taki wysiłek.

Wiosłując otwartymi dłońmi, dopłynęła na dmuchanym fotelu do krawędzi basenu. Z dyskretnym pluśnięciem zsunęła się do wody. Nadszedł

czas, żeby wracać do pokoju i się przygotować.

Czy jestem w niebezpieczeństwie? – zastanawiała się, gdy stanęła na posadzce i drżąc z zimna, owijała się kąpielowym ręcznikiem. Odpowiedział jej inny głos – ponury, niepokojący, pochodzący z głębin jej istoty, głos, który rozlegał się zawsze w najgorszym momencie. Ależ tak, moja droga, jesteś w niebezpieczeństwie, a jeśli się nie cofniesz, będzie tylko straszniej...

Kapłan bez końca brnął przez płyciznę. A przynajmniej przez coś, co, jak sądził, było płycizną. Szedł zygzakiem w strumieniach deszczu, klucząc pośród lśniących granitowych bloków, zwałów śmierdzących, lepkich wodorostów, łąch piasku i prądów odpływu, pośród chaotycznego, prymitywnego krajobrazu.

Kilka razy o mało nie skręcił kostki, gdy stopa poślizgnęła mu się na skale albo zapadła w dywan ukrytych pod powierzchnią wody glonów. Był przemoczony do szpiku kości, dygotał bliski wychłodzenia. Czuł się wyczerpany nerwowo, żałosny, bezsilny i opuszczony przez Boga. Prąd ciągnął go za nogi, jakby wokół jego kostek owijały się wodne węże. Wrócił myślą do dotyku wilgotnego gadziego języka na swojej dłoni i o mało nie zwymiotował.

W dużej zamkowej sali nagle przypomniał sobie, gdzie widział słowo ALGOL. Przez jakiś czas mieszkał w klasztorze San Benedetto na północ od Rzymu, wśród benedyktyńskich mnichów. Mieli stary księgozbiór, dzieła z XVI i późniejszych wieków, aż do początku XX. Kolekcja mieściła się za zakurzoną szybą w pokoju bez okna. Wiedziony – skuszony? – ciekawością, postanowił poczytać do poduszki tajemniczy traktat o magii lucyferiańskiej. Z grzeszną lubością – pod pretekstem studiowania strategii wroga, a przede wszystkim dla żartu – pogrążył się w lekturze. Nie był przecież tak naiwny, by sobie wyobrazić, że diabeł może się pojawić na zamówienie jak cholerny szpenio od telewizora. Słowo ALGOL znajdowało się właśnie w tej książce. Zgodnie z zawartymi w niej informacjami pochodziło od arabskiego *Al Ra's al Ghul* – czy jakoś tak – co oznaczało „Głowa demona”. Po hebrajsku *Rosh ha-Shaitan*: „Głowa szatana”.

A język, którym mówił Zorn – kapłan już wtedy zdał sobie z tego sprawę – to był enochiański, język okultystyczny używany do rytuałów satanistycznych. Eyenga ani trochę nie wierzył w te wszystkie brednie. Ale

najwyraźniej wierzył w nie Zorn. Idź do diabła, Kennecie Zornie, czy jak się tam naprawdę nazywasz.

Nagle krzyknął przenikliwie. Tym razem rzeczywiście skręcił kostkę. Z grymasem bólu na twarzy pochylił się, by ją rozmasować, i dokładnie w tej samej chwili niebem wstrząsnął potężny grzmot, od którego prawie pękły mu bębenki.

Kenneth Zorn wyjął pendrive. Kiedy po raz pierwszy oglądał jego zawartość, zrodziła się w nim pewna wątpliwość. Trzydzieści dwa gigabajty? Na niespełna trzyminutowy filmik?

Włożył go z powrotem i uruchomił odczyt. Ponownie wysłuchał, jak Matthias Laugier obiecuje mu piekło. Gdy ekran poczerniał, Zorn przewinął dalej. Przez trzy minuty nic się nie działo, po czym pojawił się kolejny obraz. Młoda aktorka siedząca na krześle pośrodku dużego pomieszczenia, a naprzeciw niej, za stołem, cztery osoby – w tym on.

Przesłuchanie. Casting. Bardzo dobrze pamiętał tę sytuację. Jak mógłby zapomnieć?

Cztery osoby widoczne były od tyłu, młoda aktorka – *en face*. Następnie kamerzysta zrobił zbliżenie na jej anielską twarz. Zorn doskonale ją sobie przypominał. Miała zaledwie osiemnaście lat.

GŁOS ZORNA: Okej. Kamera?

DRUGI GŁOS: Kręcimy.

ZORN: Jak się pani nazywa? Na początek wystarczy imię.

MŁODA KOBIETA: Mia.

ZORN: Bardzo mi miło, Mio. Czy zna pani tekst?

MŁODA KOBIETA: Tak. Jestem gotowa.

ZORN: Świetnie. Czy zrozumiała pani, o czym on mówi?

MŁODA KOBIETA: Tak. Chodzi o opętaną kobietę, która przechodzi atak...

ZORN: Tak jest. To dokładnie ten moment, kiedy demon bierze ją w posiadanie. Ona z jednej strony broni się przed tym, żeby w nią wszedł, ale z drugiej coś w niej tego chce.

MŁODA KOBIETA: Tak...

ZORN: Rozumie pani, Mio? Ona cierpi, czuje ból, ale też pragnienie, przyjemność i narastającą ekstazę. Stopniowo wchodzi w trans, doświadcza czegoś, czego aż do tej nocy nigdy nie doświadczyła. Rozumie pani?

MŁODA KOBIETA: Sądzę, że tak.

DRUGI GŁOS: Dla pani większej swobody, żeby mogła się pani lepiej wczuć w tekst, zgasimy wszystkie światła. Kamera działa na podczerwień, więc będzie panią filmować, a my skupimy się na pani głosie, oddechu, intonacji. Czy jest pani gotowa?

Zorn wyłączył odtwarzanie. Wiedział, co będzie dalej. Wyjął pendrive. Rozejrzał się po sali, w której słychać było już tylko szalejącą na zewnątrz burzę.

Gobeliny, imponujące łóżko z drewna tekowego sprowadzone z Hongkongu, szafka nocna z intarsją Boulle'a kupiona w 1998 roku na aukcji w Nowym Jorku – jego pierwszy piękny przedmiot – kopia *Upadku zbuntowanych aniołów* Luki Giordana i Williama Hogartha *Satan, Sin and Death*. I afisze wszystkich filmów, których był producentem. Głównie kino eksploatacyjne, innymi słowy seks, przemoc i scenariusze, które zmieściłyby się na znaczku pocztowym.

Wszystko to marność, pomyślał. Stare ludowe przysłowie, które głosi, że człowiek niczego nie zabierze ze sobą do grobu, jest prawdziwe. Czy po jego pobycie na tej ziemi w ogóle coś się zachowa? Kiedyś sądził, że Morbus zostanie największym współczesnym reżyserem francuskim, a on na zawsze będzie tym, który go odkrył i stworzył – mentorem, wiernym przyjacielem, człowiekiem stojącym za jego geniuszem. Morbus jednak przestał kręcić, wycofał się ze świata i zaszył w Pirenejach.

Morbus – jego największy tryumf i największa porażka. Jaka była szansa trafienia na nieznanego jeszcze Morbusa Delacroix, kiedy samemu było się młodym producentem usiłującym wyprodukować swój pierwszy film? Żadna. A w każdym razie bliska zera. A jednak to się wydarzyło. Oczywiście wiedział, czemu zawdzięcza to szczęście. Lub raczej komu. Nawet gdyby nikt mu nie uwierzył. Poza niewielkim kręgiem osób...

Zorn wiedział, że jeśli to wideo zacznie krążyć w sieci, prędzej czy później wybuchnie skandal. Zwłaszcza w tych czasach, kiedy aktorzy częściej stają się sławni za sprawą wytoczonych przez siebie procesów niż dzięki własnemu talentowi. I kiedy nawet mainstreamowe media chętnie taplą się w błocie plotek i oskarżeń.

Jego nazwisko zostanie zszargane, zhańbione, wyrzucone na śmietnik. Jego dzieci dowiedzą się o wszystkich popełnionych przez niego

niegodziwościach, o jego perwersjach, o jego nikczemności, o jego kłamstwach. Nie ma mowy, by stawił temu czoło.

Podszedł do stołu do tryktraka. Sięgnął po leżącą na niebieskim obrusie talię kart do tarota. Zawierała wyłącznie wielkie arkana. Siedem razy przetasował karty. Przełożył lewą ręką. Rozłożył je koszulkami do góry. Wyciągnie tylko dwie, to w zupełności wystarczy. Skoncentrował się.

– Co mam robić? – zapytał na głos.

Odwrócił pierwszą kartę. Siedemnasta z talii. Wieża. Dwie osoby spadające z wysokiej średniowiecznej wieży i język ognia ziejącego z nieba, który ścina jej wierzchołek, a z jej wnętrza tryskają płomienie. Wiedział, że spadające osoby przedstawiają dwa aspekty jego życia: oficjalny i sekretny. Druga karta. Zadrzał. Trzynasta. Arkan bez nazwy. Szkielet z kosą. Inaczej mówiąc, Śmierć. U stóp kostuchy leżą na ziemi dwie ludzkie głowy, z których jedna jest w koronie.

Przełknął ślinę. Karty przemówiły z całą jasnością. Zamknął i otworzył oczy. Pozostawało mu tylko ze sobą skończyć. Ale przedtem musiał jeszcze do kogoś zadzwonić. Wybrał numer i trafił na pocztę głosową. Nagrał wiadomość.

Następnie zszedł do pomieszczenia, w którym przechowywał benzynę do silnika łodzi i z dwoma pełnymi kanistrami wrócił do sali. Spryskał gobeliny, meble i afisze, uważając, żeby nie oblać siebie. Następnie pstryknął złotą zapalniczką i schylił się.

Płomienie błyskawicznie skoczyły na benzynę i z przerażającą żarłocznością zaczęły pochłaniać tkaniny ścienne i meble. Poczul na twarzy podmuch żaru niczym palący oddech wulkanu. Przez chwilę z fascynacją przyglądał się temu piekłu. W jego źrenicach odbijały się tańczące rozbłyśki.

Następnie wszedł na piętro i powtórzył całą procedurę w każdym pokoju, trzech łazienkach i buduarze. Po drodze sięgnął po szkaradną lateksową maskę: twarz straszidła z *Ceremonii*, pierwszego filmu jego produkcji i pierwszego dzieła Delacroix. Morbus dał mu ją na pamiątkę za zgodą Stana Du Welza, który ją stworzył – gość miał wielki talent do takich rzeczy.

Wspiął się po ostatnich stopniach na otoczony blankami górny taras o powierzchni osiemdziesięciu metrów kwadratowych. Gdy tylko wyszedł, uderzył go gwałtowny wiatr i zacinający deszcz. Kenneth Zorn wciągnął

w płuca ożywcze, słone powietrze i zrzucił z siebie kimono, pod którym był nagi. Natychmiast porwał je wiatr. Chwilę później mężczyzna naciągnął maskę na twarz i stanął na jednej z blanek, obojętny na zawrotną otchłań w dole i kołyszące nim podmuchy wiatru. Kilka metrów pod nim pod wpływem ciepła eksplodowały szyby, z okien buchnęły potężne płomienie żałobnego stosu – jak na karcie tarota.

Podziwiając burzę, gigantyczne błyskawice rozdzierające ciemność i wzburzone morze, splunął na dłoń i zaczął się masturbować. Nikt poza nim nie byłby w takim stanie zdolny do erekcji. Ale on czuł, że sytuacja go podnieca, że podnieca go nadchodząca śmierć, że to ostatnie plunięcie w twarz porządnickim i konformistom podnieca go w najwyższym stopniu – i krew szybko napłynęła do jego nabrzmiałego prącia. Zorn poczuł nadciągający orgazm. W rozkosznym momencie wytrysku rzucił się w otchłań.

Gdy Servaz kończył rozmowę, do biura wszedł Espérandieu.

– Znajdź dla nas lot na jutro – polecił komendant.

– Dokąd się wybieramy?

– Do Paryża. Właśnie rozmawiałem z kryminalnymi. Mam tam kumpla, z którym byłem na roku. Dzwonimy do siebie na Boże Narodzenie. Pomoże nam. Połączymy siły.

Espérandieu zmarszczył brwi.

– A co my mamy do roboty w Paryżu?

– Cabaret Rouge – odparł Servaz. – Victoire Du Welz twierdzi, że jej brat spotykał się tam z ludźmi „takimi jak on”. Powiedzmy, że chodzi o takie rozszerzone rozpytanie w sąsiedztwie.

Vincent spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Co spodziewasz się tam znaleźć oprócz turystów, samotnych starszych panów i innego tałatajstwa, które kręci się w okolicy?

Servaz oparł buty o krawędź biurka i Espérandieu zauważył w jego zachowaniu podobieństwo do inspektora Harry’ego – z tym że Martin ani trochę go nie przypominał.

– Przemyślałem to – powiedział jego szef i przyjaciel, przekładając między palcami zwykły ołówek. Vincent zauważył w duchu, że Martin jest prawdopodobnie ostatnią osobą w budynku korzystającą z ołówek, zwłaszcza drewnianych. – Według Fatihy Du Welz był torturowany. Kilka razy wyciągano mu z ust knebel, żeby go zmusić do mówienia. To nie wygląda na morderstwo popełnione w przypływie szału przez innego pacjenta. Podobnie jak te pszczoły. W obrębie szpitala nie ma uli, zostały przyniesione z zewnątrz. Przez kogo? Kto go torturował i w jakim celu? Oto jest pytanie. Zrobiłem wywiad: Du Welz wrócił do Tuluzy dopiero niedawno, wcześniej przez jakiś czas mieszkał w Paryżu. Być może tam należy szukać źródła jego problemów.

– Ale przecież mamy ucieczkę Jonasa Résimonta.

Servaz pokręcił głową z zakłopotaniem.

– Właśnie. I nie mamy pojęcia, w jaki sposób zniknął. Obejrzałem nagranie jeszcze raz i nie ma na nim nic ciekawego poza Rollinem i dwiema pielęgniarkami. Na jakim etapie są ich przesłuchania?

– Samira się tym zajmuje.

– Świetnie. Coraz mniej wierzę, że to Résimont zamordował Du Welza.

– Myślisz, że ktoś pomógł mu w ucieczce, żeby zmylić trop? Ale w dalszym ciągu nie wiadomo, jak gość się wymknął.

Ponieważ jego szef nie odpowiadał, Espérandieu zaczerpnął powietrza i mówił dalej.

– Okej. Przyjmijmy, że Cabaret Rouge jest miejscem, w którym... coś się zaczęło. Że istnieje cień szansy na znalezienie kogoś, kto nam wskaże drogę. Ale czy musimy tam jechać obaj?

Servaz przestał ssać końcówkę ołówka. Uśmiechnął się.

– Być może zobaczysz coś, czego ja nie zobaczę. I na pewno będziesz się czuł w tym towarzystwie swobodniej niż ja.

– Dlaczego w takim razie nie mogę jechać sam?

Servaz rzucił mu wymowne spojrzenie. Espérandieu skinął głową na znak, że zrozumiał.

– Dlatego, że pan komendant nie lubi delegować zadań – odpowiedział sam sobie. – Zwłaszcza kiedy myśli, że jest szansa, żeby na coś trafić. Oraz dlatego, że nie działamy w pojedynkę. Okej. Rezerwuję dwa miejsca na lot Blagnac – Orly. Bilety w jedną stronę.

– Tak, dziękuję.

– Nie ma za co. Przed wyjazdem powinieneś obejrzeć klip *Let it happen* grupy Tame Impala.

– Co to jest?

Vincent wiedział, że Martin panicznie boi się latać.

– Zobaczysz.

Scena kolacji. Wieczór, wewnątrz.

– Przedstawiam wam Judith. Judith jest studentką filmoznawstwa i pisze pracę na temat moich filmów. Zaprosiłem ją, by spędziła ten wieczór z nami – oświadczył Morbus.

Nie doszukała się w jego słowach ani krztyny sarkazmu. Goście uśmiechnęli się do niej życzliwie. Potoczyła spojrzeniem po jadalni. Symfonia czerwieni. Purpurowe tkaniny na ścianach, szkarłatny obrus, karminowa wykładzina, pomarańczowe zasłony. Pomiędzy srebrnymi naczyniami kryształ Baccarat i porcelana, trzy świeczniki: w środkowym czerwone świece, w dwóch pozostałych – czarne.

Morbus dokonał prezentacji. Na pierwszy ogień poszło małżeństwo Niemców około pięćdziesiątki: on producent filmowy, ona – aktorka. Była piękna, nieumalowana, z podkrążonymi oczami; on miał blond włosy, bródkę w szpic i niepozorny wygląd, który nie spodobał się Judith. Następnym był notariusz Morbusa, Julien jakiś tam, około czterdziestki, rozwiedziony. Dalej kolejna para około trzydziestki, Judith zrozumiała, że są muzykami. Facet z brodą, laska – dziewczyna z miasta wystylizowana na wieśniaczkę. Konformizm w przebraniu nonkonformizmu.

Państwo Delacroix królowali u przeciwległych szczytów stołu. Artemisia miała zatroskaną minę. Obsługą zajmowało się małżeństwo służących po sześćdziesiątce, którzy chodzili wte i wewte z pełnymi i pustymi półmiskami. Judith nie mogła przestać myśleć o tym, jak Morbus ją zrugął, kiedy poruszyła temat *Orfeusza*. Najwyraźniej trafiła w czuły punkt. Co ty wyprawiasz? – zganiła się w duchu. Zaraz cię nakryją.

Zgromadzeni wzniesli toast i Judith sięgnęła po swój kieliszek z szampanem.

– Czyli pisze pani *eine These...* pracę o Morbusie? – zapytał znieczeka z lekkim akcentem Niemiec o imieniu Stefan.

Skinęła głową.

– Mam nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę z tego, jak bardzo to jest *ehrgeizig*... ambitne?

Zaczerwieniła się. Wszyscy patrzyli teraz na nią. Również Delacroix. Zdawał się oczekiwać od niej jakiejś błyskotliwej odpowiedzi, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Oczywiście – wydukała żałośnie.

Niemiec skinął głową. Wyglądało na to, że nie zamierza jej tak szybko odpuścić.

– Morbus jest jednym z największych reżyserów swojego pokolenia – powiedział z naciskiem. – Jego kino jest potężne i niewygodne do granic możliwości. Jest mostem między tym, co widzialne, a tym, co niewidzialne.

– Stefanie... – zaoponował rozwlekłym głosem Delacroix.

– Chwileczkę, Morbus, daj mi dokończyć. – Niemiec powstrzymał go gestem dłoni. – Ta młoda kobieta, Judith... w której kompetencje nie wątpię, skoro zgodziłeś się ją zaprosić, choć przecież stronisz od dziennikarzy i ciekawskich, musi w sobie coś mieć, *jedoch* chciałbym się upewnić, że Judith jest... jak wy to mówicie... w pełni świadoma, że pisanie pracy o tobie to zadanie więcej niż ambitne, że to... *blasphemisch*.

Uznała, że ostatnie słowo oznacza bluźnierstwo.

– Niech go pani nie słucha, Judith, Stefan próbuje zrobić na pani wrażenie – wtrąciła Artemisia.

– Dlaczego? – zapytała. – Dlaczego bluźnierstwo? Mówimy o żywej sztuce czy o martwej? Jeśli uważa pan, że o twórczości, hm... Morbusa – po raz pierwszy nazwała go po imieniu w obecności innych osób – mogą się wypowiadać jedynie specjaliści, krytycy, intelektualiści, to funduje jej pan powolną śmierć. Skazuje ją pan na zapomnienie w archiwach filmotek i specjalistycznych czasopism. A czy nie byłoby lepiej, gdyby wszyscy mogli ją poznać? Zresztą gdybym ja sama uznawała ją za świętość, jak mogłabym ją zrozumieć?

Stefan się skrzywił.

– W każdym razie niech się pani wystrzeżga błędu przypisywania jej wymiaru społecznego. – Roześmiał się pogardliwie. – Pamiętam, jak ten aktor, Clément Didion, który stał na czele jury ostatniego festiwalu w Cannes, zapytał: „Czy możemy zrobić coś więcej, niż posłużyć się kinem, by potrzęsnać sumieniami i obudzić obojętnych?”. Byłem tutaj, oglądaliśmy z Morbusem ceremonię w telewizji. Morbus aż podskoczył na

sofie i zaczął wrzeszczeć: „Nie, kino nie jest od tego, żeby się nim posługiwać, kretynie! Kino ma służyć wyłącznie sobie! Nie ma być moralizujące, społeczne, etyczne, polityczne i tak dalej! Nie ma udzielać lekcji, zresztą ty też nie, ponury idioto. Aktorzy i reżyserzy niczemu nie służą. Goście opływający w forszę, którzy mają swoje stałe miejsce u Fouqueta, nie są od tego, żeby uczyć ludzi moralności!”.

Stefan, który w czasie wygłaszania tej tyrady zerwał się na równe nogi, usiadł. Niektórzy skwitowali jego wypowiedź śmiechem.

– Kino to magia, Judith. I nic więcej. Morbusie, mam rację czy nie mam?

– Czarna magia – dodała Artemisia.

Delacroix milczał. Judith była zaskoczona jego obojętnością. Sądziła, że jest zadufany w sobie, pełen poczucia własnej wielkości. Tymczasem wyglądało na to, że zachwyty Stefana spływają po nim jak woda po kaczce. Nastąpiła chwila ciszy. A potem znowu zaczęli rozmawiać i tak jak wcześniej Morbus pozwalał mówić innym, a sam uśmiechał się z zadowoleniem i z rzadka wtrącał jakieś słowo. Za każdym razem, gdy na niego spojrzała, przyłapywała go na tym, że ją obserwuje.

– Stefanie, opowiedz nam o tych związkach między magią i kinem, uważam, że to ciekawe – powiedziała w pewnym momencie jego żona.

– Cóż – odparł Niemiec, skwapliwie korzystając z okazji, że może wrócić do głosu – na początku reżyser to był *Zauberkünstler*, *Taschenspieler*... jak to jest po waszemu? Iluzjonista, prestidigitator, magik. Tacy byli Méliès, Albert E. Smith, Gaston Velle... Kino początkowo było rozrywkową atrakcją, mówiło się o „sztuce jarmarcznej”. Owi magicy traktowali kino z jego trikami jako nowy zestaw sztuczek. Niektórzy jednak posunęli się dalej. Zobaczyli w kinie formę czarnoksięstwa. Szamanizmu. Okultyzmu. Nie zapominajmy, że doktor Mabuse Fritza Langa jest hipnotyzerem. Tourneur, Dreyer, Lynch, Jodorowsky, Tarkowski, wszyscy oni uważali, że od chwili, gdy wypowiadamy słowo „kamera”, do chwili, gdy wypowiadamy słowo „cięcie”, dzieje się coś magicznego. Czy oglądała pani *Testament doktora Mabuse*? A *La Charette fantôme*? A *Czarownice*?

Musiała przyznać, że nie oglądała.

– Derrida mawiał, że kino to „sztuka, która pozwala widmom powrócić”...

Czy ktoś może uciszyć tego nudziarza? – pomyślała. Dlaczego Morbus nic nie mówi? Rano był taki rozmowny. Czuła się osaczona. Kręciło jej się w głowie. Na chwilę zamknęła oczy i zrobiła głęboki wdech. Co to ma być, cholera, ale buc...

– Stefanie, na miłość boską, ależ ty potrafisz być czasem pompatyczny – odezwał się w końcu Delacroix.

Niemiec się roześmiał.

– Kino nie jest niczym więcej jak tylko iluzją – oświadczył Morbus. – Światła i cienie mieszają się, żeby stworzyć złudzenie rzeczywistości. Ale to nie jest rzeczywistość.

– Morbusie – zaproponował Niemiec nieco ciszej, ze szczerym zdziwieniem – nie możesz przecież zaprzeczyć, że czasem coś się pojawia. Że coś jest, choć tego nie ma. Coś, co pochodzi z tamtej strony...

Znowu zapadło milczenie i trwało trochę dłużej niż poprzednio. Judith nie wiedziała dlaczego, ale słowa Niemca w niej zarezonowały, przywołując jakieś bardzo stare uczucie.

– Masz zbyt bujną wyobraźnię – zażartował Delacroix.

Spojrzał jednak na Niemca z taką stanowczością, jakby chciał go raczej ostrzec, niż zażartować. Judith sobie uświadomiła, że w tej wymianie zdań jest jakiś podtekst, jakieś niedopowiedzenie: przysłuchiwała się rozmowie, której wstępne założenia jej umykały, w rozmowie, którą tamci odbyli już wcześniej.

Kolacja dobiegała końca. Wszyscy biesiadnicy mieli lśniące oczy i rumiane twarze. Ogarnęło ją dziwne odrętwienie. Chciała podnieść rękę do czoła, ale zahaczyła o kieliszek. Czerwone wino wylało się i wsiąkło w obrus.

– Przepraszam!

Napotkała czujny wzrok Artemisii. Zauważyła, że kobieta ma na szyi niewielki tatuaż: krzyż, którego dolne ramię kończyło się hakiem.

– Nic się nie stało – powiedziała pani domu, osuszając obrus swoją serwetką, i pogładziła Judith po nadgarstku.

Dziewczyna zadrzała. Kręciło jej się w głowie, a powieki miała jak z ołowiu. Wzdłuż jej szyi przesuwiała się fala gorąca, jakby ktoś umieścił jej pod brodą grzejnik.

– Źle się pani czuje? – zapytała Artemisia.

Jej głos dotarł do Judith przez kilka warstw waty.

Delacroix zakasłał.

– Judith, słyszy mnie pani?

Słowa odbijały się echem w jej głowie. Popatrzyła na niego. On również miał szkliste oczy, jakby był pijany. Może zresztą był... Podczas kolacji opróżniał jeden kieliszek za drugim. Judith czuła się przyspawana do krzesła miazdzącym zmęczeniem. Zza mgły zmysłów dotarł do niej głos Stefana:

– Twoja studentka jest kompletnie napruta.

– Przepraszam – powiedziała, zrywając się z miejsca – muszę iść do toalety.

Czuła, jak na górnej wardze skrapla jej się pot. Musisz wyjść z tego pokoju, inaczej zwymiotujesz na stół. Odepchnęła krzesło i o mało się nie przewróciła. Chwiała się, zataczała. W drzwiach minęła się ze służącą, która zmierzyła ją wzrokiem.

– Morbus, skąd ty ją wytrzasnąłeś? – zapytał Niemiec gdzieś daleko za jej plecami.

Otworzyła oczy i natychmiast oślepiła ją eksplozja białego światła. Zamrugawszy kilka razy, zaczęła rozróżniać postaci stojące w cieniu za pochodzącą z dwóch źródeł jasną poświatą. Dostrzegła dwa reflektory zamontowane naprzeciwko niej, w nogach łóżka. Usłyszała dobiegające z cienia głosy, szepty, zauważyła ruch.

Mózg Judith toczył wewnętrzną walkę, by nie ulec panice, by zachować świadomość. Krzyknęła z przerażenia. Była mokra od potu. I czuła, że zaraz się posika.

Powoli wyłonili się z cienia i stanęli w białej poświacie. Rozpoznała ich. Stefan, Franka, notariusz, para muzyków, Morbus, Artemisia. Zwróciła się do nich po imieniu, ale sprawiali wrażenie, jakby jej nie słyszeli. A może nie chcieli słyszeć.

Stali wokół łóżka, trzymając się za ręce. Chciało jej się płakać. Jej serce wypełniał nieprzebrany smutek. Była przerażona, wstrząśnięta. Nigdy się tak nie czuła.

– Dlaczego to robicie? – wyjęczała, kiedy zauważyła, że jeden z nich ją filmuje.

Nie odpowiedzieli. Odwrócili głowy i spojrzeli w cień, w kierunku drzwi, które mieli za plecami. Zauważyła, że drzwi się otwierają – powoli,

niczym wieko trumny w filmach grozy. Padł na nią blady strach. Zobaczyła jakąś sylwetkę na progu. To nie był człowiek.

Na chwilę straciła dech w piersi. Pomyślała, że cała scena jest jak wyjęta z filmu Morbusa. Ale było gorzej. To była rzeczywistość.

Matthias Laugier obudził się w środku nocy. Na wyświetlaczu telefonu sprawdził, że jest 2.30, i pomyślał, że to będzie długa noc. Nie pierwsza i nie ostatnia.

Wysłuchał się w ciszę niewielkiego szpitala. Ściślej rzecz ujmując – zważywszy na głuchy szum pracującej aparatury medycznej – domyślał się, że w budynku panuje cisza. Pomieszczenie było słabo oświetlone, ale i tak nie było tu na czym zawiesić oka. Znał jego każdy szczegół, każdy cień na ścianie. Marzył mu się pokój z widokiem na morze. Blask księżyca, fale, chmury nieśpiesznie wędrujące po niebie, ptaki.

Zastanawiał się, czy w ogóle istnieje takie miejsce, w którym pacjenci mogą oglądać z łóżka ocean i niebo, i czy przynosi im to ulgę w cierpieniu. Jeśli nie istnieje, ktoś powinien pomyśleć o jego stworzeniu. Bo naprawdę, dlaczego im większe cierpienie i im bliższa perspektywa śmierci, tym ohydniejsze jedzenie i tym smutniejszy wystrój pomieszczeń? Z braku środków? Jakoś są pieniądze na olimpiady, na mistrzostwa świata w piłce nożnej, na kręcenie filmów.

Szpital jest jak więzienie. Nikt nie ma ochoty myśleć o tym, żeby to zmienić, bo nikt nie ma ochoty się tu znaleźć. A to błąd, bo w końcu wszyscy do niego trafiają. Do szpitala – nie do więzienia. Uważał, że więzienie jest dla niewielkiej grupy osób. Nie zdecydował jeszcze, komu powie w pierwszej kolejności, dziennikarzom czy policji. Zastanawiał się, czy kapłan już przekazał pendrive Zornowi.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Do pokoju weszła pielęgniarka. Laugier zauważył, że kobieta uśmiecha się zza maseczki.

– Nie śpimy?

– Boli... – wyszeptał.

Skinęła głową ze zrozumieniem. Podązał za nią wzrokiem, kiedy się odwróciła, by zamknąć drzwi, a potem podeszła do łóżka. Usłyszał głośny stukot obcasów – coś takiego, nie nosiła crocsów jak większość personelu.

Uświadomił sobie, że nie włączyła światła i był jej za to wdzięczny, bo sufitowa jarzeniówka raziła go w oczy.

W półmroku rozjaśnionym blaskiem nocnej lampki i monitorów zauważył, że kobieta przysuwa sobie krzesło do łóżka i siada. Z kieszeni fartucha wyjęła strzykawkę, opaskę zaciskową i buteleczkę ze środkiem odkażającym.

– Zastrzyk o tej porze? – zdziwił się.

– Przecież mówił pan, że pana boli?

– Tak, ale...

– Ulżę panu w cierpieniu.

Miał niejasne wrażenie, że rozpoznaje ten głos. Musiał go słyszeć w ciągu dnia. Miała maseczkę, więc nie widział jej twarzy. Ale ostatnie zdanie, które wypowiedziała, przyniosło mu tak wielką ulgę, że o mało nie zapłakał z wdzięczności.

Delikatnie ujęła go za nadgarstek i położyła sobie jego przedramię na kolanach, wnętrzem dłoni do góry. Miała ładne okrągłe kolana, które w półmroku wyglądały na opalone. Kontakt z jej skórą sprawił mu przyjemność. Przypominało mu to dzieciństwo, kiedy kładł głowę na kolanach matki, a ona gładziła go po włosach. Dzieciństwo... Odkąd znalazł się w szpitalu, coraz częściej o nim myślał. Miał ochotę się w tym zatracić. Dlaczego jednak coś nie dawało mu spokoju? Dlaczego jakaś część mózgu mówiła mu, że coś tu nie gra?

– Pierwszy raz dostaję morfinę w środku nocy – powiedział.

– Hmm – mruknęła.

– Tak czy owak, przyszła pani w samą porę – dodał, uśmiechając się.

Spojrzała na niego. W jej oczach płonęły zielone ogniki. Był pewien, że gdzieś już widział te oczy.

– Jest pani nowa? – zapytał.

Tym razem nie odpowiedziała. Zdążyła już zacisnąć mu opaskę powyżej łokcia. Potarła skórę wacikiem, by ją zdezynfekować. Z łatwością wbiła w nią igłę. Zamknął oczy. Poczł ulgę, jeszcze zanim morfina dostała się do jego krwi. Antycypacja – ludzki mózg to niezły żartowniś.

– No i gotowe – powiedziała. – Niedługo poczuje się pan lepiej.

Rozpięła opaskę, która wydała głucho plaśnięcie, i schowała ją do kieszeni razem ze strzykawką, wacikiem i buteleczką. Czy zgodnie

z protokołem covidowym nie miała obowiązku wrzucić wszystkiego do kosza?

– To dziwne – stwierdził.

– Co takiego?

Jej dłoń w rękawiczce spoczywała już na klamce.

– Jestem pewien, że gdzieś już panią widziałem. Ale nie tutaj...

Spojrzała na niego znad maseczki wzrokiem, w którym nie było już nic przyjacielskiego ani czułego. Jej oczy wyrażały takie okrucieństwo, że przeżył prawdziwy szok, jakby go spoliczkowano, i poczuł wszechogarniającą trwogę.

– To się zastanów, byle szybko. Bo nie zostało ci już wiele czasu.

Kozioł. A właściwie pół kozioł, pół człowiek. Jego potężna postać wypełniała część pokoju aż po sufit, którego dotykała wielką głową.

To niemożliwe... A jednak Judith widziała jego pysk o rozszerzonych chrapach, szpiczaste uszy, wielkie kręcone rogi, lśniąca sierść, czarnopłową głowę i przede wszystkim okrągłe oczy z prostokątnymi źrenicami, które wpatrywały się w nią tak drapieżnie, że zwinęła się na łóżku w kłębek.

– Nie, proszę! Nie!

Stwór podszedł bliżej, tak że wypełniał teraz całe jej pole widzenia. Odwróciła wzrok, nie chciała na niego patrzeć. Niczym przerażone dziecko z całych sił zacisnęła powieki. Poczowała na sobie jego gorący, ciężki oddech. Zadrzała. Czowała bezbrzeżne obrzydzenie pomieszane z równie bezbrzeżnym strachem. Skuliła się... i się obudziła.

Tonęła we własnym pocie w przemoczonej pościeli, a serce szamotało się w niej jak ptak, który chce wylecieć na wolność. Włączyła lampkę nocną umieszczoną przy łóżku z baldachimem. Co za makabryczny sen. Przez chwilę dochodziła do siebie, starając się wygnać to okropieństwo ze swojego umysłu. To było takie rzeczywiste, takie wstrząsające.

Usłyszała warkot silnika. Może to ją obudziło. A może fakt, że osiągnęła kulminacyjny punkt swojego koszmaru. Reflektory oświetliły sufit. Pochyliła się, by zerknąć na telefon. Była 3.47. Ktoś przyjechał o trzeciej w nocy? Zrzuciła kołdrę. Wstała, podeszła do okna i spojrzała w dół.

Na zwirku zaparkowała właśnie czarna terenówka. Strugi deszczu wyglądały w blasku jej świateł jak świetliste drzazgi, które zapalały się

i niemal natychmiast gasły. Drzwi od strony kierowcy się otworzyły. Nie słyszała szczekania psów: musiały rozpoznać dźwięk samochodu. Artemisia.

Judith zobaczyła, jak kobieta wysiada z samochodu w tej samej czarnej pelerynie, którą miała na sobie przy ich pierwszym spotkaniu. Szybko zniknęła w budynku. Co Artemisia robi na zewnątrz o tej porze? Czyżby miała kochankę? Pojechała się spotkać ze swoim dilerem? Ale nawet dilerzy nie pracują o czwartej nad ranem. Judith zapatrzyła się w ogromny las. Nieskończenie czarny las. Przez tę czerń nie przebijało się żadne światło. Wiele kilometrów nieprzeniknionego tajemniczego lasu, w którym panowała atramentowa ciemność, lasu, który niczym morze rozlewał się na wszystkie okoliczne wzgórza poza wysokimi, sięgającymi chmur skalistymi szczytami. Przez głowę przemknęła jej pewna myśl. Ile osób mieszka w tych górach? Jak wiele jest w nich miejsc, gdzie nikt się nie zapuszcza i gdzie można pochować ciało, tak by go nigdy nie odnaleziono? Jak wiele odludnych domów, w których można kogoś zamknąć, tak że nikt nie usłyszy jego krzyku? Czy kiedy człowiek mieszka na takim pustkowiu, nie doświadcza pokusy, by popełnić zbrodnię?

Kiedy wracała do łóżka, dostrzegła szczegół, który wcześniej przeoczyła. Drzwi. Były otwarte. A przecież była niemal pewna, że je zamknęła, idąc spać. Kurwa, co to znowu ma być? Nie, nigdy nie zostawiłaby otwartych drzwi do swojej sypialni w obcym domu. Nawet w takim stanie.

Zamknęła je i ruszyła w stronę łóżka. Sięgnęła na blat szafki nocnej po szklankę z wodą. Okropnie chciało jej się pić, głowę miała ciężką, a język jak z tektury. Już miała się kłaść, kiedy jej uwagę przyciągnął oświetlony blaskiem lampki dywanik przy łóżku. Leżały na nim włosy. Nie były to jakieś przypadkowe włosy, ale sierść zwierzęcia. Czarna i płowa.

Drzwi gwałtownie się otworzyły. Zespół medyków wpadł do pokoju Matthiasa Laugiera czterdzieści sekund od chwili, gdy aparatura przekazała do dyżurki sygnał o nagłym zatrzymaniu funkcji życiowych.

– Cholera! – zawołała pielęgniarka.

Wykres EKG był płaski jak autostrada między Gand i Anvers, a czynność serca spadła do zera. Przez kolejne minuty uwijali się, by przywrócić go do życia. Bez sukcesu. Jako pierwszy odpuścił dyżurny internista. Podniósł się z posępną miną.

– Dobra, daj już spokój – powiedział.

Pielęgniarka poszła w jego ślady. Drzwi znowu otworzyły się na oścież i do pomieszczenia weszła starsza od tamtych dwojga kobieta. Przemierzyła pokój z prędkością tornada, spojrzała na monitor, a następnie dokładnie obejrzała ciało Matthiasa Laugiera. To ona miała wystawić kartę zgonu.

– A co to jest? – zapytała nagle.

Internista i pielęgniarka przyjrzeni się wskazanemu miejscu. Na ręce, do której nie była podłączona kroplówka, widniał ślad po ukłuciu.

– Ktoś mu robił zastrzyk?

Oślupiała pielęgniarka energicznie pokręciła głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie było żadnego powodu... Wszystko podajemy przez kroplówkę – dodała, wskazując na pompę infuzyjną i wenflon w lewej ręce.

– Dlaczego więc zrobiono mu zastrzyk, zamiast użyć wlewu dożylnego?

– Lekarka się pochyliła. – Jest świeży. I źle zrobiony. Masakra. Chcę wiedzieć, kto to zrobił. – Podeszła do poręczy łóżka i zapoznała się z dyspozycjami spisanyymi na kartce przyklepionej do tabliczki. – Nie widzę tu żadnego zaplanowanego zastrzyku – stwierdziła.

– Może narzekał na ból – zasugerowała pielęgniarka.

Czoło starszej lekarki znaczyły teraz trzy bruzdy zatroskania. Zwróciła się do internisty:

– Kto był na dyżurze?

– My... – odparł.

– W takim razie usłyszelibyście, gdyby wzywał pomocy. Czy na piętrze jest w tej chwili ktoś jeszcze?

– Z tego, co wiem, to nie.

Kobieta umilkła na chwilę, po czym zarządziła:

– Proszę cały obecny personel do pokoju socjalnego. Natychmiast!

Pielęgniarka westchnęła. Za niecałą godzinę kończył jej się dyżur. Chciała teraz tylko jednego: wrócić do domu, zjeść śniadanie z mężem i dziećmi i położyć się do łóżka. Zobaczyła, jak lekarka sięga do kieszeni fartucha po telefon.

– Do kogo dzwonicz?

– Do Pierre’a. – Pierre był dyrektorem szpitala. – Mamy do czynienia z podejrzaną śmiercią.

CZWARTEK, 23 CZERWCA

Nad ranem, gdy niebo zaczynało się przejaśniać, wreszcie udało jej się ponownie zasnąć. Była wykończona. Gdy się obudziła, wciąż czuła się przesiąknięta atmosferą snu. Jakby koszmar nie zamierzał jej opuścić. Jakby wycofywał się wolno niczym odpływ, pozostawiając lśniący ślad na piasku jej umysłu.

Szary świt za oknem zapowiadał kolejny burzowy poranek. Spędziła pod prysznicem dłuższą chwilę, energicznie trąc ciało, by pozbyć się strzępków snu, jakby zdierała z siebie wylinkę. Kiedy wyszła z łazienki, coś jej się przypomniało: spojrzała na dywanik przy łóżku i zadrżała. Nie śniło jej się. Sierść wciąż tam leżała.

– Lepiej się czujesz? – zapytała Artemisia, gdy Judith zeszła do kuchni.

Zauważyła, że gospodyni zwraca się do niej po imieniu. W jej głosie nie było cienia pretensji.

A ty? Wyspałeś się po swoim małym wypadzie? – pomyślała Judith. Gdzie byłeś dziś w nocy? Musiała być krótka. Swoją drogą masz cholernie podkrążone oczy, kochana.

– Przepraszam, nie wiem, co mi się stało – powiedziała.

– W każdym razie to nie przez jedzenie, nikt inny nie chorował.

Judith westchnęła.

– Cicho tu – zauważyła. – Goście jeszcze śpią?

– Nie, wszyscy wyjechali po kolacji. Stefan i Franka mają dom pół godziny stąd. Spędzają w Pirenejach wszystkie wakacje. Stefan bywa czasem trochę uciążliwy, nie sądzisz?

– Czy... macie tutaj kozy?

Spojrzenie Artemisii natychmiast uświadomiło Judith niestosowność tego pytania.

– Kozy? Nie, nie mamy kóz. Dlaczego pytasz?

– Tak po prostu.

Artemisia przyglądała jej się zbита z tropu. Nagle z korytarza dobiegł odgłos kroków i do kuchni wszedł Morbus.

– Mamy cytrynian betainy?
– Zaparzyłam ci zioła na detoks – odparła Artemisia.
– Ale mnie łeb napierdala. Nie, nie chcę ziół. Zrobię sobie koktajl bananowy, ma dużo potasu. Potas jest dobry na kaca.

Dopiero teraz zauważył Judith.

– Cześć. Ale miałaś wczoraj epickie wyjście, co? – powiedział z uśmiechem.

Poczuła, że jej policzki robią się gorące. Morbus przeszedł kilka kroków, naśladowując zombie.

– Jestem pewien, że Romerowi i Fulciemu by się podobało.

– Morbus, proszę cię! – przerwała mu Artemisia, jakby zwracała uwagę dziecku.

Przez kolejne pięć minut reżyser raczył się swoim koktajlem, nie przestając ukradkiem zerkać na Judith z głęboko refleksyjną miną.

– Dobra, chodźmy – zarządził w końcu. – Chcę ci coś pokazać.

Zauważyła, że on również przeszedł z nią na ty. Ruszyła za nim. Po przeżyciach ostatniej nocy czuła, że nerwy odmawiają jej posłuszeństwa. Miała coraz mniejszą ochotę na zwiedzanie tego miejsca. Przeszli głównym korytarzem i skręcili prostopadłe w kolejny po prawej. Morbus kroczył przed nią, poruszając się jak niezgrabny gnom. Ściany były czerwone jak we śnie – albo jak w kinie. Doszli do końca korytarza i mężczyzna pchnął dwuskrzydłowe, obite tapicerką drzwi ozdobione dużymi złotymi ćwiekami.

Sala projekcyjna. Pomyślała, że kino studyjne Art et essai, w którym oglądała filmy Morbusa, było niewiele większe. Wystarczająco duży ekran z welurowymi kurtynami i zaledwie trzy rzędy foteli. Na ścianach szklane kinkiety o tulipanowych kloszach. Zrobiono wszystko, by odtworzyć atmosferę dawnego kina – w kącie stał nawet automat z popcornem!

Morbus zajął miejsce pośrodku pierwszego rzędu.

– Usiądź koło mnie – powiedział.

Wykonała polecenie. Reżyser wcisnął guzik zainstalowany w podłokietniku. Zgasły światła i rozblysnął ekran. Przez chwilę miała niedorzeczną nadzieję, że puści jej kopię roboczą swojego *Orfeusza*, zakazanego filmu, który nigdy nie trafił do kin, ale rozpoznała obrazy zarejestrowane poprzedniego dnia w mieście. Uśmiechnięte, spięte, surowe, zaciekawione, roześmiane, nadąsane, wrogie, poważne, otwarte twarze.

Rozbawione, porozumiewawcze, kose, gniewne, nieufne spojrzenia. Ta parada sprawiła, że Judith poczuła się nieswojo. Według niej w całym tym doświadczeniu było coś głęboko niepokojącego, niezdrowego. Czyste podglądactwo. Chwilę później aż się wzdrygnęła: miała przed sobą własną twarz. Ujęcia *en face*, z profilu, z półprofilu, ze wzrokiem utkwionym w obiektyw lub nakręcone bez jej wiedzy, twarz wyrażająca całą gamę uczuć od ciekawości po niepokój, od niepewności po rozbawienie.

Miała wrażenie, że dusi się w tym półmroku, w którym jedynym źródłem światła było zajmujące cały ekran jej oblicze. A potem otworzyła oczy jeszcze szerzej na widok obrazów, które wbiły ją w fotel – z całych sił przylgnęła do oparcia, jakby chciała zniknąć.

Kobieta z pustymi oczodołami przypominającymi dwie czarne studnie, krwiste łzy spływające jej po policzkach, szeroko otwarte usta, do których setkami wlatywały czarne owady. Staroegipski fresk przedstawiający Seta, boga chaosu o ludzkim ciele i podłużnej ptasiej głowie. Kajman chwytający zębami tylną nogę gnu i ciągnący zwierzę do wzburzonej wody; oszalałe ze strachu oczy antylopy i przeraźliwy ryk, gdy inne krokodyle dopadają do niej bezwstydnym kłębowskiem. Ptak w dłoni dziecka, które trzyma jego smukłą szyję między lśniącymi ostrzami nożyczek; ostrza łączą się z metalicznym zgrzytem, wróbel otwiera dzióbek w niemym krzyku, po czym jego głowa odrywa się i odpada. Najazd kamerą na ostrze brzytwy zbliżające się do języka przytrzymanego szczypcami. Obrzmiałe zwłoki z gnijącymi wnętrznościami widocznymi przez ranę w brzuchu, w której kłębi się masa robaków i z której po chwili wyłania się ciekawska głowa węża.

Zabrakło jej tchu. Zaczęła drzeć.

– Morbus, proszę, niech pan to zatrzyma! – błagała, odwracając oczy od koszmarnych migawek.

Spełnił jej prośbę. Po chwili zapaliły się światła. Łapała powietrze, niemal dysząc. Na ekranie znowu ukazała się jej twarz – wielka, zaciekawiona, przestraszona.

Morbus Delacroix wbił w nią badawcze spojrzenie o temperaturze górskiego strumyka płynącego między dwoma zwałami śniegu.

– Kim ty jesteś, Judith? – zapytał.

Ksiądz Eyenga przechadzał się po kościele, w którym unosiła się woń świec. Znajdował w tym miejscu pewne ukojenie. Po mszy modlił się przed freskiem przedstawiającym kuszenie Jezusa na pustyni. Przypomniał sobie pierwszy werset z czwartego rozdziału Ewangelii według Mateusza:

„Wtedy Duch wyprowadził Jezusa na pustynię, aby był kuszony przez diabła. A gdy przepościł czterdzieści dni i czterdzieści nocy, odczuł w końcu głód. Wtedy przystąpił kusiciel i rzekł do Niego: «Jeśli jesteś Synem Bożym, powiedz, żeby te kamienie stały się chlebem»”¹.

On również – będąc na wyspie – widział oblicze złego. Czy diabeł przybrał postać Kennetha Zorna? Ciągłe miał przed oczami język producenta filmowego na swojej dłoni, jego usta wypowiadające dziwne słowa. Kim jest ten człowiek? I co oznaczała wiadomość przekazana przez Laugiera?

Boże, daj mi cięższy krzyż, pomyślał, zwracając się w stronę prezbiterium. Nie ujmuj mi ciężarów. Ale błagam, nie każ mi więcej spotykać takich ludzi jak Kenneth Zorn...

Wrócił na plebanię, zdjął albę pachnącą stęchlizną i naftaliną, wyjął z lodówki pakowane próżniowo danie. Włączył telewizor. Usiadł samotnie przy dużym stole i jednym uchem słuchał wiadomości – nieustającej litanii nieszczęść i szaleństw tego świata, ciągłego pokazu niekończącej się zbiorowej ekspiacji. Nagle usłyszał słowa, które sprawiły, że podniósł wzrok:

„Producent filmowy Kenneth Zorn, znany z tego, że w latach dwutysięcznych przywrócił francuskie kino grozy do świetności, popełnił wczoraj samobójstwo. Według doniesień lokalnej prasy rzucił się z murów zamku na bretońskiej wyspie, w którym od wielu lat mieszkał. Zamek niemal doszczętnie spłonął w pożarze. Nie ustalono jeszcze, czy oba zdarzenia są ze sobą powiązane”.

Na ekranie pojawiła się znana mu teraz aż za dobrze wyniosła twarz producenta. Kapłan wstał i zaczął się przechadzać wte i wewte. Czuł się

nieskończenie smutny i przybity. Dlaczego posunął się do samobójstwa, do ostatecznej formy świętokradztwa?

A potem pomyślał o tym, co powiedział mu w szpitalu tamten umierający mężczyzna: „Piekło, proszę księdza... Byłem jednym z piekielnych demonów”. Musi porozmawiać z Laugierem.

– Kim ty jesteś, Judith?

Pytanie wciąż dźwięczało jej w uszach. Delacroix przypatrywał jej się natarczywie. Czekał na odpowiedź.

– Nie... nie rozumiem – wybąkała, czując ulgę na myśl o tym, że blask ekranu padający na ich twarze maskuje jej bladość.

– Przyglądałem się twojej reakcji na te obrazy.

– Skąd pochodzą? – zapytała, powodowana zarówno ciekawością, jak i chęcią zmiany tematu.

– Niektóre, na przykład ten z gnu i kajmanem, są prawdziwe. Pozostałe to oczywiście triki. Nakręciłem je kiedyś, ale nigdy nie wykorzystałem. Żeby sprawdzić, jaki wywołują efekt, pokazywałem je różnym osobom i zostawiałem tylko te, które powodowały najżywsze reakcje, żeby kiedyś z nich skorzystać. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Kim ty jesteś, Judith?

Przełknęła ślinę.

– Ale jak to?

Uśmiechnął się.

– Bo widzisz, mnie interesuje to, kim jesteś w głębi duszy, a nie to, co pokazujesz innym. Chcę poznać twoje tajemnice, twoje najgłębsze myśli, chcę wiedzieć, co cię wkurza, czego się boisz i czego nienawidzisz. W zamian otworzę przed tobą drzwi do mojego świata, do mojej twórczości. Taki jest warunek.

Poczuła ogromną ulgę. Przez chwilę sądziła, że Delacroix mówi o czymś zupełnie innym – że przejrzał ją na wylot.

– Jak miałabym go spełnić?

– Krok po kroku. Zostaniesz tu kilka dni. W zamian za każde pytanie, które mi zadasz, ja zadam ci swoje. Uważasz, że to uczciwy układ?

Skinęła głową.

– Ale dlaczego spotyka mnie taki zaszczyt? – zapytała sceptycznie.

Właśnie, dlaczego?

– Ponieważ jesteś wyjątkowa, Judith. Wiedziałem o tym od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. I ponieważ kogoś mi przypominasz. I dlatego, że jest coś, czego mi nie mówisz. Ale w końcu powiesz.

1. Biblia Tysiąclecia, Mt 4,1. [\[wróć\]](#)

Było ciemno i lało jak z cebra, ale w godzinach szczytu tłum i tak wypełniał ulice, przelewając się chodnikami w blasku samochodowych reflektorów i sygnalizacji świetlnej raz po raz zmieniającej się z zielonego na czerwony i odwrotnie.

Okolice paryskiego ratusza, rue de Rivoli, IV dzielnica. Dzielnica, której mieszkańcy wychodzą z domów nawet w czasie deszczu. Bo i mają po co wychodzić. Jest tu prawie wszystko, o czym marzy reszta ludzkości: dobre restauracje, przytulne bary, sklepy, w których można kupić dosłownie wszystko, galerie sztuki, supermarkety z żywnością ekologiczną, sześciopiętrowy bazar z częścią podziemną z artykułami do majsterkowania. Servaz nie był w sowieckiej Moskwie, Kabulu ani Mogadiszu, wiedział jednak, że tutejsi ludzie, choć dużo mówią o postwzroście i skromnym życiu, należą do najbardziej uprzywilejowanych na tej planecie i nie mają bladego pojęcia o tym, czym naprawdę jest skromne życie.

W strugach deszczu przeszli na drugą stronę rue de Rivoli między sunącymi zderzak w zderzak samochodami. Ruszyli rue du Temple, następnie rue de Verrerie, minęli opustoszałe restauracyjne ogródki zadaszone płóciennymi markizami, z których spływały rwące strumienie wody. Lokale były jednak pełne.

Rue des Archives. Servaz dostrzegł migający neon. Bardziej by się spodziewał, że Cabaret Rouge mieści się w okolicach Pigalle, na przykład przy rue Frochot między Lipstickiem a Dirty Dickiem.

– Dobra, pozwólcie, że ja będę mówił, okej? – zarządził Pierrat.

Pierrat był olbrzymem koło pięćdziesiątki, o grubo ciosanej twarzy, potężnej klatce piersiowej, mocnym nosie i małych szarych oczach z czerwonymi żyłkami, który niezależnie od pory roku nosił kurtki w kolorze khaki i bojówki z mnóstwem kieszeni. Mógłby zastąpić Gene'a Hackmana w remake'u *Francuskiego łącznika*.

Servaz zapomniał jego imienia. Już w akademii policyjnej nazywali go Pierrat. Pewnie dlatego, że to nazwisko pasowało jak ulał do jego wyglądu. Martin jednak niejednokrotnie się przekonał, że pod tą „kamienną” powierzchownością kryje się niezwykle rzutki umysł.

Pchnęli czarne drzwi i weszli do wnętrza obitego czerwonym pluszem, z grubą wykładziną, oświetlonego przytłumionym blaskiem lamp. Niewielka przestrzeń wibrowała od dźwięków gitary basowej dochodzących zza zasłony, którą mieli po lewej. Przy znajdującym się w głębi kontuarze siedziała blada i szczupła młoda kobieta w obcisłej złotej sukience.

– Zastaliśmy Arkhane’a? – zapytał Pierrat.

– A kto pyta?

Pierrat jej powiedział. Dziewczyna zniknęła za ukrytymi drzwiami. Espérandieu uchylił zasłonę i zajrzał do sali. Godzina była wczesna, więc nie było tu nikogo, nie licząc trzech osób uwijających się na tonącej w blasku reflektorów scenie, które zajmowały się regulowaniem złożonego systemu haków, lin i napinaczy. Podwieszanie, pomyślał. Pewnie miało być clou programu.

Kiedy z drzwi umieszczonych za kontuarem wyłonił się Arkhane, Servaz mimo woli wytrzeszczył oczy. Była to jedna z najdziwniejszych istot, jakie kiedykolwiek widział. Szef Cabaret Rouge był tak wysoki i chudy, że przypominał wielki worek kości. Musiał mieć ponad dwa metry wzrostu. Jego twarz stanowiła interesującą układankę płaszczyzn i wypukłości; każdy centymetr kwadratowy pokrywały tatuaże i kolczyki, między innymi srebrne septum łączące ze sobą nozdrza oraz bridge u nasady nosa. Szpiczastą czaszkę miał wygoloną i również wytatuowaną, tak że skóra wyglądała na pokrytą koronką lub mozaiką. Za sprawą czerwonych szkieł kontaktowych jego oczy płonęły tak intensywnym płomieniem, że patrząc w nie, Servaz poczuł się lekko zbity z tropu. Z pewnością był to zamierzony efekt.

– Cześć, Arkhane – powitał go Pierrat, niewzruszony. – Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?

Zjawisko było odziane w długą czarną suknię na ramiączkach, odsłaniającą chude ramiona i ręce, ale zakrywającą nogi. Zapadniętą klatkę piersiową zasłaniał tiul.

– A o czym? – zapytał Arkhane głosem wysokim i ochrypłym.

- Nie tutaj.
- Chodź za mną, znasz drogę.

Arkhanie. Obeznany z łaciną Servaz wiedział, że słowo to pochodzi od terminu *arcanum*, oznaczającego sekret, używa się go w odniesieniu do wiedzy przeznaczonej dla wtajemniczonych lub do alchemicznego przepisu znanego tylko adeptom tej sztuki. Arkana to również nazwa talii tarota oraz ukryte wyjaśnienie magicznej sztuczki. Servaz uznał, że to słowo pasuje do ich sprawy, kryła przecież w sobie tyle tajemnic – nie wspominając nawet o numerze Jonasa Résimonta z przechodzeniem przez ścianę. Był przekonany, że w cywilu Arkhanie nosi całkiem banalne nazwisko. Wielu ludzi próbuje sobie wymyślić alternatywne życie.

Arkhanie wszedł za zasłonę, a oni ruszyli za nim. Na scenie pojawiła się kolejna postać. W spodniach z czarnego lateksu, z nagim torse, umięśniona, przepasana złotym pasem. Mężczyzna robił wdechy i wydechy, miał zamknięte oczy. Oddech. Skupienie. Jedna z osób operujących zestawem lin i haków przysunęła haki do jego pleców – ich metal zaślnił w blasku reflektorów – i wskazała punkty, w których podczas performansu miały się wsunąć pod skórę. Servaz przełknął ślinę.

Przeszli przez ciemny wąski korytarz, znaleźli się w pomieszczeniu, które przypominało jednocześnie biuro i gabinet osobliwości. Pomalowane na czarno ściany zdobiły liczne zdjęcia, na których Arkhanie pozował w towarzystwie osobistości ze świata okultyzmu, ale także przedstawiciele show-biznesu i sztuki. Rozpoznali kilka osób – aktorki, aktorzy, prezenterzy telewizyjni, politycy. Sufit, podobnie jak w dużej sali, był imitacją rozgwieżdżonego nieba z dużą liczbą małych diod. W podświetlonych przeszklonych gablotach Servaz zauważył czaszki ssaków i ptaków, ale także ludzką czaszkę wpatrującą się w nich pustymi oczodołami.

– No dobra. – Arkhanie zajął miejsce za ustawionym pośród tej mieszaniny biurkiem. – Co was tutaj sprowadza? Zazwyczaj mamy tu raczej kontrole sanitarne albo z OCLTI.

OCLTI, Biuro do Walki z Nielegalnym Zatrudnieniem. Pierrat skinął głową.

– Arkhanie, tym razem to nie są żarty. Chodzi o morderstwo.

Mężczyzna zrobił wielkie oczy.

– O morderstwo? W jakim sensie?

– W takim sensie, że gość nie żyje. Stan Du Welz, mówi ci to coś?

– Nie, kto to jest?

– Jego siostra powiedziała nam, że bywał w twoim lokalu.

Pierrat podał mu zdjęcie.

– Ach tak, Stan. Dość dawno go nie było. Pamiętam, że przychodził tu, kiedy organizowaliśmy sesje tematyczne na temat body artu. Jeśli mnie pamięć nie myli, pracuje w filmie. Ale w tamtych czasach wyglądał inaczej.

– Inaczej? Jak to?

– No wiecie – wskazał na głowę i ramiona – wszczepiał sobie różne rzeczy w całe ciało. Za każdym razem miał coś nowego. – Na chwilę się zamyślił. – Ale nie widziałem go już kupę czasu, przynajmniej dwa lata. Kogo zabił?

– Nie, to on jest ofiarą – wyjaśnił Pierrat.

– Czy to ma jakiś związek z Cabaret Rouge?

– To właśnie próbujemy ustalić. Może ma, a może nie ma.

– Chwileczkę. – Arkhane wstał i wskazał jedno ze zdjęć wiszących na ścianie. – O proszę. Tutaj jest wasz Stan.

Podeszli do oprawionej w ramkę fotografii wiszącej w otoczeniu dziesiątek innych. Było na niej czterech mężczyzn: Arkhane, Stan Du Welz i dwóch innych: pierwszy szczupły, około trzydziestki, średniego wzrostu, w szarym garniturze i okularach, które upodabniały go do księgowego lub tradera; drugi wyższy – prawie wzrostu Arkhane’a – brunet, przystojny, jeśli ktoś lubi takie mroczne typy, w ekstrawaganckiej czarnej pelerynie.

– Kim są ci dwaj? – zapytał Pierrat.

– Ten to Maximilien Renn – odparł mężczyzna, wskazując na księgowego. – Youtuber. Prowadzi kanał MAD, na którym opowiada o kinie grozy, muzyce metalowej, body arcie, o wszystkim, co nazywa „sztuką nadmiaru”. Freak, jak my wszyscy – podsumował nieco żartobliwie. – Czasem tu zagląda.

– A ten, który wygląda jak żywcem wyjęty z *Wywiadu z wampirem*? – zapytał Espérandieu, wskazując na otulonego peleryną wysokiego bruneta o bujnych włosach.

Arkhane wzruszył chudymi ramionami.

– Nie znam jego prawdziwego imienia. Bywa tu od czasu do czasu. Nazywamy go Valek.

– Valek?

Mężczyzna zmierzył go spojrzeniem czerwonych oczu. Strach się bać, pomyślał Vincent.

– To jest imię szefa wampirów w filmie Carpentera. Wiecie, tego, w którym James Wood poluje na krwiopijców w Nowym Meksyku. – Tylko Espérandieu przytaknął. – Mamy tu wszelkie możliwe ksywki, mówiłem wam, wszyscy jesteście freakami – powiedział i nagle spoważniał. – W sumie, jak sobie teraz pomyślę, to nie lubię tego gościa. Ma w sobie coś, nie wiem... coś niejasnego.

– Stan przychodził sam? – zapytał Pierrat.

Arkhane skinął głową.

– Poza jednym razem, kiedy przyszedł z jakąś kobietą. Zapamiętałem ją, bo to była prawdziwa jędra i traktowała nas jak świrów!

Servaz wyjął fotografię Victoire Du Welz.

– To ona.

Martin wskazał na zdjęcie czterech mężczyzn.

– Ma pan coś przeciwko temu, żebyśmy je pożyczyci?

– Jeśli oddacie... – odparł Arkhane, wyjmując fotografię z ramki.

– Masz adres tego Renna? – zapytał Pierrat. – I tego... Valka?

– Renna gdzieś mam, mówił o nas na swoim kanale. A co do tego drugiego, to nikt nie wie, gdzie mieszka ani czym się zajmuje. – Wrócił za biurko, otworzył szufladę i wyjął kalendarz. – Macie ochotę na łyk szampana przed wyjściem?

Pierrat zastanawiał się o sekundę za długo.

– Nie dziś.

Kiedy wyszli, wciąż padało. Przechodząc przez tonącą w strugach deszczu ulicę, kawałek dalej zobaczyli szczura, który biegł w przeciwnym kierunku.

– Widzę, że macie tu ten sam problem co my w Tuluzie – powiedział Vincent, otulając mokrą szyję kołnierzem.

Pierrat zarechotał.

– Kiedy dziennikarze poruszyli tę sprawę w ratuszu, członkini rady miasta odparła, że szczurów nie powinno się nazywać szczurami, bo to słowo jest nacechowane negatywnie. Według niej winno się używać słowa *surmulots*. Rozumiecie, bo szczury mogłyby się poczuć urażone. Powiedziała też, że szczury są naszymi „pomocnikami w zakresie gospodarki odpadami”, czyż to nie urocze?

Espérandieu zrobił wielkie oczy.

– To żart, prawda?

– Ani trochę.

Okna hotelu wychodziły na obwodnicę. Nieprzerwana rzeka reflektorów lśniła niczym warstwa rozmigotanego żaru lub cząstek wirujących w zderzaczach hadronów. Dookoła zapalały się światła w kolejnych oknach. Espérandieu zastanawiał się, ile kryje się za nimi samotności i tajemnic.

Wrócił do swojego spartańskiego łóżka stojącego w równie spartańsko urządzonym pokoju. Szczęśliwie pomieszczenie wyposażone było w ekspres do kawy na kapsułki i minibarek z butelką wody mineralnej oraz kilkoma batonikami Kinder Bueno.

Zanim znaleźli się w hotelu, zjedli późną kolację w restauracji przy boulevard Victor, naprzeciwko Parc des expositions, w XV dzielnicy.

Espérandieu położył się na łóżku z jedną ze swoich ulubionych powieści science fiction, *Problemem trzech ciał*. Arcydzieło chińskiego autora Liu Cixina było wspaniałą ilustracją faktu, że ideologia może doprowadzić do obłądzenia – zarówno jednostkę, jak i całe społeczeństwo, a przynajmniej jego część. Że jest zdolna stworzyć narrację bardziej realną niż sama rzeczywistość. Że powołując się na moralność oraz najchwalebniejsze intencje, popycha do popełniania największych niegodziwości. I że często wykorzystywana jest przez niewielką grupę ludzi do kontrolowania tłumu i manipulowania nim. W jego słuchawkach delikatny, eteryczny głos RY X śpiewał piosenkę *Sweat*. Jego playlista obejmowała wykonawców od The War on Drugs po Fleet Foxes.

Servaz, który mieszkał dwa pokoje dalej, wyszedł spod prysznic i suszył włosy, spoglądając przy tym na wyświetlacz leżącego na łóżku telefonu. Było za późno, by dzwonić do Gustava. Czy specjalnie czekał tak długo, by mieć pewność, że jego syn już śpi? Żeby nie musieć się konfrontować z jego złym nastrojem? Czy też po raz kolejny dał się pochłonąć nadzwyczajnej sprawie, zapominając o wszystkim innym?

Ostatecznie zadzwonił tylko do Samiry. Wciąż nie było żadnych wiadomości na temat Résimonta. Gość zniknął, ulotnił się, wyparował. Śledczy trafili na niewyraźny ślad jego kuzyna na północy kraju, ten jednak

nie widział go od lat. W każdym razie na wszelki wypadek ktoś miał się do niego pofatygować. Gdzie się podział Jonas Résimont? Nie był przecież specjalistą od ucieczek.

Wiadomość od Léi... Zobaczył ją w skrzynce, gdy miał już wyłączyć laptop. Zawahał się. Nagle poczuł ogromne zmęczenie. Wyłączył urządzenie.

Dzień trzeci (ciąg dalszy i zakończenie). Wczoraj wieczorem w czasie kolacji zawroty głowy, senność, utrata kontroli. Goście myśleli, że jestem pijana. Albo może naćpana, kto wie? Odkąd tu jestem, czuję się dziwnie. Czy próbowali mnie odurzyć? A potem miałam ten straszny sen. Ale jak to się stało, że na dywaniku przy łóżku znalazłam sierść w tych samych kolorach, jaką miał ten potworny kozioł z mojego koszmaru? Skąd ona się wzięła? I dlaczego czuję się jak mucha schwyтана w pajęczą sieć? Dlaczego mam wrażenie, że jestem ofiarą, a oni drapieżcami?

Siedziała na środku łóżka ze skrzyżowanymi nogami, trzymając na kolanach otwarty zeszyt. Od pochylania się bolały ją lędźwie.

Dzisiaj Morbus powiedział, że chce poznać moje tajemnice, moje najgłębsze myśli, chce wiedzieć, co mnie wkurza i czego się boję, a w zamian otworzy mi drzwi do swojego świata, do swojej twórczości.

Co to znaczy? Do czego on zmierza? W co gra? Przyszedł czas, żeby odkryć prawdę, ale w tym celu muszę najpierw uspić ich czujność. Dziś w nocy przejdę do działania.

Odłożyła zeszyt, zeskoczyła z łóżka i bosy weszła do łazienki. Przeglądając się w lustrze, zauważyła, że ma pod oczami sińce, które zaczynają się rozlewać na policzki, tworząc cienie przypominające makijaż rodem z filmów wytwórni Hammer. Przebywanie w tym domu wywoływało w niej coraz silniejsze poczucie zagrożenia.

PIĄTEK, 24 CZERWCA

Zakład karny w Seysses niedaleko Tuluzy, ósma rano. Piotr Suszko czekał na swojej pryczy – górnej – ze wzrokiem wlepionym w sufit, zamykając umysł na panujący wokół chaos.

Był przyzwyczajony. To nie była jego pierwsza odsiadka. Trzaskanie drzwi, głośny chrzęst zamków, telewizory rozkręcone na cały regulator, tak że można zwariować, wywrzaskiwane przez kraty w oknach dialogi i gwizdy towarzyszące rzucaniu „jo-jo”: przedmiotów przekazywanych między oknami na kawałku nitki. Tego ranka któryś więzień tłukł się i darł jak histeryk, wzywając strażników. Od jego ostrego krzyku pękały bębunki.

Piotr miał to gdzieś. Za godzinę zostawi to piekło za sobą.

– Kurwa, Piotr, ty wychodzisz! – odezwał się z dołu głos, w którym dało się wyczuć nutkę zazdrości. – Spadasz z tej chujni...

Mieli szczęście – byli w celi we dwóch. W Seysses było 1073 osadzonych na 655 dostępnych miejsc i część więźniów spała na rozłożonych na podłodze materacach. Nie była to nowa sytuacja. Jednak w ostatnim czasie zagrożenie gwałtownie wzrosło. W MH2 – bloku dla mężczyzn nr 2 – do władzy doszedł gang, który rządził z nieposkromioną przemocą. Więźniowie potworzyli grupki, w których własnym sumptem z kawałków szkła i pleksi sporządzali broń i napadali na współosadzonych, domagając się fajek, koki i pieniędzy albo po prostu dla rozrywki.

Piotr bał się ich, ale też ich rozumiał. Ci goście nie mieli nic do stracenia: nie mieli widoków na złagodzenie kary, rodzin, które by ich odwiedzały i przynosiły pieniądze albo poprawiały warunki odsiadki. Byli całkiem lub prawie całkiem pozbawieni nadziei. Stąd ta wściekłość. Wściekłość, która dosłownie w nich buzowała, zmieniała ich w dzikie bestie. Nie mówiąc o tych, którzy już w ojczystych krajach byli szefami band i przyjechali do Francji, żeby rozwinąć biznes, ale mieli pecha i dali się złapać. W rezultacie wszyscy – zarówno inni więźniowie, jak i strażnicy – się ich bali, a oni przy użyciu terroru i przemocy przejmowali wszystkie nielegalne biznesy, a nawet większość przedmiotów przerzucanych

z zewnątrz z przeznaczeniem dla innych osadzonych. Pierdolone dranie, pomyślał Piotr. Nic im nie umknie.

Tego ranka czuł, że zbliża się kolejny kryzys. Atmosfera panująca w więzieniu zwiastowała eksplozję. Domyślał się tego na podstawie drobnych znaków, zachowań. Do żadnego poważnego incydentu nie doszło od miesiąca. Dziesiątka więźniów otoczyła wtedy innego osadzonego na spacerniaku. Kiedy się odsunęli, gość leżał na ziemi, brocząc krwią, wielokrotnie dźgnięty bronią własnej produkcji. Dzięki tej metodzie napastnik był chroniony przez grupę, ponieważ mimo kamer trudno było go namierzyć. Ofiara trafiła prosto do szpitala.

Miesiąc spokoju... Bardzo długo. Odgadł, że następna burza jest już na horyzoncie. Jakby zapowiadał ją wyczuwalny w powietrzu ozon. Piotr Suszko lepiej od innych wyczuwał puls więzienia. A to, co czuł od kilku dni, przyprawiało go o nerwowość. Chciał jedynie, żeby to się nie zdarzyło tego ranka. Kurwa, nie. Tylko nie dziś. W przeciwnym razie jego wyjście się opóźni.

Reszta nie była jego sprawą. Żyć spokojnie i trzymać się z dala od kłopotów – to była jego dewiza. Aby obniżyć napięcie, zaczął po cichu odliczać – jeśli nikt się nie pojawi, zanim dojdzie do tysiąca, wezwie strażnika. Ale w zamku zgrzytnął klucz i drzwi otworzyły się na oścież.

– Suszko, do naczelnika po świadectwo zwolnienia.

Kurwa, udało się! Piotr zeskoczył z prycy, nie używając drabinki.

– Ja pierdolę, to jest to, stary – skomentował jego kolega spod celi, który jakoś nie kipiał entuzjazmem.

– Uważaj na siebie, Momo. Unikaj nakręconych. Ten pierdel stał się prawdziwym gniazdem żmij.

Zobaczył strach w oczach kolegi.

– Wiem, stary, wiem. Ja i tak czekam na nowy przydział.

Momo odsiadywał długi wyrok, jego miejsce było w centralnym więzieniu. Pożegnali się zółwikiem. Momo miał wilgotne oczy.

– Idziemy, Suszko – rzucił strażnik.

Cicho pogwizdując, mężczyzna ruszył za klawiszem. Szedł za nim po kładkach, mijając zamknięte drzwi, kraty i służę. Nie czuł się tak lekko nawet wtedy, gdy pierwszy raz wyrwał łaskę. Pół godziny później – po spakowaniu swojego skromnego dobytku do torby Adidasa i podpisaniu papierów – był na zewnątrz.

Zdezorientowany rozejrzał się po placu porośniętym spaloną trawą i prawie pustym parkingu. Cholera, gdzie jest Florent? Powinien tu być, przecież się umówili. Co on odwala? Florent obiecał mu, że po niego przyjedzie. Coś musiało się stać. A Piotr nie miał telefonu. W tej chwili był jednak zbyt szczęśliwy, by ta drobna niedogodność miała mu zepsuć humor.

Po dwudziestu minutach zaczął przebierać nogami ze zniecierpliwienia. W więzieniu nic go nie goniło i czas rozciągał się niczym guma do żucia. Na zewnątrz było inaczej. Liczyła się każda minuta. Nie zamierzał tu tkwić w nieskończoność.

Postanowił pojechać autobusem. Miał adres. Poznał Florenta na planie filmowym, gdzie zatrudnił się przy drobnych fuchach. Florent był asystentem operatora dźwięku, a Piotr miał mu pomagać i dźwigać sprzęt. Zdobył tę robotę dzięki swojemu kuratorowi więziennemu. Z początku Florent wydawał się wkurzony obecnością nowicjusza, którego mu wciśnięto, ale Piotr potrafił być użyteczny, a kiedy się okazało, że obaj pasjonują się horrorami, ostatecznie się zakumplowali. A potem Suszko zaliczył kolejną wpadkę.

Piotr dużo mu wtedy opowiadał o rosyjskim kinie grozy, o ludziach takich jak Swiatosław Podgajewski, o filmie *Wij* uznawanym za pierwszy rosyjski horror, a także jedyny horror czasów sowieckich, kiedy to cenzura przepuszczała wyłącznie dzieła ściśle zgodne z założeniami realizmu socjalistycznego.

Florent był tym wszystkim żywo zainteresowany. Zbliżyli się do siebie, zostali przyjaciółmi. Kiedy Piotr znowu trafił do więzienia, Florent nieoczekiwanie go odwiedził. Nowy przyjaciel wyjaśnił mu, że z dzielnicy, w której mieszka, do zakładu karnego jedzie się autostradą A64 zaledwie kilkanaście minut, mimo to Piotr był wzruszony, ponieważ nie spodziewał się jego wizyty.

Spokojnie ruszył w stronę przystanku. Był pewien, że Florent go nie opuścił. Facet miał w sobie coś czystego i idealistycznego, co ludzie pokroju Piotra potrafią doskonale wykorzystać. Musiał tylko dotrzeć do jego mieszkania i zaczekać.

Dziewiąta rano. Café de la Place, Vincennes. Servaz, Espérandieu i Pierrat kończyli przy barze małą czarną. Pierrat doprawił swoją kawę odrobiną alkoholu. Lokal wypełniali stali bywalcy przygotowujący się do nowego dnia pracy, który nie miał się niczym różnić od poprzednich. Na placu za oknem znajdowała się stacja kolejki naziemnej RER A – najbardziej obciążonej linii w Europie – z której wysypywały się setki pasażerów przybyłych z dalszych przedmieść. Servaz zerknął na zegarek.

– Okej, idziemy.

Do wskazanego adresu na rue de Montreuil mieli dwa kroki. W strugach deszczu dotarli na miejsce i wcisnęli przycisk domofonu.

– Tak?

– Maximilien Renn? Komendant Pierrat, brygada kryminalna. Chcielibyśmy panu zadać kilka pytań.

– Nestor, znowu sobie robisz jaja, tak? – odparł gospodarz rozbawionym głosem.

– Eee... nie, panie Renn. To nie są jaja. Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci Stana Du Welza. Czy pan zna to naz...

– Wiem, kim jest Stan – przerwał mu Renn. – Co mu się stało?

– Powiem panu, jeśli nas pan wpuści – powiedział Pierrat, ssąc miętową pastylkę.

– Winda jest po lewej, ostatnie piętro – odpowiedział mu głos w domofonie, gdy elektroniczny zamek już brzęczał.

Wyszli z kabiny. Jedyne drzwi na ostatnim piętrze były otwarte.

– Proszę, wchodźcie! – odezwał się głos z mieszkania.

Nie sprawdzili, ilu subskrybentów na YouTubie ma Maximilien Renn, ale jego kanał musiał być dochodowy – loft w samym centrum, w bezpośrednim pobliżu ratusza i zamku Vincennes, przestronne, widne pomieszczenia. A przeszklony strop, w który bębniły krople deszczu, znajdował się dobre pięć metrów nad posadzką wyłożoną parkietem z jakiegoś egzotycznego drewna. Loft miał kilka poziomów połączonych

schodami i metalową konstrukcją; wystrój również utrzymany był w klimacie industrialnym: szkło, metal, cegła, beton.

– Pięknie – docenił Pierrat. – Nie wiedziałem, że opowiadając o horrorach, można tyle zarobić.

– Dostałem niewielki spadek – wyjaśnił Renn. – I mimo wszystko nie wyniosłem się do Dubaju, żeby płacić mniejsze podatki.

Wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciu: garnitur szyty na miarę, krawat, okulary w cienkiej oprawie, włosy obcięte krótko, ale bez przesady – jednak na żywo bardziej niż księgowego przypominał członka zarządu jakiegoś banku czy firmy ubezpieczeniowej.

– Proszę tędy.

Zaprowadził ich do kąta, w którym znajdowały się kuchenna lada, skórzane sofy w kolorze miedzi oraz duży reflektor z parasolem i trójnóg z kamerą. Wyłączył reflektor.

– Właśnie nagrywałem – wyjaśnił. – Okej, siadajcie. Co się stało ze Stanem?

Opadł na sofę.

– Zabójstwo – odparł Pierrat i poszedł w jego ślady. – Został zamordowany w szpitalu psychiatrycznym, w którym był leczony.

– W szpitalu psychiatrycznym? – Renn wyglądał na szczerze zaskoczonego. – A jak trafiliście do mnie?

Servaz wyjął zdjęcie Arkhane’a.

– A, no tak, Cabaret Rouge. Ciekawe miejsce. Nie miałem wieści od Stana od dłuższego czasu. Poznaliśmy się przez wspólnego znajomego. Na moim kanale dużo mówię o kinie. Macie już jakiś trop?

– Jeden z pacjentów szpitala uciekł, mieszkał w pokoju obok Du Welza – powiedział Martin.

– Ale co Stan robił w szpitalu psychiatrycznym?

– Miał poważne problemy ze zdrowiem psychicznym – odpowiedział Servaz, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.

Renn pokiwał głową.

– To pewnie dlatego zniknął z towarzystwa.

– Zajmował się efektami specjalnymi, tak? – zapytał Espérandieu.

Youtuber przytaknął.

– Tak, pracował też dla kina mainstreamowego. Ale jego specjalnością był body horror. Był w tym najlepszy. Nie miał sobie równych...

– Body horror? – zdziwił się Servaz.

– Body horror, inaczej horror ciała, to podgatunek kina grozy, w którym ukazują się ciała poddawane ekstremalnym obrażeniom: okaleczeniom, uszkodzeniom, gniciu, chorobom, szokującym aktom seksualnym. Często są to obrazy naprawdę wstrząsające. Można powiedzieć, że pionierem body horroru był David Cronenberg. Jego najśłynniejsze filmy z tego nurtu to *Wściekłość*, *Mucha*, *Wideodrom* lub ostatni *Zbrodnie przyszłości*. To typ horroru ekstremalnie szokujący dla widza, wymagający perfekcyjnych efektów specjalnych i protez. Niedawno po raz kolejny obejrzałem *Wideodrom* i cholera, efekty bardzo się postarzały. Ale to on dał początek temu gatunkowi. Stan był najlepszym specjalistą od body horroru we Francji. Przynajmniej dopóki nie zniknął z branży. Nie wiedziałem, że był w zakładzie. Szkoda gościa.

Servaz pomyślał, że Stanowi Du Welzowi nie wystarczyło uprawianie body horroru w filmach. W pewnym sensie próbował go praktykować na sobie.

– A tego typu pan zna? – zapytał Pierrat, rozplaszczając wielki palec na czwartym mężczyźnie ze zdjęcia, mrocznym brunecie w pelerynie.

– Valka? Spotykam go czasem na undergroundowych imprezach, takich z pogranicza legalności. Podobno tym się właśnie zajmuje: zawsze balansuje na granicy prawa, świadczy usługi.

– Jakie usługi?

– Przypuszczam, że chodzi o rzeczy, których nie można dostać w osiedlowym supermarkecie. Zdaje się, że ma kontakty w pewnych środowiskach. Więcej nie wiem.

– I nie wie pan, gdzie mieszka? – zapytał Pierrat.

– Nie znam nawet jego nazwiska.

– A co to jest? – rzucił nagle Espérandieu podniesionym głosem, tak że wszyscy odwrócili głowy.

Servaz podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Cztery metry od nich na ceglanej ścianie wisiał kinowy afisz wielkości dwa metry na metr. Film nosił tytuł *Orfeusz albo spirala zła*. Reżyserem był niejaki Morbus Delacroix. Ale jego uwagę przykuła wielka krwawa spirala.

– Zapłaciłem za to fortunę – odparł z dumą Renn. – Oryginalny plakat *Orfeusza*! Zaprojektował go sam Delacroix. Tak naprawdę nigdy nie został użyty. Bo film nie trafił do kin.

Espérandieu wstał – niemal przylepił nos do plakatu. Wyglądał na bardzo poruszonego.

– Morbus Delacroix? Ten od *Perwersji* i *Bloody Games*?

– A zna pan innego?

– Kurwa! – zawołał Vincent. – Oczywiście! Powinienem był skojarzyć!

Renn patrzył na nich zbity z tropu.

– Co się dzieje? Ktoś mi wyjaśni? Jaki związek z *Orfeuszem* ma śmierć Stana?

Servaz sięgnął do kieszeni kurtki po kopertę. Wyjął z niej plik zdjęć, pogrzebał wśród nich i przesunął jedno w jego stronę po szklanym blacie.

– Cholera! – Renn aż podskoczył na widok spirali nakreślonej we krwi na materacu. – Morderca to narysował?

– Sądzymy, że Du Welz. Wygląda na to, że chciał nam w ten sposób przekazać jakąś informację. Pytanie brzmi jaką. Niech nam pan opowie o tym Delacroix.

Espérandieu wrócił na sofę. Renn popatrywał to na jednego, to na drugiego ze sprytnym błyskiem w oku. Wyglądał na bardzo podekscytowanego obrotem, jaki przybrała rozmowa.

– Skoro o tym mówimy. Stan pracował przy wszystkich filmach Delacroix, który zawsze korzystał z usług tej samej lub prawie tej samej ekipy. Trzeba przyznać, że wszystkie mniej lub bardziej zbliżają się do body horroru. To jeden z jego znaków firmowych. Zaczyna się od czegoś bardzo klimatycznego, od rozproszonego, pełzającego strachu. Ciśnienie powoli rośnie, aż do chwili, kiedy film zmienia się w ekstremalny body horror z najbrutalniejszymi scenami z katalogu gore. Delacroix nie jest dla wrażliwców.

Vincent skinął głową. Przypomniał sobie końcową scenę z *Bloody Games*, która cholernie nim wstrząsnęła. Po seansie zastanawiał się, jak to możliwe, że nie zostały one zakwalifikowane jako film tylko dla dorosłych.

– A ten film? – zapytał Servaz, wskazując na afisz ze spiralą.

– *Orfeusz albo spirala zła*, ostatni film Delacroix – wyjaśnił Renn, przecierając okulary końcówką krawata. Uznawany za jego arcydzieło, *opus magnum*. Trafił do „kinowego piekła” mitycznych, przeklętych filmów, których nigdzie nie można znaleźć, takich jak *Drakula halála* Węgra Károlyego Lajthayego, pierwszy film o Draculi, czy *Londyn po północy* Toda Browninga.

– A co się stało?

Renn umieścił okulary z powrotem na nosie, po czym wbił w Servaza wzrok ostry jak żądło.

– *Orfeusz* był szóstym pełnometrażowym filmem Delacroix. Jak wskazuje tytuł, miał być adaptacją mitu o Orfeuszu. O tym obrazie wiemy jedynie tyle, że opowiadał o meksykańskim muzyku heavymetalowym, który wybiera się do piekieł po swoją żonę Guadalupe, z tą różnicą, że w tym wypadku piekłem jest półświatek Ciudad Juárez w Meksyku, miasta par excellence rodem z horroru. W jego okolicach na pustyni między rokiem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim a dwa tysiące trzecim znaleziono setki ciał porwanych młodych kobiet noszące ślady brutalnego znęcania się. Opowiadano o tym filmie niestworzone rzeczy. O scenach, o aktorach, o szaleństwie reżysera. Mówiono, że w tym filmie każdy krąg piekła jest gorszy od poprzedniego. Że ten obraz jest potworny, że Delacroix przekroczył w nim wszelkie granice. Niektórzy twierdzili, że to wręcz snuff movie ¹. – Wstał. – Przepraszam, potrzebuję kofeiny. Delacroix to waga ciężka. Gdybyście byli zainteresowani, to nakręciłem na jego temat cztery odcinki, są na moim kanale.

Przeszedł za ladę i nieśpiesznie zaparzył kawę. Pierrat rzucił Servazowi zniecierpliwione spojrzenie. Po lofcie rozszedł się przyjemny zapach prażonych ziaren, który podrażnił ich nozdrza.

– Też bym się chętnie napił – rzucił Espérandieu.

Pięć minut później przed każdym stała parująca filiżanka.

– Wróćmy do tematu – podjął Renn, który, jak się wydawało, był teraz w swoim żywiole. – Który z panów widział jakiś film Morbusa Delacroix?

Tylko Vincent podniósł rękę.

– Okej. Delacroix to o wiele więcej niż kino – zaczął youtuber entuzjastycznym tonem. – Oprócz tego, że jest absolutnym geniuszem, że jego obrazy wchodzą w człowieka jak... jak jakaś pieprzona grzybnia, to znaczy przyczepiają się do umysłu widza i w niego wrastają, to w jego filmach jest coś, co porusza do głębi, ale w bardzo negatywnym sensie. Coś, co przyprawia o prawdziwy dyskomfort, sprawia, że człowiek czuje się nie jak widz, lecz jak podglądacz. Nie chodzi tylko o to, co widzi, ale też o to, czego się domyśla, co czuje. A czuje obecność zła kryjącego się za dziełem filmowym. – Utkwił w nich ostre, metaliczne spojrzenie. – I to jest

oczywiście zamierzony efekt. Delacroix uważał, że wszyscy coraz bardziej dajemy się porwać spirali przemocy, okrucieństwa i niegodziwości, nie tylko w filmach, ale w ogóle na poziomie społecznym. Chciał wywołać w widzu poruszenie tym faktem, szokując go, dręcząc i strasząc po to, żeby go obudzić.

– W sumie to samo chciał osiągnąć Pasolini, kręcąc *Salò czyli sto dwadzieścia dni Sodomy* – przypomniał Vincent.

– Tak jest. Ale jak głosi legenda, *Orfeusz* idzie jeszcze dalej niż *Salò*, dalej nawet niż *Serbski film*, który jest chyba najobrzydliwszym obrazem, jaki kiedykolwiek widziałem, obrzydliwszym nawet niż *Nadzy i rozszarpani* czy *Ludzka stonoga*.

Vincent nie oglądał *Serbskiego filmu*, choć można go dostać na DVD, Blu-rayu czy nawet na VOD, ale o nim słyszał. Ponoć to jeden z najbardziej traumatyzujących obrazów wszech czasów.

– Jeśli chodzi o szokującą przemoc, *Spotkałem diabła* też jest niezłym przykładem. I *Męczennicy*. Oba filmy raczej obrzydliwe – zauważył.

– O przepraszam – zaproponował Renn. – *Spotkałem diabła* to obraz pod względem estetyki bardzo mocny, to prawdziwe kino autorskie. Ale jeśli chodzi o aspekt gore, to w porównaniu z *Serbskim filmem* jest śmieszny.

– A druga część *Królika doświadczalnego*? *Kwiat ciała i krwi*? – podrzucił Vincent, który zaczynał się dobrze bawić.

Japońska saga *Królik doświadczalny* stała się niemal legendą po tym, jak druga część *Kwiat ciała i krwi* została zakazana, ponieważ amerykański aktor Charlie Sheen, który otrzymał kopię, zaalarmował FBI, przekonany, że właśnie obejrzał snuff movie.

– Okej, z tym mogę się zgodzić – przyznał Renn, mrugając do Vincenta porozumiewawczo, jak koneser do konesera. – Ale podobno *Orfeusz* jest jeszcze mocniejszy – dodał żarliwym, podekscytowanym głosem nastolatka, który mówiąc o ulubionym reżyserze, wpada w ekstazę. – Ale prawie nikt go nie widział. Nie sposób znaleźć w sieci jego kopię czy choćby kadry. Ten film zniknął z powierzchni ziemi. Stał się mitem.

Espérandieu domyślił się, że youtuber próbował naprawdę wszystkiego. Musiał spędzić wiele godzin w darknecie, poszukując tej perły – zakazanego filmu. Sądząc po wymienianych tytułach, coraz głębiej wkręcał się w spiralę ultraprzemocy i wstrząsających obrazów. Za porządną

powierzchnością dynamicznego urzędnika kryła się osobowość żądna ekstremalnych wrażeń.

– Może byśmy wrócili do rzeczy – zaproponował Servaz. – Do ostatniego filmu Delacroix. Powiedział pan, że zawsze zatrudniał tę samą ekipę, a to znaczy, że przy tej produkcji pracował Stan Du Welz?

Renn potwierdził skinieniem głowy.

– Tak. Delacroix zabrał swoich współpracowników do Meksyku, na pustynię niedaleko Ciudad Juárez w stanie Chihuahua. To było w roku dwa tysiące jedenastym, a przypominę, że miasto było w tym czasie terenem krwawych walk między kartelami narkotykowymi. Kręcenie tam było niebezpieczne, warunki trudne i było potwornie gorąco. Zresztą podobnie jak Dreyer w latach dwudziestych ubiegłego wieku, który jako pierwszy w rolach starców obsadził starych aktorów, a w roli ciężarnej kobietę w ciąży, nagrał nawet jej krzyki w trakcie porodu, Delacroix miał fioła na punkcie prawdy. W swojej obsesji autentyczności traktował aktorów w sposób niewyobrażalnie przemocowy. Od zawsze miał opinię tyrana na planie, ale podobno podczas kręcenia *Orfeusza* sprawy przybrały jeszcze bardziej obłądny obrót. Wyżywał się na głównej aktorce, bez przerwy na nią wrzeszczał, upokarzał ją przed całą ekipą i wykańczał nerwowo.

Espérandieu przypomniał sobie film *Prawda*. Podczas jego kręcenia Henri-Georges Clouzot, reżyser *Widma* i *Ceny strachu*, zachowywał się w stosunku do Brigitte Bardot jak prawdziwy psychopata: żeby grała bardziej autentycznie, kazał jej wypić dużą ilość alkoholu i bez jej wiedzy podmienił fałszywe środki nasenne na prawdziwe. Niedługo po skończeniu zdjęć dwudziestosześcioletnia Bardot podjęła próbę samobójczą.

– Kilka razy groziła, że opuści plan, ale zawsze udawało mu się ją przekonać, żeby została. Poza tym to się działo na środku pustyni, a to przecież nie jest Lazurowe Wybrzeże. To był dla wszystkich koszmar, patowa sytuacja. Wieczorami Delacroix jeździł do miasta i pił z miejscowymi. O świcie zbierali go nieprzytomnego z ulicy, zdarzało się, że był ranny. Raz znaleziono go z ranami po gaszeniu papierosów na klatce piersiowej; nigdy się nie wyjaśniło, czy poparzył się sam, czy zrobił to ktoś inny, bo nic nie pamiętał. Kiedy wchodził na plan, zachowywał się jak szaleniec i wszyscy byli przerażeni. Delacroix w Meksyku ześwirował. Pycha, megalomania, ego, egzaltacja, ekscytacja... Nad tym filmem unosiła się aura jakiegoś obłądu. Czuło się, że coś się wydarzy. Coś potwornego. –

Zrobił teatralną przerwę, którą wypełniło miarowe bębnienie deszczu o szklany dach. Dawkował napięcie, jakby nagrywał kolejny podcast. – Bo na tym bynajmniej się nie skończyło...

1. Nielegalne nagranie wideo lub film średniometrażowy przedstawiający rzeczywiste sceny tortur, morderstwa lub gwałty. [\[wróć\]](#)

Piotr Suszko wszedł do autobusu numer pięćdziesiąt osiem spod zakładu karnego do Basso Cambo. W sumie trzydzieści sześć przystanków.

Kiedy wysiadł, słońce igrało z chmurami; widok dużego parkingu pełnego samochodów o lśniących szybach oraz białej stacji kolejki naziemnej wydał mu się niemal radosny w porównaniu z więziennym spacerniakiem.

Prześlizgnął się między samochodami, kierując się planem, który Florent nagryzmolił mu na kawałku papieru, kiedy widzieli się po raz ostatni, ruszył rue Léonce-de-Lavergne, przy której stały budynki o wysokości od czterech do ośmiu pięter, następnie skręcił w ścieżkę wiodącą przez park. Zobaczył potężne, wysokie bloki. Były podobne do tych z niektórych moskiewskich dzielnic, ale w Moskwie nikt nie wpadłby na pomysł, żeby nazwać park imieniem Winstona Churchilla.

Po drugiej stronie parku ruszył przejściem między dwoma połączonymi kładką budynkami. Na betonowej ścianie widniało graffiti; żeby nie gorszyć dzieci, był to śmieszny Królik Bugs, słowo „Welcome” i strzałka – oznaczenie mety, miejsca handlu narkotykami. Nie dostrzegł jednak ani czujki, ani żadnego diler. Zamiast nich przed budynkiem Auriacombe – tym, w którym mieszkał Florent – zobaczył radiowóz na włączonych kogutach. Cholera. Na trawniku zebrały się miejscowe dzieciaki, które obrzucały policjantów wyzwiskami.

– Co się stało? – zapytał.

Chłopaki przyjrzeni mu się nieufnie, ale Piotr wyglądał spoko i miał sportową torbę.

– Pieprzone GITeS-y spaliły metę – odparł jeden z nich, w czapce z daszkiem wciśniętej głęboko na głowę.

GITeS ¹, Międzydzielnicowa Grupa do spraw Spokoju i Bezpieczeństwa – wymyślanie nazw tak bardzo oderwanych od rzeczywistości przypominało Piotrowi były Związek Radziecki – strażnicy zatrudnieni

przez właścicieli budynków socjalnych. Zastąpili Czeczenów w patrolowaniu osiedli.

Piotr zauważył dym i policyjne mundury. Tuż obok niego przejechał wóz strażacki na sygnale. Mimo to Suszko się nie cofnął i wszedł na klatkę schodową. Zatrzymała go funkcjonariuszka w ciężkich ciuchach i kamizelce kuloodpornej.

– A pan dokąd? Mieszka pan tutaj? Podłożyli ogień w zsywie na śmieci. Na wszelki wypadek ewakuujemy blok.

Piotr spojrzał na nią, po mistrzowsku udając przerażenie.

– Na gorze są moja żona i syn! Nie odbierają telefonu! Muszę po nich iść, proszę pani!

– Niech się pan pośpieszy.

Ruszył po schodach, torując sobie przejście wśród podążającej w przeciwną stronę grupki ewakuujących się mieszkańców. Wszyscy coś mówili – mężczyźni, kobiety, dzieci – zgiełk słów mieszał się z tupotem przerażonego stada.

Między trzecim a czwartym piętrem można już było oddychać. Piotr poczuł, że zapach dymu i środków odurzających zaczyna uderzać mu do głowy. Ruszył korytarzem czwartego piętra. Pusto. Podeszedł do drzwi Florenta. Zastukał. Nikt się nie odezwał.

– Florent?

Z głupia frant nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Szare światło przebijało się przez firanki i rozlewało po niewielkim salonie. Sofa, niska komoda z Ikei, telewizor, PlayStation. W głębi, bliżej okien, stół i cztery krzesła. Okna wychodziły dokładnie na południe i temperatura w mieszkaniu musiała sięgać trzydziestu pięciu stopni.

Nagle woń dymu ustąpiła smrodowi zgnilizny, podobnemu do wyziewów z kratki ściekowej albo odoru zepsutego mięsa. Skrzywił się i w jednej chwili zatrzymał. Znał ten zapach.

– Florent!

Zostawił torbę w przedpokoju i zatykając nos, wszedł do sypialni. Pusto. Ale łóżko było rozgrzebane. Korytarzyk... Tutaj smród był tak gęsty, że Piotr miał wrażenie, jakby w jego drogach oddechowych utkwilo jakieś ciało stałe. Zakasłał. Minał toaletę. Na końcu korytarzyka znajdowała się łazienka. Dochodziło z niej hałaśliwe brzęczenie. Drzwi były uchylone. Mężczyzna pchnął je i stanął w progu jak wryty.

Zamknął oczy i po chwili je otworzył. Miał przed sobą Florenta. A raczej to, co z niego zostało. Coś, co kiedyś było Florentem. W wannie, której zasłonka leżała na podłodze łącznie z szyną. Suszko widział już w życiu niejedną smutną rzecz, ale nigdy nie oglądał zwłok w takim stanie. Florent Cuvelier nie był już człowiekiem, lecz nabrzmiałą, czarniawą, nieforemną masą, która zdawała się żyć własnym, intensywnym życiem po śmierci – żarłocznym życiem tysięcy larw, które skolonizowały jego ciało, nad którym unosiła się gęsta chmura wściekle brzęczących niebieskozielonych much. Piotr z pewnością by zwymiotował, gdyby wiedział, że ten ruchomy płaszcz to tak naprawdę padlinożerne robactwo usiłujące dostać się do środka trupa przez wszelkie dostępne otwory: oczy, nos, odbył, rany... Wydmuchał z nozdrzy resztkę powietrza, by przegnać odór, i oddychał przez usta, przyłożywszy do nich żaloszny filtr z własnej dłoni. W głowie miał pustkę, a serce waliło mu jak młot. Zrobił dwa kroki naprzód, by upewnić się, że to ciało Florenta. Zachrząściło mu pod butami: stąpał po dziesiątkach czarnych poczwarek. Pokrywały całą wyłożoną płytkami podłogę i plastikową zasłonkę. Na dnie wanny zobaczył płyny gnilne zmieszane ze skrzepłą krwią.

Nigdy nie widział takiej ilości krwi. Florent Cuvelier, który miał na sobie podartą koszulkę i slipy – pierwotnie czarne, a obecnie czerwono-brunatne – musiał otrzymać mnóstwo ciosów ostrym narzędziem. Oprawca zapiął mu też wokół nadgarstków groteskowe różowe kajdanki, takie z sex-shopu, przeznaczone dla amatorów BDSM, i przypiął go do rury wiszącego nad wanną kaloryfera. Wyraz twarzy Florenta był właściwie nieczytelny z powodu robactwa, które roiło się zwłaszcza w okolicach ust, nosa i oczu.

Kurwa, jeśli wezwę gliny, będę pierwszym podejrzanym, nawet jeśli moje dawne przestępstwa nie mają z tym nic wspólnego, pomyślał. Ale nie, nawet niekompetentny glina zauważy, że śmierć nastąpiła wiele dni temu, a przecież Piotr dopiero co wyszedł na wolność. Ma najlepsze alibi świata – więzienie. Co z tego, psy i tak byłyby przekonane, że w ten czy inny sposób jest w to zamieszany, że zlecił to morderstwo albo coś w tym stylu, i to byłyby początek kłopotów.

Wyjął z kieszeni chusteczkę higieniczną, wytarł wszystko, czego wcześniej dotknął, chwycił torbę i wyszedł z mieszkania. Gdy oczy zaczęły

go szczytać od dymu i płonącego shitu, poczuł niemal ulgę. Pędem ruszył po schodach.

– Na górze jest trup! – zawołał do funkcjonariuszki, którą mijał wcześniej.

– Co?!

– Zwłoki! W wannie!

Podał jej piętro oraz numer mieszkania i kiedy sięgała po krótkofalówkę, czym prędzej się oddalił.

1. Pełna nazwa: Groupement Interquartiers de Tranquité et de Sécurité. [\[wróć\]](#)

– Na tym się nie skończyło – powtórzył Maximilien Renn.

W tle wciąż słychać było bębnienie deszczu o szklany dach. Trzej goście loftu w Vincennes spijali teraz z jego warg każde słowo, nawet Pierrat, którego kino grozy dotąd najwyraźniej nie obchodziło.

– Była tam też scena orgii. Wyobraźcie to sobie: wszyscy się pieprzą, jedno na drugim, dranie, którzy porwali żonę Orfeusa Gila, strażnicy, dziewczyny, szłał nagich ciał i zniecka spada na nich purpurowy deszcz; zaczynają wrzeszczeć jedno przez drugie, cali zbryzgani krwią. Delacroix, ach ta jego obsesja autentyczności, sprowadził z pobliskiej rzeźni świeżą świńską krew, którą zmieszał z czerwoną farbą, ponieważ jego zdaniem wyglądała nie dość prawdziwie. To było obrzydliwe, aktorzy się prawie pochorowali. Na dodatek dobrał do zespołu lokalnych aktorów porno i podobno niektórzy z nich na serio się bzykali. Główny operator był weteranem, legendą, pracował z najlepszymi. Odmówił nagrywania tej sceny. Delacroix spoliczkował go na oczach wszystkich i nakręcił ją sam. –

Renn przyglądał krawat i upił kolejny łyk kawy. – Delacroix był gotów posunąć się do najgorszych skrajności, żeby tylko uzyskać to, czego chciał. Scena z *Bloody Games*, w której aktorka przechodzi w koszuli przez na wpół zamrożony strumień płynący przez zaśnieżony krajobraz, była kręcona na mrozie; Morbus kazał zrobić jakieś trzydzieści powtórek i choć po każdym przejściu ją opatulali, na koniec kobieta była sina. Tego właśnie chciał. Zagroziła, że jeśli jeszcze raz zrobi coś takiego, wytoczy mu proces. – Wstał. Jego oczy za szklami okularów lśniły jakimś niezdrowym blaskiem, jakby płonął w nich czarny ogień. – Okej, coś wam pokażę, ale wolałbym, żeby to nie wyszło poza te cztery ściany. – Podszedł do wiszącego na ścianie zdjęcia, na którym pozował z aktorką Jamie Lee Curtis. Zdjął ramkę i wstukał szyfr w elektronicznym zamku sejfu, który znajdował się pod nią, wmurowany w ceglana ścianę. – Zapłaciłem za to jeszcze więcej niż za plakat *Orfeusza* – powiedział. – Macie szczęście. Raczej nikomu tego nie pokazuję.

Renn wyjął z sejfu szarą kopertę, a z niej cztery zdjęcia wywołane na błyszczącym papierze i podał Vincentowi.

– Wow – skomentował tamten i przekazał je Martinowi.

Była to seria klitek z tego samego ujęcia. Były ciemne, brudne, ziarniste. Można się było domyślić, że przedstawiają ciąg mrocznych, krętych korytarzy, ale trudno było to stwierdzić z całą pewnością, patrząc na ten teatr cieni z pogranicza nieokreśloności, w którym oko rzeźbiło kształty z mglistej materii, resztę pozostawiając wyobraźni. Nie przeszkadzało to jednak zidentyfikować aktorki stojącej pośrodku głównego korytarza. Clara Janssen. Słynna zarówno za sprawą swojej urody, jak i dzięki talentowi aktorka znana z takich filmów jak *Letni deszcz* i *Anioł w mieście* była zmieniona nie do poznania. Miała na sobie długą, białą, poplamioną suknię i wyglądała jak w transie. Zwłaszcza jej wzrok, pełen namacalnego niemal cierpienia, zdradzał oczywisty obłęd. Jakby przekroczyła jakąś granicę, zza której nie ma powrotu. Na pierwszym i drugim zdjęciu krzyczała i zataczała się z nożem w dłoni, z makijażem rozmazanym od łez. Na trzecim miała zakrwawione czoło. Na czwartym nacinała sobie nożem żyły na nadgarstku.

Choć Servaz wiedział, że zdjęcia pochodzą z filmu, poczuł niezdrową atmosferę emanującą z tych obrazów – granica między fikcją a rzeczywistością w jednej chwili się zatarła.

– *Cursed images* – skomentował Espérandieu cichym, drżącym głosem, spoglądając na Renną.

– Co to jest? – zapytał Pierrat.

– Przeklęte obrazy – wyjaśnił youtuber. – Zdjęcia słabej jakości zrobione przez amatorów, często o dziwnej, niepokojącej estetyce, tajemniczego pochodzenia, budzące dyskomfort. W Internecie jest tego pełno. Ale wiadomo, skąd pochodzą te: to jedyne fotografie, jakie powstały podczas kręcenia *Orfeusza*. Nie wiem jednak, kto jest ich autorem. – Renn zebrał zdjęcia, włożył je do koperty i zamknął w sejfie, po czym wrócił do nich. –

Dowiedziałem się, że ta scena została nakręcona o trzeciej nad ranem, po czternastej powtórcie, nie, nie przesadzam, a aktorzy byli na nogach od piątej rano poprzedniego dnia. Wszyscy byli wykończeni. Nie wiem, jak Delacroix przekonał Clary Janssen, żeby się aż tak oszpeciła i zagrała w tej scenie. Nie, nie chodzi o to, że brzydko wygląda; chodzi raczej o sposób, w jaki się porusza, krzyczy, płacze. Da się wyczuć, że to są prawdziwe

krzyki, prawdziwe łzy, że to nie jest gra. Ona w tej scenie jest wyraźnie opętana. Nie wygląda na szaloną, ona *jest* szalona. Delacroix doprowadził wszystkich aktorów na planie do obłędu, dręcząc ich, wyzywając, każąc po sto razy odgrywać tę samą scenę, pozbawiając ich snu. I to ostatnie zdjęcie, na którym podcina sobie żyły. Było ustalone, że w pierwszych scenach ma grać z prawdziwym nożem, który potem miał być zastąpiony przez używany do trików nóż z chowanym ostrzem. Ale Clara była zmęczona, otumaniona, grała od wielu godzin. Podobno w końcu rzeczywiście się pocięła, może zamierzała popełnić samobójstwo na oczach wszystkich, a w każdym razie chciała, żeby zobaczyli, w jak złym jest stanie psychicznym. Ekipa oczywiście rzuciła jej się na pomoc, ale Delacroix kazał kręcić dalej. Widać to na ostatnim zdjęciu. W końcu interweniował młody maszynista, którego Morbus następnego dnia wyrzucił. – Odetchnął głęboko. – To było jeszcze gorsze od tego, co Żuławski zrobił Adjani podczas zdjęć do *Opętania*. Ten film zrujnowałby karierę Clary Janssen. Ale zginęła w tym przeklętym wypadku pod koniec zdjęć, a poza tym i tak jej wizerunek uratowałiby dystrybutorzy.

– Jak to?

– Kiedy zobaczyli taśmy robocze, przestraszyli się. To był obłąkany film, wytwór chorego, szalonego umysłu. Bez cienia wątpliwości. Zobaczyli niewiarygodnie potężne zło, zepsucie w czystej postaci. Przerażeni jednogłośnie zdecydowali, że film nie zostanie skierowany do rozpowszechniania. Niezależnie od wszystkiego byli pewni, że komisja do spraw klasyfikacji utworów filmowych zakaze jego dystrybucji. I w ten sposób *Orfeusz* trafił do zamkniętego kręgu filmów przeklętych. Pewien znany krytyk powiedział, że tym, którzy podjęli taką decyzję, należałoby dać medal. Typowa opinia dla pewnych grup krytyków, według których film powinien nieść jakieś przesłanie ideologiczne, społeczne. Tak jakby Hitchcock, Ford czy Melville troszczyli się o cokolwiek poza rozrywką. Sam Delacroix udzielił prasie tylko jednego komentarza na ten temat: „Słyszałem, że w Singapurze więźniowie skazani na karę śmierci proszeni są o uśmiech przed egzekucją. Cóż, jak państwo widzicie, uśmiecham się”. Ale po tej historii już niczego więcej nie nakręcił. To był jego ostatni film.

W głosie Renna słyhać było pasję i żal. Wszyscy znowu zaczęli oddychać. Servaz był coraz bardziej przekonany, że to tutaj należy szukać

klucza do tajemnicy morderstwa Stana Du Welza. Co się wydarzyło w trakcie zdjęć? Musi przesłuchać tego Delacroix!

– Ale to jeszcze nie koniec. – Renn po raz kolejny ich zaskoczył. – Bynajmniej.

Jak jeden mąż odwrócili się w jego stronę.

– Delacroix nie robił tego tylko po to, żeby zaspokajać swoje fantazje – mówił dalej Renn. – Podobnie jak u markiza de Sade chodziło o coś znacznie więcej, o pewną... mistykę. Większość reżyserów filmów grozy wie, że horror to tylko kino. Że to nic poważnego. Jak można by brać takie filmy na poważnie i nie oszaleć? Ale w jego przypadku tak nie było. Delacroix to był Friedkin do potęgi tysięcznej. Tworzył na planie brutalną, szkodliwą, zepsutą atmosferę, która karmiła jego potworne wizje. Ale podobno w Meksyku Delacroix fantazjował o prawdziwym morderstwie. Podobno nawiązał kontakt z *sicarios*, miejscowymi płatnymi mordercami, obiecał im pieniądze. W Meksyku to łatwe: nawet gliny zabijają za hajs.

– Snuff? – zapytał Vincent, zaskoczony.

– A nawet więcej. Prawdziwe morderstwo pomyślane i sfilmowane w artystyczny sposób. Kwintesencja siódmej sztuki. Oczywiście Delacroix przedstawiłby je jako sfingowaną śmierć i nakręcił bez wiedzy pozostałych. Po wszystkim utrzymywał, że tego nie zrobił, że scena nigdy nie została nagrana, są jednak tacy, którzy twierdzą, że to nieprawda. I że taśma gdzieś, u kogoś jest, może nawet u samego Delacroix. I że po *Orfeuszu* przestał kręcić filmy, bo przestraszył się, do czego go to doprowadzi.

– A co pan o tym sądzi?

Renn wzruszył ramionami.

– Nie mam zdania – powiedział i klepnął się w oba kolana. – Ale to by pasowało do jego osobowości. – Wstał, dając im do zrozumienia, że audyencja dobiegła końca. – Mam nadzieję, że się nie zawiedliście, panowie.

– Plotki, pogłoski, fantazje dla nastolatków poszukujących mocnych wrażeń... Nie powiedział nam pan nic konkretnego – stwierdził Pierrat.

Vincent był innego zdania.

– Dzięki za ten wgląd, to było fascynujące. Podobało mi się takie nurkowanie w głębinach kina – przyznał szczerze.

– Tak – odparł Renn, skromnie pochylając głowę. – Kino, podobnie jak miasto, ma swoje głębinę, swoje ścieki, kloaki, rynsztoki. Toczy się w nich

obrzydliwe, niezdrowe i robaczywe życie, które jest zarazem fascynujące. Podziemia, jak powiedziała Jung. Jeśli to pana interesuje, niech pan zajrzy na kanał MAD.

– I naprawdę nie wie pan, gdzie możemy znaleźć Valka? – Servaz jeszcze raz przypuścił atak.

Renn się zamyślił.

– Chyba macie dziś szczęście – odparł i wyciągnął ze stojącego na ladzie koszyka kartonik z zaproszeniem. – Wieczorem jest przyjęcie dla ludzi z branży. Dostałem to parę tygodni temu, ale nie mogę iść. Na takich imprezach bywają osobistości pokroju Valka. – Uniósł kartonik i spojrzał na Vincenta. – Któryś z panów jest zainteresowany? Za pozwoleniem, widzę wśród was tylko jednego, który w takim miejscu pozostanie niezauważony.

Wszyscy odwrócili się w stronę Espérandieu, więc sięgnął po zaproszenie.

– Jak można oglądać takie gówno? – skomentował Pierrat w windzie.

– Pytanie brzmi, czy posunęliśmy się do przodu – przypomniał Servaz. – Jedno jest pewne, musimy przesłuchać tego Delacroix. I znaleźć Valka.

Wyszli z budynku. Przestało padać i mokre ulice lśniły jak monety; samochody mijały ich z mokrym szuraniem.

– W każdym razie mam złe przeczucia co do tego Renna z tą jego pewnością siebie, z tymi jego anegdotami i opowieściami o zakazanych obrazach – stwierdził Pierrat.

– A niby powtarzał tylko plotki i bajki dla nastolatków – zazartował Espérandieu.

Pierrat z uśmiechem wetknął papierosa do ust.

– Trafiony, zatopiony. Naprawdę myślicie, że to morderstwo ma coś wspólnego z tym filmem?

Servaz już miał mu odpowiedzieć, gdy w kieszeni jego spodni zawibrował telefon. Wyjął go i westchnął. Dzwonił Havelin.

Dokładnie w tej samej chwili osiemset kilometrów dalej ksiądz Eyenga zaparkował swoje volvo na place du Breilh w położonym u podnóża gór miasteczku Ax-les-Thermes i ruszył w kierunku szpitala. Po samobójstwie Kennetha Zorna postanowił, że zażąda wyjaśnień od Laugiera. Chciał się dowiedzieć, co oznaczała wiadomość, którą mężczyzna przesłał na pendrivie, i zapytać, kto doprowadził producenta do takiego stanu. Oczyma wyobraźni znów zobaczył ponury zamek, wyspę i wzburzone morze i zaczął się zastanawiać, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Oprócz tego, że Kenneth Zorn rzucił się z murów swojego zamku, wcześniej z całą pewnością go podpaliwszy, zagadką pozostawały wypowiedziane przez niego słowa oraz nazwa ALGOL na burcie łodzi, a także to stwierdzenie: „Ja, proszę księdza, widziałem piekło. Już w nim jestem”. Eyenga chciał odpowiedzi. Niepokój palił go w żołądku jak żrący kwas. Tabletki Rennie, którą rozgryzł trzydzieści minut wcześniej, wcale nie przyniosła mu ulgi.

Przywitał się z siedzącą w recepcji Isabelle. Wszyscy go tutaj znali i on również wszystkich znał, poza tym koloratka nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do jego funkcji. Zamiast skorzystać z windy, skręcił na schody i znalazłszy się na pierwszym piętrze, ruszył korytarzem, który pachniał eterem i środkiem dezynfekującym. Sugerował kiedyś dyrektorowi placówki pozbycie się tych zapachów, ponieważ są one dla pacjentów stresujące. Radził, by używano olejków eterycznych, które działają antydepresyjnie i uspokajająco.

Nacisnął klamkę. Miał przygotowane słowa powitania, kiedy jednak przekroczył próg, zrozumiał, że już ich nie wypowie. Pokój był pusty, a łóżko zaścielone. W powietrzu unosiła się silna woń środka odkażającego. Wycofał się i podszedł do dyżurki.

– Gdzie jest Matthias Laugier? – zwrócił się do pielęgniarki.

Kobieta spojrzała na niego obojętnie.

– Zmarł.

Eyenga szeroko otworzył usta ze zdumienia.

– Co się stało?

– Jego serce przestało bić. Około trzeciej nad ranem. Przykro mi, proszę księdza.

Czy w głosie pielęgniarki rzeczywiście słyhać było zawahanie, czy to tylko umysł płatał mu figle?

– Czy w nocy wydarzyło się coś szczególnego?

– To znaczy?

Znowu jakby się zawahała.

– Nie mówi mi pani wszystkiego.

Młoda kobieta się zaczerwieniła.

– Proszę księdza, przykro mi, nie wolno mi o tym mówić.

– Ale o czym?

– Będzie śledztwo...

– Śledztwo? W jakiej sprawie?

– Podejrzanego zgonu.

Mówiła tak cicho, że poprosił ją, żeby powtórzyła.

– Podejrzany zgon. Ale ja księdzu nic nie mówiłam – dodała.

Wyszedł ze szpitala z poczuciem chaosu i głową pełną pytań. „Podejrzany zgon”. Czy to ma związek z pogrózkami, które nagrał na pendrivie, i samobójstwem Zorna? Co tu się dzieje?

Z piskiem opon wyjechał z parkingu, a trzy kwadranse później zatrzymał się przed posterunkiem żandarmerii w Foix, gdzie w poprzednim miesiącu zaczęła pracę brygada śledcza – posterunek w Ax-les-Thermes wydał mu się zbyt skromny jak na to, co miał do powiedzenia.

– Dzień dobry, proszę księdza – powitał go dyżurny żandarm, zobaczywszy koloratkę.

– Dzień dobry, synu, chciałbym rozmawiać z członkiem nowej brygady śledczej – oświadczył prosto z mostu.

– A o czym?

– O morderstwie.

– Mamy następną sprawę na tapecie – oświadczył Hervelin.

– Jakiego rodzaju?

– Trup. W budynku Auriacombe. Gość zaciukany nożem albo cutterem, wykrwawił się w wannie, przykuty do kaloryfera. Prokurator przydzielił go waszej grupie.

Servaz wiedział, że prokuratorzy mają naturalną tendencję, by korzystać z usług jednej grupy śledczej, jeśli ta w ich mniemaniu jakoś zapunktowała. Pamiętał, że kiedy przed trzydziestoma laty zaczynał służbę, prawie wszystkie sprawy zgarniał charyzmatyczny dyrektor departamentalnego Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego, między innymi dzięki doświadczonym policjantom z Paryża, których miał w swojej jednostce. Brygadzie kryminalnej, w której pracował Martin, dostawały się wtedy zaledwie okruchy. A potem – wiedział, że nastąpiło to dzięki wynikom jego grupy – ten trend powoli się odwrócił.

– W brygadzie kryminalnej są przecież dwie grupy – powiedział. – Dlaczego znowu my?

– Prokurator zażyczył sobie ciebie. Nalegał. Przykro mi, Servaz. Będziecie mieć więcej nadgodzin i mniej do nadrobienia. – Hervelin mówił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Posuwacie się do przodu? Co tam macie?

– Du Welz spotykał się z dziwacznymi ziomkami, ale na razie nie wygląda to na żaden trop.

– Okej, w takim razie wracaj do Tuluzy najbliższym lotem – zarządził jego szef.

Servaz znowu głęboko westchnął.

– W tym Auriacombe chodzi o prochy, tak? – zapytał.

– Zważywszy na dzielnicę, można założyć, że tak.

– Sprawdziliście, czy ofiara była notowana?

– Czysta jak łąza. Gość nazywał się Florent Cuvelier. Pracował w branży filmowej.

W głowie Servaza zapaliła się czerwona lampka.

– A co konkretnie robił w filmie?

Zobaczył, że ostatnie słowo wzbudziło żywe zainteresowanie idącego obok Vincenta.

– Nie wiem. A dlaczego pytasz? To ważne?

– Du Welz... – zaczął Martin.

– Tak, wiem, pracował w filmie, zanim trafił do szpitala – podjął nadkomisarz. – Ale jaki związek ma śmierć jednego gościa w psychiatryku ze śmiercią innego gościa w wannie?

– Szeffie, a ile morderstw rocznie mamy w Tuluzie? Co mówią statystyki? Jakie jest prawdopodobieństwo, że dwa zabójstwa ludzi związanych z przemysłem filmowym w odstępnie kilku dni są zwykłym zbiegiem okoliczności?

– Rozumiem, do czego zmierzasz, Servaz, ale ten facet został zabity w Auriacombe i wygląda to raczej na porachunki między dilerami niż na cokolwiek innego. Więc możliwe, że to rzeczywiście jest zbieg okoliczności.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności – odparował Servaz. – Dopiero co powiedział pan, że nie był notowany i nie było strzelaniny. Typ został zaciukany w swoim mieszkaniu, a nie zastrzelony na ulicy. Wiadomo dokładnie, kiedy to się stało?

Po drugiej stronie zapadła dziwnie długa cisza.

– Patolog twierdzi, że kilka dni temu – przyznał Havelin, już nie tak pewny siebie. – O kurwa, może się okazać, że on i Du Welz zginęli tego samego dnia!

– Wracam najbliższym samolotem. Ale kapitan Espérandieu zostaje w Paryżu. Mamy tu jeszcze kilka rzeczy do sprawdzenia.

– Zamek na wyspie?

– Tak.

– I twierdzi ksiądz, że zamek spłonął, a ten człowiek rzucił się z blanków?

– Tak, mówili o tym w wiadomościach.

– I twierdzi ksiądz, że ten mężczyzna otrzymał pendrive, a na nim filmik z pogrozkami nagrany przez niejakiego Matthiasa Laugiera, który zmarł ostatniej nocy w szpitalu w Ax-les-Thermes, a według pana został, hm... zamordowany.

– Powiedziałem: „możliwe, że został zamordowany” – poprawił go ksiądz, zdając sobie sprawę z tego, w jaki sposób żandarm na niego patrzy.

– Nie zlecono wam śledztwa w sprawie podejrzanej śmierci w szpitalu w Ax?

Żandarm zrobił pokerową minę.

– Nie jestem uprawniony do przekazywania takich informacji.

– Synu, dostaliście informację o podejrzanej śmierci w centrum szpitalnym w Ax? Tak czy nie? Proszę, niech mi pan odpowie.

Żandarm westchnął.

– Tak... Skąd ksiądz o tym wie? Nie rozumiem jednego. Dlaczego on poprosił właśnie księdza o przekazanie tego pendrive'a?

Eyenga wzruszył ramionami.

– Oto jest pytanie. Jestem jednak pewien, że miało to dla niego wielkie znaczenie. Bardzo nalegał. I dla tego Zorna również było to bardzo ważne.

– Mówi pan o człowieku, który po obejrzeniu nagrania jakoby popełnił samobójstwo, tak? – zapytał żandarm, usiłując podążyć za rozmową.

– Niewykluczone.

Funkcjonariusz zmarszczył brwi.

– To dość zagmatwane, nie uważa ksiądz?

– W każdym razie istnieje związek między tym nagraniem a śmiercią Kennetha Zorna i Matthiasa Laugiera – podsumował Eyenga.

– Turbulencje... – poinformował przez głośniki szef pokładu.

Poprosił pasażerów o zajęcie miejsc i zapięcie pasów. Mówił tonem, który miał brzmieć uspokajająco. Servaz pomyślał, że ludzie, którzy mówią do innych ludzi przesadnie uspokajającym tonem, wypowiadając przy tym słowo „turbulencje”, nie mają szans nikogo uspokoić. Nienawidził turbulencji i nienawidził samolotów.

Wyjrzał przez okienko. Chmury, chmury i jeszcze raz chmury. Rozdzierane skrzydłami jak wata albo gaza. Miał zamiar wziąć miejsce od strony korytarza, wszystkie jednak były już zajęte. Efekt był taki, że siedział teraz wciśnięty między grubego gościa, który oglądał film na tablecie, oparcie fotela z przodu i okienko. Jak osoby z klaustrofobią dają radę w takich przestrzeniach? I dlaczego te kabiny są tak ciasne? Oczywiście poza klasą biznes. Ale Servaz nie pracował u Rothschildów. Był gliną.

Pomyślał o Léi, która regularnie korzystała z lotów wewnętrznych na kontynencie afrykańskim. Przejrzał czarną listę linii lotniczych. W Demokratycznej Republice Konga wskazano aż pięć takich kompanii. Ile było ich w całej Afryce? Następnie zainteresował się samym krajem. Wyczytał, że tropikalny las deszczowy pokrywa dwie trzecie terytorium. Dwie trzecie! Powierzchnię odpowiadającą niemal połowie Francji kontynentalnej. Rzeka Kongo, która oddziela Republikę Konga od Konga-Kinszasy, była drugą rzeką po Amazonce w kategorii średniego rocznego przepływu wody. W niektórych miejscach las jest tak gęsty i tak nieprzebyty, że pozostaje nietknięty przez człowieka, z wyjątkiem zbieracko-łowickich plemion Pigmejów. Kraj zamieszkuje czterdzieści grup etnicznych. Servaz poczuł się maleńki. Wobec takiego ogromu jego problemy rodzinne, ba, nawet jego sprawy kryminalne wydały mu się śmieszne. Miał wrażenie, jakby Léa przeszła do innego wymiaru. I czuł, że jej się to podoba.

Nie mógł konkurować z Afryką. Z jej krajobrazami, z jej magią, z jej bezkresem. Z braterstwem, które musiało łączyć tych lekarzy, walczących z biedą i brakiem opieki zdrowotnej. Miał głowę pełną stereotypów i choć wiedział, że rzeczywistość diametralnie się od nich różni, że są to stereotypy białego mężczyzny, nie mógł się powstrzymać od wyobrażania sobie Léi podrywanej przez kipiących testosteronem złotoustych młodych

lekarzy, przy parnej, upalnej pogodzie, pośród dźwięków lasu, na tle urzekającego zachodu słońca po wyczerpującym, ale ekscytującym dniu walki o wspólną sprawę. Znowu te wytarte schematy. A nocą widział nagie ciało Léi w objęciach innego mężczyzny, jej udo przywierające do jego silnego uda, jej pot zmieszany z potem tego przystojnego doktora pojawiającego się niemal na każdym zdjęciu, które publikowała w Internecie.

Poprzedniego wieczoru w hotelu oglądał zdjęcia zrobione telefonem na początku ich relacji, kiedy wszystko było nowe, wszystko przed nimi, kiedy istniał tylko zachwyty i poczucie, że spotkał właściwą osobę. Léa była na nich nieskończenie piękna. Patrzenie na te obrazy sprawiło mu taki ból, że je usunął.

Turbulencje... Nie pozostawało nic innego, jak tylko zapiąć pasy i poczekać, aż miną.

Espérandieu rozpoznał kawałek, jeszcze zanim wysiadł z windy: *Summertime Sadness*, remiks Lany Del Rey i Cedrica Gervaisa. Już w kabinie poczuł w piersi dudnienie basów. Zastanawiał się, jak to znoszą sąsiedzi. Na ostatnim piętrze budynku z muru ciosowego przy square Alboni w XVI dzielnicy Paryża, dwa kroki od stacji kolejki naziemnej i mostu Bir-Hakeim, balanga trwała w najlepsze.

Espérandieu pokazał swoje zaproszenie ochroniarzowi ubranemu w opięty czarny smoking i białą koszulę. Mężczyzna otworzył jedno ze skrzydeł pancernych drzwi. Przy narastających niczym wzbierająca fala dźwiękach muzyki Vincent ruszył długim korytarzem, w którym stało dwóch innych ochroniarzy. Wszedł do przestronnego, wysoko sklepionego salonu. Oślepił go wir migocących świateł. Muzyka była ogłuszająca, od basów bolały go bębrenki; pomyślał, że nie był na takiej imprezie od dobrych dziesięciu lat.

Lokal składał się z kilku salonów w amfiladzie, wszystkie były przepełnione. Wyhaczenie Valka w tej plątanie ludzi przedstawiało się jako twardy orzech do zgryzienia – przy założeniu, że w ogóle tam jest. W pierwszej kolejności należało znaleźć bar. Prędzej czy później każdy tam trafia. Vincent precyzyjnie się wśród gestykulujących postaci. Reflektory wyposażone w nakładki gobo wyświetlały na ścianach kółka, kwadraty i trójkąty. Piosenkę Lany Del Rey zastąpił kolejny kawałek, *Can't Hold Us* w wykonaniu Macklemore'a i Ryana Lewisa. Przy barze było nieco spokojniej. Goście pili drinki, krzycząc sobie do uszu. Vincent od razu rozpoznał maskę, którą nosił barman – potwornej marionetki z serii *Piła*: biała twarz ze spiralami na okrągłych policzkach – znowu ten motyw – cienkie czerwone usta i wystający podbródek.

Kawałek dalej sączył drinka jasnowłosy gość, blady niemal jak albinos, z wielkimi worami pod oczami, typ samotnika.

– Co pan pije? – zwrócił się do niego Vincent, podnosząc głos.

– Myślę, że to wódka, grenadyna i ciemne winogrona. Krwisty drink, tak to się nazywa!

– Wygląda spoko! Wezmę to samo. Mam na imię Vincent, pracuję w produkcji. A pan?

– Damian, dziennikarz, freelancer. W której firmie?

Vincent skinął na barmana, by zyskać na czasie.

– Dangerous Zone Productions.

Dziennikarz zrobił nieokreśloną minę.

– Nie znam. A co tam kręcicie?

– Horror.

Dziennikarzowi zaświeciły się oczy.

– Naprawdę? Które filmy wyprodukowaliście?

Ups, trzeba improwizować.

– *Cannibal Feast, Koszmar Lisy, Botanista, Syndrom Kopernika, Las zaginionych, Na północy...* i dwa filmy Morbusa Delacroix, ale to już jakiś czas temu.

Dziennikarz gwizdnął. Vincent nie byłby jednak w stanie powiedzieć, czy ten gwizd wyrażał wyłącznie uznanie, czy może również powątpiewanie.

– Nieźle. Które filmy Delacroix?

Czyli zdołał wzbudzić jego ciekawość.

– Dwa ostatnie: *Bloody Games* i *Orfeusz albo spirala zła*. Z tym ostatnim nie mieliśmy szczęścia.

Oczy freelancera zrobiły się wielkie jak spodki.

– Serio, *Orfeusz* to wasza produkcja? Wkręca mnie pan!

– Koprodukcja – uściślił ostrożnie Vincent, zastanawiając się, dokąd go doprowadzą te kłamstwa. – Ten tam to Ezra Schrenkel? – zmienił temat, wskazując na jednego z gości.

– Tak, to on – odparła jakaś młoda kobieta po lewej. – Więc pan pracuje w produkcji? Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać od słuchania.

Wyglądała na ewidentnie pijaną albo naćpaną, albo jedno i drugie.

– Powiedzmy, że zarobiłem trochę w moim start-upie i próbuję inwestować. Odkupiłem Dangerous Zone, byli na skraju bankructwa. Tak naprawdę to nie ja...

– Grałam niewielką rolę w *Bilecie do piekła dla czerwonego anioła*. I w *Wytnijcie duże drzewa* – aktorka najwyraźniej go nie słuchała. – Chce

pan poznać Ezrę?

Ezra Schrenkel. Wschodząca gwiazda. Był jeszcze przed trzydziestką, a już grał u większości modnych reżyserów. Męski, szczupły brunet. Młody aktor miał krótko obcięte włosy, wysokie, odsłonięte czoło, oczy obrysowane na czarno grubą kreską, a usta tak czerwone, że wyglądały, jakby zamoczył je we krwi. Był ubrany w ogromne futro, prawdziwe albo sztuczne, choć był czerwiec, biały T-shirt i skórzane spodnie. Aktorka bez pardonowo chwyciła Vincenta za rękę i zaprowadziła do celebryty.

– Ezra, przedstawiam ci, eee...

– Vincent.

– Vincent pracuje w produkcji, szuka filmów do finansowania. I jest producentem filmów Delacroix! – zawołała z entuzjazmem.

Wyniosłe oblicze powoli zwróciło się w jego stronę.

– Naprawdę? – zapytał Ezra Schrenkel, mrużąc oczy.

– Nie ja. Firma, którą odkupiłem.

Szpara między powiekami celebryty stała się jeszcze węższa.

– A jak się ta firma nazywa?

– Dangerous Zone Productions.

– Dangerous Zone – powtórzył Schrenkel, przesadnie wydłużając każdą sylabę. – Pierwsze słyszę. Co ci się stało? – zapytał, wpatrując się w nos Vincenta noszący ślad bliskiego spotkania z łokciem Victoire Du Welz.

– Uderzyłem się.

– Uderzyłeś się – powtórzył aktor, kiwając głową. – Chodź ze mną, Vincencie z Dangerous Zone Productions, poznam cię z kimś.

Espérandieu ruszył za nim. Niezbyt mu się podobał obrót, jaki to wszystko przybrało. Ani ton aktora – otwarcie sceptyczny i raczej wyniosły. Facet miał w sobie coś, co budziło niepokój: jakby mentalne antenki, którymi badał człowieka. Przeszli przez dwa zatłoczone salony. Z głośników płynęły teraz dźwięki *Prayer in C* w wykonaniu Lilly Wood and the Prick.

Schrenkel pchnął jakieś drzwi. Vincent od razu rozpoznał rapera, który leżał na wielkim łóżku między dwiema bardzo młodymi kobietami, może nawet nieletnimi, i pociągał z fajki wodnej.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, kurczaczku – zwrócił się do niego Ezra – ale ty chyba jesteś zagorzałym fanem Morbusa Delacroix?

– Taaa. Pieprzony geniusz – potwierdził raper. – Delacroix jest boski, zabójczy. Szkoda, że już nic nie robi. Dlaczego pytasz?

Ezra Schrenkel objął Vincenta.

– Widzisz tego typu? Mówi, że ma na imię Vincent. I że jest z Dangerous Zone Productions – zachichotał. – I że chce inwestować w kinie, i że jego firma wyprodukowała filmy Delacroix. Twierdzi, że jest producentem.

Raper utkwiał w Vincencie szkliste spojrzenie.

– Ale według mnie on nie wygląda na producenta – mówił dalej aktor.

Vincent miał wrażenie, że jego punkt ciężkości przesuwają się bardzo nisko.

– A ty? Jak myślisz? Czy ten gość przypomina producenta?

Mężczyzna na łóżku przyjrzał się Vincentowi nieufnie, po czym jego szeroką twarz rozjaśnił kpiarski uśmiech.

– Moim zdaniem on wygląda jak szczur.

Ezra parsknął.

– O to, to! Zastanawiałem się właśnie, do kogo jest podobny. – Schrenkel uniósł górną wargę, odsłaniając siekacze. – Do pieprzonego szczura!

Raper pękał ze śmiechu.

– Taaak... A co ty byś chciał wyprodukować, Vincent? – zapytał aktor. – Żeby było jasne, chujku: ani przez chwilę nie wierzyłem, że jesteś producentem. Myślę, że jesteś jebanym kłamcą.

Vincent milczał. Odzywanie się tylko pogorszyłoby sprawę. Ezra objął go jeszcze mocniej.

– Vincent Szczurza Twarz z Mouse Productions – powiedział.

Obaj mężczyźni zanieśli się śmiechem. Espérandieu urażonym gestem rzucił dłoń Schrenkla ze swojego ramienia i jak huragan wypadł z pokoju, zanurzając się w wirze muzyki i świateł. Ledwie uszedł kilka metrów, gdy ktoś chwycił go oburącz za kołnierz.

– Coś ty za jeden? Nie znam cię. Masz zaproszenie?

Przysadzisty, masywny gość o kwadratowej żuchwie, z zarostem na szyi i policzkach. W przekrzywionej muszce, bez marynarki. Vincent zauważył aureole potu pod pachami. Rozmyślnie wybrana zbyt obcisła biała koszula uwypuklała jego mięśnie.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytał. – To moja impreza. Wszystkich tutaj znam. A ciebie nie.

Judith spojrzała na wyświetlacz telefonu. Pierwsza trzydzieści w nocy. Wzięła głęboki wdech. Najwyższy czas zrobić to, po co tu przyjechała. Od dłuższego czasu nie słyszała w domu żadnych dźwięków. Gdyby ktoś ją przyłapał, powie, że zeszła do kuchni, żeby się napić wody.

Jude, przyjechałaś tu, gdzie chciałaś przyjechać, teraz musisz iść na całość, odezwał się głos w jej głowie. Uświadomiła sobie, że jest w domu na końcu świata, w sercu gór, sama w towarzystwie dwóch osób, które podejrzewa o najgorsze zbrodnie. Osób, które właśnie zamierza zdemaskować. Jeśli coś pójdzie nie tak, nikt nie przyjdzie jej z pomocą. Dom otaczały hektary lasu, w którym można było bez śladu ukryć zwłoki. Wystarczy, że wezmą jej telefon, odjadą z nim sto kilometrów dalej, żeby się tam zalogował do sieci, porzucą jej samochód i powiedzą, że wyjechała do Tuluzi. Od przyjazdu starała się dystansować od tych myśli. Ale teraz, gdy był środek nocy i właśnie miała przejść do czynu, nie potrafiła już ich odsunąć.

Okej, teraz albo nigdy. Wyszła z pokoju. Wytężyła słuch. Nic. Żadnych dźwięków. W jej żyłach krążyła mieszanka adrenaliny i strachu. Nigdy dotąd się tak nie bała. Zamknęła drzwi. Na dole, gdzie kończyły się puste, ciemne schody, nie paliło się żadne światło.

Włączyła latarkę w telefonie i zaczęła schodzić, najciszej jak się dało, stawiając stopy blisko cokołu, tam gdzie były największe szanse, że drewno nie zaskrzypi. Skrzypiało mimo to – cicho, ale dla jej uszu i tak o wiele za głośno.

Otaczały ją ciemności. Słaba poświata telefonu przed nią tworzyła bańkę światła, która zamiast cokolwiek odsłaniać, ukrywała to, co było poza jej zasięgiem. Dotarła na parter i zatrzymała się. Nadstawiła uszu. Wszystko spowijała cisza. Powoli ruszyła ciemnym szerokim korytarzem.

Po prawej znajdowały się drzwi gabinetu Delacroix. To tam rozmawiali w ciągu dnia. Przypomniała sobie niektóre jego słowa: „Guillermo del Toro: zmarnowany talent. Ari Aster: obiecujący. Eli Roth: szkoda. Jordan

Peele: przeceniany. Haneke: geniusz. Cronenberg: geniusz”. Rozmawiali też o najnowszych filmach: „*Midsommar* to rzecz dla brandzlujących się nerdów. Nie wbija w fotel. Ale okej, i tak lepszy niż reszta”. Jej się *Midsommar* bardzo podobał. Słoneczny film, w którym największa groza kryje się w najjaśniejszym świetle, film, którego powolność ją oczarowała. Delacroix robił na niej wrażenie zgorzkniałego artysty krytykującego wszystko, co było po nim. „A *Uciekaj?*”, zaproponowała. Zarechotał. „*Uciekaj?* Odcedź sos ideologiczny i modne przesłanie i co zostaje? Oklepana fabuła, tony klisz, stare receptury doprawione tak, żeby odpowiadały dzisiejszej obyczajowości. Nie, jedynymi, którzy umieją w ten gatunek, są Koreańscy”. Pochylił się do niej. Jego oczy lśniły. „Żeby zrozumieć, czym jest prawdziwy horror, trzeba patrzeć na sceny z *Pieśla*, *Judith*. Nie wystarczy napchać film strasznymi obrazami, żeby się zbliżyć do horroru. To trzeba mieć w sobie. Clouzot to w sobie miał”.

Spojrzała na zamknięte drzwi. Przyłożyła do nich ucho i nasłuchiwała. Nic. Kiedy je otworzyła, znowu ogarnęła ją panika. Ale pokój był pusty, pograżony w ciemności. Rzędy książek, płyt DVD, Blu-ray, jak w całym domu. Omiotła je wzrokiem. Kolekcja filmów Universal Pictures z lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku, RKO z czasów Vala Lewtona, wytwórni Hammer i Amicus Productions, ale także włoskie i hiszpańskie filmy z lat sześćdziesiątych. Delacroix: „Istnieją dwa rodzaje horrorów, *Judith*. Takie, w których zło jest czymś zewnętrznym: wirus, mutacja, diabeł... I takie, które doszukują się jego źródła w człowieku”. Wiesz, o czym mówisz, draniu.

Na blacie biurka z szufladami leżały laptop, papiery, podkładka, jakieś bibeloty. Odsunęła fotel – zwykły, obrotowy, o wysokim oparciu – i usiadła. Skóra siedziska zaskrzypiała pod jej ciężarem. Zaczęła przerzucać dokumenty i papiery, ale jak należało się spodziewać, nie było wśród nich nic ciekawego. Uważała, by odkładać wszystko na miejsce. Włączyła komputer. Uruchamianie systemu operacyjnego trwało wieki, towarzyszyły mu głucho buczenie i trzaski. Zażądał hasła. Odpuściła.

Czego ty właściwie szukasz? – zastanawiała się. Nie wiedziała, czego szuka, ale wiedziała, że kiedy to znajdzie, będzie wiedziała, że to to. Zaczęła kolejno otwierać szuflady. Trafiała na plik starych numerów legendarnych czasopism „*Famous Monsters of Filmland*” i „*Midi-Minuit Fantastique*”. *Morbus* był prawdziwym freakiem, to nie ulegało

wątpliwości. Może już nie kręcił, ale wszystko przechowywał, jego pasja pozostała nietknięta.

(Delacroix: „W końcu zrozumiałem, że żywa kultura to nie jest kultura inteligencka ani mieszczańska, w których nawet transgresja jest oczekiwana, skodyfikowana i natychmiast rozpoznawana właśnie jako transgresja, tak naprawdę nie ma w niej więc potencjału wywrotowego; nie, żywa kultura to kultura szorstka, poruszająca, trzewna, niepokojąca kultura ludu”).

Sprawdziła stan baterii w telefonie. Odwróciła się na fotelu. Za jej plecami między dwoma regałami stała pod ścianą niska komoda.

Nagle wstrzymała oddech. Coś usłyszała. Odgłos dochodził z zewnątrz. Jakby stukanie. Wytężyła słuch. Ale dźwięk się nie powtórzył. Znowu panowała niezmacona cisza. Judith była jednak pewna, że coś słyszała. Odczekała pięć minut w kompletnych ciemnościach, z wyłączonym telefonem, ale dochodził do niej tylko odgłos jej własnej krwi pompowanej dużymi porcjami.

Kiedy walenie serca ucichło, włączyła latarkę i wycelowała strumień światła w komodę: niski stary mebel z intarsjowanymi szufladami i uchwyty z kutej miedzi. Otworzyła pierwszą szufladę. W środku znajdowały się wydruki e-maili.

Natychmiast rozpoznała adresata: judithtallandier237@gmail.com. Wydrukował i zachował ich korespondencję... Zobaczyła też, że podkreślił niektóre zdania i skomentował je na marginesie. „Świetne!”, „Dobry wybór filmów, ale zbyt nieśmiało”, „Analiza w porządku, ale nie drążysz wystarczająco głęboko”, „Kłamstwo”, „Znowu kłamstwo”, „Co ty ukrywasz, moja mała?”

Zadrzała. Czyżby Morbus Delacroix ją zdemaskował?

Na dnie szuflady, pod wydrukami, leżała lekka, kolorowa teczka z tektury. Ostrożnie wyjęła plik kartek, położyła go na blacie komody, sięgnęła po teczkę i otworzyła ją, przyświecając sobie telefonem.

Poczuła, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch. Zdjęcia w formacie 21 na 30 centymetrów. Znała twarz, którą przedstawiały – podobnie jak znały ją miliony ludzi. Duże oczy, tak jasne, że niemal przezroczyste, z wyraźną źrenicą wielkości główki od szpilki, przylegające do głowy włosy ściągnięte z tyłu w krótki kucyk, piękne, delikatne rysy, szlachetna długa szyja, jakby wykonana z najlepszej porcelany.

Aktorka Clara Janssen, zmarła w roku 2011.
Jej matka.

Stukanie. Tym razem słyszała wyraźnie. Ktoś schodził po schodach.

Judith zamarła. Zmroziła ją myśl bardziej paraliżująca niż chlorek sukcyńlocholiny – oni wcale nie spali. Zastawili na nią pułapkę i ona w tę pułapkę wpadła. Cholera, co teraz? Panika narastała w niej jak woda w nieuchronnie wzbierającej rzece.

Odgłos kroków dobiegał z piętra powyżej. Ktoś spokojnie zaczynał pokonywać ostatnie dwa ciągi schodów. Odłożyła papiery na miejsce i wypadła z gabinetu. Jak najciszej zamknęła drzwi i bezszelestnie przemknęła do kuchni. Natychmiast włączyła jarzeniówkę. Znalazła w szafce szklankę, którą chwyciła drżącą ręką i napełniła wodą z kranu. Czuła się tak, jakby serce w jej klatce piersiowej dwukrotnie się powiększyło, a jamy, zastawki i komory zostały zalane lepłą krwią.

Powolne stukanie było słychać już w korytarzu. Zbliżało się do kuchni... Do niej! Przez ułamek sekundy sądziła, że to wielki kozioł z jej koszmaru powrócił, ale na chwilę przed tym, zanim go zobaczyła, uświadomiła sobie, że to jeden z molosów Artemisii.

Cholera. Czarny pies utkwiał w niej spojrzenie małych, nieruchomych oczu zabójczych jak pociski, bez warczenia, w ciszy – a ta cisza była gorsza, niż gdyby wydał z siebie jakiś dźwięk. Stał bez ruchu w progu kuchni z otwartym pyskiem i zwisającym językiem, przywodząc Judith na myśl filmy grozy, w których aż się roi od czarnych psów: *Maska szatana*, *Sinister*, *Pies Baskerville'ów*. Nie ma co, świetny wybór.

Desperacko usiłowała odczytać jego intencje. Czy ta cisza była zapowiedzią ataku czy wręcz przeciwnie? Nie była etologiem. Zmuszała się, by nie spuszczać z niego wzroku; nie ruszając się z miejsca, piła powoli wodę, próbując nie okazywać strachu. Była jednak pewna, że zwierzak go wyczuwa. Gdzieś czytała, że psy mają trzysta milionów receptorów węchowych i nieskończenie więcej neuronów odpowiedzialnych za rozróżnianie zapachów. To pozwala im zidentyfikować każdą woń, rozpoznawać otoczenie i dostosowywać do tego zachowanie. Wniosek, jaki

musiał powstać w mózgu tego zwierzęcia, był taki, że intruzka w kuchni umiera ze strachu. Co logicznie czyniło z niej, no właśnie... Potencjalną ofiarę czy tylko niegroźne, nieciekawe stworzenie?

Kawałek dalej na blacie stał stojak z dużymi nożami. Wystarczyło wyciągnąć rękę i... i co dalej? Zamierzasz się bawić w Tarzana, kochanieńka?

Nagle potwór stracił zainteresowanie. Odwrócił się do niej umięśnionym zadkiem, po czym odszedł, dysząc szybko, jakby brakowało mu powietrza. Dziewczyna zrobiła głęboki wdech. O kurwa, Judith, nieźle spękałaś! Uświadomiła sobie, że ma mokre czoło – wytarła je skrajem koszulki. Nalała sobie jeszcze jedną szklankę wody i zaczęła, aż jej tętno się uspokoi.

Wyłączyła światło w kuchni, zapaliła latarkę w telefonie i ruszyła korytarzem. Na myśl, że molos znowu może się pojawić, ścisnął jej się żołądek. Idąc w stronę schodów, mijala miejsce, w którym pod kątem prostym odchodził drugi, prowadzący do sali kinowej.

Światło... Obite drzwi pomieszczenia były otwarte i na zewnątrz wydobywał się błydy pulsujący blask. Usłyszała głos kobiety. Z miejsca, w którym stała, nie rozumiała słów. Bo kobieta mówiła szeptem, który jednak był wzmocniony przez system nagłośnienia.

Film... Delacroix oglądał film. Od jak dawna tam był? Czy słyszał, jak Judith krąży po domu? Zgasiła latarkę i ruszyła przed siebie. Właściwie chciała tylko jednego: zrobić w tył zwrot i iść do swojego pokoju. Ale coś przyciągało ją do tych drzwi jak magnes.

Głos... Ten słodki głos... Budził jakieś dawne wspomnienie, zagubione w zakamarkach jej pamięci. Dźwięki, intonacja, które aż do tej chwili były ukryte, zapomniane. A teraz nią wstrząsnęły. Zapowietrzyło ją, zatkało ze smutku, złości i trwogi. Dzieciństwo... Z sercem w gardle przekroczyła próg, podczas gdy szept kobiety wciąż narastał. Ale Judith nie zwracała uwagi na słowa. Walczyła z początkiem mdłości, z dudnieniem w czaszce, z zawrotami głowy. Delacroix siedział w pierwszym rzędzie, tam gdzie ostatnio. Wpatrywał się w ekran, na którym widać było w dużym zbliżeniu twarz o nieprzeciętnej urodzie. W stu procentach odpowiadającą klasycznym kanonom piękna. Wielkie, niemal przezroczyście oczy, źrenice, zwykle przypominające główki od szpilek, tutaj zmienione w hipnotyzujące

czarne dziury, elegancki łuk brwi, wypukłe czoło, miękkie włosy zaczesane do tyłu.

I ten uśmiech. Magiczny, doskonały. Obraz z innej epoki. Twarz Clary Janssen zajmowała całą ścianę sali, cały ekran.

– Dobry wieczór, Judith – powiedział Morbus Delacroix, nie odwróciwszy się w jej stronę. – Podejź tu. Musimy porozmawiać.

Z głośników płynęła piosenka *Cake by the Ocean*. Vincent tańczył. Zaczynał się bawić. Pokazał swoje zaproszenie brodaczeni, a ten zapytał go niskim, warkotliwym głosem:

– Kto ci to dał?

– Max Renn.

– Ten pieprzony biedainfluencer? Ostatni raz dupka zaprosiłem. A ty? Kim jesteś? – zapytał.

– Jego przyjacielem. Max nie mógł przyjść.

Brodacz spojrział na niego z wahaniem.

– Okej, idź się bawić. Ale jeśli jeszcze raz cię przyłapię na zawracaniu głowy Ezrze, to cię wywalę, zrozumiano?

Teraz tańczył w towarzystwie nieznanym osób, koszula kleiła mu się do pleców i chciało mu się pić. Dwukrotnie proponowano mu jakieś małe pigułki, ale odmówił. Billie Eilish śpiewała właśnie: „Nie mów dziękuję ani proszę, robię to, co chcę i kiedy chcę. Jaka jestem? Cyniczna”. Nie ma co, bardzo konstruktywna filozofia życiowa.

Wokół niego w półmroku przecinanym wiązkami światła spocone ciała ocierały się o siebie, odsuwały, trącały. Nagle przeszył go dreszcz. Valek! Mężczyzna przeszedł w stronę baru zaledwie trzy metry od Vincenta. Ta sama peleryna i ten sam wygląd tandetnego wampira. Rodem z filmów Terence’a Fishera. Brakowało tylko kłów.

– Wiesz, kto to jest? – Espérandieu zagadnął tańczącą obok dziewczynę.

– Nie. Ale już go widziałam. Dlaczego pytasz?

– Tak po prostu.

Podążył wzrokiem za postacią w pelerynie, zobaczył, że zamawia kieliszek szampana u barmana przebranego za marionetkę z *Piły*.

Nagle Valek się odwrócił, jakby poczuł utkwione w swoich plecach spojrzenie. Mimo tłumy nawiązali kontakt wzrokowy, który trwał zbyt długo, by uchodzić za niewinny. Ale Vincent chciał sprawdzić reakcję tamtego. Wyczytał w jego oczach zaskoczenie i ciekawość, ale także

nieufność – w panującym półmroku nie mógł jednak być tego pewien. W końcu Valek się odwrócił, by wziąć z rąk niby-Billy’ego swój kieliszek.

Nagle na ramię Espérandieu opadła z siłą czyjaś dłoń. Ktoś najwyraźniej chciał go zaskoczyć, ale także sprawić mu ból, ponieważ przycisnął palcami jego mięsień czworoboczny do obojczyka, jakby zamierzał go przebić.

– Idziemy na inną imprezę, ciekawszą – syknął mu do ucha Ezra Schrenkel. – Idziesz z nami, Vincencie producencie?

Znowu ten cięty dowcip.

– Nie, dzięki.

– Jak chcesz – odparł aktor i zwolnił uścisk. – Panowie, idziemy!

Espérandieu pomasował bolące ramię. Pieprzony dupek. Czuł, że musi się napić alkoholu. Przepchnął się do baru wśród falującego tłumu. Jego ciało poruszało się dość umownym torem, co stanowiło jasny sygnał, że za dużo wypił.

Zapomniałeś, że jesteś na służbie? Pomyślał o Charlène, o Martinie i zrobiło mu się wstyd. Podchodząc do baru, potrącił jakiegoś typa: wyglądało na to, że jego radar antyzderzeniowy szwankuje. Facet się odwrócił. Znowu nawiązali kontakt wzrokowy. W oczach Valka dostrzegł jakiś zły błysk, który skojarzył mu się z zorzą polarną w Tromsø.

– Czy my się znamy?

Nieostra. Twarz na ekranie była nieostra. Rozmyta przez łzy, które piekły ją w oczy, spływały po policzkach ciepłymi strużkami i zostawiały na jej ustach posmak soli. Jak on śmiał? Musiał wiedzieć. Bo z jakiego innego powodu pokazywałby jej te obrazy?

Była przerażona. Przerażona i wściekła. Zeszła do pierwszego rzędu. Jude, ten gość jest mordercą. Psychopatą. Jesteś z nim sama w środku nocy. I on wie, że ty wiesz.

Wskazał na fotel obok siebie.

– Usiądź.

Facet zabił twoją matkę, Jude. I ile jeszcze osób?

– Judith, co się dzieje? Chyba nie jesteś w najlepszej formie...

Gdzie jest Artemisia, gdzie służba? Oczywiście śpią. Na ekranie wciąż widać było twarz jej matki w dużym zbliżeniu. Delacroix zatrzymał obraz – dla Judith był to przerażający i wstrząsający widok. Delacroix wpatrywał się w nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Jesteś strasznie blada, mam nadzieję, że nie będziesz znowu chorować?

Najchętniej uciekłaby stamtąd w te pędy, ale się powstrzymała. I dokąd byś poszła? Przecież on zna każdy kąt tego domu, a w przepastnym lesie też pewnie czuje się jak u siebie. Nie mówiąc już o psach...

Ten gość jest potworem, Jude. Jak on to powiedział? „Nie wystarczy napchać film strasznymi obrazami, żeby się zbliżyć do horroru. To trzeba mieć w sobie”.

– Ojej, ty płaczesz – powiedział z udawanym współczuciem, aż zrobiło jej się niedobrze. – Co się dzieje?

Ty cholerny draniu...

Kiedy Judith odwróciła oczy w jego stronę, nie były już wilgotne, lecz twarde niczym diament i lśniły takim blaskiem, że reżyser patrzył na nią zdezorientowany.

– Jestem córką Clary Janssen – oświadczyła szorstko. – Twojej aktorki.

– Wiem o tym.

Zaskoczyły ją te słowa. Gość nawet się nie silił na udawanie.

– Chcę wiedzieć, co się wydarzyło w trakcie zdjęć do *Orfeusza*. Chcę wiedzieć, co jej zrobiłeś.

Skinął głową.

– Naprawdę jesteś pewna, że chcesz to wiedzieć?

– Tak.

– Jak sobie życzysz.

SOBOTA, 25 CZERWCA

– Idziemy dziś na basen?

Servaz spojrział na syna.

– Może jutro. Co ty na to?

Gustav siedział przy stole nad śniadaniem i patrzył na ojca takim wzrokiem, jakby badał go wykrywaczem kłamstw.

– A dlaczego nie dzisiaj? Jest sobota.

Servaz czuł, że nadchodzi jedna z tych rozmów, które Gustav inicjował, gdy był w bojowym nastroju. Bo poza nimi syn już od dawna niewiele mu mówił.

– Może poproszę Anastasię, żeby z tobą poszła? – zaproponował.

– Ale ja nie chcę z nią iść – zachnął się Gustav. – Chcę iść z tobą.

– Myślałem, że ją lubisz.

– Nie o to chodzi. Chcę, żebyś poszedł z nami.

– Wiesz, że bardzo bym chciał. Ale dzisiaj nie mogę. Muszę pracować, mam coś ważnego do zrobienia.

– Zawsze jest coś ważniejszego ode mnie – rzucił Gustav jeszcze bardziej naburmuszony. – Flavien mi mówił, że ich tata zawsze znajduje dla nich czas. A on przecież też jest psem.

– Policjantem – poprawił go Servaz. – Vincent i ja to nie to samo. Ja jestem szefem. Muszę być na posterunku, rozumiesz?

– A jak jego taty nie ma – ciągnął Gustav, jakby go nie usłyszał – to Charlène zabiera ich do centrum handlowego albo jadą na wieś do dziadków.

– Jeśli chcesz, możesz jeździć z nimi – zasugerował Servaz w przepływie desperacji. – Charlène bardzo cię lubi, przecież wiesz. Flavien również.

– Chcę do Léi! Gdzie ona jest?! – zawołał nagle chłopiec z wściekłością.

Servaz zeszywniał. To nie był pierwszy atak tego rodzaju. Gustav potrafił wykorzystać swój wdzięk, by otrzymać to, czego chce – używał wtedy wszystkich zdolności komunikacyjnych i rozpływał się

w uśmiechach, ale kiedy nie udawało mu się osiągnąć celu, potrafił w jednej chwili stać się nieznośny. Martin wciąż nie wiedział, jak sobie z nim poradzić. W odróżnieniu od Léi. Ona zawsze potrafiła znaleźć odpowiednie słowa i zachować zdrową równowagę między głaskami a autorytetem. Martin zastanawiał się, czy ta dwulicowość, ta skłonność do manipulacji to wyłaniająca się prawdziwa osobowość Gustava – i z drzeniem pomyślał o człowieku, który wychowywał chłopca przed nim, który poinformował go, że ma syna i że ten syn jest chory, i który mu go powierzył¹. O człowieku, który porwał ukochaną Martina – matkę Gustava – który prawie ją zniszczył i który wślizgnął się w życie Servaza niczym cień w chwili jego największej słabości. I który na zawsze go zmienił. Lalkarz, martwy kąć, niewidzialna, milcząca, ale stale wyczuwalna obecność: Julian Hirtmann, były prokurator sądu w Genewie, być może najbardziej podstępny seryjny morderca, jakiego Servaz kiedykolwiek ścigał. A w każdym razie jedyny, wobec którego w pewnym momencie poczuł bliskość. Obecnie przebywający w Austrii, w zakładzie karnym w Leoben².

– Dość tego! – powiedział, podnosząc głos.

Gustav gwałtownie odepchnął talerz, wstał i wyszedł. Servaz usłyszał trzaśnięcie drzwi jego pokoju. Od razu pożałował swojego wybuchu.

– Moim zdaniem śmierć nastąpiła sześć do ośmiu dni temu – oświadczył specjalista od entomologii sądowej w sali zebrań. Spojrzał na nich. – Ze wszystkimi możliwymi zastrzeżeniami. Opieram się na pomiarze temperatury w mieszkaniu Florenta Cuveliera dokonany w chwili wywożenia jego ciała, a wynosiła ona trzydzieści trzy stopnie Celsjusza.

Włączył filmik w swoim laptopie i ich oczom ukazał się leżący na dnie wanny nabrzmiały trup otoczony chmurą much i pokryty larwami.

– Podobnie jak owady koprofagiczne i saprofagiczne, owady nekrofagiczne są naturalnymi śmieciarzami – zaczął entomolog. –

Odżywiają się martwymi tkankami i są bardzo przydatne na krótszą i dłuższą metę w ustalaniu daty śmierci. W tym wypadku brak owadów *Sarcophagidae*, *Dermestidae* i *Tineidae* wskazuje, że, jak już mówiłem, śmierć nastąpiła sześć do ośmiu dni temu. Może nawet później, zważywszy na panującą w łazience temperaturę i wilgotność.

W przeciwieństwie do Servaza członkowie grupy śledczej, którzy byli na miejscu zbrodni, unikali patrzenia na ekran.

– Widzimy tutaj głównie *Calliphora vicina* i *Lucilia caesar*, czyli muchy niebieskie i padlinówki. Na podłodze widać liczne poczwarki.

– To było to, co nam strzelało pod butami? – zapytała Samira Cheung, wspominając saunę i potworne brzęczenie w łazience.

To znaczy, że Florent Cuvelier zginął wcześniej niż Du Welz, pomyślał Servaz.

– A czy zgon nie mógł nastąpić jeszcze później? – zapytał.

– To znaczy?

– Trochę więcej niż siedemdziesiąt dwie godziny przed znalezieniem zwłok.

Entomolog pokręcił głową.

– Nie, moim zdaniem zmarł wcześniej. Nawet biorąc pod uwagę upał panujący w mieszkaniu. Ale powtarzam: tej metody datowania należy używać z wielką ostrożnością.

– Hmm, podsumujmy zatem. Mamy dwa morderstwa popełnione w ciągu kilku dni, w obu przypadkach ofiarami są osoby, które pracowały w przemyśle filmowym – powiedział Servaz. – Przypadek?

– Oczywiście, że nie – rzucił Gadebois z przekonaniem, co rzadko mu się zdarzało.

Na jego szerokiej, dobrodusznej twarzy, pojawił się uśmiech zadowolenia, który zaskoczył wszystkich zebranych.

– Dlaczego? – zapytał Servaz, unosząc brew.

– No cóż, pszczoły w ustach pierwszej ofiary skojarzyły mi się z horrorem, który oglądałem jako dwudziestolatek. Film nosił tytuł *Candyman*, autorem muzyki był Philip Glass, były tam takie straszne chórki. A to drugie morderstwo, gość przypięty kajdankami do rury, skojarzyło mi się z...

– Z pierwszą częścią *Piły* – uprzedziła go Samira.

Wyglądał na zniesmaczonego tym, że zabrała mu powód do chwały.

– Otóż to.

– Dlaczego od razu nie mówiłeś? – zapytała.

Gadebois schował głowę w ramionach jak żółw kryjący się w skorupie.

– Nie byłem pewien.

– Wygląda na to, że kolega jest fanem kina grozy – stwierdziła Samira, patrząc na Servaza.

Delacroix, pomyślał Martin. *Orfeusz*. Nie wspomniał jeszcze grupie o odwiedzinach u Maximiliena Renna ani o jego pseudorewelacjach na temat tego, co się działo podczas zdjęć. Pomyślał o Vincencie. Zadzwoił do niego, zanim obudził Gustava, i nagrał się na pocztce głosowej. Ale Vincent nie dał jeszcze znaku życia.

Servaz zerknął na zegarek. 11.47. Pewnie Espérandieu wrócił późno w nocy i teraz odsypia, żeby odzyskać nadwątlone misją siły.

1. Zob. *Noc*, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2018. [[wróć](#)]

2. Zob. *Bielszy odcień śmierci*, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2012. [[wróć](#)]

Recepcjonistka szpitala w Paradis szeroko otworzyła oczy na widok młodej kobiety, która przekroczyła próg i szła ku niej chwiejnym krokiem. Ominęła ladę i ruszyła dziewczynie na spotkanie. Była wstrząśnięta jej wyglądem: ręce i twarz pokryte jaskrawoczerwonymi wybroczynami, zdeformowany nos, na wpół zamknięte prawe oko. Miała zakrwawiony podbródek, plamy z krwi na ubraniu i spuchniętą dolną wargę. Zanosila się spazmatycznym płaczem.

Recepcjonistka z najwyższą ostrożnością, by nie zrobić dziewczynie krzywdy, objęła ją za ramiona.

– Leć po zespół, szybko! – rzuciła do nadbiegającej pielęgniarki. – Spokojnie, spokojnie. Zajmiemy się panią.

– Co się stało? – zapytał pięć minut później lekarz, pochylając się nad leżącą na noszach pacjentką.

– Pobił mnie... chciał mnie zabić – wystękała. Łkała tak, że lekarz musiał ją poprosić, żeby powtórzyła, bo trudno było ją zrozumieć.

– Kto panią pobił?

– On... on chciał mnie zabić – powtórzyła dziewczyna.

Medyk pokiwał głową. Nic więcej z niej teraz nie wyciągnie. Poza tym ostatecznie to do żandarmów należało znalezienie drania, który jej to zrobił. Bydlaków nie brakuje. Prawie codziennie spotykał żalosnych twardzieli, zboczeńców, szkodników, chamów i miernoty, zapatrzonych w siebie i swój cholerny egoizm, zawsze gotowych do ataku na słabszych. Można zwątpić w rodzaj ludzki. Do niego natomiast należało opanowanie napadu paniki u pacjentki, zapewnienie jej bezpieczeństwa i udzielenie pomocy medycznej.

– Nic już pani nie grozi – rzekł kojącym głosem. – Czy chce pani, żebyśmy kogoś powiadomili?

– Nie, nikogo.

Wyglądało na to, że się uspokoiła; znany efekt wywołany obecnością lekarza. Odwrócił się do pielęgniarek.

– Zadzwońcie po żandarmerię, powiedzcie im, żeby się nie guzdrali. Na razie nie podajemy pani środków uspokajających. Przynajmniej dopóki nie pobierzemy krwi do badania. Zabierzemy panią, żeby obejrzeć obrażenia – zwrócił się do pacjentki tym samym uspokajającym tonem. – Jak się pani nazywa?

– Judith... Judith Tallandier.

Servaz właśnie streścił członkom grupy to, czego się dowiedzieli w Paryżu. Patrzyli na niego z powątpiewaniem. Horror? Przeklęte zdjęcia? Zakazany film? Znęcanie się nad aktorką i być może snuff movie? To wszystko? – wydawali się myśleć. I mieli rację. Było zbyt wcześnie na wyciąganie wniosków. A wywody Maximiliena Renna, nawet najciekawsze, nie były niczym więcej jak właśnie wywodami.

– Każdy film grozy generuje takie plotki – westchnęła Samira Cheung.

– Nie zgodzę się – odparł Gadebois: najwyraźniej to był jego dzień. – To prawda, wszyscy słyszeliśmy o filmach, za którymi ciągnęła się opinia przeklętych w związku z dziwnymi incydentami i zgonami podczas ich kręcenia. Na przykład seria *Duch*, film opowiadający o perypetiach rodziny, która zamieszkała w nawiedzonym domu. W trakcie zdjęć do pierwszej części aktorka Dominique Dunne o mało nie została zamordowana przez swojego partnera, który w końcu zabił ją kilka miesięcy później. Dwóch głównych aktorów zmarło krótko po nakręceniu filmu, jeden na raka żołądka, drugi wskutek komplikacji pooperacyjnych. A Heather O'Rourke, uroczą jasnowłosa dziewczynka, której zdjęcie było na wszystkich afiszach, zmarła w wieku dwunastu lat z powodu kolki jelitowej.

– Mity, legendy miejskie – odparła Samira. – Albo zagrania marketingowe dystrybutorów.

– To są powszechnie znane fakty – zaprotestował Gadebois. – Nie mówiąc już o *Omenie*, w którym Gregory Peck jako ambasador Stanów Zjednoczonych odkrywa, że jego syn adoptowany z włoskiego klasztoru jest antychrystem we własnej osobie. W samoloty, którymi Gregory Peck i scenarzysta lecieli do Londynu na zdjęcia, uderzył piorun. Rottweilery, które miały grać psy z piekła rodem, rzuciły się na swoich treserów, czego nigdy wcześniej nie robiły. W hotelu, w którym przebywał reżyser Richard Donner z częścią ekipy, IRA podłożyła bombę. Po nakręceniu kilku scen w Izraelu Gregory Peck w ostatniej chwili odwołał prywatny lot

i z samolotu, którym miał lecieć, skorzystała grupa japońskich biznesmenów. Nigdy nie dotarli do celu, maszyna się rozbiła. I wreszcie przygoda Johna Richardsona, specjalisty od efektów specjalnych, który przygotował scenę z obcięciem głowy: trzynastego sierpnia siedemdziesiątego szóstego roku po skończeniu zdjęć do filmu, kiedy jechał samochodem razem z partnerką, miał wypadek, w którym kobieta zginęła, dosłownie zdekapitowana. Richardson twierdzi, że chwilę przedtem widział tablicę wskazującą drogę do miasteczka o nazwie Omen.

– Nie mów, że wierzysz w te bzdury! – zdenerwowała się Samira. – W trakcie zdjęć zawsze zdarzają się wypadki. Im dłużej trwają zdjęcia, tym większe jest prawdopodobieństwo wypadku.

– A *Egzorcysta*? – kontynuował niezrażony. – Sama główna aktorka Ellen Burstyn wspominała o wielu incydentach, które towarzyszyły zdjęciom: pożar na planie, śmierć aż dziewięciu osób, potrącenie na plaży przez motor syna odtwórcy jednej z głównych ról, tego, który grał księdza Damiana Karrasa. A *Dziecko Rosemary*? Zakładam, że znacie tę historię – ciągnął Gadebois, który rozkręcił się już na dobre. – Młode małżeństwo wprowadza się do starej nowojorskiej kamienicy zamieszkaney przez sektę satanistyczną. Kobieta nie wie, że jej mąż wstąpił do sekty w zamian za obietnicę błyskotliwej kariery aktorskiej. Pomysł na film zrodził się w głowie słynnego producenta filmów grozy Williama Castle’a po lekturze powieści Iry Levina. Castle powierzył realizację pomysłu młodemu, prawie nieznanemu reżyserowi Romanowi Polańskiemu. Film zdobył dużą popularność, ale miał też dziwne następstwa. Producent był hospitalizowany z powodu licznych kamieni nerkowych; w tym samym czasie do tej samej placówki trafił kompozytor muzyki do tego filmu, Krzysztof Komeda, który nieszczęśliwie się przewrócił w Beverly Hills i ostatecznie zmarł. Kiedy Castle opuścił szpital, dowiedział się z gazet o przerażającej śmierci Sharon Tate, żony Polańskiego, zamordowanej wraz z czworgiem przyjaciół przez członków sekty Charlesa Mansona. A poza tym przeklęta kamienica z filmu, wyposażona w liczne gargulce i wieże, to ni mniej, ni więcej, tylko Dakota Building, u którego stóp został zabity John Lennon.

– To wszystko zbiegi okoliczności. – Samira była nieugięta.

– Czy moglibyśmy wrócić do rzeczy? – odezwał się Servaz.

– Ja mam konkret – oświadczyła.

Odwrócił się do zastępczyni.

– Przesłuchałam jedną z dwóch pielęgniarek, które weszły do pawilonu Stana Du Welza i Jonasa Résimonta po tym, jak był tam doktor Rollin. Twierdzi, że obaj spali. Dlatego prawie od razu wyszła.

– A co z drugą?

– W grafiku na ten dzień nie było żadnej innej pielęgniarki.

Samira poprosiła o ponowne odtworzenie nagrania z monitoringu szpitala Camelot. Jeden z członków grupy uruchomił wideo w przyspieszonym tempie.

– Tutaj – powiedziała nagle. – Stop.

Policjant zatrzymał obraz na drugiej pielęgniarence, która pojawiła się w zasięgu kamery.

– Możesz to puścić klatka po klatce?

Mężczyzna wykonał polecenie. W skokowych ujęciach widać było, jak postać, odwracając twarz do kamery, zmierza do drzwi i wciska guzik na prawo od futryny.

– Przyspiesz do chwili, kiedy będzie wychodzić.

Kilka sekund później, które w rzeczywistości były dziesięcioma minutami, pojawiła się znowu.

– Stop! – rzuciła policjantka.

Obraz znowu się zatrzymał. Postać miała spuszczoną głowę i okulary o przyciemnianych szklach.

– Ona dokładnie wie, gdzie jest kamera – stwierdziła Samira, zwracając się do Martina. – Kiedy tylko wchodzi w jej zasięg, pochyla głowę.

– Ona albo on. Popatrz na ten kosmyk na czole.

Samira zmarszczyła brwi. Na czoło pielęgniarki opadał kosmyk sztywnych włosów, a jej fryzura sprawiała wrażenie zbyt wymuskaney, jakby spryskano ją lakierem.

– To może być peruka – potwierdziła, kiwając głową.

– W takim razie mamy tu kogoś, kto podszywa się pod pielęgniarkę. Choć to nie wyjaśnia, jak Résimontowi udało się uciec tak, by nie zarejestrowała tego kamera – przypomniał. – Wydrukujcie kopie klatki w momencie, kiedy ten ktoś przekracza próg. I sprawdźcie, jak to mogło wyglądać na miejscu: będziemy przynajmniej mieć jakieś wyobrażenie o wzroście tej osoby. Świetna robota.

W jego kieszeni zawibrowała komórka. Niewiele brakowało, a zignorowałby połączenie, ale czekał na telefon od Espérandieu. Wyjął komórkę. Charlène.

– Martin, rozmawiałeś dziś rano z Vincentem?

Usłyszał niepokój w jej głosie. Zawahał się.

– Nie, jeszcze nie. Dlaczego pytasz?

– Dzwoniłam do niego trzy razy i nie odebrał. Wysłałam mu dwie wiadomości na WhatsAppie i widzę tylko jednego ptaszka, tak jakby jego telefon był wyłączony albo nie miał zasięgu. Wczoraj wieczorem powiedział mi, że gdzieś wychodzi w związku ze śledztwem.

Servaz podszedł do drzwi, żeby inni go nie słyszeli.

– Tak, to prawda. Nie martw się. Pewnie śpi. W nocy miał kogoś obserwować.

– Dlaczego nie jesteś z nim?

– Musiałem pilnie wrócić. W związku z inną sprawą tutaj.

– Przez całą noc był sam?

– Hmm, no tak.

Po drugiej stronie zapanowało milczenie. Poczuł, że sam zaczyna odczuwać napięcie.

– Martin, czy to było bezpieczne?

– Oczywiście – powiedział. – Gdyby tak nie było, nie puściłbym go samego.

Czy naprawdę jest tego pewien? I gdzie, u licha, jest Vincent? Dlaczego nie oddzwania? Nawet jeśli śpi, powinien był zostawić telefon włączony.

– Nie martw się. Niedługo się do ciebie odezwie. Pewnie późno poszedł spać.

– Okej. Jeśli dodzwonisz się do niego pierwszy, powiesz mu, że czekam na telefon?

– Obiecuję.

Zerknął na zegarek. Wpół do pierwszej. Kurwa, Vincent, co ty odwalasz? Wybrał numer zastępcy i trafił na pocztę głosową.

– Vincent? Tu Martin. Oddzwon, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość, okej?

Żandarmów było dwoje. Kobieta i mężczyzna. Lekarz od razu się zorientował, że rządzi kobieta, choć zauważył, że jest niższa rangą.

– Gdzie ona jest? – zapytała żandarmka.

– Zaprowadzę was.

– Zbadał ją pan?

– Z grubsza. Nie ma poważnych obrażeń, dlatego robimy tylko to, co niezbędne.

– Dobrze – pochwaliła go. – Aby obrażenia można było wykorzystać w sądzie, trzeba dokonać obdukcji. Dzwoniliśmy do sędziego, lekarz sądowy jest w drodze. Jak ona się czuje?

Na korytarzach panował zwykły ruch, który nigdy nie ustawał ani nie zważał na żaloby ani dramaty, ponieważ nikt nie miał tu na to czasu.

– W sensie psychicznym? Jest w szoku. Ma objawy głębokiej traumy. Dużo płacze, jest bardzo poruszona, ale niezbyt rozmowna. Typowa reakcja. Jeśli chodzi o obrażenia, to doszło do stłuczeń w okolicach oczu i nosa, nos jest obrzęknięty, na twarzy i kończynach liczne wynaczynienia, pęknięta warga, ale nie ma żadnych złamań. Wykonamy tomografię komputerową, żeby sprawdzić, czy nie doszło do uszkodzeń mózgu, kości lub tkanek miękkich. Im szybciej uda się to zrobić, tym lepiej – dodał, patrząc na nich znacząco.

Minęli nosze zagrządzające część korytarza.

– Pobraliśmy krew, ponieważ wygląda, jakby była pod wpływem jakiejś substancji, a może kilku. Nie mogliśmy tracić czasu. Jak pani wie, narkotyki takie jak GHB stają się niewykrywalne we krwi i moczu już po kilku godzinach. Zaraz po pobraniu krwi podaliśmy środek przeciwbólowy. Pilnie trzeba będzie też przeprowadzić badanie ginekologiczne.

– Wspominała o gwałcie?

– Nie mówiła nic poza tym, że chciał ją zabić. W kółko to powtarzała.

– Czy widział ją psychiatra? – zapytał ostrożnie drugi żandarm.

– Jeszcze nie. Ale zważywszy na jej stan, trzeba to jak najszybciej załatwić.

– Chodzi mi o to, żeby się upewnić, czy nie konfabuluje.

Żandarmka i lekarz zgromili go wzrokiem.

– Niech pan się wstrzyma z takimi hipotezami, dopóki jej pan nie zobaczy – odparował ten ostatni.

Zatrzymali się w progu sali.

– Czy moglibyście na chwilę zostawić mnie z nią sam na sam? – spytała żandarmka.

Jej kolega już zamierzał protestować, ale ostatecznie wzruszył tylko ramionami i zrobił w tył zwrot. Lekarz bezszelestnie zamknął drzwi.

– Dzień dobry, Judith.

– Dzień dobry.

Dziewczyna wyglądała jak zdjeta z krzyża. Siedziała w głowach łóżka, oparta o poduszki. Drżała. Żandarmka przysunęła sobie krzesło i nie przestając się uśmiechać, usiadła.

– Judith, zostanie pani zbadana przez specjalistę. Czy zamierza pani złożyć skargę na tego, kto pani to zrobił? Zdecydowanie panią do tego zachęcam.

Judith skinęła głową.

– Świetnie. Zadam pani teraz kilka pytań. Czy jest pani gotowa?

Dziewczyna znowu przytaknęła.

– Wie pani, jak się nazywa ten, kto pani to zrobił?

Judith kiwnęła głową po raz trzeci.

– Może mi pani powiedzieć?

– Tak. Nazywa się Morbus Delacroix.

Słońce i chmury raz po raz następowały po sobie, jakby niebiosy puszczały do nich oko. W dole bujna roślinność, drzewa skrzypiące za każdym podmuchem wiatru, a na wprost nich niewzruszenie cierpliwe góry.

Trzy furgonetki żandarmerii zaparkowały przed porośniętym bluszczem budynkiem. Drzwi otworzyła Artemisia. Miała na sobie krótką sukienkę kopertową bez rękawów i botki ze skóry pytona.

– Pani jest żoną Morbusa Delacroix? Zastaliśmy męża? – zapytał policjant z brygady kryminalnej z Saint-Gaudens, wyręczając dwóch żandarmów.

Towarzyszyło mu sześciu innych funkcjonariuszy, w tym dwóch z jednostki nadzoru i interwencji.

– Dlaczego? Co się dzieje? – zapytała Artemisia, widząc na ganku dwóch uzbrojonych mężczyzn w hełmach, podążających za niewielką grupką. – A co to za komandos?

– Czy on jest w domu? – niecierpliwił się przedstawiciel żandarmerii.

– Morbus! – zawołała w stronę domu.

Morbus Delacroix stanął w progu – uroczysty, majestatyczny niczym król bez tronu, ubrany w długi jedwabny szlafrok, w którego przerwie widać było półprzezroczyste bokserki Zimmerli, z włosami w nieładzie, z miną zdradzającą niedobry sen.

Część żandarmów zrobiła wielkie oczy.

– Przyjechaliście mnie aresztować za trawę, którą mam w domu? – zapytał, powstrzymując ziewnięcie.

– Morbus Delacroix?

– Nie, jego sobowtór.

– Mamy dwudziesty piąty czerwca, godzina czternasta zero trzy. Jest pan zatrzymany za usiłowanie zabójstwa Judith Tallandier.

– Pierrat? Tu Martin.

– Cześć.

– Widziałeś dziś Vincenta? Dzwonił do ciebie?

– Co? Nie, od wczoraj nie mam od niego żadnych wieści – odparł zaskoczony policjant z Paryża. – Myślałem, że ty z nim rozmawiałeś.

Servaz miał nieprzyjemne wrażenie, jakby ktoś wlewał mu do żołądka elektrolit z baterii.

– Nie, od wczorajszego wieczoru milczy.

Popatrzył na zegarek. 14.41. Gdzie on się podział?

– Poszedł na tę imprezę, prawda? – zapytał Pierrat.

Martin poznał po głosie, że on również jest zaniepokojony.

– Hmm... Mógłbyś się kopnąć do hotelu i zobaczyć, czy on tam jeszcze jest?

– Nie ma problemu.

– Coś jest nie tak. Nie odbiera telefonów, a wiadomości, które mu wysyłałyśmy, nie mają statusu doręczonych.

– Musi mieć wyłączonej komórkę – stwierdził ponuro Pierrat.

– Mhm.

– A twój kolega jest z tych, co imprezują do późna i lubią się nabzdryngolić? – zapytał policjant z paryskiej brygady kryminalnej. – A może wyrwał jakąś pannę?

– Zapomnij, to nie ten typ – odparł policjant z Tuluzy. – Możesz tam podjechać?

Servaz był coraz bardziej zdenerwowany. Oczywiście musiało istnieć wyjaśnienie tej sytuacji. Może Vincent trafił na jakiś trop i żeby za nim pójść, musiał wyłączyć telefon. A może po prostu zapomniał go naładować. Ale drugi wewnętrzny głos, mniej optymistyczny, podpowiadał mu, że nie o to chodzi.

– W którym pokoju mieszka? – zapytał Pierrat.

– Dwieście trzydzieści siedem.

- Dzwoniłeś do hotelu?
- Jeszcze nie.
- Okej. To nie dzwoń, zajmę się tym. Już tam jadę.
- Dzięki.
- Martin?
- Tak?
- Nie podoba mi się to – wyznał Pierrat.
Servaz przełknął ślinę. Mnie też nie, pomyślał, ale nic nie odpowiedział.

– Panie Delacroix – zaczął oficer z brygady kryminalnej w Saint-Gaudens – czy Judith Tallandier, studentka z Tuluzy, gościła u pana od ostatniego wtorku do dzisiejszej nocy?

– Na mocy ustawy numer dwa tysiące jedenaście trzysta dziewięćdziesiąt dwa z dnia czternastego kwietnia dwa tysiące jedenastego roku mój klient może zachować milczenie w trakcie przesłuchania – oświadczył mecenas Bruylandt, adwokat reżysera, szczupły jegomość około czterdziestki, który siedział z otwartym notatnikiem.

Przyjechał z Tuluzy porsche panamera turbo tak szybko, że żandarmi mieli wątpliwości, czy przestrzegał ograniczeń prędkości.

– Czy z jakiegoś powodu zdenerwował się pan na Judith Tallandier? – ciągnął żandarm, nie zwróciwszy uwagi na wtręt adwokata. – Próbowала pana okraść? Czy odnosiła się niegrzecznie do pana lub pana małżonki? Co się stało?

– Na mocy ustawy numer dwa tysiące jedenaście trzysta dziewięćdziesiąt dwa z dnia czternastego kwietnia dwa tysiące jedenastego roku mój klient może zachować milczenie – powtórzył prawnik.

– Panie Delacroix, mamy tu raport ze szpitala w Paradis, z którego wynika, że Judith Tallandier podczas pobytu w pańskim domu doznała licznych obrażeń ciała. Czy to pan jest ich sprawcą?

– Na mocy ustawy numer dwa tysiące jedenaście trzysta dziewięćdziesiąt dwa z dnia czternastego kwietnia dwa tysiące jedenastego roku...

– Mecenasie – zniecierpliwił się żandarm. – Pańskie interwencje na tym etapie przesłuchania są nie na miejscu. I bynajmniej nie pomaga pan swojemu klientowi.

– Zobaczymy w sądzie – odparował papuga.

Delacroix ściągnął poły szlafroka z godnością aktora teatru szekspirowskiego, który gra króla Leara. Żandarmi zaproponowali mu, żeby się przebrał, zanim go zabiorą, ale nie skorzystał z oferty.

– „Milcz albo mów coś lepszego od milczenia” – zadeklamował znienacka mocnym głosem, wypowiadając każdą sylabę z osobna. – Eurypides.

Sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów.

– Tutaj nie wolno palić – pouczyła go oschle żandarmka siedząca obok kolegi.

Delacroix uśmiechnął się do niej.

– Dlaczego? Zatrzymacie mnie za niestosowanie się do zakazów? Przecież już jestem zatrzymany. Ups, ma pani ogień? Zapomniałem zapalniczki.

Servaz poczuł w kieszeni wibracje telefonu. Kiedy zobaczył na wyświetlaczu nazwisko Pierrat, wymknął się na korytarz. Spojrzał na zegarek. Było po siedemnastej.

– No i? – zapytał zniecierpliwiony.

– W hotelu go nie ma – odparł Pierrat głosem, w którym można było wyczytać napięcie. – Od wczorajszego wieczoru nikt go nie widział. Obudziliśmy recepcjonistkę z nocnej zmiany. Jest pewna, że nie widziała, żeby wrócił.

Servaz wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w ceglana ścianę, którą miał przed oczami.

– Cholera.

– To nie wszystko. Kazałem otworzyć pokój i sejf. Przedtem musiałem znaleźć sędziego, bo pieprzony hotelarz żądał nakazu. W sejfie była legitymacja Vincenta, a na łóżku złożona pizama. Nie wrócił na noc...

Servaz oparł czoło o ścianę. Zamknął oczy i gorączkowo szukał rozwiązań.

– Zwołam moich ludzi i natychmiast się tym zajmiemy – oświadczył Pierrat.

– Okej – powiedział Martin ze ściśniętym gardłem. – Wsiadam w najbliższy samolot do Paryża.

Rozłączył się i od razu zaczął stukać w klawiaturę laptopa w poszukiwaniu lotu. Cholera, samolot odlatuje za pół godziny. Będzie gorąco.

Zerwał się z fotela i jak oparzony wybiegł na korytarz.

– Samira! – zawołał.

Pędzili na lotnisko pod burzowym niebem na sygnale, z migającym kogutem, raz po raz zmieniając pas i trąbiąc frenetycznie na kierowców, którzy zbyt wolno zjeżdżali na bok. Samira wyrzuciła go pod wejściem do portu lotniczego jak pakunek. Nie czekając na windę, wbiegł na pierwsze piętro, w przelocie rzuciwszy okiem na tablicę. Mniej niż piętnaście minut!

Przegalopował przez hale i zdyszany, z walącym sercem dobiegł na drugi koniec terminalu, gdzie znajdowały się stanowiska boardingu, przepychając się wśród stojących w kolejce pasażerów – a kiedy przechodził przez bramkę, uruchomił wszystkie sygnały alarmowe.

Tym razem miał przy sobie broń, którą musiał zgłosić, tak że wszystko się opóźniło i bał się, że samolot ucieknie mu sprzed nosa. Włożył pistolet do pancernego pudełka zamykanego na kod i rzucił się sprintem przez tunel, mijając stanowiska stewardes, a szef pokładu zamknął za nim drzwi maszyny.

Usiadł w ciasnym fotelu w pobliżu głównej alejki i uspokoił oddech. Czoło i plecy miał mokre od potu. W pewnej chwili samolot wpadł w lekkie turbulencje, ale Servaz po raz pierwszy nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi. Strach, od którego skręcał mu się żołądek, miał zupełnie inne źródło.

Po ostatniej ulewie Paryż wyglądał jak wypucowany. Avenue de Suffren w VII dzielnicy zmieniła się w witrynę wytwórcy luster. Kamienica pod numerem jednaście bis miała fasadę z ciosanego kamienia i wykusze oraz bramę rzeźbioną w liście akantu z drzwiami z kutego żelaza.

– No, no, no – szepnął Pierrat, wciskając miedziany guzik przywołujący portiera. – Jak myślisz, ile kosztuje metr kwadratowy tutaj? Piętnaście tysięcy? Dwadzieścia?

Pierrat czekał na Servaza w hali przylotów Orly i znowu na sygnale, w rekordowym tempie, przejechali autostradami A106 i A6, a następnie obwodnicą i quai de Grenelle. Gdy Servaz leciał, Pierrat po wielu nieodebranych telefonach i wysłaniu iluś wiadomości zdołał się dodzwonić do Maximiliena Renna i dowiedzieć się, kto organizował tę przeklętą imprezę i dał mu zaproszenie. A był to niejaki Charles Barneville. Według youtubera ważna postać w środowisku filmowym. Zorganizował też odprawę dla członków swojej grupy, którym zlecił sprawdzenie billingów i miejsc logowania telefonu Espérandieu.

Servaz zerknął na zegarek. 19.37. Vincent wciąż nie dawał znaku życia. Martin nie miał już wątpliwości: coś musiało się stać. Przeczucie przeobrażało się w pewność, a pewność w panikę.

Otworzył im ciemnoskóry mężczyzna około trzydziestki z dużymi białymi słuchawkami Bose na szyi. Pierrat pokazał mu legitymację.

– Do kogo?

Ze słuchawek sączyła się muzyka.

– Do Charles’a Barneville’a.

– Ostatnie piętro – odparł portier.

– Jaki on jest? – zapytał z głupia frant Servaz.

– Z gatunku tych, co zapominają o napiwkach – odparł portier i odwrócił się na pięcie.

Wsiedli do okratowanej windy, która powoli zaczęła się wznosić w osi otaczających ją spiralnie marmurowych schodów. Na ostatnim piętrze

znajdowały się jedne dwuskrzydłowe drzwi. Wcisnęli guzik dzwonka. Zza dębowego skrzydła doszedł ich z głębi mieszkania krystaliczny dźwięk. Otworzyła im pomoc domowa w białym fartuszk. Była tak szczupła, że Servaz zastanawiał się, czy nie jest chora. Pod ciemną skórą zamiast mięśni odcinały się ścięgna, miała zapadnięte policzki i wielkie worki pod żółtymi, wodnistymi oczami zbitego psa.

Pierrat znowu wyjął legitymację. W spojrzeniu kobiety dostrzegli błysk niepokoju.

– Przyszliśmy do pana Barneville’a – powiedział paryski policjant z marsową miną.

Poprowadziła ich przez ciąg wysoko sklepionych salonów ozdobionych złoceniami, lustrami, lampami i antykami, częściowo po parkiecie w jodełkę, a częściowo po dywanach we wszelkich możliwych kształtach i kolorach. Nagle Pierrat bez uprzedzenia złapał ją za chudą rękę i odwrócił do siebie. Jej oczy znowu załśniły strachem.

– Mówi pani po francusku?

Pokręciła głową.

Puścił ją. Ruszyła dalej jak automat. Kiedy doszli do kolejnego salonu, równie przestronnego jak poprzednie, wskazała im czerwoną sofę stojącą naprzeciw marmurowego kominka. Zrozumieli, że mają zaczekać.

Servaz usiadł. Odwróciwszy głowę, ujrzał wspaniałe widowisko: za balkonowymi drzwiami obramowanymi ciężkimi zasłonami, na tle ciemnego nieba – ponieważ burza wciąż wisiała w powietrzu, a dzień chylił się ku zachodowi – malowała się niewiarygodnie bliska wieża Eiffla. Z tej odległości dokładnie widzieli każdą poprzeczkę, każdą żelazną belkę, każdy stopień schodów i tłum zwiedzających, którzy przemierzali się w górę i w dół niczym afrykańskie termity w kopcu.

– O kurwa – powiedział po prostu Pierrat.

Za przesuwanymi drzwiami w stylu japońskim rozległ się odgłos kroków. Po chwili stanął w nich niewysoki, krępy mężczyzna, którego policzki i szyję porastała twarda, ciemna broda. Ich uwagę zwróciła elegancka ciemnoczerwona marynarka z weluru i czarna muszka.

– Panowie z policji?

Jego głos był spokojny i zdecydowany, zdradzał jednak pewne zniecierpliwienie.

– Z brygady kryminalnej – odpowiedział Pierrat i jeszcze raz pokazał legitymację.

Charles Barneville wziął dokument do ręki, obejrzał go i oddał szybkim gestem.

– Co mogę dla panów zrobić?

– To pan organizował przyjęcie, które odbyło się ubiegłej nocy przy square Alboni?

Barneville spojrział na niego zaskoczony.

– Tak, ja. A co się stało? Sąsiedzi się poskarżyli? To teraz używa się do tego kryminalnych? Nie robię imprez tutaj, ponieważ zależy mi na dobrych stosunkach z sąsiedztwem. Wynajmuję mieszkania przez Airbnb. I wkurzam cudzych sąsiadów – zażartował. – Czy wydarzyło się coś, o czym nie wiem?

Servaz pokazał mu zdjęcie Espérandieu, które miał w telefonie.

– Znam go. Wbił się na imprezę, choć nie był zaproszony. Ktoś mu przekazał zaproszenie. W czym problem? Jest poszukiwany przez policję?

Pierrat i Servaz wymienili spojrzenia.

– Czy widział pan, z kim rozmawiał?

Barneville zmrużył oczy. Servaz znał to spojrzenie. Oznaczało stopniowe przejście od stadium „pełna współpraca” do stadium „im mniej im powiem, tym lepiej”.

– A co ja mogę wiedzieć? Miałem co innego do roboty niż pilnowanie tego gościa. Ale o co chodzi? Czego konkretnie szukacie?

– Potrzebna nam lista gości – powiedział Pierrat.

Oczy gospodarza wyglądały teraz jak dwie szparki, a jego usta rozciągnęły się w pełnym samozadowolenia uśmiechu.

– Nie wiem, na co liczycie, ale znam swoje prawa. Jeśli chcecie listy gości, będziecie musieli tu wrócić z nakazem, panowie.

Pierrat się skrzywił.

– Moglibyśmy. Ale to zajmie trochę czasu, a nam się śpieszy.

– W takim razie nic nie mogę dla panów zrobić. Wróćcie z nakazem, a wtedy...

– Ile pan płaci gosposi? – zapytał nagle Servaz.

– Słucham?

– Ile jej pan płaci?

– A jaki to ma związek ze sprawą, z którą tu przyszliście?

– Pytam z czystej ciekawości. Wygląda na wyczerpaną. Jest bardzo szczupła, prawda? Skąd ona pochodzi?

– Z Burundi – odparł Barneville, machając ręką. Poczzerwieniał na twarzy, a w jego oczach pojawił się błysk gniewu. – Taka jej uroda. Coś pan sugeruje? Że ją głodzę, wyzyskuję?

Pierrat zrobił krok naprzód. Stał teraz na tyle blisko gospodarza, że widać było, jak bardzo przewyższa go wzrostem.

– A robi pan to? Ile godzin dziennie ona pracuje? Ile dni w tygodniu? Jest sobota wieczór. Nigdy nie odpoczywa? Jak wygląda jej sytuacja prawna? Zatrzymał pan jej paszport?

Charles Barneville zamrugał, zaskoczony potokiem pytań. Ale bardzo szybko się pozbierał.

– Okej, dość tego – oświadczył lodowato. – Nie odpowiem już na ani jedno pytanie. Dobranoc, panowie. Odprawiam was.

Mówił tak samo stanowczo jak na początku, Servaz jednak wyczuł w jego głosie, że zaczyna tracić pewność siebie.

– Skontaktuję się z kolegą z Centralnego Biura do Walki z Nielegalnym Zatrudnieniem – powiedział spokojnie Pierrat. – Zasugeruję mu, żeby sprawdził warunki pracy pana pomocy domowej. Tyle się słyszy o współczesnym niewolnictwie. A przy okazji szepnę też słówko Wydziałowi do spraw Przepływów Skarbowych.

Servaz pomyślał o szkielecie, który otworzył im drzwi. Wiedział, że sprawy o handel ludźmi rzadko kończą się w sądzie. Po pierwsze dlatego, że dotyczą pracowników z nieuregulowanym pobytem, którzy mówią po francusku bardzo słabo lub wcale. Po drugie dlatego, że takie osoby są zwykle izolowane, konfiskuje się im paszporty, jeśli w ogóle je mają, i zastrasza się je na różne sposoby, a często nawet stosuje się wobec nich przemoc. A po trzecie dlatego, że często tych złych praktyk dopuszczają się zagraniczni dyplomaci chronieni immunitetami.

– Uważajcie, mam kontakty – syknął Barneville.

– My również.

– Okej, bawcie się dobrze, nie mam sobie nic do zarzucenia.

Uśmiechał się prowokująco. Sztuczka Pierrata się nie powiodła.

– W takim razie nie ma pan się czego obawiać – stwierdził paryski policjant, wzruszając ramionami i ruszając w stronę wyjścia.

Servaz zrobił to samo.

– Dobra, dobra! – rozległ się po chwili znużony głos. – Na kiedy wam potrzebna ta lista?

– Na już – odpowiedział Pierrat, odwracając się do niego.

– Impreza po byku, na tej liście jest ponad sto nazwisk – westchnął Pierrat, kiedy wychodzili z kamienicy.

Znowu lało jak z cebra, a po niebie przetaczało się dudnienie burzy. Postawili kołnierze i szybko ruszyli do samochodu.

– Co zamierzasz zrobić z tym, co tam widzieliśmy?

– Chodzi ci o tę kobietę? Na razie nic, bo jeszcze facet ją gdzieś ukryje. Ale kiedy dupek poczuje się bezpiecznie, kiedy uwierzy, że dotrzyaliśmy słowa, mój ziomek od nielegalnego zatrudnienia wpadnie do niego ze swoją ekipą. Jakie decyzje w sprawie Vincenta? – zapytał Pierrat, omijając kałuże.

Servaz wskazał na listę, którą kolega niósł pod kurtką, usiłując uchronić ją przed deszczem.

– Wpadniemy do twojego biura i damy to twoim ludziom. Sprawdzimy te osoby w bazie.

– Sto nazwisk?

– Sto. Jeśli będzie trzeba, posiedzimy nad tym całą noc.

Pierrat spojrział na lejące się z nieba srebrne strugi i zmarszczył brwi.

– Cholera, istny potop. Będziemy mieć problem.

– Jaki problem? – zdziwił się Servaz.

– Zobaczysz.

Nowoczesna fasada z połyskującym numerem 36 przy rue du Bastion w XVII dzielnicy Paryża. Nowiutkie budynki przylegające do niedawno wybudowanego, zapierającego dech w piersiach gmachu sądu powszechnego. Paryska policja kryminalna i jej tysiąc siedmiuset śledczych z legendarnego adresu na quai d'Orfèvres 36 przeniosła się pięć lat wcześniej do dzielnicy Batignolles. Z tej okazji minister spraw wewnętrznych i prefekt policji wychwalali „nowy numer 36”, jego pomieszczenia z ultrazabezpieczeniami, o powierzchni trzydziestu tysięcy metrów kwadratowych.

Może i lokale mają ultrazabezpieczenia, ale z pewnością nie są szczelne, pomyślał Servaz na widok korytarzy zalanych wodą do wysokości pięciu centymetrów jak byle jaka chałupka na przedmieściu.

– Tak jest zawsze przy większych ulewach – westchnął Pierrat, wchodząc po stopniach, po których woda spływała niczym wodospad.

Winda nie działała. Servaz ruszył za kolegą, wysoko unosząc stopy.

– Żeby nam tylko nie wyłączyli prądu jak miesiąc temu – dodał paryski policjant.

Na szczęście piętro brygady kryminalnej było suche.

– Powinieneś zobaczyć strzelnicę – skomentował Pierrat.

Przed dystrybutorami z kawą stał jakiś gość, niemal równie postawny jak kolega Martina.

– Martin, przedstawiam ci Francka Sharko, najlepszego detektywa spod trzydziestki szóstki. To on rozwiązał sprawę Emmy Dotty – powiedział Pierrat. – Franck, to jest komendant Servaz z policji kryminalnej w Tuluzie.

– Słyszałem o panu, komendancie – skomentował powściągliwie Sharko, ściskając dłoń Servaza.

– Ja również o panu słyszałem – odparł Martin z uśmiechem. – Przykro mi z powodu tego, co spotkało pana grupę w listopadzie zeszłego roku.

Sharko skinął głową. O sprawie Emmy Dotty i jej następstwach mówiło się nawet w Tuluzie. Podobnie było z unieszkodliwieniem przez grupę

Servaza seryjnego zabójcy Hirtmanna, a ostatnio generała Donnadiou de Ribesa – te historie również obiegiły wydziały policji kryminalnej w całym kraju. Pożegnali się z Sharkiem i ruszyli dalej korytarzem.

Kiedy dotarli do pomieszczeń zajmowanych przez grupę śledczą Pierrata, jej szef rozdzielił podwładnym nazwiska z listy. Zwołał ich, mimo że był sobotni wieczór. Stawili się wszyscy: policjant w niebezpieczeństwie, nawet jeśli nie jest z Paryża, to sprawa najwyższej wagi.

– Wszystkich przepuszczamy przez bazę! – zawołał i klasnął w dłonie. – Do roboty, nie mamy ani chwili do stracenia.

Do pomieszczenia wszedł młody policjant, z pewnością najnowszy w grupie, z plikiem kartek; był to wykaz połączeń z telefonu Vincenta.

– Mamy problem – oświadczył.

Wszyscy podnieśli głowy.

– Ostatnie zapisane połączenie jest z wczoraj, z dziewiętnastej czterdzieści siedem. Dzwonił do żony. A potem już nic. Po raz ostatni jego telefon logował się o drugiej trzynastej w nocy w pobliżu miejsca, w którym odbywała się impreza. Od tej pory jest niewidzialny.

Servaz zaklął pod nosem. Brak sygnału z telefonu oznaczał, że ktoś go wyłączył, wyjął kartę SIM lub zniszczył. Na chwilę zapanowała pełna przygnębienia cisza. Wszyscy członkowie grupy wiedzieli, że te informacje nie wróżą niczego dobrego.

– No już, do roboty! – powtórzył Pierrat, by ich zmotywować. – Liczy się każda minuta. Raz-dwa!

Wszyscy ruszyli do swoich stanowisk pracy. Baza TAJ¹: rejestr postępowań karnych. Osiemdziesiąt siedem milionów spraw. Dziewiętnaście milionów osób, w tym osiem milionów ze zdjęciami. Cyfrowy potwór. Inwazyjny, ale skuteczny. Jego istnienie podsycalo odwieczną debatę o granicy między bezpieczeństwem a wolnością. Mówiąc w skrócie, w rejestrze figurowali wszyscy sprawcy i współsprawcy zbrodni, występków czy wykroczeń piątej kategorii. A także ich ofiary.

TAJ wykorzystuje również technikę rozpoznawania twarzy. Każdy policjant wyposażony w smartfon Neo może zrobić zdjęcie dowolnej osoby podczas manifestacji – albo sfotografować jej dowód tożsamości – i porównać je z ośmioma milionami zdjęć w bazie. Umożliwia ona również

wyszukiwanie po nazwisku, imieniu lub dacie urodzenia. Servaz zaczął to już robić w samochodzie Pierrata ze swojego służbowego telefonu, ale na razie bez sukcesu.

Coraz bardziej się martwił. Czuł się bezradny. Pierrat wysłał swoich ludzi na rozpytanie w sąsiedztwie lokalu, w którym odbywała się impreza, mieli też sprawdzić zapisy z kamer w dzielnicy, ale nic nie wskórali. Nikt niczego nie widział, a na square Alboni ani na sąsiednich ulicach nie było monitoringu. Jedyne kamery znajdowały się na stacji metra Passy i śledczy byli właśnie w trakcie załatwiania u sędziego nakazu, z którym zwrócił się do komórki bezpieczeństwa w zarządzie metra. Na wszelki wypadek – gdyby Espérandieu wsiadł do metra. Wprowadzili też dane Vincenta do bazy osób poszukiwanych i rozesłali je do wszystkich komisariatów Île-de-France.

Była prawie dwudziesta druga, kiedy Servaz wyszedł na puste korytarze w poszukiwaniu automatu z kawą i dystrybutora słodczy. Od południa nic nie jadł. Pusty żołądek dawał o sobie znać. W końcu znalazł urządzenie z batonikami czekoladowymi. Zagryzając ohydną kawę batonem, myślał o Vincencie. Musiał się za bardzo do czegoś zbliżyć. Ale do czego? Co odkrył? Czyżby postanowił kogoś śledzić, a ten ktoś to zauważył? Wzdrygnął się na tę myśl. Vincent nie był najlepszy w obserwacji. Może nieświadomie wdepnął w gniazdo os? Z niepokoju ścisnął mu się żołądek.

Na próżno wysilał szare komórki, nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Nagle zobaczył Pierrata idącego w jego stronę wielkimi krokami. Jego mina mówiła, że coś znalazł.

– TAJ wypluł jedno nazwisko!

– Idę!

Najpierw jednak skręcił do toalety, by umyć uwalane czekoladą palce. Stanął przed lustrem i na chwilę zamknął oczy. Żeby to był jakiś trop... Dołączył do reszty. Od progu zobaczył cztery osoby zgromadzone wokół jednego z komputerów, z twarzami oświetlonymi blaskiem monitora. Podeszedł do nich.

Na ekranie widać było zdjęcie mrocznego bruneta o przydługich włosach i regularnych rysach.

– To Valek! – zawołał.

– Andreas Verhagen – przeczytał Pierrat. – Co za kariera! – Przebiegając wzrokiem wydrukowany dokument, wymieniał na palcach: – Handel narkotykami, kradzież, szantaż, wyłudzenie. Podejrzany o sutenerstwo, a nawet o morderstwo. Nieźle. Ale te najpoważniejsze zarzuty zostały oddalone z braku dowodów. Wygląda na to, że miał bardzo dobrego adwokata, gościa, który nie pracuje dla byle kogo. W sumie pięć lat za kratami. Wyszedł po czterech, trzy lata temu. Od tamtego czasu nie trafił w sieci, ale to przecież nie znaczy, że z dnia na dzień zmienił się w matkę Teresę, nie?

Servaz zacisnął zęby. Ten cały Verhagen nie miał w sobie nic, co mogłoby go uspokoić. Mimo że miał ładną twarz, w jego regularnych rysach czaiła się jakaś twardość, bezwzględność. Jak to możliwe, że taki gość mógł sobie pozwolić na usługi gwiazdy palestry?

– Był na jednym zdjęciu zrobionym w Cabaret Rouge ze Stanem Du Welzem, ofiarą z naszego śledztwa – wyjaśnił. – A teraz już wiemy, że był też na imprezie u Barneville’a. Jeśli Vincent go tam widział, na pewno postanowił go śledzić.

– A Verhagen mógł to zauważyć. Tacy goście mają oczy dookoła głowy.

– Same przypuszczenia – zauważył jeden z członków grupy.

– Niekoniecznie – odparował Pierrat. – I jest to jedyny trop, jakim dysponujemy. Mamy jego adres?

– Nawet dwa – odpowiedziała jedyna kobieta w grupie, brunetka w niebieskiej koszulce polo i džinsach z kaburą przy pasie. – Mieszkanie jego byłej dziewczyny w osiemnastej dzielnicy. I domek w Livry-Gargan. To ten adres podał kuratorowi.

Spojrzała na Pierrata. Ten z kolei obserwował Servaza. Zapadła pełna oczekiwania cisza. Wszyscy czuli, że to jest ten moment, w którym coś może się ruszyć. Wreszcie padło nieuniknione pytanie:

– Co robimy?

Znowu milczenie. Servaz pomyślał o Espérandieu. Gdzie on jest? Co się z nim dzieje? Bóg jeden raczy wiedzieć. Zanim odpowiedział, patrzył na nich dłuższą chwilę.

– Ostatniej nocy coś się stało. Upłynęło już wiele godzin. Kto wie, w jakim położeniu znajduje się Vincent? Co mu zrobili? Co robią z nim teraz? Jeśli o mnie chodzi, nie zamierzam czekać na zielone światło od sądziego. I tak nie mamy czasu na pisanie wniosku o nakaz.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– Czyli wolnoamerykanka? – zapytał w końcu Pierrat.

Nielegalne przeszukanie bez nakazu, poza dozwolonymi godzinami – tak działają skorumpowani policjanci, gdy chcą przejąć łupy bandytów.

Servaz skinął głową.

– Podzielimy się na grupy po dwie osoby. Dwójka pojedzie do dziewczyny, dwójka do Livry-Gargan. A dwie osoby zostaną tutaj, żeby kontynuować sprawdzanie bazy i odbierać telefony.

Pierrat się zawahał.

– Okej – rzucił po chwili. – Który adres wybieramy?

– Domek. W domku łatwiej kogoś przetrzymać niż w mieszkaniu.

Pierrat wydał instrukcje grupie.

– Flo i Abdel, pojedziecie do osiemnastej dzielnicy. Uważajcie na siebie. Jesteśmy w kontakcie. Jak dojedziecie na miejsce, dzwoniemy się. Dino i Gargamel, kontynuujcie przeglądanie akt. I skontaktujcie się z Franckiem i Michele, żeby się dowiedzieć, na jakim są etapie z zarządem metra.

Zeszli na parking. On również był zalany.

– Pojedziemy moim prywatnym samochodem – powiedział Pierrat. – Taki gość od razu zauważy szyny na koguta na dachu i inne szczegóły na nieoznakowanym policyjnym aucie. – Usiadł za kierownicą. Głęboko odetchnął, przez chwilę patrzył przed siebie, a potem odwrócił się do Servaza. – Zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy tam zdani na siebie i że nie wiemy, w co się pakujemy?

1. Pełna nazwa: Traitement des antécédents judiciaires (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Otworzyła oczy. W szpitalu panowała absolutna cisza. Rozejrzała się po słabo oświetlonym pokoju i stwierdziła, że od chwili, gdy zasypiała, nic się tu nie zmieniło.

Była jednak pewna, że przez sen słyszała odgłos zamykanych drzwi. Ktoś wszedł do sali. Leżąc nieruchomo z głową na poduszce, pomyślała, że to pewnie pielęgniarka. Dlaczego jednak czuła się taka podenerwowana? Czy dlatego, że była sama w nocy w najwyraźniej opustoszałym szpitalu (przynajmniej na swoim piętrze nie słyszała oznak niczyjej obecności)? Czy dlatego, że nie było nikogo, kto by pilnował drzwi? Czy dlatego, że wolałaby, żeby ktoś tu z nią był i dotrzymywał jej towarzystwa?

Odwróciła wzrok do okna. Za plastikowymi listewkami żaluzji wciąż padało, a niebo przecinały zygzaki błyskawic. Chciała usiąść, ale poczuła, że coś ciągnie jej dłoń. Podążyła wzrokiem wzdłuż przezroczystej rurki aż do zawieszzonego na stojaku worka z płynem i przeczytała etykietę: *Składnik aktywny: DIAZEPAM, roztwór do kroplówek: NaCl 0,9%, dekstroza 5,5%.*

To dlatego tak szybko zasnęła. Z zamyślenia wyrwał ją kolejny ruch za drzwiami. Ledwie słyszalny odgłos kroków, które na chwilę się zatrzymały i ruszyły dalej. Jej serce zabiło szybciej. Jakby ktoś podsłuchiwał, żeby się upewnić, że śpi.

Spojrzała na drzwi miniaturowej łazienki kilka kroków od łóżka. Były uchylone. Była pewna, że zamknęła je, zanim poszła spać. A może dźwięki dochodziły stamtąd? Miała wrażenie, że jej tętno przyśpiesza jeszcze bardziej. Naprawdę masz ochotę sprawdzić, czy ktoś tam jest? Tak. Jeśli tego nie zrobi, niepokój nie pozwoli jej zasnąć.

Usiadła na skraju łóżka i postawiła stopy na zimnych płytkach. Ruszyła wzdłuż łóżka, wcisnęła włącznik. Świetlówka w łazieneczce zamigotała. Cicho pchnęła drzwi, aż dotknęły ściany.

Nagle znalazła się na wprost obserwującej ją twarzy. Obitej, spuchniętej, spłoszonej twarzy o złęczonym spojrzeniu. To była jej twarz w lustrze. I jej

przestraszone oczy. Łazienka była pusta. Przeszła dwa kroki do okna, rozsunęła listewki żaluzji i spojrzała w dół. W ciemności, na smaganym deszczem parkingu zobaczyła dwie postaci pod czarnymi parasolami. Stały z twarzami zwróconymi w stronę jej okna: patrzyły na nią. Ani trochę nie spodobał jej się sposób, w jaki mężczyzna i kobieta się jej przyglądali. Dlaczego właściwie to robili? Po chwili wymienili spojrzenia i spokojnie ruszyli w stronę wejścia do szpitala.

Co to ma znaczyć? W panice rzuciła się do guzika alarmowego. Nacisnęła. Dostrzegła krew na piżamie – nawet nie zauważyła, kiedy wyrwała z dłoni wenflon. Zaczekała. Przez niekończącą się chwilę słyszała tylko brzęczenie klimatyzacji i szum własnej krwi w skroniach. Minuta, dwie minuty... Okej, nie ma sensu dłużej czekać. Wyszła z pokoju i ruszyła w stronę dyżurki znajdującej się na końcu korytarza.

Oświetlenie nie było jednolite. W niektórych częściach korytarza było bardzo jasno, w innych mniej, trochę jak w górskim tunelu drogowym. Co kilka metrów korytarz był przegrodzony szklanymi drzwiami. Jedne z nich dzieliły Judith od dyżurki. Drzwi – wszystkie pozamykane – znajdowały się też po obu stronach korytarza.

Takie obrazy jak ten reżyserzy wykorzystywali w jej ukochanych horrorach, by wzmocnić napięcie: puste hotelowe korytarze, młode osoby rozpaczliwie i nadaremnie szukające pomocy. Najczęściej takie sytuacje kończą się źle. Bardzo źle. Poczwała krople zimnego potu spływające po karku. Jedynym odgłosem, jaki słyszała, było bicie jej własnego serca. Przeszła przez szklane drzwi, które zaskrzypiały w zawiasach, i z ulgą weszła do otwartej, oświetlonej dyżurki po prawej. Pusto. Niewielki telewizor ze ściszonego dźwiękiem wyświetlał czarno-biały klip piosenki *Nights in White Satin* zespołu Moody Blues. Dopiero teraz dotarło do niej, jak mroczny jest ten wiekowy teledysk.

Wyszła z pomieszczenia i zerknęła przez następne przeszklone drzwi, z nadzieją, że zobaczy jakąś pielęgniarkę. Zadrżała. Kawalek dalej, za kolejnymi drzwiami, zauważyła postaci z parkingu, które przecinając strefy światła i cienia, zmierzały w jej kierunku. Z przerażenia z trudem oddychała, a miejsce po uderzeniu w bok bolało ją tak bardzo, jakby miała zapalenie wyrostka. Schowaj się, Jude! – szepnął wewnętrzny głos. Schować się? Ale gdzie?

Zawróciła, przeszła przez szklane drzwi w przeciwnym kierunku i na chybił trafił otworzyła inne drzwi z boku korytarza. Weszła do ciemnego pomieszczenia. Nie zapaliła światła, nie szukała włącznika. Drżąc na całym ciele, z pobladłą twarzą, zamknęła drzwi za sobą. Z uchem przyklejonym do drewnianego skrzydła wyczekiwała nadejścia tamtej dwójki. Nagle z ciemności dobiegł spokojny głos:

– Nie ruszaj się, bądź cicho, a wszystko będzie dobrze.

Allée des Pommiers w Livry-Gargan, Seine-Saint-Denis. Dwupiętrowy dom z piaskowca, częściowo ukryty wśród drzew, otoczony zdziczałym ogrodem. Za czarnym żeliwnym ogrodzeniem na podmurówce wznosił się budynek w starym stylu: na parterze garaż, nad nim stoczona przez korniki pergola opleciona wyschniętą winoroślą, szpiczasty dach z łupka i tylko po jednym oknie na piętrze. Musiał jednak być głębszy, niż się wydawało, ponieważ ogród wzdłuż bocznych ścian nikał w ciemności.

W ogrodzeniu były dwie bramy: duża dla samochodów, zamknięta na gruby łańcuch i kłódkę, oraz niewielka, na wpół otwarta furtka. Obie były przeżarte przez rdzę. Miejsce było ciemne, ponure, nieprzyjazne. W żadnym oknie nie paliło się światło. Budynek rzucał złowieszczy cień na zapuszczony ogród i ulicę i Servaz, który siedział w renault espace Pierrata, poczuł rosnące napięcie.

– Nie podoba mi się to – skomentował jego kolega z niepokojem w głosie. – Co tu kryć, bardzo mi się nie podoba. Ale nie mamy wyjścia, w środku może być Vincent. Jak chcesz to rozegrać?

– Pójdę od tyłu, a ty wejdź od przodu. Jeśli nikogo nie będzie, spróbujemy się dostać do środka. Wycisz telefon, komunikujemy się tylko przez esemesy.

Pierrat sprawdził broń, Servaz zrobił to samo.

– To naprawdę wygląda jak jakaś pieprzona jama wampira – powiedział zdenerwowany Pierrat, gdy wysiadali.

W milczeniu przeszli na drugą stronę ciemnej uliczki, przecięli chodnik, na którym nie świeciła ani jedna latarnia, i przy wtórze skrzypienia zawiasów wśliznęli się na posesję przez uchyloną furtkę. Otoczył ich koncert dźwięków: bębnienie deszczu, cichy szelest liści smaganych ulewą, odległy szum samochodów, głośny plusk wody w rynnach.

Servaz skinął na Pierrata, wskazując na spłowiełe drzwi garażu i stopnie prowadzące do pergoli nad nim, a sam ruszył wzdłuż bocznej ściany, przez porośnięte krzakami podwórze. Budynek rzeczywiście był dłuższy niż

szerszy, a co za tym idzie, o wiele przestronniejszy, niż z początku myśleli. Co bynajmniej nie było dobrą nowiną. Zauważył, że w ceglanej ścianie sąsiedniego domu nie ma okien, a to oznaczało, że znaczna część ogrodu jest ukryta przed ludzkimi spojrzzeniami. Wąskie okna interesującego go budynku z piaskowca również z tej strony były ciemne, strugi deszczu lśniły w mętym blasku nocy. Był to jeden z tych dziwnokształtnych domów, jakie budowano kiedyś, zanim przedmieścia zaczęły się zapełniać identycznymi pudełkami na buty.

Im głębiej zanurzał się w cień, tym donośniej rozlegała się piosenka deszczu – metaliczne tap, tap o jakąś blachę, ciurkanie wody w rynnach, bębnienie kropel o liście; miał jednak wrażenie, że od tego tła odcina się jeszcze jeden dźwięk. Uszedł kawałek dalej i zobaczył znajdującą się na tyłach domu oświetloną werandę. Teraz wyraźniej usłyszał muzykę – dochodziła stamtąd. I zauważył kilka postaci z butelkami piwa w dłoni. Cholera!

Szybko skrył się w cieniu. Zdążył się doliczyć co najmniej trzech osób. Mężczyźni. Gadali z ożywieniem, śmiali się, chodzili tam i z powrotem. Napisał do Pierrata: „Uważaj, z tyłu są ludzie, przynajmniej trzech typów”. Po kilku sekundach dostał odpowiedź: „Okej, z tej strony czysto, ale może być alarm. Co robimy?”.

Nie odpisał mu, bo niedaleko od miejsca, w którym stał, zobaczył klapę zrobioną z desek; wcześniej jej nie zauważył. Ze szpary między deskami sączyło się światło. Podszedł bliżej, ukląkł na mokrej trawie i oparł płasko dłonie na pochyłej pokrywie. Rywna powyżej tego miejsca była dziurawa i z góry spływał miniaturowy wodospad, który odbijał się od desek i chlapał mu prosto w twarz. Servaz przysunął się do szczeliny, żeby zobaczyć, co znajduje się na dole. Piwnica z klepiskiem. Ktoś tam niedawno schodził, ponieważ światło było zapalone. A może stoi gdzieś w kącie, poza zasięgiem jego wzroku...

Ale tym, co sprawiło, że skręcił mu się żołądek, zabrakło mu powietrza, a jego jądra skurczyły się ze strachu, był widok pustego krzesła na środku pomieszczenia. Było wyposażone w cztery plastikowe obręcze, dwie na nadgarstki i dwie na kostki (wszystkie były przecięte), a pod nim widniała wielka ciemnoczerwona plama.

Przez chwilę prawie uległ panice. Wydawało mu się, że się dusi. Ogarnęło go przerażenie. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego,

kto był torturowany na tym krześle. Dokąd zabrali Vincenta po tym wszystkim?

Servaz wyjął broń z kabury. Ogarnęła go niewypowiedziana, przemożna wściekłość. Gdzie jest Vincent i jak ci dranie mogą w tym samym czasie, kilka metrów dalej, pić, słuchać muzyki i żartować? Co mu zrobili? Miał ochotę wziąć ich na muszkę i wystrzelać, gdyby tylko któryś ośmielił się wycelować w niego pistolet. Obrona konieczna. Zamiast tego zacisnął palce na metalowym uchwycie i uniósł klapę. Nie była zamknięta.

Delikatnie otworzył jedno ze skrzydeł z palcem na spuście i lufą wciąż skierowaną w stronę piwnicy. Zszedł po betonowych stopniach, stanął na klepisku i celując przed siebie, omiótł wzrokiem piwnicę – nikogo w niej nie było. Całą scenę oświetlał słaby maślanożółty blask nagiej żarówki. Ściany i sklepienie zrobione były z kamieni. Krzesło stało dokładnie pod żarówką. W tym świetle krew, która wsiąkła w ziemię, była niemal czarna. Servaz zauważył też kałużę zaschniętych wymiocin.

Jego wściekłość przerodziła się w morderczą furję. Zabije te ścierwa. Wpakuje im po parę kulek w brzuch i kolana, a potem niech mówią, co zrobili z Vincentem. Albo...

Nagle kątem oka zauważył jakiś ruch od strony schodów. Za późno. Złość miała przewagę nad rozumem o sekundę za długo. Mężczyzna musiał po cichu zejść za nim. Teraz był już zupełnie blisko.

– Co tutaj robisz? Opuść tę spluwę, rzuć ją na ziemię. Dalej, kurwa. I ręce do góry.

Usłyszał trzask odbezpieczanej broni.

– Policja kryminalna – powiedział, wykonując polecenie.

– Zamknij pierdolony ryj i odwróć się! – rzucił gospodarz, niezbyt poruszony jego wyznaniem.

Stanął przodem do mężczyzny, którego wygląd jak ulał pasował do głosu – zaflegmionego, ochrypłego, zużytego przez alkohol lub papierosy albo jedno i drugie; był szczupły, ale szeroki w barach, miał brzydką skórę usianą rozszerzonymi porami i drobnymi żyłkami wskazującymi raczej na alkoholizm niż na nikotynizm, przekrwione oczy i ostry, haczykowaty nos.

– Jakim prawem pakujesz się ludziom do domu? Masz przynajmniej nakaz, psie?

Servaz nie odpowiedział. Mężczyzna splunął w stronę jego trampek, ale chybił o dwa centymetry.

– Twoje milczenie mówi mi, że działasz nielegalnie. Ktoś wie, że tu jesteś?

Servaz wskazał podbródkiem na krzesło.

– A to? To jest legalne? Gdzie on jest?

– Kto taki?

– Mój kolega, kapitan Espérandieu.

Spojrzenie mężczyzny stało się nagle zimne jak lód. Zamyślił się na chwilę. Zaraz wezwie kumpli, stwierdził w duchu Servaz. Trzeba działać natychmiast. Ale nie zdążył. Facet znienacka z całej siły uderzył go lufą pistoletu w kość policzkową. Martin zawył z bólu.

– Na kolana, skurwielu! Ręce za głowę!

Wykonał polecenie. Jego mózg pracował na pełnych obrotach. Groźenie bronią, pobicie i rzucenie na kolana funkcjonariusza policji mogło oznaczać tylko jedno: facet nie miał zamiaru pozostawić go przy życiu. Gdzie jest Espérandieu? A Pierrat? Krew z rozciętego policzka spływała mu na podbródek. W żyłach dosłownie mu się gotowało, jakby ktoś wpuścił tam czerwone mrówki. Szare komórki rozpaczliwie szukały wyjścia z sytuacji.

Nagle otworzyły się drzwi po jego prawej stronie, za krzesłem, i ukazali się w nich Valek i jeszcze jeden mężczyzna – a między nimi przytrzymywany z obu stron Pierrat. Ten drugi przykładał broń do policzka Pierrata. Policjant wyglądał raczej na wściekłego niż na przestraszonego. Miał zakrwawioną twarz i spuchnięty nos. Zeszli po trzech betonowych stopniach i pchnęli Pierrata do przodu. Upadł na kolana i wstał, klnąc pod nosem.

– O, jeszcze jeden zasrany pies? – rzucił Valek, wskazując na Servaza.

Martinowi przez chwilę wydawało się, że pytanie padło z ust Pierrata, tak bardzo głosy obu mężczyzn były do siebie podobne.

Pijak skinął głową.

– Co robimy? – zapytał, nie przestając celować w Servaza, który wyczuł w jego głosie początki paniki.

– Zamknij się – syknął Valek.

Z piękną, mroczną twarzą, wężowym spojrzeniem, ubrany w długą, czarną pelerynę, z czarnymi włosami w żółtym blasku żarówki jeszcze bardziej przypominał aktora z kiepskiego starego filmu o wampirach. Najwyraźniej zastanawiał się nad dalszą strategią.

– Banda debili – warknął. – Co wam strzeliło do łba, żeby przyjeżdżać tutaj bez nakazu? Ktoś jeszcze jest na zewnątrz?

Nie odpowiedzieli.

– Mów! – ryknął na Martina alkoholik i z całej siły kopnął go w klatkę piersiową.

Servaz przewrócił się na bok. Z powodu potwornego bólu nie mógł złapać oddechu. Krzywiąc się, odruchowo zaczął się zastanawiać, ile żeber gość złamał mu tym jednym kopniakiem. Nagle panika w jego głowie ustąpiła miejsca jasności umysłu – uspokoił się i zaczął myśleć precyzyjnie. Analizował każdy gest, każde słowo trójki mężczyzn, szukając rozwiązania.

– Policja wie, że tu jesteśmy, Verhagen – rzucił. – Nasi ludzie są w mieszkaniu twojej dziewczyny w osiemnastej dzielnicy. Pod trzydziestym szóstym siedzą jeszcze inni, też cię szukają. Wszyscy są poinformowani, dokąd pojechaliśmy. Jeżeli zginiemy, będą wiedzieli, że to ty.

Kiedy Martin zwrócił się do Valka po nazwisku, mężczyzna drgnął. Popatrzył na Servaza ze złością.

– No i? Co proponujesz? Mamy was wypuścić? Mamy wam pozwolić odejść, tak? I co dalej? Co się stanie? Wet za wet? Lepiej będzie, jeśli usuniemy wszystkie ślady waszego pobytu tutaj i się zmyjemy, nie sądzisz? Jeśli wpadniemy w czasie ucieczki, to przynajmniej nic na nas nie będą mieli.

„Jeśli usuniemy wszystkie ślady waszego pobytu tutaj”. Servaz poczuł, jak włosy na całym ciele stają mu dęba.

– Andreas... – zagadnął alkoholik.

– Zamknij się – warknął Valek. – Muszę się zastanowić!

– Co zrobiliście z moim kolegą? – zapytał nagle Servaz głosem zimnym i ostrym jak brzytwa.

Valek nie odpowiedział.

– Zwiąż ich i zaknebluj. Nie chcę ich słyszeć.

Pijak schylił się za jego plecami i Servaz poczuł, że złapał go za rękę. Teraz to Valek celował w niego z broni, podczas gdy trzeci mężczyzna wciąż trzymał na muszce Pierrata. Martin się nie opierał. Tamten skrępował mu rękę cienką linką i zacisnął. Następnie rozległ się dźwięk rozrywania jakiegoś tworzywa, po czym na jego ustach i policzkach wyładował gruby pasek taśmy klejącej. To samo spotkało Pierrata, który w międzyczasie

zdążył ich wyzwać, oberwać lufą pistoletu w czoło i ryknąć z bólu i wściekłości. Następnie mężczyzna, który ich związał, odebrał im telefony i przekazał je Valkowi, który je obejrzał, wyjął z nich karty SIM, rzucił na klepisko i rozdeptał obcasem. Przy okazji Servaz zauważył jego buty – czarne kowbojki ze sprzączkami i skórzanymi paskami.

– Znałem holenderskiego policjanta, który zinfiltrował siatkę handlarzy narkotyków związanych z mafią Mocro i w ubiegłym roku został zdemaskowany – powiedział Valek, przeciągając słowa. – Wpadli na pomysł, żeby pociąć go na kawałki i zawieźć na fermę świń. Wszyscy wiedzą, że świny są wszystkożerne, ale nie wszyscy zdają sobie sprawę, że są o wiele inteligentniejsze od cholernych psów. I bardzo wrażliwe. Zarzucamy Chińczykom jedzenie psów, a sami bez wahania odbieramy wolność świniom, traktujemy je niehumanitarnie, zabijamy w niegodnych warunkach i pożeramy. Takie wrażliwe stworzenia... To jest przerażająco okrutne. Zastanawiam się, czy świny lubią mięso policjantów. Kto waszym zdaniem jest inteligentniejszy: świnia czy glina?

Dwaj mężczyźni zarechotali. Servaz poczuł, że nadchodzi czysta, klarowna, potworna, definitywna świadomość ostatniej chwili. Zabili Vincenta. Teraz nadeszła ich kolej.

– Chciałbym wiedzieć – syknął Valek zjadliwie, pochylając się ku nim – jak to jest mieć pewność, że się zdechnie, jebane psy? Dobra, bierzcie tych dupków i spadamy stąd.

Trudno mu było oddychać z taśmą na ustach, pośród wypełniającego mu nozdrza ohydneho, odurzającego zapachu benzyny, oleju silnikowego i spalin. Było mu niedobrze. Skrępowany plastikowymi opaskami uciskowymi – zanim wrzucono go do bagażnika mercedesa klasy S, związano mu jeszcze kostki – leżał w niemal całkowitych ciemnościach w nienaturalnej pozycji, sparaliżowany bólem, z wykręconymi nadgarstkami i zgiętymi nogami. Bolały go skopane przez pijaka żebra. Jego nerwy, wrażliwe niczym sejsmograf, odczuwały każdą nierówność drogi. Na każdym zakręcie uderzał kolanami i głową o metalowe burty. Po odgłosach pracy silnika i szybkim pulsowaniu światła widocznego przez drobne szpary w bagażniku, domyślał się, kiedy samochód przyspiesza i przewidywał hamowanie, a wtedy usztywniał ciało. Wiedział, że gdyby zwymiotował w tej pozycji, mógłby się zachłysnąć treścią żołądka, a wtedy

niechybnie by się udusił, ze wszystkich sił starał się więc powstrzymać nudności.

Jak długo to trwa? Już dawno stracił poczucie czasu. Pół godziny, godzinę, dwie? Przy najdrobniejszym ruchu czuł połamane żebra, stłuczona kość policzkowa pulsowała gorącym bólem, twarz mu płonęła, podobnie jak nadgarstki, kolana i kostki. Bał się, że zmuszone do wysiłku mięśnie lada chwila ogarną skurcze. Zastanawiał się też, czy jego serce nie odmówi posłuszeństwa.

Samochód zwolnił. Coraz liczniejsze i większe wyboje wprawiały bagażnik w gwałtowne wstrząsy, które rozchodziły się po jego ciele – kilkakrotnie uderzył głową o ścianę kufra. Droga gruntowa... Następnie stukanie przerodziło się w szmer, a wstrząsy w łagodne kołysanie. Zwolnili jeszcze bardziej. Jechali po trawie. Gdy kierowca wyhamował, Martin wpadł na przednią ściankę. Silnik umilkł. Trzasnęły drzwi, rozległ się stłumiony przez miękkie podłoże odgłos kroków. Obok dał się słyszeć warkot drugiego silnika, który po chwili umilkł, i pisk hamulców.

Kiedy otwarto bagażnik, zobaczył rozgwieżdżone niebo; przestało padać. Następnie pochyliły się nad nim dwie postacie, czworo ramion wyciągnęło się w jego stronę. Uświadomił sobie, jak trudno mu złapać powietrze przez knebel i jak bardzo świszczący ma oddech, a kiedy postawili go na ziemi, jego klatkę piersiową przeszył ostry ból. W nogach, które długo były zgięte i unieruchomione, nie miał czucia – wszystkie mięśnie mu drżały i bał się, że upadnie.

Odwróciwszy głowę, zobaczył, że z bagażnika stojącego obok renaulta wyjmują Pierrata. Paryski policjant zachwiał się i upadł na trawę, z której go bezceremonialnie podniesiono. Ich spojrzenia się przecięły. To, co Martin wyczytał w oczach kolegi, sprawiło, że zalał go zimny pot.

Rozejrzał się dookoła. W blasku księżycy mokre liście dębów i zagajników lśniły, krajobraz był niebieski jak we śnie. Za drzewami widać było kilka budynków. Po lewej stronie stał dwupiętrowy dom otoczony tarasem na podmurówce – każdy jego róg zdobił groteskowy kamienny lew – po prawej odcinało się w ciemności kilka niskich, podłużnych budynków krytych blachą i bielonym wapnem.

Po rozcięciu więzów krępujących im nogi pchnięto ich właśnie ku tym niższym zabudowaniom; szli po lekko spadzistym, porośniętym mokrą od deszczu trawą terenie. Ze skrępowanymi z tyłu rękami Servaz z trudem

utrzymywał równowagę, a Pierrat dwukrotnie się przewrócił i przy każdym upadku był kopany. Gdy podeszli do najbliższego budynku, Servaz stwierdził, że jest to metalowa konstrukcja z filarów i poprzecznych belek, między którymi osadzono betonowe ściany; przez szparę między ścianą a dachem wydobywało się światło. W pełne jeszcze zapachu benzyny nozdrza uderzyła go silna woń oparów amoniaku i siarkowodoru i z przerażeniem zdał sobie sprawę, że wzmianka Valka o świniach nie była czczą pogrózką.

Zresztą kiedy tylko weszli do środka, usłyszeli pochrząkiwania, a nieruchome powietrze było gęste od skondensowanego smrodu. Świnie, które wtargnięcie mężczyzn musiało obudzić, chrząkały, popychały się i trącały w hałaśliwej, cuchnącej kotłowni. Servaz poczuł, że włosy stają mu dęba, a w oczach Pierrata patrzącego na kłębiące się stado malowało się czyste przerażenie.

NIEDZIELA, 26 CZERWCA

Servaz patrzył na świnie. Nie wyglądały na szczególnie agresywne, ale kiedy któraś z nich podchodziła bliżej, wyciągając ryj, żeby ich powąchać, policjanci odsuwali się na tyle, na ile pozwalała krata za ich plecami.

Siedzieli obok siebie na twardym klepisku wysypanym brudną słomą i Martina coraz bardziej bolały kolana i żebra. Znowu skrupowano im kostki, tym razem taśmą klejącą, i zdjęto kneble, co oznaczało, że chlewnia znajduje się na uboczu. Valek i jego ludzie nie pojawiali się już od dobrej godziny. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś pomysłu, jakiegoś wyjścia, ale szpary między betonowymi ścianami były poza ich zasięgiem, a zawieszane pod metalowymi belkami konstrukcji dachowej lampy oświetlały wnętrze rozproszonym blaskiem.

Kawałek dalej po prawej znajdował się żłób, po obu stronach rowy, którymi spływała gnojówka, a za świniami duże przesuwne drzwi na szynach.

– Co tu dużo gadać, zaraz zesram się w gacie – wyznał Pierrat.

Na jego czole perliły się wielkie krople potu, który lśnił również na jego karku i wsiąkał w ubranie pod pachami. Obaj obficie się pocili z powodu stresu, ale też ciepła, które wydzielają ciała zwierząt.

– Umieram ze strachu – ciągnął Pierrat, oddychając z trudem. – Spieprzyliśmy sprawę i teraz sami jesteśmy w jebanym horrorze. – Był blady. Krew z rany na jego czole zakrzepła w ciemne strugi po obu stronach nosa. Wpatrywał się w świnie i wyglądał, jakby miał zemdleć. – Naprawdę uważasz, że mogą nas zaatakować i zezreć? Nie wyglądają na agresywne – zauważył, żeby dodać sobie otuchy. – Czytałem o farmerze z Oregonu, który poszedł nakarmić swoje zwierzęta i nigdy nie wrócił. Znaleźli tylko jego sztuczną szczękę. Mendo wpierdzieliły go razem z kośćmi!

– Bardziej prawdopodobne, że zabiją nas Valek i jego ludzie, a potem rzucają tym zwierzątkom po kawałku – odparł Servaz. – Chytry pomysł na pozbycie się zwłok.

Pierrat przełknął ślinę, oczy miał wytrzeszczone ze strachu. Zupełnie stracił poczucie humoru.

– Dzięki za info, stary – powiedział.

Potężne zwierzę podeszło do nich ciężkim krokiem na krótkich nogach i wyciągnęło okazały ryj, by ich powąchać. Pierrat spanikował.

– Wynocha! Spierdalaj, ty cholerna kupo mięsa! Pieprzona wędliny, won! – wrzeszczał.

– Nie jestem pewien, czy okazywanie agresji to dobry pomysł – szepnął zaniepokojony Servaz.

Świnia obojętna na wrzaski Pierrata spokojnie zawróciła i podreptała w stronę stada. Servaz się zamyślił. Jeśli będą siedzieć bezczynnie, na sto procent skończą jako pasza dla tych świń. W sumie nie wiedział dlaczego, ale nie była to dla niego wymarzona śmierć. Nie miał w sobie żyłki ekologa – choć niektórzy obrońcy zwierząt z pewnością uznaliby, że taki obrót sprawy byłby sprawiedliwy po wiekach ich złego traktowania. Nie, nie miał ochoty umierać w ten sposób, tym bardziej że Valek i jego banda zanim się ich pozbędą, na pewno będą ich torturować tak jak Vincenta. Na myśl o zastępcy poczuł ucisk w sercu.

Gdzie się podziewa jego przyjaciel? Co z nim zrobili? Czy zakopali gdzieś jego zwłoki? Czuł, że jest na granicy obłądzenia. Że zaraz straci jasność umysłu tak jak Pierrat, w którego oczach Servaz widział błysk szaleństwa. Musi zachować trzeźwość myślenia, to ich jedyna szansa. Znaleźć jakąś lukę. Jakąkolwiek. Wykorzystać najdrobniejszy promyk nadziei. Znaleźć jakieś rozwiązanie, choćby absurdalne, niemożliwe. Wszystko, byle tylko nie odpuścić.

Nagle wpadł na pewien pomysł. Odwrócił się na pośladkach tyłem do świń i niezdarnie wstał.

– Co ty wyprawiasz? – W głosie Pierrata pobrzmiwała nuta niezrozumienia.

Zobaczył, że Servaz skacze do tyłu na spętanych nogach w stronę stada. Kiedy wpadł na jedną ze świń, uderzył ją zwiniętymi w pięść skrępowanymi dłońmi.

– Co ty wyprawiasz? – powtórzył głośniejszym głosem Pierrat.

Zamiast mu odpowiedzieć, Martin powtórzył operację. Udało mu się trafić prosto w ryj zwierzęcia, które zaprotestowało, kwicząc głośno i potrząsając łbem.

– Kurwa, Martin, co ty odpierdalasz? Zwariowałeś? Zezrą ci rękę!

Kolejne uderzenie w pysk wyciągniętymi kciukami.

– Dawaj, ugryź mnie! No już, gryź! – wrzeszczał Servaz, wymierzając świni trzeci, a potem czwarty cios.

Wreszcie po piątej próbie poirytowane zwierzę odsloniło przerażające zęby i zacisnęło je na kciuku Martina. Policjant ryknął z bólu. Walczył jak opętany, by wyrwać rękę z pyska świni. Pierrat zobaczył w końcu zwisający żałośnie, zwichnięty, a może nawet wyrwany palec, z którego tryskała krew. Servaz jeszcze raz krzyknął – z wściekłości, bólu albo ze strachu – a potem w podskokach wrócił do Pierrata i usiadł.

Policjant z Paryża spojrział na kolegę. Martin był cały spocony, blady jak ściana i zaciskał zęby. Poruszał dłońmi za plecami, a krew z na wpół oderwanego palca ciekła na słomę jak z kranu. Wtedy zrozumiał: krzywiąc się z bólu, tuluski glina zdołał uwolnić uszkodzoną dłoń z plastikowej pętli. Odzyskawszy swobodę ruchu w obu dłoniach, Servaz pochylił się do przodu, by zdrową ręką odkleić taśmę, którą miał owinięte kostki.

Kiedy skończył, przysunął się do Pierrata i uwolnił jego nogi.

– Kurwa, stary, nie wiem, czy tak cię pojechało, czy jesteś genialny, ale to działa! – Pierrat wstał, z dłońmi wciąż skrępowanymi na plecach.

– Zaczekaj z tym odtrąbianiem zwycięstwa, aż stąd wyjdziemy – ostudził go Martin, rozglądając się dookoła.

Przeszedł między zwierzętami ku dużym metalowym drzwiom i pociągnął za dźwignię. Bez skutku.

– Zamknięte od zewnątrz...

Wrócił, znowu torując sobie drogę wśród świń, które nie zwracały na niego najmniejszej uwagi. Ominął niewysoki płotek odgradzający część hangaru. Za nim znajdowała się popękana betonowa posadzka, od której bił niewyobrażalny smród. Po swojej lewej ręce Servaz zobaczył kolejną przegrodę, za którą nie dało się przejść.

Ruszył po pokrytej ekskrementami i moczem posadzce, nie zważając na odór – był zbyt skupiony na szukaniu sposobu ucieczki i przeżycia. Dotarł do furtki. Zasuwa. Odciągnął ją i przeszedł na drugą stronę. Pierrat dołączył do niego. Ich oczom ukazało się niewielkie pomieszczenie z sianem i stertami worków zawierających być może karmę dla zwierząt. Naprzeciwko nich znajdowały się drzwi. Zwykłe drewniane skrzydło ze źle zbitych desek. Servaz podszedł bliżej, nacisnął na klamkę.

– Cholera.

– Odsuń się – powiedział Pierrat, stając naprzeciwko drzwi.

Z dłońmi wciąż skrępowanymi za plecami, wziął zamach i z całej siły kopnął w zamek, który zadrżał, ale wytrzymał. Kopnął po raz drugi.

– Kurwa, no nie! – zawołał z wściekłością.

– Razem, może się uda – powiedział Servaz.

Krzywiąc się z bólu, stanął obok Pierrata. Za każdym kopnięciem żebra paliły go żywym ogniem. We dwóch spuścili na zamek prawdziwy grad kopniaków. W końcu drewniane skrzydło z głuchym dźwiękiem uderzyło o podłoże i ich oczom ukazała się pogrążona w ciemności łąka.

– Szlag, nie wierzę, zrobiliśmy to! – zawołał Pierrat głosem drżącym z emocji i nadziei.

Servaz wyjrzał na zewnątrz. Szczęśliwym trafem drzwi wychodziły na stronę przeciwną niż dom i oczom policjantów ukazały się las i pola, nad którymi unosiły się pasma mgły podobne do wiszącego nisko nad ziemią dymu z płonącego torfowiska.

W świetle księżycy widać było maszyny rolnicze podobne do wielkich śpiących zwierząt. Pośród wysokich traw i krzewów jeżyn wznosiły się sterty kamieni, desek i zardzewiałej blachy. Servaz podszedł do jednej z blach, ustawił ją pionowo, palcem wskazującym przesunął po jej krawędzi i skinął na Pierrata.

Tamten od razu zrozumiał. Przyłożył do krawędzi blachy plastikową opaskę łączącą jego nadgarstki i zaczął nią poruszać tam i z powrotem. Po jakichś dwóch minutach plastik ustąpił.

– Nie traćmy czasu – powiedział Servaz, wskazując na las.

– Myślę, że już nigdy nie tknę wieprzowiny – oświadczył Pierrat, idąc za nim.

– Wiesz, że Valek ma prawie taki sam głos jak ty? Jakbym słyszał ciebie...

– Naprawdę? – zdziwił się paryski policjant, biegnąc w stronę drzew. – No cóż, zostaw mnie z nim sam na sam na pięć minut, a od razu zaczniesz śpiewać wyżej.

Przeżyli jeszcze chwilę paniki, gdy na wąskiej leśnej drodze dokładnie przed sobą zobaczyli światła samochodu, który po chwili zatrzymał się niedaleko od nich.

Jak jeden mąż rzucili się w krzaki. Zza liści Servaz zerknął do samochodu, ale było w nim ciemno. Ile osób nim jechało? Czy to Valek i jego banda? Nie był to jednak ani mercedes, ani renault, lecz volkswagen coupé. Pasażer albo pasażerowie zostawili włączony silnik. Na co czekają? Reflektory oświetlały zielony tunel koron drzew zamykający się nad drogą jak sklepienie nad nawą katedry. Servaz i Pierrat wymienili niepewne spojrzenia.

W końcu drzwi od strony kierowcy się otworzyły. Z samochodu wysiadła jakaś postać i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę pobocza. Gość wyciągnął fiuta i jasnym strumieniem moczu lśniącego w poświacie reflektorów obsikał rosnącą w rowie trawę, wydając z siebie westchnienie niemal ekstatycznej ulgi. Pierrat jako pierwszy wyszedł z krzaków.

Kiedy facet ich zobaczył, przerwał sikanie i zaczął uciekać jak zając, który usłyszał myśliwych, ale zwisający pasek i rozpięte spodnie krępowały mu ruchy. Pierrat z łatwością go dopadł i rzucił na karoserię. Mężczyzna krzyknął krótko, a Servaz pomyślał, że nie chciałby trafić w środku nocy w lesie na pojawiającego się znikąd zakrwawionego Pierrata.

– Policja – oświadczył Pierrat. – Śmierdzisz alkoholem. My poprowadzimy.

– Weźcie auto, ale nie róbcie mi krzywdy! – zaskomlał mężczyzna.

– Wsiadaj do tyłu – polecił mu Pierrat, rzucając okiem do środka.

W samochodzie nie było pasażerów. Facet z ociąganiem spełnił polecenie.

– Dokąd jedziemy? – zapytał wątłym głosem.

– Zamknij się – odparł Pierrat, który usiadł za kierownicą i pochylił się nad GPS-em.

– Nie musi się pan niczego obawiać, jesteśmy z policji – wtrącił się Servaz, który siedział z przodu i starał się wyglądać przyjaźnie.

Mężczyzna się nie odezwał. Pewnie pomyślał, że blefują. Od kiedy to policjanci w cywilu chowają się po krzakach, żeby wyskakiwać na wstawionych kierowców jak żandarm z Saint-Tropez na nudystów? Poza tym wyglądali, jakby właśnie stoczyli walkę MMA z Conorem McGregorem. No i nie pokazali legitymacji.

– Żandarmeria w Limours – powiedział po chwili Pierrat. – Tam mamy najbliżej. Jesteśmy w Essonne, na granicy z Yvelines. W drogę.

Ruszył.

Siły porządkowe zostały postawione w stan gotowości w rekordowym czasie: jednostka interwencyjna żandarmerii, policja kryminalna z Wersalu i Paryża, żandarmi, prokuratorzy. Mobilizacja prawie jak na 14 lipca.

Odtworzono trasę Pierrata i Servaza przez las, szybko namierzono świńską fermę – w okolicy było zaledwie trzydzieści sześć – w mniej niż dziewięćdziesiąt minut rozstawiono ludzi wokół budynków.

Servaz wiedział, że nikogo nie znajdą. Napastnicy z pewnością zauważyli ich zniknięcie i ruszyli w pościg, a kiedy się zorientowali, że sprawa jest spalona, uciekli. W czasie gdy badał go lekarz, inni dzwonili w tysiąc miejsc, a posterunek żandarmerii w Limours przeżywał pierwszy w swojej historii tak potężny najazd policjantów, żandarmów i radiowozów.

– Zabieram pana do szpitala – oświadczył lekarz. – Musimy natychmiast operować, inaczej może pan stracić palec. I trzeba zrobić rentgen żeber.

– Nie ma mowy – odparował Servaz. – Niech mi pan zrobi zastrzyk przeciwko wścieklicznie, tężcowi i co pan tam jeszcze chce, załóż szynę na palec i bandaż elastyczny na żebra. Co do reszty później się zobaczy.

– Nie mogę tego zrobić – zaprotestował kategorycznie tamten z miną niepodważalnego autorytetu.

– Ale pan robi – uciał Servaz.

– Niech pan robi to, co on mówi – polecił medykowi żandarm, który akurat przechodził obok nich.

– A kim pan jest?

– Komendantem oddziału żandarmerii.

– Okej, ale potrzebuję oświadczenia.

Oficer westchnął.

– Jak pan sobie życzy, doktorze. Ma pan długopis? Sam to panu napiszę.

Obserwowali gospodarstwo przez lornetkę. Trzy oddzielne budynki, a nad nimi rozgwieżdżone niebo. Ze swojego stanowiska znajdującego się jakieś sto metrów na północ od zabudowań obejmowali wzrokiem pola i połąć

zarośli ograniczoną w oddali linią lasu. Servaz patrzył na budynek mieszkalny. Na ganku paliła się lampa, świeciło się też w prawie wszystkich oknach na parterze; poza tym nie było widać żadnych oznak życia. Żadnego ruchu. Wynieśli się. Zostawili włączone światła, żeby ich zmylić i opóźnić szturm.

– Nikogo nie ma – stwierdził Servaz.

– Wiem – odparł siedzący obok niego oficer dowodzący operacją.

Wydał przez radio instrukcje, a po chwili sygnał do ataku. Grupy ciężko uzbrojonych policjantów w kaskach wyszły z zarośli i z trzech stron jednocześnie ruszyły w stronę domu. Czwarta grupa miała przeczesać pozostałe zabudowania.

Po niespełna dziesięciu minutach jeden z mężczyzn wyszedł na zewnątrz i dał znak, że droga wolna. Servaz schylił głowę, by przejść pod nisko wiszącymi gałęziami potężnego dębu. Rozdeptał kilka zeszłorocznych żołądzi i wszedł do domu. Z każdym krokiem czuł dotkliwy ból żeber i oddychał z trudem. Dokuczały mu także palec i kość policzkowa. Mimo wszystko miał wrażenie, że ból zaczyna ustępować. Lekarz dał mu tramadol, przykazując, by nie przekraczał czterystu miligramów na dobę, i antybiotyk o szerokim spektrum działania. Adrenalina działała na niego jak dopalacz. Obszedł parter, wszedł na piętro i wznowił przeszukanie, przechodząc z pokoju do pokoju. Gdzie jest Vincent? Po jego zastępcy nie było śladu.

– Tutaj! – zawołał ktoś z parteru.

Wrócił na dół. Zobaczył otwarty, pusty sejf w ścianie. Wyglądało na to, że uciekinierzy zabrali ze sobą pieniądze, broń i być może narkotyki. Pierrat podszedł do Servaza z pożyczonym od kogoś z funkcjonariuszy telefonem.

– Moi ludzie znaleźli nasze legitymacje i broń w domku w Livry-Gargan. Stamtąd ci dranie też zabrali całą forszę. Zwiewali, jakby się paliło. Chłopaki znaleźli nawet jeden czy dwa banknoty, które wypadły na komodę.

– Jakież ślady Espérandieu?

Spojrzenie Pierrata stało się ciężkie.

– Nie. Nic poza tamtym krzesłem w piwnicy. Technicy są już na miejscu. Pobiorą próbki do badania DNA.

– Trzeba się skontaktować z sędzią i poprosić operatorów o spis telefonów, które logowały się ostatnio tutaj i w Livry-Gargan, a potem porównać obie listy. Ci goście na pewno mieli specjalne telefony na tę okazję, ale musieli gdzieś dzwonić w czasie, gdy... więzili Vincenta... i kiedy nas tutaj przywieźli. Jak już zdobędziemy numery, spróbujemy ich namierzyć.

– Martin, to są profesjonaliści – zgasił go Pierrat. – Bardzo możliwe, że zdążyli się już pozbyć kart SIM i baterii i że mają cały skład telefonów na wymianę.

– Wiem. Ale wystarczy jeden mały błąd. A i tak nie mamy nic innego.

Servaz powiódł wzrokiem dookoła. Prawdziwy tłum, duże zagęszczenie żandarmów i policjantów na metr kwadratowy. Jak na otwarciu nowego komisariatu. Ludzie się przepychali, wszędzie słychać było rozmowy, telefony, kroki i trzaski krótkofalówek.

Poczuł, że musi zapalić. Wyszedł z budynku, wyjął z kieszeni zapomnianą przez porywaczy paczkę, w której został tylko jeden papieros. Uświadomił sobie, że drżą mu wargi.

Od strony północnej przeszukanie zakończono – w samochodach stojących gęsiego wzdłuż drogi włączono silniki, ich koguty malowały girlandę świateł nad polami, które wyglądały teraz jak pas do lądowania. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta. Niebo na wschodzie szarzało. Rzeźkie powietrze niosło pochrząkiwanie zaniepokojonych świń. Nagle ktoś zawołał:

– Znaleźliśmy kogoś!

Servaz podskoczył. Głos dobiegał z za chlewni. Miał wrażenie, że serce podchodzi mu do gardła. Pędem puścił się przed siebie, nie zwracając uwagi na Pierrata, który pędził obok niego.

Pokonali śliskie zbcze i biegli dalej wzdłuż zabudowań, w kierunku głosów nawołujących po drugiej stronie budynku. Martin czuł, że serce o mało nie wyskoczy mu z piersi, brakowało mu tchu – i nie było to spowodowane wyłącznie sprintem.

Gnojówka... W pierwszym blasku poranka zobaczył komandosów z żandarmerii uzbrojonych jak średniowieczni rycerze, z latarkami wycelowanymi w stronę rowu. Ale Servaz nie zwracał na nich uwagi. Widział jedynie kształt unoszący się na powierzchni. Pomyślał, że to na pewno nie to. To zbyt niepojęte, zbyt bezsensowne, zbyt... Przez sekundę

usiłował myśleć, że chodzi o kogoś innego, próbował uciec przed rzeczywistością, którą miał przed oczami. To było gorsze niż wszystko, czego się obawiał – a jednocześnie dokładnie to, czego się obawiał.

Najpierw – i ten widok przeszył jego serce jak strzała – zobaczył unoszącą się na brunatnej powierzchni mieszanki błota i gówna twarz, tak zmasakrowaną, że w pierwszej chwili miał trudność z jej rozpoznaniem. Wyglądała jak pokryta grubą, oleistą warstwą czerwonej farby. Reszta ciała również pływała w rowie. Na nagim torsie uwalanym krwią, gnojem i innymi nieczystościami widać było liczne oparzenia od papierosów, zwłaszcza wokół sutków i na szyi. W miejscach, w których krew i mazista breja nie całkiem pokryły skórę, otępiały i bliski wymiotów Servaz zauważył czarniawe ślady opon: przejechali go. Potem mimo szoku zobaczył, że u prawej dłoni Vincenta brakuje trzech palców, rozporek jest rozpięty, a tkanina wokół krocza przesiąknięta prawie czarną krwią. Jego umysł wył bezgłośnie w obliczu tej niesprawiedliwości i jej potwornych następstw. Martin poczuł, jak pod powiekami wzbierają mu ciepłe łzy, litościwie rozmywając ten straszliwy obraz. Wiedział, że nigdy nie zapomni tego widoku. Że pozostanie on w jego pamięci niczym wypalony żelazem. Na zawsze.

Nagle przeraźliwe zimno zmroziło mu żołądek, serce, mózg, jądra, duszę... Wstrząśnięty, osłupiały wycofał się chwiejnym krokiem. Miał przed sobą potworną śmierć człowieka tak wielu zalet, które mógł doceniać przez te wszystkie lata, przyjaciela od tak dawna, zarazem jednego z najlepszych policjantów w jego grupie. Vincent już nigdy nie będzie oparciem dla swojej żony i dzieci, rodziny, która przyjęła Gustava jak bliskiego krewnego.

Stojąc w osłupieniu nad rowem, Servaz wpatrywał się w zwłoki przyjaciela; już nigdy przy nim nie stanie, by go wesprzeć, wysłuchać, pożartować, podyskutować o ich tak różnych gustach muzycznych, sprowadzić na właściwą drogę, gdy zbłądzi, co tak często mu się zdarzało.

Jego kolega. Jego przyjaciel. Nie żyje.

Przerażenie. Ból. Szok. Wreszcie wstało słońce, wyłoniło się zza lasu jak płochliwe zwierzę pozbawione nadziei i radości. Servaz z daleka przyglądał się ciężkiej pracy ściągniętego z Zakładu Medycyny Sądowej w Wersalu patologa. A potem odprowadził wzrokiem ambulans odjeżdżający z ciałem Vincenta zapakowanym w worek na suwak.

Oddalił się od domu i długo szedł przez zielone pola pomiędzy kępami krzewów, paląc papierosa za papierosem z pożyczonej paczki, podczas gdy setki ptaków radośnie witały wstający dzień. Dzień, którego Vincent nie zobaczy. Potrzebował być sam. Nie potrafił przyjąć do wiadomości, że to wszystko prawda. Że Vincenta nie będzie ani jutro, ani w kolejne dni, że już nigdy się nie podzielił najnowszymi informacjami. Z całą pewnością to była jedna z najdłuższych i najstraszniejszych nocy, jakie kiedykolwiek przeżył.

Był zbyt odrętwiały, by myśleć trzeźwo. Ale kiedy wrócił do budynku, w którym wciąż kłębił się tłum policjantów i żandarmów, noc w jego głowie powoli zaczęła ustępować świtowi o mrożącej wręcz klarowności. Zebrał techników i śledczych – większość stanowili mężczyźni, kobiety były dwie – i blady jak ściana, z zaczerwienionymi oczami oświadczył:

– Chcę, żebyście zbadali każdy ślad, każde włókno, każdy odcisk palca, żebyście zajrzeli w każdy zakamarek, każdy centymetr kwadratowy tego cholernego miejsca, nawet jeśli będziecie musieli spędzić tu następne dwadzieścia cztery godziny. Chcę, żebyście wysłali do laboratorium każdą próbkę, żebyście wywrócili to miejsce do góry nogami od piwnicy aż po dach! I żebyście zapomnieli o przerwach i żartach. Zrozumiano?

Niektórzy skinęli głowami, inni spojrzeli na niego jak na wariata.

– Nie martw się – włączył się Pierrat. – Gwarantuję ci, że śledztwo w sprawie śmierci Vincenta będzie absolutnym priorytetem. Kryminalni przyłożą się do niego ze wszystkich sił. Znajdziemy tych drani, Martin. –

Był blady. Jego głos drżał. Przez chwilę milczał, a potem ciągnął z pełną niedowierzania miną i zmarszczonymi brwiami: – Wiem, że my, policjanci, jesteśmy dziś na celowniku, ale... To, co się przydarzyło twojemu zastępcy,

to już za wiele. Moim zdaniem ta sprawa śmierdzi. Wdepnęliśmy w jakieś cholerne gniazdo żmij. Skoro pozwalają sobie na to, by torturować glinę, to znaczy, że mamy do czynienia z zagrożeniem o wiele poważniejszym, niż sądziliśmy.

Servaz był tego samego zdania. Pokiwał głową. Ale teraz miał przed sobą najtrudniejsze zadanie.

– Potrzebny mi telefon – powiedział. – Muszę zadzwonić.

Pierrat skinął na jednego z techników i zamienił z nim kilka słów. Mężczyzna zniknął i po trzech minutach przyniósł mu komórkę. Servaz wyszedł z domu. Oddalił się od niedyskretnych uszu, podszedł do dużego, rozłożystego dębu, usiadł pod nim i oparł się o gruby pień. Sprawdził, czy ma zasięg.

Niebo pojaśniało. Budynki i każda kępa zarośli odcinały się teraz na jego tle jak na retuszowanym zdjęciu. W innych okolicznościach Servaz doceniłby ten sielankowy widok. Zrobił głęboki wdech i wystukał numer, który znał na pamięć.

– Charlène? – zapytał, kiedy odebrała. – To ja. Jesteś tam sama?

– Jesteś pewien, że dasz radę?

Pierrat zaparkował przed hotelem. Servaz skinął głową. Była prawie ósma rano i po krótkiej ulewie słońce świeciło mu prosto w twarz.

– Możesz się zatrzymać u mnie – nalegał paryżanin. – Mam pokój dla gości.

– Potrzebuję побыć sam.

– Okej. Spróbuj się trochę przespać. Za kilka godzin się zdzwonimy.

Przeszedł przez hol hotelowy do windy jak zombie, zwracając uwagę recepcjonistki mokrymi ciuchami i pokiereszowaną twarzą. Zdruzgotany, wyczerpany, na skraju załamania nerwowego. Kiedy wjechał na drugie piętro i szedł korytarzem, mijająca go pokojowa skrzywiła się z powodu zapachu, jaki wokół siebie roztaczał.

Pod prysznicem rozmyślał nad tym, jak dużo, a zarazem jak mało wiedział o Vincencie. Czy naprawdę znamy osoby, które codziennie spotykamy? Czy raczej każdy jest samotną wyspą zanurzoną w oceanie ludzi? Szorował się długo, trąc skórę aż stała się czerwona, jakby chciał się pozbyć każdej drobiny tej nocy.

Starł parę z długiego lustra i przyjrzał się swojemu ciału. Na wysokości lewego sutka miał bliznę wielkości małej monety, pamiątkę po kuli, którą dostał, i po śpiączce. Tak często był ranny w okolicy serca. I to nie tylko od kul. Miał dwie inne duże blizny – jedną na klatce piersiowej i drugą, zaczynającą się poniżej splotu słonecznego, która biegła pionowo sześć centymetrów w dół i skręcała w lewo – to z kolei była pamiątka po przygodzie w Austrii, która o mały włos skończyłaby się bardzo źle.

Położył się, ale nie mógł zasnąć. Zza okna dochodził przytłumiony szum bulwaru. Na zewnątrz tętniło życie. Ludzie jechali do pracy albo na spotkanie z przyjaciółmi, podróżowali metrem, autobusem. Życie toczyło się dalej. Próbował przegnać ze swoich myśli obraz Vincenta w rowie. Ich już nie ma, pomyślał. Tych wszystkich ludzi, którzy w ten czy inny sposób go opuścili. Niektórzy dawno temu, jak jego rodzice. Jego ukochana

z młodości, od kilku lat leczona w szpitalu psychiatrycznym. Jego żona, która ułożyła sobie życie od nowa. Jego córka Margot przebywająca w Kanadzie. Léa w Afryce. A teraz Vincent. Sięgnął po telefon, który mu dali, i wystukał numer.

– Martin?

Ten głos... Poczuł nagły ucisk w żołądku. Usłyszał inne głosy dookoła niej. Gdzie teraz jest? Powiedział jej o śmierci Vincenta. Pamiętał, że on i Léa świetnie się dogadywali. Po drugiej stronie zaległo długie milczenie.

– O Boże, Martin, tak mi przykro – powiedziała w końcu. – To potworne. Musi ci być bardzo ciężko.

Nie skomentował.

– Bardzo lubiłam Vincenta – dodała po kilku sekundach. – Ja... nie, do cholery, to takie niesprawiedliwe.

Znowu zapadła cisza, której nie próbował przerwać.

– Miałam... miałam do ciebie dzwonić. Nie wiem, czy to jest właściwy moment, ale ja też mam ci coś do powiedzenia.

Wpatrując się w sufit, czekał na dalszy ciąg.

– Martin, wracam.

Wyprostował się.

– Co?

– Postanowiłam wrócić. Do Francji.

– Kiedy?

– W czwartek mam samolot z Brazzaville do Kinszasy. Potem nocny lot do Paryża. A potem do Tuluzy.

W jej głosie wyczuwał jakąś dziwną nutę. Usiadł na brzegu łóżka; przy każdym ruchu czuł ból żeber.

– W związku ze śmiercią Vincenta będę miał bardzo dużo roboty. Kiedy podjęłaś decyzję o powrocie?

Zwlekała z odpowiedzią.

– Kilka dni temu.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

– Później ci wyjaśnię. To nie na telefon.

Tak, w jej głosie naprawdę coś było. Jakiś smutek. Cień. Co tam się wydarzyło?

– Czego nie możesz mi powiedzieć przez telefon? – nalegał.

– Léa, masz minutkę? – dobiegł z daleka jakiś męski głos.

– Sekundę, Brian, rozmawiam przez telefon!

Jej odpowiedź na niewinne pytanie była zbyt stanowcza, zbyt agresywna. Kim jest Brian?

– Z kim rozmawiasz?

– Z kolegą.

– Kim jest ten Brian?

– Nieważne.

– To ten, który jest na wszystkich twoich zdjęciach?

Milczenie.

– O czym ty mówisz?

– Przecież dobrze wiesz.

– Nie, Martin, nie mam pojęcia. Co ty sugerujesz? Powiedz, o co ci chodzi.

– Léa! – zawołał Brian gdzieś w tle.

– Odpierdol się, Brian! – krzyknęła. – Rozmawiam przez telefon, nie widzisz?

Servaz przez chwilę był w szoku. Rzadko miał okazję słyszeć ją aż tak wkurzoną. Co się dzieje? Kim jest ten Brian? Nagle poczuł dziwny, nieprzyjemny smak w ustach.

– Słuchaj – powiedziała Léa. – Porozmawiamy o tym, jak wrócę. Proszę, Martin, dbaj o siebie. Tak bardzo bym chciała cię zobaczyć. I tęsknię za Gustavem – dodała. – Strasznie.

– On też za tobą tęskni – odpowiedział bez przekonania.

Rozłączyła się. Co tam się dzieje? Léa była niesamowicie zdenerwowana, wręcz bliska wybuchu. Nie była tą kobietą, którą znał. Chodziło o jakiś problem natury zawodowej czy o coś innego? Odsunął od siebie tę myśl. Ma śledztwo do przeprowadzenia. Nie wolno mu się rozpraszać. Jest to winien Vincentowi. Tak, ale... Léa wraca.

Kurwa, teraz już nie zaśnie. Nie ma takiej możliwości. Włożył buty. Na zewnątrz deszcz ze słońcem bawiły się w chowanego. Okolica skąpana była w czystym, bladym i migotliwym świetle, którym w innych okolicznościach by się zachwycił. Mimo bólu żeber pozwolił, by stopy poniosły go przez rue de la Gaîté, boulevard Edgar-Quinet, rue du Montparnasse i dalej bulwarem.

Niedzielnny poranek: niewielu pieszych, puste ulice. Stolica mogła odetchnąć. La Coupole, La Rotonde, Le Dôme. Hemingway oddał hołd tej

dzielnicy w *Ruchomym święcie*, Cortázar w *Grze w klasy*. Spod współczesnej brzydoty na zakrętach czy za rogami budynków tu i ówdzie wyzierały stare zakątki wysławiane przez malarzy i pisarzy.

Martin skręcił w boulevard Raspail, zawrócił i przez północną bramę wszedł na cmentarz Montparnasse. Zagłębił się w proste alejki tego nieruchomego kamiennego miasta, martwego zakątka w sercu stolicy; tu panował spokój i milkł hałas, ustępując miejsca ciszy jak nie z tej epoki. Groby pisarzy wyglądały skromnie w porównaniu z wielkimi pustymi mauzoleami – pozbawionymi swojej substancji, swojej racji bytu, jakiegokolwiek, zarówno materialnej, jak i duchowej obecności – pełnymi pychy, ale zarazem śmiesznymi kupami kamieni, które zapomniały, po co właściwie tutaj stoją, niczym ruiny zaginionej cywilizacji.

Czy to myśli o Vincencie przywiodły go w to miejsce? Nagle Servaz poczuł, że musi coś zrobić. Natychmiast. Działać. W ten czy inny sposób. Wyprzedzić wypadki, zamiast je biernie znosić. Ruszyć naprzód.

Prosto z cmentarza poszedł na najbliższy postój taksówek, który zauważył wcześniej przy boulevard Raspail.

– Avenue de Suffren jednaście bis – rzucił kierowcy.

Spojrzał na zegarek. 8.47. Zaczął rozmyślać o mężczyźnie, który mieszkał w apartamencie z widokiem na wieżę Eiffla. Dziesięć minut później taksówkarz wysadził go pod wskazanym adresem. Stał przed dwuskrzydłowymi kutymi drzwiami i czekał, aż pojawi się któryś z mieszkańców. Gdy drzwi się otworzyły, chciał wślizgnąć się do środka, ale jasnowłosa trzydziestolatka w stroju do biegania, która akurat wychodziła, na widok jego pokiereszowanej twarzy zapytała, dokąd idzie. Pokazał legitymację. Z miną wyrażającą dezaprobatę i obrzydzenie kobieta wpuściła go i udała się na poranny jogging.

Śpieszyło mu się tak bardzo, że nie czekał na windę, ale ruszył pieszo krętymi marmurowymi schodami po czerwonym dywanie, który wygłuszał jego kroki. Postanowił nie korzystać z dzwonka, tylko zapukać. Drzwi otworzyła mu ta sama co ostatnio zjawą w białym fartuszkach – jak widać, pracowała również w niedzielę. Miała zaskoczoną minę.

– Jest w domu? – zapytał.

Odpowiedziała mu powszechnie zrozumiałym gestem oznaczającym, że pan śpi.

– Gdzie jest sypialnia? – zapytał, wyciągając legitymację. – *The bedroom?*

Zrezygnowana ruszyła przed nim korytarzem. Kiedy miała wejść do sypialni, powstrzymał ją, delikatnie odsunął i sam nacisnął na klamkę.

Była niedziela. Charles Barneville najwyraźniej zrobił sobie leniwy poranek. Spał z zaciśniętymi pięściami pośrodku dużego łóżka, wydając z siebie rytmiczne, niemal melodyjne chrapnięcia. Servaz przez chwilę zastanawiał się, czy to baryton, czy bas, po czym podszedł bliżej, by przerwać ten recital. Przy okazji zauważył, że na granatowych, prawie czarnych ścianach wiszą stare obrazy oprawione w pozłacane ramy.

Lekko szturchnął Barneville'a w szeroki tors. Brodacz otworzył oczy, które natychmiast rozszerzyły się ze strachu. Podniósł się jak oparzony. Gdy rozpoznał policjanta, na jego twarz częściowo – ale tylko częściowo – powróciła zwykła pewność siebie.

– Kurwa, co panu odbiło? Co pan tutaj robi? Nie ma pan prawa...

Servaz chwycił go za kołnierz pasiastej piżamy. W oczach Barneville'a znowu pojawiły się niepewność i przestrasz.

– Pan zwariował, dość tego! – wyskokłał.

– Mów, co widziałeś na tej pierdolonej imprezie! I z kim rozmawiał mój kolega.

– Wszystko powiem mojemu adwokatowi – warknął brodacz, odzyskawszy animusz. – To jest absolutnie bezprawne. Złożę na ciebie doniesienie na policję, dupku!

Servaz musiał mieć obłęd w oczach, ponieważ Barneville nie sprawiał wrażenia całkiem pewnego siebie. Martin pochylił się nad nim, jakby chciał go pocałować.

– Kapitan Vincent Espérandieu, mój zastępca, nie żyje – wycedził wprost do jego ucha. – Został porwany, kiedy wychodził z tej przeklętej imprezy, a może nawet w trakcie. Więc teraz powiesz mi wszystko, co wiesz, chuju.

Servaz zobaczył, że te słowa i ton, jakim je wypowiedział, wstrząsnęły Barneville'em. W oczach mężczyzny wyczytał drobiazgową kalkulację, arogancję człowieka, dla którego ludzkość dzieli się na dwie kategorie: tych, którzy mogli mu się przydać, i pozostałych, a także pewność, że grożący mu policjant nie jest przy zdrowych zmysłach, a zatem w aktualnej sytuacji istnieje tylko jedno rozsądne wyjście. Mówić.

- Krąży pewna plotka – powiedział, odzyskawszy równowagę.
- Jaka plotka?
- Że w trakcie kręcenia niektórych filmów działy się pewne rzeczy...
- Jakich filmów? – Servaz zaczął tracić cierpliwość.
- Morbusa Delacroix.

Martin się wyprostował. Zachował pokerową twarz, ale patrzył uważnie na Barneville'a, stawiając wszystkie zmysły w stan pogotowia.

- Rzeczy? Jakie rzeczy? – rzucił.
- Przemoc seksualna, gwałty, takie tam... na młodych, debiutujących aktorkach. I że brali w tym udział celebryci.
- Kto na przykład?

Martin znowu złapał go za kołnierz. Brodacz zadrżał.

- Gadaj, do kurwy nędzy! Jaki to ma związek z tą imprezą i z moim zastępcą?!

– Schrenkel! Podobno Ezra Schrenkel brał w tym udział! – Mężczyzna szarpnięciem uwolnił się z uścisku.

– Kto?

– Ezra Schrenkel! Debiutował u Delacroix, nie miał wtedy nawet dwudziestu lat. Był na mojej imprezie. I widziałem, że rozmawiał z pana kolegą.

Servaz poczuł, że włosy na karku stają mu dęba.

– Widziałem, jak Schrenkel prowadził go do innego pokoju – mówił dalej Barneville, który nagle stał się bardziej rozmowny. – Nie wiem, o czym tam rozmawiali, ale kiedy pana kolega stamtąd wyszedł, wyglądał na wstrząśniętego. To wtedy go zatrzymałem i zapytałem, kim jest. Byłem pewien, że go nie znam. A nigdy nie zapraszam nieznajomych. Powiedział, że dostał zaproszenie od youtubera Maximiliena Renna. Teraz rozumiem, byliście u Renna.

Servaz się wyprostował.

- Mówisz, że ten Schrenkel zaciągnął mojego kolegę do innego pokoju?
- Przecież właśnie to powiedziałem!
- Andreas Verhagen, to nazwisko ci coś mówi?

Chwila wahania.

– Valek? Tak, oczywiście. Wszyscy w tej bańce go znają. To pasożyt. Chodzi na wszystkie imprezy. A do tego diler, krętacz i bandzior.

- Znasz go osobiście?

– Nie, w żadnym wypadku! Jest jednym z tych darmozjadów, których zaprasza się niejako z przyzwyczajenia, którzy kręcą się przy gwiazdach, artystach, agentach. Trzymam się od niego z daleka.

– Dlaczego?

– Bo jest umoczony w różne niejasne historie. Siedział w pudle. Gość jest radioaktywny.

– Wiesz, gdzie możemy go znaleźć?

– Jeśli pan chce, mogę panu dać adres, na który moja sekretarka wysłała zaproszenie.

Servaz był pewien, że będzie to albo domek w Livry-Gargan, albo mieszkanie w XVIII dzielnicy. Było widać, że Barneville nie blefuje.

– Czy twoja pomoc domowa jest na nielegalu? – Zmienił temat.

– Słucham?

– Dobrze słyszałeś.

Mężczyzna skinął głową, zaciskając szczęki.

– Gdzie ona mieszka?

Barneville się zawahał.

– Nocuje w pralni – odpowiedział w końcu. – Wstawiłem jej łóżko.

– W pralni? Nie ma swojego pokoju? Mieszkania?

Cisza.

– Ile jej płacisz?

Cisza.

– Świetnie. Ile tu jest pokoi?

– Co? No... pięć.

– Od dzisiaj będziesz jej dawał dwa dni wolnego na tydzień, płacił najniższą krajową, zapewnisz jej prawidłowe wyżywienie i oddasz jeden ze swoich pokoi. Załapałeś?

Zobaczył, że Barneville sonduje go dociekliwymi, nieufnymi oczkami, jakby wbijał palce w jego mózg w poszukiwaniu ewentualnego blefu.

– Zrozumiano?

– Tak.

– I nie będziesz kazał jej wstawać w środku nocy. Nie martw się, będziemy to sprawdzać. Mamy cię na oku. A ten twój Schrenkel, wiesz, gdzie go szukać?

Brodacz znowu się zawahał.

- Chyba ma teraz zdjęcia w okolicach Étretat. Nic więcej nie wiem.
- A w ogóle mieszka w Saint-Cloud, w résidence Montretout.
- Servaz popatrzył na zegarek.
- Miłej niedzieli – rzucił na pożegnanie i ruszył w stronę drzwi.

– Pierrat?

– Martin? Nie śpisz?

Servaz poznał po głosie, że go obudził. Po wypadkach i emocjach ostatniej nocy paryski glina musiał zasnąć jak kamień.

– Czekam na ciebie na avenue de Suffren. Musimy pogadać.

Chwila ciszy.

– Avenue de Suffren? – powtórzył Pierrat. – To niedaleko Barneville’a...

Co ty tam robisz?

– Byłem u niego z krótką wizytą.

– Co?! – Jego kolega najwyraźniej oprzytomniał.

– Zrobiłem mu pobudkę, jeśli wolisz. Podał mi nazwisko: Ezra Schrenkel.

– Chodzi o tego aktora? I co ci powiedział?

– W trakcie tej imprezy widział, że Vincent i Schrenkel rozmawiali w osobnym pokoju i że Vincent wyglądał potem na poruszonego. I że ten Schrenkel jest umoczony w jakieś krzywe historie.

– W jakie historie?

– Rusz się, to ci opowiem.

Wystukał inny numer. Wciąż miał przed oczami twarz Vincenta, jej widok go nie opuszczał, podobnie jak ból, rwący jak nigdy przedtem. Oczy znowu zaszyły mu łzami. Wytarł je wierzchem dłoni, rozglądając się dookoła. Ale w ten niedzielny poranek ogródek był pusty. Połączył się po trzech dzwonekach.

– Martin?

– Cześć.

– Co się dzieje? – zapytała Samira, zaalarmowana tonem jego głosu.

– Posłuchaj... Musisz to wiedzieć. Vincent nie żyje.

– Co?

Po drugiej stronie zaległa cisza. Cisza, w której była tylko pustka. Pustka myśli. Pustka serca. Szukał słów, wydłubywał je z siebie jedno po drugim,

tak jak wydlubuje się kamyki z rany, żeby nie doszło do zakażenia. Znowu przywołał w głowie widok rozbitej na miazgę twarzy Vincenta unoszącej się w gnojówce. Czuł, że z każdym słowem coraz trudniej mu złapać oddech. Kiedy skończył, nastąpiła bardzo długa chwila milczenia. A potem, bez uprzedzenia, Samira zaczęła krzyczeć i kilka razy uderzyła w jakiś przedmiot. W jej wrzasku była taka furia, taki szal, że Servaz się przeraził.

– Chcesz, żebym przyjechała? Znajdziemy tych drani, którzy to zrobili, prawda, Martin?

– Oczywiście, że ich znajdziemy. Nie, pracuj dalej na miejscu.

– Martin, chcę przyjechać. Chcę wam pomóc!

– Na nic się tu nie przydasz – odpowiedział. – Nad sprawą pracuje cała brygada kryminalna. Chciałbym, żebyś mi przesłała wszystko, co znajdziesz w bazach na temat tego Morbusa Delacroix.

– Tego reżysera? Dlaczego?

– Możliwe, że ma coś wspólnego ze śmiercią Vincenta.

– Jak to?

– Później ci...

– Nie, teraz! – zawołała. – Kurwa, nie odsuwaj mnie, chcę wiedzieć wszystko, słyszysz?

Poddał się. Opowiedział jej o dwukrotnych odwiedzinach u Barneville'a i o imprezie, z której zniknął Espérandieu.

– Okej – powiedziała. – Wezmę tylko prysznic i jadę na komisariat. – Umilkła na dłuższą chwilę. – Kurwa, Vincent... Nie, cholera, nie... – jęknęła łamiącym się głosem.

– Rozumiem, że jesteś wściekły, ale nie możemy się w ten sposób zachowywać – powiedział Pierrat, mieszając kawę. – I tak przekroczyliśmy już wszelkie granice.

– Ach tak? A ci dranie niby ich nie przekroczyli, co?

– Przecież wiesz, że nie możemy działać tak jak oni – zaproponował niechętnie jego paryski kolega. – W pewnym sensie prawo stoi po ich stronie. Jeśli chcesz, żeby zostali skazani za to, co zrobili, musisz to zaakceptować i działać zgodnie z zasadami. A teraz mów, co to za brudne sprawy, w które ma być zamieszany Schrenkel.

– Przemoc, gwałty. Na debiutujących młodych aktorkach. Nadużycia seksualne podczas zdjęć dla Morbusa Delacroix.

– Czyli wracamy do *Orfeusza* – powiedział wolno Pierrat.
– Możliwe.
– To pasuje do tego, co opowiadał Renn. Tam, w Meksyku, coś się wydarzyło.
– Na to wygląda. Szukamy motywu morderstw ewidentnie związanego z kinem Delacroix. A teraz mamy aktora, który prawdopodobnie jako ostatni widział Vincenta żywego.
– Co zamierzasz?
– Musimy pogadać z tym Schrenklem.
Pierrat się skrzywił.
– Żaden sędzia się na to nie zgodzi. Mamy tylko opowieści z drugiej ręki, pogłoski, podejrzenia...
– Nie wspominałem o dzwonieniu do sędziego.
Pierrat przyjrzał się Servazowi zatroskany.
– Okej, wchodzę w to. Ale to ostatni raz. Potem wracamy do zasad.
Servaz zerknął na wyświetlacz telefonu. Samira wysłała mu jakiś link. Otworzył go. Artykuł z „La Dépêche du Midi”. Przeczytał:

Reżyser Morbus Delacroix zatrzymany za napaść na studentkę
filmoznawstwa

– O cholera – powiedział.
Przebiegł wzrokiem artykuł. Studentka filmoznawstwa zgłosiła się do szpitala w Paradis po dotkliwym pobiciu, którego padła ofiarą, i wniosła skargę przeciwko reżyserowi od kilku lat mieszkającemu w Pirenejach. Dalej krótka biografia i filmografia sprawcy. Nic szczególnego.
Zadzwoił do Samiry.
– Masz coś jeszcze poza tym, co piszą w tym artykule?
– Dzwoniłam do żandarmerii w Paradis. Ofiara nazywa się Judith Tallandier, studiuje na uniwersytecie Jean-Jaurès i jak twierdzi, została brutalnie zaatakowana przez Delacroix podczas pobytu w jego domu. Zgodził się z nią spotkać w związku z pracą, którą dziewczyna pisze na temat jego twórczości, i zaproponował jej gościnę. Mogę wiedzieć, czego konkretnie szukamy?

– Jeszcze nie wiem. Ale chciałbym, żebyś spotkała się z tą dziewczyną i ją przesłuchała.

– To nie jest nasze śledztwo.

– Załatw to jakoś. Zadzwoń do dyżurnego sędziego, jeśli go w niedzielę złapiesz. Możesz mu powiedzieć, co chcesz.

Rozłączył się. Teraz Pierrat pokazał mu jakiś artykuł na ekranie swojego smartfona.

– Schrenkel ma teraz zdjęcia w Normandii. W Étretat.

– To samo powiedział mi Barneville.

– Film ma tytuł *Madame Bovary i wampiry* – dodał Pierrat, przewracając oczami. – Myślisz, że w niedzielę też kręcą?

– Co nam szkodzi spróbować?

Pielęgniarka spojrzała na śpiącą Judith, a potem jego wzrok zatrzymał się na lekarzu.

– Znalazłem ją w nocy w dyżurce w trakcie mojej przerwy – powiedział.
– Stała za drzwiami w ciemności. Ukrywała się. Była przekonana, że przyszedli po nią jacyś ludzie. Musieliśmy jej podać środek uspokajający.

– Jacyś ludzie?

Pielęgniarka wymieniła nazwiska internisty i pielęgniarki.

– Zaczynali dyżur. Twierdziła, że przyszedli ją zabić. – Westchnął, uniósł do ust parujący polistyrenowy kubek i skrzywił się. – Ta kawa zawsze jest taka ohydna, nie dałoby się zainstalować na piętrze ekspresu na kapsułki? Cóż, nie jestem specjalistą, ale mam wrażenie, że ona ma jakąś manię prześladowczą.

– Jak duża część populacji w tym kraju – skomentował filozoficznie lekarz. – Ale napaść na nią była jak najbardziej realna.

– Co do tego nie ma wątpliwości – przyznał pierwszy z mężczyzn, patrząc na opatrunki i bandaż na twarzy Judith.

– W jej krwi znaleźliśmy sporą ilość GHB – mówił dalej doktor.

Tym razem pielęgniarka powstrzymała się od komentarza.

– Więc na jej miejscu też miałbym małą paranoję. Ty nie? – dodał pobłaźliwie.

Pielęgniarka umilkła na dobre. Nie mógł znieść tego gościa, który z kolei uważał go za idiotę.

– Na przyszłość odpuść sobie zabawę w psychologa. Niech się tym zajmują żandarmi – zakończył lekarz.

Okolo południa Pierrat i Servaz przejechali Sekwanę mostem Tancarville i zatrzymali się na szybki lunch w restauracji w okolicach Angerville-l'Orcher. Dawne gospodarstwo z pruskiego muru, typowe dla architektury Normandii, duży kominek, pod sufitem belki stropowe, menu za dwadzieścia dziewięć euro zawierające przystawkę, danie główne i talerz trzech serów.

Sala pękała w szwach. Pierrat pochłoniął swoją porcję, a Servaz ledwie tknął to, co miał na talerzu. Za Rouen pogoda znowu się popsowała i teraz za oknem złożonym z kwadratowych szybek osadzonych w ołowianej ramie lało jak z cebra.

Do Étretat wjechali o 13.40. Na morzu szalał sztorm. Kredowe klify były ledwie widoczne. Servaz nie był tu ponad dwadzieścia lat. Przez chwilę jego myśli mimowolnie powędrowały ku *Wydrążonej iglicy* Maurice'a Leblanca.

– Oglądałeś serial *Lupin*? – zapytał Pierrat.

– Co?

– Nieważne.

Niebo było tak czarne, że mogłoby się wydawać, że zapadła noc. Gigantyczne błyskawice smagały je jak pokutnik swoje umęczone plecy. Na ulicach nadmorskiego kurortu zauważyli tablice z napisem PLAN ZDJĘCIOWY, a niżej strzałki – wystarczyło się nimi kierować.

– Wiedziałeś, że mieszka tu Pete Doherty? – zapytał znowu Pierrat.

– Kto?

– Nieważne.

Ruszyli avenue Jacques-Offenbach, która prowadzi do centrum i schodzi nad morze. Za kamiennymi murkami i grubymi żywopłotami kryły się wille z czasów, gdy Normandia była ulubionym kierunkiem wakacyjnym paryskich mieszczan, kiedy ulice i plaża Étretat były pełne słomkowych kapeluszy i parasolek. Skręcili w avenue Nungesser-et-Coli i avenue Damilaville wyjechali ponad miasto, aż do kaplicy Notre-Dame-de-la-

Garde, której wieża wbijała się w udręczone niebo. Ostatnia tablica umieszczona na szczycie informowała, że zdjęcia odbywają się na klifach, na które chwilowo wstęp jest wzbroniony.

Kiedy wysiedli z samochodu, Servaz mimo fatalnej pogody zachwyił się panoramą. U stóp kaplicy z surowego kamienia rozciągał się rogalik plaży i stłoczone dachy miasteczka sięgające do kolejnego klifu znajdującego się poniżej i słynnej skalnej iglicy, którą zainspirował się Maurice Leblanc. Błyskawice i sztorm zdobiły ten czarno-szary krajobraz pionowymi i poziomymi liniami: widok ten skojarzył się Servazowi z ilustracjami Gustave'a Doré do *Boskiej komedii*.

Teren przed kaplicą był bagnisty. Kawałek dalej Servaz zauważył poświęcę reflektorów. Ruszyli w kierunku grupy osób stojących kilkadziesiąt metrów dalej. Na spotkanie wyszedł im jakiś asystent pod parasolem z logo producenta.

– Dalej nie można – oświadczył. – Trwają zdjęcia.

– Odsuń się – powiedział Pierrat, pokazując mu legitymację.

Asystent wyglądał na zszokowanego. Servaz czuł, jak woda spływa mu za kołnierz. Zobaczył kable elektryczne biegnące przez błoto i między kałużami jak węże, srebrne smugi deszczu w ostrym blasku reflektorów, ludzi pod parasolami i zastanawiał się, jak to możliwe, że w taką pogodę to wszystko jest bezpieczne; ale przecież w deszczu – naturalnym lub sztucznym – często kręci się sceny filmowe.

Za pierwszą grupą na skraju klifu stała druga. Nad przepaścią pochyłał się kamerzysta w towarzystwie mężczyzny, który wymachiwał rękami, i dźwiękowca, podczas gdy w stronę krawędzi przesuwała się wolno grupa postaci przypominających zombie w strojach z epoki. Kilka metrów dalej młody gość w okularach i słuchawkach na włożonej tył na przód czapce z daszkiem kontrolował całą scenę z poziomu komputera. Na widok zbliżających się mężczyzn zawołał „Cięcie!”, zdjął słuchawki i wstał ze składanego krzesła.

– Coście za jedni, kurwa? Co tutaj robicie? Mamy zdjęcia!

– Policja kryminalna – powiedział Pierrat. – My do pana Schrenkla.

– Co? Nie no, jaja sobie robicie? Tu się pracuje!

– Chcielibyśmy mu zadać kilka pytań – nalegał Pierrat, wymieniając spojrzenia z Servazem, który dyskretnie odszedł na bok. – To nie potrwa długo. A może właśnie potrwa.

Reżyser wyglądał, jakby był na skraju załamania nerwowego.

– Oni są nienormalni! Nienormalni! Kto wpuścił tych idiotów? Fred, dzwoń natychmiast do centrali! Niech mi zabiorą tych dupków z planu! Macie nakaz przeszukania?

Servaz usłyszał za swoimi plecami spokojny głos Pierrata:

– Nie trzeba się tak denerwować, to szkodzi na serce. Nie mówi się nakaz przeszukania, nie jesteśmy w kinie. Hmm... A może i jesteśmy.

Martin podszedł do kamerzysty. Nie widział, co facet filmuje – scena była częściowo zasłonięta brzegiem klifu. Widział tylko trójkę zombie, którzy również spoglądali w dół, wykonując przy tym groteskowe, szarpane ruchy. U stóp stromego zbocza ryczało morze, fale rozbijały się o skały pośród wiru wiatru i piany, od którego drgało powietrze: wyglądało to jak koniec świata. Podszedł jeszcze bliżej, przeciskając się między zombie, i wreszcie dostrzegł aktora, który stał niżej na skalnym występie, zabezpieczony uprzęzą, która zapewne miała zostać usunięta w postprodukcji. Servaz niewiele wiedział o nowoczesnej magii kina.

Podobnie jak zombie aktor ubrany był zgodnie z dziewiętnastowieczną modą mieszczańską i Servaz dopiero po chwili rozpoznał twarz, którą widział na zdjęciu w Internecie. Przypomniał sobie tytuł filmu: *Madame Bovary i wampiry*. Aktor miał w dłoni również pistolet z tamtych czasów, z pewnością atrapę.

– Ezra Schrenkel? – zapytał Martin.

– A jak pan uważa? A pan? Kim pan jest? Kto pana tak ucharakteryzował? Wygląda bardzo autentycznie!

– Komendant Servaz, policja kryminalna. Muszę z panem porozmawiać.

– Co?! Teraz?

– To zajmie dwie minuty.

– Spierdalaj pan! – odparował Schrenkel, ocierając deszcz spływający mu po twarzy. – Zabierzcie stąd tego typu!

Jego makijaż musiał być wodoodporny. Miał na głowie perukę, która wyglądała tak sztucznie, że Servaz zastanawiał się, czy to nie będzie widoczne na ekranie. Aktorzy grający zombie zastanawiali się, jak się zachować. Z jednej strony intruz był z policji, z drugiej gwiazda filmowa życzyła sobie, żeby go wywalić. Servaz stanął na czworakach, by znaleźć się bliżej aktora, i podetknął mu pod nos zdjęcie.

– Rozpoznaje pan tego człowieka?

– Nigdy go nie widziałem!

– A jednak rozmawiał pan z nim w piątek wieczorem na imprezie u Barneville’a, nawet go pan zaciągnął do osobnego pokoju.

Schrenkel zmrużył oczy i przyjrzał się fotografii.

– Ach tak... to ten farbowany producent Vincent z Dangerous Zone Productions – zarechotał. – A więc on był z policji?

– Rzeczywiście był – powiedział Servaz grobowym tonem. – Był również moim kolegą i przyjacielem. Został zamordowany. A wcześniej go torturowano.

Servaz wyjął telefon i znalazł zdjęcie Vincenta w rowie. Powiększył je. Schrenkel aż się cofnął.

– O kurwa! – zawołał, odwracając wzrok. – Okropne!

Servaz pochylił się jeszcze bardziej.

– O czym rozmawialiście tamtego wieczoru? – naciskał.

Z tyłu usłyszał głos: „Wyprowadźcie stąd tego dupka!”. Zerknął za siebie. Pierrat mocno trzymał rozzłoszczonego reżysera za ramię, blokując mu możliwość ruchu. Ktoś wściekłym głosem rozmawiał przez telefon.

– O niczym. O niczym ważnym! – wybełkotał Schrenkel. – Powiedziałem mu, że nie jest producentem. Ja go tylko wzięłem na bok, to wszystko! Cholera, kto to zrobił?

– Mój kolega zniknął tej samej nocy. Śledził go pan po wyjściu?

– Hę? Nie! Co pan sobie wyobraża? Wyszliśmy z kilkoma przyjaciółmi na inną imprezę! Zaproponowałem mu, żeby poszedł z nami, ale odmówił! Mam świadków!

– Naprawdę? Wiem, co się działo w Meksyku w trakcie zdjęć do *Orfeusza*, Schrenkel! – rzucił chłodno Martin.

Aktor szeroko otworzył oczy, które wyglądały teraz jak dwie bile. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Co? Chwila, chwila! Nie mam nic wspólnego ze śmiercią pańskiego kolegi! Nie wiem, co mu się stało, przysięgam!

– Wiem o gwałtach i przemocy seksualnej – ciągnął Servaz głosem inkwizytora.

Na twarzy aktora malowała się rozpacz.

– O czym pan mówi? Nic pan nie wie!

– To niech pan mi opowie.

Schrenkel wyglądał na spanikowanego. Zawahał się, pokręcił głową.

– Nie chcę sobie zrujnować kariery – bronił się. – Jeżeli panu powiem, będę skończony jako aktor...

– To zostanie między nami, ma pan moje słowo – skłamał policjant. – Jeśli nie będzie pan mówił, ma pan jak w banku zatrzymanie, złot dziennikarzy, przecieki, plotki i wszystko, co się z tym wiąże!

Aktor zamrugął. Panika wzięła górę.

– Okej, okej. Ale niech mi pan pozwoli wejść na górę i się wysuszyć, dobrze?

Servaz skinął na znak przyzwolenia i odsunął się. Zombie i kilku techników natychmiast ruszyli, by pomóc Schrenklowi wspiąć się na krawędź klifu. Ktoś przyniósł ręczniki. Aktor kichnął, wysmarkał się w jeden z nich, innym wytarł twarz, a następnie kilkoma ruchami wyswobodził się z uprzęży.

– Ezra, wszystko w porządku? – rzucił reżyser.

– Tak, Jacques! Wszystko okej!

Odciągnął Servaza na bok, w stronę krzeseł ustawionych pod targanymi wiatrem parasolami. Lał się na nich zacinający deszcz, ale aktor nie zwracał na to uwagi; jego ubrania były tak samo mokre jak krzesła.

– Czy tytuł *Orfeusz* coś panu mówi? – zapytał Servaz, opadając na sąsiednie siedzisko. – A może nazwisko Delacroix odświeży panu pamięć.

– Podczas zdjęć do *Orfeusza* do niczego nie doszło – bronił się aktor, ostrożnie rozglądając się dookoła. – Myli się pan!

– Niech pan nie robi ze mnie idioty.

– Kiedy to prawda! Niech pan posłucha, to był mój pierwszy film, nie miałem nawet dwudziestu lat. Słyszałem wtedy plotki. Ale wiem, że to się nie działo na planie!

– Co?

– Nie tutaj. Nie możemy tutaj rozmawiać! Na dole jest kafejka, Le Bussi. Tam będziemy mieć spokój.

Samira Cheung przyglądała się Judith. Dziewczyna miała całą twarz w opatrunkach i kołnierz ortopedyczny na szyi. W pokoju unosiły się typowo szpitalne, uporczywe zapachy, których Samira szczerze nie znosiła. Zza drzwi słychać było kręcący się wte i wewte personel i stukanie wózków.

– Może mi pani opowiedzieć, co się wydarzyło u Delacroix?

Studentka spojrzała na dziwny gotycki look wpatrującej się w nią nieruchomymi oczami uderzająco brzydkiej policjantki w czarnej, nabitej ćwiekami skórze. Spuściła wzrok.

– Chce pani poznać tę historię od samego początku? – spytała nieśmiało.

– Oczywiście.

Judith skinęła głową, wciąż nie podnosząc oczu. Potem sięgnęła do szafki przy łóżku i wzięła do ręki duży notatnik. Odblokowała szyfrowy zamek i podała zeszyt Samirze.

– Co to jest?

– Mój dziennik. Zapisałam tu wszystko, co się działo u Delacroix i wcześniej, kiedy wymienialiśmy maile.

Samira zaczęła przewracać kartki, w przelocie wychwytyjąc wzrokiem niektóre fragmenty.

Reżyser przeklęty? Kultowy? Geniusz czy kuglarz? Przeceniany czy niedoceniany? Dla mnie nie ma najmniejszych wątpliwości: Delacroix to geniusz.

Udało się: poznałam go! Już myślałam, że mnie wyrzuci! Ale chciał mnie po prostu przetestować! Co za dzień! Już mam mnóstwo materiału do pracy!

Wczoraj wieczorem w czasie kolacji poczułam zawroty głowy i senność, straciłam kontrolę... Goście myśleli, że jestem pijana. Albo

może naćpana, kto wie? Odkąd tu jestem, czuję się dziwnie. Czy próbowali mnie odurzyć? A potem miałam ten straszny sen...

Czego on chce? Czego ode mnie oczekuje?

Coraz bardziej się boję, jestem przerażona...

– Świetnie – powiedziała Samira, wskazując na zeszyt. – Dziękuję pani. Przeczytam wszystko uważnie, to nam bardzo pomoże. Ale teraz poproszę, żeby mi pani to wszystko opowiedziała. Może podczas mówienia przypomną się pani inne szczegóły, których nie ma w dzienniku, rozumie pani?

– Okej.

Przez chwilę Judith siedziała za spuszczoną głową i wpatrywała się w pościel. Nagle podniosła wzrok i spojrzała policjantce prosto w oczy.

– Opowiem pani historię o pewnym potworze – zaczęła. – O potworze, który nazywa się Morbus Delacroix.

Niedziela, 20.00. Podróż do stolicy odbyli w korkach. Tak zazwyczaj wyglądają powroty z Normandii pod koniec weekendu w szczycie sezonu, nawet jeśli teraz kiepska pogoda zatrzymała sporo ludzi w domach.

– Umieram. Chcę tylko jednego: wyspać się – wyznał siedzący za kierownicą Pierrat, kiedy wyjeżdżali z tunelu Saint-Cloud w stronę Sekwany.

Servaz spojrzął na wieżę Eiffla strzelającą w ciemne niebo nad Laskiem Bulońskim po drugiej stronie rzeki.

– Dzisiaj śpisz u mnie – zarządził paryski policjant tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Szybko zrobię nam coś do jedzenia, a potem lulu.

– Mieszkasz sam? – zapytał Servaz, spoglądając na obitą twarz kolegi.

– Jestem rozwiedziony. Jak wielu policjantów. Wyśpimy się porządnie, a jutro ruszymy z kopyta do roboty, okej?

Mieszkanie Pierrata mieściło się na poddaszu starej kamienicy na skrzyżowaniu rue Marcadet i rue Mont-Cenis w XVIII dzielnicy, na północnym zboczu wzgórza Montmartre, i Servaz zauważył, że rozpościera się stąd imponujący widok na ocean cynkowanych dachów, anten i kominów, na wszystkie północne dzielnice i tereny za obwodnicą, na Saint-Denis i Saint-Ouen. Mieszkanie było czyste i schludne. Niewiele mebli i niewiele książek – za to cała ściana w płytach z muzyką jazzową.

Servaz wyszedł na balkon, by zapalić. Podczas gdy Pierrat uwijał się w małej kuchni, on oparty o stalową poręcz zanurzył się w niemilknącym zgiełku miasta – odgłosach klaksonów, silników, syren – któremu wtórowało przytłumione dudnienie dalekiej burzy, a za plecami dźwięki fortepianu (nie potrafiłby powiedzieć, czy to Art Tatum, czy Thelonious Monk). Rozmyślał o tym, co powiedział im w Étretat Ezra Schrenkel. To zmieniało wszystko. Absolutnie wszystko.

Tuluza, drugie piętro siedziby policji kryminalnej, 20.47. Teraz, w niedzielny wieczór, było tu prawie pusto. Samira czytała dzienniki Judith

Tallandier. Z każdą stroną była bardziej skonsternowana. Te wszystkie znaki napotkane po drodze, te wiadomości... Napis w toalecie na stacji benzynowej, inicjały wyryte w pniu drzewa. Musi tam pojechać i je sfotografować.

Ktoś chciał skłonić Judith, by zawróciła z drogi. Ktoś, kto wiedział, że wpakuje się w kłopoty. Być może to właśnie on miał klucz do całej zagadki.

W szpitalu Judith zwierzyła się Samirze. Opowiedziała jej o swojej matce Clarze Janssen, słynnej aktorce – by uciec przed wścibskimi dziennikarzami, Judith przyjęła nazwisko wujostwa, którzy wychowali ją po śmierci mamy – o zdjęciach do filmów *Morbusea Delacroix*, z których mama zawsze wracała smutna i przygnębiona, o swoim przekonaniu, że jej śmierć w Meksyku w trakcie kręcenia filmu *Orfeusz albo spirala zła* nie była przypadkowa, że wydarzyło się tam coś o wiele groźniejszego, o wiele bardziej mrocznego. Kiedy Judith chciała porozmawiać z Delacroix, ten dosłownie wpadł w szal i się na nią rzucił.

Dlaczego? Co on ukrywa? Skąd taka agresywna reakcja? – zastanawiała się Samira. Nagle w jej głowie pojawił się pewien obraz. Zima 2016 roku, ona i Vincent przy łóżku pogrążonego w śpiączce Martina¹. Przypomniała sobie, jak się do siebie zbliżyli podczas tych długich godzin, kiedy lekarze nie potrafili powiedzieć, co będzie dalej z ich szefem – wyjdzie z tego czy umrze. Uświadomiła sobie wtedy, że ich troje łączy nierozzerwalna więź. Martin od samego początku wziął ich pod swoje skrzydła. Chronił Vincenta, co do którego wszyscy mieli podejrzenia, że pociągają go nie tylko kobiety, przed homofobią niektórych kolegów, a Samirę przed rasistowskimi komentarzami innych – czasem były to te same osoby².

Niezbyt często wyznawali sobie uczucia, ale to była przyjaźń – szczerą, oddaną. Vincent i Martin z pewnością byli osobami, dla których, gdyby zaszła taka potrzeba, bez chwili wahania zaryzykowałyby życie. Teraz został już tylko Martin. Cholera, Vincent, dlaczego musiałeś iść na tę imprezę sam?

Chciała wrócić do czytania, ale z emocji jej oczy zaszły łzami. Przypomniała sobie rozmowę z Judith. Po tym jak Delacroix ją pobił, uciekła z salki kinowej i z domu, wsiadła w samochód, zjechała ze wzgórza i zatrzymała się na poboczu. Nie pamiętała, ile czasu spędziła

w samochodzie wyczerpana, niezdolna do ruchu. Potem ruszyła do kliniki...

Samira miała wrażenie, że dziewczyna nie powiedziała jej wszystkiego. Że coś przemilczała. Dlaczego? Żeby ocalić pamięć matki? Była przekonana, że brakuje jakiejś części tej historii. Rozmawiała też z lekarzami na temat jej obrażeń.

Nagle wpadła na pewien pomysł. Otworzyła TAJ. Wpisała hasło „Delacroix”. Nic. Potem „Clara Janssen”, ponieważ wśród dziewiętnastu milionów nazwisk są również ofiary. Też nic. Następnie wpisała nazwisko „Judith Tallandier”. Również nic. Już miała dać sobie spokój, ale rzutem na taśmę wstukała jeszcze „Judith Janssen”.

Tym razem pojawił się wynik: Judith Janssen, studentka, widniała w TAJ jako domniemana ofiara napaści ze strony innego studenta, do której doszło w roku 2021. Samira pochyliła się nad ekranem. Napastnik został zatrzymany, ale zwolniono go z braku dowodów. Judith skierowano do psychiatrii, ale wyników badań nie było w bazie. Im dłużej Samira studiowała dane, które miała przed oczami, tym bardziej rosły jej wątpliwości. Coś tu nie grało. Coś nie trzymało się kupy. Jak przy składaniu mebla do samodzielnego montażu, kiedy nie pasują do siebie dwa elementy – albo mebel jest wybrakowany, albo osoba składająca źle zrozumiała instrukcję.

Samira zainteresowała się domniemanym agresorem. Ronan Lefeuve. Także student filmoznawstwa na Wydziale Literatury Współczesnej Uniwersytetu Toulouse-Jean Jaurès. Niepozorna, banalna, okrągła twarz, którą człowiek zapomina, gdy odwraca od niej wzrok. Oczy osadzone zbyt blisko siebie, rzadka kozia bródka, i nieśmiałe spojrzenie, w którym czał się jednak jakiś chytry błysk.

Samira poczuła przypływ intuicji. Zamyśliła się. Był koniec czerwca. Rok akademicki się skończył. Musi szukać pod innym adresem. Zapatrzyła się w monitor i zobaczyła twarz Vincenta, jakby nałożoną na poprzednie zdjęcie. Co ta dwójka miała ze sobą wspólnego?

Postanowiła, że od jutra uczepli się tego studenta jak rzep. Mogłaby się założyć, że gość uwielbia horrory. Zabawimy się, Ronanie Lefeuve, pomyślała.

1. Zob. *Noc*, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2018. [\[wróć\]](#)
2. Zob. *Bielszy odcień śmierci*, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2012. [\[wróć\]](#)

PONIEDZIAŁEK, 27 CZERWCA

Samira zobaczyła, jak Ronan Lefeuvre wyszedł z domu i nie zauważywszy, że ktoś go śledzi, dotarł do stacji metra Minimes – Claude Nougaro. Tuż przed dziewiątą ulice leżącej na północ od canal du Midi dzielnicy Minimes oraz tamtejsze metro były pełne ludzi udających się do pracy.

Ronan Lefeuvre wysiadł cztery przystanki dalej, na stacji Jean-Jaurès. Ruchomymi schodami wyjechał na powierzchnię, przeciął boulevard de Strasbourg, a następnie ruszył aleją Roosevelta do placu Wilsona. Minął karuzelę z drewnianymi konikami i fontanną i szedł dalej prosto rue Lafayette wzdłuż ogrodów, ratusza i północnego boku esplanade du Capitole aż do wąskiej rue Romiguières, po której obu stronach ciągnęły się sklepowe witryny i balkony z kutego żelaza.

Zatrzymał się na chodniku i włożył klucz do zamka obok opuszczonej zewnętrznej rolety między salonem fryzjerskim a kioskiem z papierosami. Witryna należała do księgarni o nazwie AFTER MIDNIGHT. „Komiksy, mangi, science fiction, fantasy, horror”, głosił szyld. Kiedy student podniósł roletę i zniknął wewnątrz sklepu, Samira podeszła do wystawy.

Trzy czwarte dostępnej powierzchni zajmowały mangi, ale były tam też niezależne komiksy, romanse science fiction, nowe, opatrzone przedmową i posłowiem wydanie *Hyperiona* Dana Simmonsa i *Trupia otucha* tego samego autora, również z przedmową, w opasłym kieszonkowym wydaniu.

Samira stwierdziła, że miejsce jej się podoba. I że będzie musiała tu wrócić w innych okolicznościach. Weszła do środka. Lefeuvre stał za ladą z kasą, pochylony nad telefonem. Podniósł oczy.

– Klientka o tej porze – skomentował z uśmiechem. – Ależ z pani ranny ptaszek!

W sumie wcale nie jest taki nieśmiały, pomyślała.

– Zwłaszcza w księgarni o nazwie After Midnight – zażartowała.

– Ha, ha! Zważywszy na fakt, że nigdy nie jesteśmy otwarci o północy, nazwa jest raczej myląca. Szuka pani czegoś konkretnego?

Uzupełniła wstępną ocenę: był niewysoki, miał na sobie spraną koszulkę, z której ksenomorf z *Obcego* powoli zaczynał znikać.

– Ma pan coś o Morbusie Delacroix?

Uśmiechnął się do niej – uśmiech ten jednak nie objął oczu, którymi chłopak intensywnie się w nią wpatrywał.

– Mam bardzo dobrą książkę na temat jego pracy – odpowiedział po chwili. – Interesuje się pani Delacroix?

– To cholerny geniusz – oświadczyła.

Utkwiony w niej wzrok Lefeuvre’a był badawczy, pytający. Być może była to zasługa jej wyglądu, celowo przecież przesadziła z gotyckim makijażem, skórą, ćwiekami, kłamrami i rzemieniami.

– Zgadza się – powiedział, po czym wyszedł z za lady. – Proszę za mną.

Wszedł między regały i po chwili z uśmiechem wręczył Samirze książkę w twardej oprawie: *Morbus Delacroix, widzialne i niewidzialne*. Sięgnęła po nią.

– Piszą tam coś o *Orfeuszu*?

Chłopak zmarszczył brwi i znowu na nią spojrzął. Uśmiechał się, mimo to jego twarz była bez wyrazu. Przypomina ekran kinowy, na którym nie wyświetlają jeszcze żadnego filmu, pomyślała.

– *Orfeusz albo spirala zła*? Ten przeklęty film? Wiele bym dał, żeby go zobaczyć.

– No, ja też.

– Które filmy Delacroix pani widziała? – zapytał cicho, patrząc na nią z pewnym zaciekawieniem.

– Wszystkie – powiedziała. – *Ceremonię, Perwersje, Erzebet, Monstrum, Bloody Games*. A pan?

– Ja też. Pamiętam tę scenę z *Perwersji*, jak chłopiec namówiony przez swoich porywaczy rozbija młotkiem głowy rodziców przywiązanych do krzeseł. Wie pani, ten moment, to ujęcie prawie pionowo z góry, kiedy widać ich głowy rozłupywane jak orzechy. Łał!

Samira skinęła głową. Po co tyle tej przemocy? – pomyślała. Dzisiaj w prawie każdym filmie, w każdym serialu jest co najmniej jedna ultraokrutna scena. Ponieważ od czasu do czasu oglądała stare filmy, wiedziała, że dawniej tak nie było. Była przekonana, że ci, którzy twierdzą, że to nie ma żadnego wpływu na społeczeństwo, mylą się. Mówią tak albo

dlatego, że sami zarabiają na handlu tymi scenami przemocy, albo dopatrują się oddziaływania na społeczne morale wyłącznie w innych źródłach: nierównościach, ubóstwie, przemocy ze strony państwa. Okej, można oglądać brutalne filmy i nie zostać psychopatą. Ale kto może z całą pewnością stwierdzić, że ta przemoc w żaden sposób nas nie dotyka? Czy to właśnie ona stała się przyczyną śmierci Vincenta? Czy może co innego?

– Wezmę ją – powiedziała. – A ma pan coś o kinie grozy?

Przejrzał ten sam regał, zdjął z półki jakiś tom i wrócił do kasy, wciąż z tym samym uśmiechem przyklejonym do ust.

– Jaki jest pana ulubiony horror? – zapytała, gdy skanował kody kreskowe.

– Hmm, trudne pytanie... *Coś za mną chodzi* – stwierdził wreszcie. – *I Dziedzictwo*. A pani?

– *Ujrzałem diabła*.

– Tak, oczywiście. Koreańczycy są świetni. *Nieznajomi* zwalają z nóg.

– A ze starych?

– Hmm, mam słabość do starych włoskich produkcji. Nurt giallo i te sprawy, kino kanibalistyczne z lat osiemdziesiątych. Bardzo złe, ale bardzo gore.

– *Zapomniany świat kanibali? Cannibal Ferox? Cannibal Holocaust?*

– Tak, tak, te rzeczy! Zna pani? Jaki jest pani konik?

– Bardziej klasyka. *Egzorcysta, Lśnienie, Dziecko Rosemary...* Pracujesz tutaj codziennie?

Skróciła dystans i od razu przeszła do bardziej osobistych pytań. Zmarszczył brwi i się zawahał.

– Tak... Latem. Jestem studentem.

– A co studiujesz?

Nagle zaczął się zastanawiać, dlaczego babka koło czterdziestki zwraca się do niego na ty i zadaje mu takie pytania. Jemu. Takiemu dzieciakowi. Kuguarzyca? Przyjrzał jej się. To dziwne, jej twarz bynajmniej nie była piękna – niektórzy uznaliby ją wręcz za brzydką – a jednak miała w sobie coś niemal uwodzicielskiego, nie: coś piekielnie atrakcyjnego. W dodatku była zajebiście ubrana.

– Studiuję filmoznawstwo – odpowiedział. – Na Uniwersytecie Toulouse-Jean Jaurès.

– To musi być pasjonujące. Jestem pewna, że wiesz mnóstwo o horrorach.

Teraz patrzyła na niego zupełnie inaczej. Poczuł delikatne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. To spojrzenie nie było ani trochę niewinne. Tak, to kuguarzyca, na bank... W poniedziałek rano, kiedy jest w sklepie sam. Kurwa, to jest jego szansa. Nagle w jego podbrzuszu zapłonęło ognisko. Fala gwałtownego podniecenia, która skupiła się w jednym, bardzo konkretnym punkcie.

– No, trochę wiem – przyznał bez fałszywej skromności, bezwstydnie pożerając ją oczami.

– I oglądasz filmy grozy *after midnight*?

Dwa ostatnie słowa wypowiedziała wolniej. Żar w jego podbrzuszu zrobił się jeszcze gorętszy. Na reakcję fizyczną nie trzeba było długo czekać.

– Oczywiście...

– U ciebie?

Popatrzył na nią badawczo. Klientka spoglądała na niego podkreślonymi czarną kredką oczami w sposób niepozostawiający najmniejszych wątpliwości co do jej intencji. Pożądanie przeszło go na wskroś.

– Taaak.

– Jestem pewna, że znasz horrory, których nigdy nie widziałam.

– Nie wątpię.

– Jak masz na imię?

– Ronan. A ty?

– Samira. Pokażesz mi je, Ronan?

Kurwa, pomyślał, wyobrażając sobie, jak siedzą obok siebie na jego sofie, oglądając jakiś film Kima Stamboela albo Scotta Derricksona. Oczyma duszy zobaczył, jak ją pieści, jak wpycha jej język do ust, a ona przez materiał dzinsów masuje jego twardego kutasa, podczas gdy na ekranie migają krwawe obrazy.

– *After midnight*? – zapytał niemal ochryple.

Uśmiechnęła się.

– Mieszkasz sam?

– Tak. Mam małe mieszkanko w centrum – odparł z zaschniętym gardłem.

Lotnisko Toulouse-Blagnac, hala przylotów. Samira czekała w pewnej odległości od tłumu wyglądającego pasażerów lotu AF 6132.

Ruszył w jej stronę. Po raz drugi w życiu Servaz nie zwrócił najmniejszej uwagi na wibracje ani nawet na turbulencje, które wstrząsały kabiną. Kiedy był już blisko, Samira objęła go i mocno przytuliła. Było to zupełnie niespodziewane. Nigdy wcześniej nie była taka wylewna. Stali tak przez kilka chwil. I Servaz poczuł, jak znowu wzbiera w nim ból, niczym enty wstrząs wtórny po trzęsieniu ziemi. Wzniósł mentalną zaporę, żeby nie zalały go emocje, stłumił wspomnienie Vincenta, zmusił się do panowania nad sobą. Samira drżała, wtulona w niego. Objął ją jeszcze mocniej. Potem odsunęli się od siebie i przez dłuższy czas stali w milczeniu. Zobaczył, że jej policzki lśnią od łez. Wytarła je.

W drodze na komisariat, na wysokości Ponts-Jumeaux, przypomniała mu, jak Vincent nie informując przełożonych, pojechał do Austrii, żeby go ratować, gdy Martin walczył z seryjnym mordercą Julianem Hirtmannem. To była ta zima, kiedy Servaz w jednej z austriackich klinik nielegalnie oddał część swojej wątroby Gustavowi, a chwilę potem złapał Hirtmanna, o mało nie tracąc przy tym życia. Przypomniał sobie te nierzeczywiste obrazy. Oczywiście wyobraźni zobaczył Vincenta podtrzymującego go w lesie na śniegu – Martin dopiero dochodził do siebie po operacji, miał na sobie szpitalną bluzę i kołdrę narzuconą na ramiona. Zwymiotował na śnieg i kilka razy był bliski omdlenia, ale dzięki Vincentowi udało mu się utrzymać Hirtmanna na muszce ¹.

– Opowiedz mi, co się stało – poprosiła.

– Mówiłem ci już przez telefon.

– Nie, chcę szczegółów.

Podał jej szczegóły. Znowu zapadła cisza. A potem ona opowiedziała mu o Ronanie Lefeuvre i pierwszej skardze złożonej przez Judith Tallandier.

– Ten Lefeuvre nie jest czysty – mówiła dalej. – Dziś wieczorem jesteśmy umówieni na randkę w jego mieszkaniu. Zamierzam go

przycisnąć.

– Jak to jesteście umówieni w jego mieszkaniu?

– Martin, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby się dowiedzieć, kto zamordował Vincenta.

– A co ma z tym wspólnego ten student?

– On też został oskarżony o napaść na Judith Tallandier. Widziałam jego reakcję, kiedy wspomniałam o Delacroix. Jest fanem kina grozy. I fanem Delacroix. Zna Judith. Wiemy, że to wszystko jest związane z filmami Delacroix, ale nie wiemy, w jaki sposób. A ten dzieciak coś ukrywa, dałabym sobie rękę uciąć. To chyba wystarczy, żeby pochylić się nad jego przypadkiem, nie?

– Ale idziesz do niego? Na randkę?

– W ten sposób nie musimy prosić sędziego o pozwolenie, którego i tak byśmy nie dostali.

– Samira, do cholery!

Przyjechali na komendę. Kiedy wjechali windą na drugie piętro, jeden z kolegów wyszedł Martinowi na spotkanie.

– Szef chce cię zobaczyć.

Servaz ruszył do biura nadkomisarza, które znajdowało się na końcu korytarza po prawej. Havelin powitał go z nieprzeniknioną miną. Bez słowa wskazał mu fotel. Servaz usiadł.

– Moje kondolencje z powodu śmierci kapitana Espérandieu, to był naprawdę dobry glina – powiedział Havelin. – To bardzo smutna wiadomość dla całego wydziału. Wszyscy tutaj łączą się w bólu w związku ze stratą tak ważnego człowieka w firmie.

Servaz czekał na dalszy ciąg. To był dopiero początek, przystawka. Havelin chciał znaleźć odpowiedzialnego za śmierć Vincenta. A raczej góra tego chciała, więc on też. I proszę, znalazł: miał go przed sobą.

– Co się stało? – zapytał nadkomisarz po chwili milczenia, podczas której zapewne miał nadzieję, że jego podwładny poczuje, że pali mu się pod tyłkiem. – Proszę o wyjaśnienia.

Servaz udzielił mu wyjaśnień.

– I pozwoliłeś kapitanowi, żeby poszedł na tę imprezę sam?

Czysto retoryczne pytanie. Przecież znał odpowiedź. Servaz tylko skinął głową.

– Naraziłeś swojego zastępcę na ogromne ryzyko. A teraz on nie żyje.

Servaza zamurowało. Był oszołomiony. Poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. W porywie gniewu zerwał się z fotela.

– Sugeruje pan, że to jest moja wina? Zlecił pan mojej grupie śledztwo w sprawie Florenta Cuveliera, tego gościa znalezionego w wannie w Auriacombe, pamięta pan? To dlatego wróciłem.

Hervelin zrobił nadąsaną minę.

– Nie, nie, niczego nie sugeruję – wykręcał się. – Po prostu mówię, że można było postąpić inaczej.

– Inaczej? Czyli jak?

Gotował się z wściekłości. Nie zamierzał ułatwiać roboty przełożonemu, któremu zależało tylko na znalezieniu bezpiecznika, żeby nie musiał sam brać na siebie tej roli. Jak policja może sprawnie funkcjonować, jeśli rządzi ją tacy tchórze i karierowicze? Gdzie się podziali dawni dowódcy, którzy potrafili się postawić prefektom i ministrom i którzy zawsze starali się kryć swoich ludzi.

– Od dzisiaj masz dwa tygodnie urlopu – zarządził Hervelin. – Musisz odpocząć po tym, co się stało, i chcę, żebyś się spotkał z psychologiem. Daję ci wolną rękę w wyborze osoby, która cię zastąpi w tym czasie.

– Nie ma mowy – odparł stanowczo Servaz.

– Słucham?

– Odmawiam wzięcia urlopu w tym momencie. Wie pan, że w przypadku zdarzeń szczególnej wagi gwarantowane minimalne okresy odpoczynku mogą zostać zniesione.

W oczach Hervelina pojawił się błysk irytacji.

– Zdarzenia te zobowiązują jednak właściwy organ nadrzędny, to znaczy mnie, do zapewnienia odpowiedniej ochrony zdrowia i bezpieczeństwa swoich pracowników – wyrecytował groźnym tonem. – Artykuł sześćdziesiąty drugi rozporządzenia z piątego września dwa tysiące dziewiętnastego roku w sprawie organizacji czasu pracy w policji.

– Gwarantowane minimalne okresy odpoczynku mogą zostać zniesione, jeśli wykonywanie tych zadań nie może być systematycznie planowane ze względu na nieprzewidywalność zdarzeń, w celu prowadzenia długich, złożonych, pilnych lub równoczesnych śledztw oraz ze względu na konieczność utrzymania ciągłości postępowań. Artykuł sześćdziesiąty czwarty – odciął się Servaz głosem drżącym z wściekłości.

Hervelin spojrział na niego ze złością.

– Okej, Servaz – ustąpił. – Ale pamiętaj, że maksymalny limit dla tego odstęstwa wynosi dwanaście dni od rozpoczęcia zadania w przypadku dziennych okresów odpoczynku i dwadzieścia jeden dni w przypadku tygodniowych okresów odpoczynku. Policz sobie. Po przekroczeniu tego limitu wyślę cię na urlop. Zrozumiano?

– Na jakim etapie jesteśmy z Résimontem?

Sąsiad Stana Du Welza ze szpitala Camelot w dalszym ciągu był nieuchwytny.

– Na żadnym – odparła Samira.

– A co z tym biedakiem zamęczonym w Auriacombe, z tym dźwiękowcem?

– Masz na myśli Florenta Cuveliera? Czekamy na wyniki z laboratorium. Na razie sprawdzamy wszystkie tropy.

Servaz podszedł do białej tablicy, którą ustawił w głębi sali zebrań. Wziął do ręki marker i napisał: DELACROIX.

– Zakładamy, że zabójstwo Stana Du Welza w szpitalu psychiatrycznym i Florenta Cuveliera w jego mieszkaniu są ze sobą powiązane – powiedział.

– Obaj nie tylko pracowali w filmie, ale byli zaangażowani przy produkcjach reżysera Morbusa Delacroix. To nie może być zbieg okoliczności. Dowiedźcie się, czy mieli jakiś kontakt telefoniczny albo mailowy. Czy znali się poza planem. Wiemy, że podczas zdjęć do filmów zdarzały się dość niejasne historie. Szczególnie jeśli chodzi o jeden film.

Na tablicy napisał tytuł *Orfeusz*, a pod spodem narysował małą spiralę.

– *Orfeusz albo spirala zła*. Ostatni film Morbusa Delacroix, który nigdy nie wszedł na ekrany kin. W czasie zdjęć w Meksyku ewidentnie coś poszło nie tak. Wiemy z całą pewnością, że Delacroix dosłownie tam oszalał, że znęcał się nad aktorami, wyżywał się na nich i ich upokarzał. Zwłaszcza aktorkę, która grała główną rolę. Że stworzył na planie chorą atmosferę. I że to urosło do naprawdę potwornych rozmiarów – dodał, niemal co do słowa cytując Renna. – Możliwe nawet, ale do tej hipotezy należy podchodzić bardzo ostrożnie, wiecie, jak działają takie plotki, możliwe nawet, że nakręcił tam swego rodzaju snuff movie, czyli scenę prawdziwego morderstwa, którą zamierzał przemycić do filmu bez wiedzy swojej ekipy. Tak że wszystko mogło się zacząć tam...

– Mówimy o zemście? – zapytał Gadebois.

- Być może.
- Dlaczego film nigdy nie wszedł do kin? – zapytał jego kompan Roussier.
- Najwyraźniej dystrybutorzy przestraszyli się, oglądając taśmę roboczą. Byli do tego stopnia przerażeni tym, co zobaczyli, że jednogłośnie postanowili nie rozpowszechniać filmu. Od tamtego czasu kopia jest nieosiągalna. Co nie przeszkadza niektórym jej szukać.
- To w sumie taki Święty Graal przeklętych filmów – skomentowała Samira w zamyśleniu.
- Naprawdę sądzisz, że wszystko mogło się zacząć od tego filmu? – zapytał Gadebois, który wcześniej bronił tezy o przeklętych filmach; w jego głosie dało się słyszeć jednocześnie powątpiewanie i ekscytację.
- Nie wiem, co mam o tym myśleć – odpowiedział Servaz. – Ale to na pewno nie jest przypadek, że Stan Du Welz i Florent Cuvelier, którzy pracowali przy filmach Delacroix, w odstępie kilku dni zostali zamordowani. Ktoś może sprawdzić, czy Florent Cuvelier brał udział w zdjęciach do *Orfeusza*? A tak na marginesie, Delacroix właśnie...
- Na blacie rozdzwoniła się komórka Samiry. Policjantka odebrała połączenie.
- Delacroix został zwolniony dwie godziny temu – oświadczyła, zakończywszy rozmowę. – Sędzia przedstawił mu zarzuty, ale nie wydał nakazu aresztowania. Teraz najprawdopodobniej jest u siebie i czeka na kolejne wezwanie.

Samira spojrzała na drzwi, za którymi zniknął Martin. Usłyszeli jego kroki, gdy oddalał się korytarzem.

1. Zob. *Noc*, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2018. [[wróć](#)]

Lesisty pejzaż tonął w blasku zachodzącego słońca. Drzewa, droga, potok – wszystko nabierało niesamowitego miedzianego zabarwienia w ostrym, jaskrawym, kładącym się nisko świetle, które było jak ostatni rozbłysk przed zapadającą nocą. Servaz prowadził jedną ręką, jadąc drogą biegnącą dnem doliny, wzdłuż wysokiego brzegu strumienia. Policyjny lekarz zbadał jego kciuk i prowizoryczne szwy i polecił stawić się jak najszybciej na operację. A tymczasem zmienił opatrunek i szynę oraz przepisał augmentin. Obejrzał też jego twarz i zębra, ale Servazowi oddychało się już coraz lepiej.

W tym leśnym i górskim krajobrazie, w tej samotności zapadającego wieczoru, w wilgotnym śpiewie potoku, w potężniejących cieniach drzew był jakiś smutek i melancholia, które sprawiły, że ścisnęło mu się serce. Znowu pomyślał o Vincencie. Przypomniał sobie słowa Charlene: „Powinieneś być go chronić, nie zrobiłeś tego”, i chłód w jej głosie. Pomyślał o Léi, o tajemniczej przyczynie jej powrotu, którą wkrótce miała mu wyjawiać, a która być może będzie oznaczała koniec ich związku.

Czuł się jak doszczętnie zużyte ubranie, które zaraz trzaśnie we wszystkich szwach. Ubranie, które służyło przez lata, ale nadszedł czas, by je wyrzucić. Był bliski załamania, w stanie krańcowego wyczerpania nerwowego i fizycznego. Zastanawiał się, jak długo jeszcze tak wytrzyma. Wiedział też, że nie myśli już jasno. Że może popełniać błędy. Miał nadzieję, że Samira jest od niego przytomniejsza.

Wchodził w zakręty leśnej drogi wiodącej pod górę do domu Delacroix, muskając liście, które drzeniem witały zbliżającą się noc. To on jest kluczem, pomyślał. U początków tego wszystkiego stoi ten człowiek, ten wariat, ten świr. Wiedział, że to jest dobra hipoteza, choć nie potrafił jeszcze zobaczyć tego obrazu w całości, połączyć jego poszczególnych części. Przez pojawiające się od czasu do czasu prześwity w listowiu widział strzeliste góry – odwieczne, niewzruszone strażniczki tego regionu. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca wjechał w długą aleję

wiodącą pod baldachimem z roślin, a wyłoniwszy się z niej, trafił w objęcia oślepiającego, ostrego światła. Każdy liść bluszczu na fasadzie budynku lśnił niczym cekin na sukni. Gdy wysiadł z samochodu, wokół panowała absolutna cisza. Nawet ptaki umilkły.

Na ganku pojawiła się dostojna, dumna brunetka w ciemnej pelerynie narzuconej na ramiona, w towarzystwie dwóch potężnych czarnych psów. Wyjął legitymację.

– Komendant Servaz, policja kryminalna w Tuluzie – powiedział. – Szukam Morbusa Delacroix.

Czerwone światło padało na twarz kobiety: ładnej czterdziestolatki, która na obcasach była wyższa niż on, o prostych ciemnych włosach. Typ mrocznej urody charakterystycznej dla aktorek z filmów klasy B z lat siedemdziesiątych. Westalka strzegąca świętego ognia, stwierdził w duchu, myśląc o roli, jaką kobieta pełni na tym górskim odludziu u boku Delacroix.

– Czego pan chce? – zapytała. – Mąż ma już postawione zarzuty. Sądziłam, że na tym etapie nie możecie go już przesłuchiwać.

– Ja w innej sprawie.

Wyglądała na zaskoczoną.

– W jakiej?

– Jest w domu?

Dała mu znak, by szedł za nią. Znaleźli się w sieni, której wystrój stanowiły boazeria i rzeźby z ciemnego drewna.

– Morbus Delacroix i napaść na studentkę, to śmieszne – powiedziała poirytowana. – Oczywiście prasa o tym trąbi. A Morbusowi rzecz jasna nie dano możliwości obrony.

Przeszli przez obity ciemnoczerwoną tkaniną korytarz i zatrzymali się przed tapicerowanymi drzwiami ozdobionymi dużymi połączanymi ćwiekami. Gospodyni pchnęła je i gestem zaprosiła Martina do środka, a sama oddaliła się bez słowa.

Staął w progu. Sala projekcyjna. W pierwszym rzędzie ktoś siedział. Na dużym ekranie widać było pokryty śniegiem krajobraz, przez który szła jakaś kobieta w nocnej koszuli. Kamera przemieszczała się bardzo powoli po okręgu. Widok był oszałamiająco piękny.

– Mnie pan szuka, komendancie?

Servaz się wzdrygnął. Mężczyzna siedział tyłem. Skąd wiedział, że Martin wszedł? Chyba nie ma oczu z tyłu głowy? I skąd zna jego stopień, skoro nie zostali sobie przedstawieni? Potem pomyślał, że najwyraźniej Delacroix słyszał jego rozmowę z kobietą, ale nie wyszedł mu na spotkanie, tylko wrócił przed ekran.

– Czekał pan na mnie? – zapytał, schodząc do pierwszego rzędu.

– Od wczoraj aż do teraz – odpowiedział mu przymilny głos Delacroix, choć jego właściciel nadal się do niego nie odwrócił. – Mój duch podązał za panem, kiedy wsiadał pan do samolotu i kiedy lądował pan w Tuluzie. Towarzyszył panu, kiedy pan do mnie jechał. I kiedy szedł pan przez dom do tej sali. Nie odstępował pana na krok. Najszczerze kondolencje z powodu śmierci pańskiego kolegi.

Głos wydawał się mącić panujący w sali półmrok jak patyk zanurzony w ciemnej wodzie. Servaz zadrżał. Zastanawiał się, co to za nowa sztuczka. Czuł pulsowanie w skroniach.

– Jak pan to zrobił? – zapytał. – Na czym polega ten trik? Skąd pan wiedział, kto tutaj wszedł i z jakiego powodu? I skąd pan wie o moim koledze?

– „Żyjemy we śnie. Ale kto jest tym, który śni?” – wyrecytował Delacroix, nie przestając wpatrywać się w ekran. – To z *Twin Peaks*. Wierzy pan w magię, komendancie? Mam na myśli magię kina.

Nie czekając na odpowiedź, wstał, odwrócił się do Servaza, który zdążył już do niego podejść, i wskazał mu na jakiś przedmiot przy samej podłodze, w kącie między sceną a boczną ścianą: lustro.

– Bo tutaj oczywiście nie ma żadnej magii – mówił dalej. – Dzięki temu bez potrzeby odwracania się widzę, kto wchodzi do sali. Wczoraj dzwonił do mnie Ezra. Opowiedział mi o spotkaniu z komendantem policji na planie tej szmiry w Étretat. Dupek zrukuje sobie karierę, jeśli będzie grał w takich knotach. Mówił, że ten policjant wypytywał o mnie i o wydarzenia z czasów zdjęć do *Orfeusza*. Że stało się coś złego, że zamordowano jakiegoś glinę i że wspomniany komendant sprawiał wrażenie wstrząśniętego. I że miał pokiereszowaną twarz, przez co wyglądał strasznie. Jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu tego, co spotkało pana kolegę, chcę, żeby pan o tym wiedział. Jeśli tylko mógłbym jakoś pomóc...

Servaz zrobił jeszcze krok naprzód. Rozbłysły światła. Mężczyzna był niewysoki, niewyobrażalnie blady i równie niewyobrażalnie brzydki, jednak jego brzydota miała w sobie coś potężnego, charyzmatycznego, fascynującego. Z jego twarzy emanował naturalny autorytet, ale też nieposkromiony apetyt na wszystkie przyjemności tego świata i porywczy temperament.

– W przeciwieństwie do mojej małżonki nie wierzę w magię ani w diabła, komendancie. – Umilkł na chwilę i spuścił wzrok, po czym spojrzał prosto na Martina. W jego oczach zatańczyło światło odbite od ekranu. – Prawda, wszyscy szukamy prawdy o sobie, o innych, o naszym życiu. Prawda nieustannie się przed nami ukrywa. Aż do końca. Ale dziś ją panu wyjawię.

Kiedy dotarła na rue de la Dalbade w starej dzielnicy Carmes, była 21.50. Minąwszy pierwszą bramę, przecięła wąskie wybrukowane podwórko i weszła w kolejną przypominającą tunel bramę w murze wiekowego budynku, która prowadziła na jeszcze jedno wybrukowane podwórko – o nieregularnym, owalnym kształcie.

Wyglądało to na starą prywatną kamienicę podzieloną na mieszkania i pomieszczenia do wynajęcia. „Drzwi po lewej w głębi drugiego podwórka”, powiedział jej Ronan Lefeuvre.

Słońce już zaszło i fasady tonęły w cieniu. Światło paliło się raptem w dwóch oknach. Wyglądało na to, że większość mieszkań w tych budynkach zamieniono na biura, które wieczorem pustoszały. W głębi podwórka zalegał już mrok, choć niebo nad dachami było jeszcze dość jasne.

Czuła się tak, jakby się znalazła daleko za miastem. Było tu zdecydowanie ciszej i spokojniej. Podeszła do niewielkich drzwi na końcu po lewej, w kącie budynku. Wstukała podany kod. Za drzwiami zobaczyła przestronny, słabo oświetlony hol. Rząd skrzynek na listy, szare ściany. Nie było windy – na górę prowadziły tylko schody z miedzianą poręczą, które zaczynały się za skrzynkami na listy. Pachniało wilgocią i starymi murami. Spojrzała na klatkę schodową, równie ciemną jak hol, mimo że światło było włączone, i pomyślała, że Ronan Lefeuvre raczej nie przyjmuje wielu gości. Z pięter nie dochodziły żadne dźwięki, jakby budynek był opustoszały.

Ruszyła na górę. W mdłym blasku sufitowych lamp na pierwszym i drugim piętrze schody były ledwo widoczne. Na trzecim, ostatnim piętrze żarówka nie działała. Poręcz była rozchwiana, schody skrzypiały. Ostatnie stopnie pokonała w ciemności i ruszyła ku jedynym drzwiom.

Zastukała. Wyteżyła słuch. Zastanawiała się, czy Lefeuvre nie jest jedynym mieszkańcem tej kamienicy. Z podwórka widziała jeszcze jedno oświetlone okno, ale znajdowało się ono po drugiej stronie budynku. Kiedy

drzwi się otworzyły, korytarz zalała plama światła. W progu pojawił się Ronan, zasłaniając sobą wejście.

– Cześć – powiedział.

Jego głos był spokojny, a spojrzenie, które odgadywała w półmroku, beznamienne. Podała mu butelkę – cotes-du-rhône za dziesięć i pół euro polecane przez sprzedawcę. Kompletnie nie знаła się na winach, przy wyborze kierowała się tym, że Ronan Lefeuvre z pewnością bardziej się interesuje mangą i horrorem niż wykwintnymi trunkami, na które i tak nie mógł sobie pozwolić.

Miała na sobie białą koszulkę na ramiączkach z dużym dekoltem odsłaniającym jej opaloną szyję i użyła trochę więcej czarnego tuszu i szminki – w każdym razie na tyle dużo, żeby mu się zdawało, że trafił szóstkę w totka. Nie wiesz, co cię czeka, dupku. Jej tyłek opinały czerwone lateksowe spodnie, a na nogach miała nabijane ćwiekami wysokie botki.

Uśmiechnął się i wpuścił Samirę do mieszkania. Niewielka kawalerka na poddaszu była urządzona w wysokim standardzie; po prawej sofa z funkcją spania, niski stolik na dywanie z długim włosiem, półki pełne książek, płyt Blu-ray i bibelotów. Za ladą otwartej kuchni po lewej lodówka i kuchenka mikrofalowa. W głębi, pod oknem wychodzącym na podwórze, małe biurko, a na nim laptop i książki. Całość miała najwyżej piętnaście metrów kwadratowych.

I wszędzie afisze filmowe. Pokrywały niemal każde miejsce na ścianach, niczym tapeta w krzykliwych kolorach. Była tam cała kolekcja plakatów do filmów Delacroix od *Ceremonii* po *Bloody Games*. A także zdjęcia mistrza z planów filmowych: Delacroix przy kamerze, za komputerem, dający wskazówki aktorom. Samira zauważyła też inne zdjęcia i plakaty – *Coś za mną chodzi*, *Lśnienie*, Kubrick, Cronenberg, Carpenter, Aja – jednak zdecydowanie przeważał Delacroix.

Gwizdnęła z zachwytu.

– Nie mówiłeś, że jesteś aż takim fanem.

– Delacroix to bóg – odparł z całą powagą.

Uniosła brew. Ronan Lefeuvre się uśmiechnął.

– Widzisz? Mamy ze sobą wiele wspólnego.

Przeszedł do kuchni, wyjął z szuflady korkociąg i otworzył butelkę. Następnie sięgnął do szafki po dwa kieliszki i napełnił je winem. Stał do

niej tyłem, tak że ich nie widziała, więc kiedy podał jej jeden, poczuła lekki niepokój.

– Za niezapomniany wieczór – wzniósł toast.

Zobaczyła w jego oczach błysk, którego nie było, kiedy spotkała się z nim rano w księgarni. Nie, gość nie jest ani trochę nieśmiały, pomyślała. Wytężyła słuch, ale poza dalekim szumem miasta, który wpadał przez uchylone okno, nie dochodziły żadne dźwięki.

– Dziwnie tu cicho – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Poza głuchą starszą panią z naprzeciwka jestem jedynym mieszkańcem tej kamienicy – wyjaśnił. – Reszta to biura. To niesamowicie spokojne miejsce, więc krzyki w filmach, które tu oglądam, nikomu nie przeszkadzają.

Nie spodobał jej się sposób, w jaki wypowiedział ostatnie zdanie, ani uśmiech, którym je skwitował.

– Filmy grozy mówią coś o tym, jacy jesteśmy, nie sądzisz? – zagaił, trącając się z nią kieliszkiem. – O naszych morderczych skłonnościach, o naszych koszmarach... Wystawiają na próbę nasz lęk przed przemocą, przed bólem, przed ciemnością, przed drapieżcami, przed potworami. Wydobywają na światło dzienne rzeczy, o których wolelibyśmy nie wiedzieć. Tak naprawdę wystarczy dostatecznie długo przeglądać się w lustrze, żeby wiedzieć, że horror jest tuż-tuż, że czeka na nas, że w nas mieszka.

– Może byśmy usiedli? Czy spędzimy ten wieczór na stojąco? – zapytała.

Na jego twarz powrócił uśmiech, ale oczy pozostały poważne. Wskazał jej sofę. Zauważyła, że chłopak ma na sobie bluzę z podobizną Freddy'ego Kruegera, słynnego mordercy w kapeluszu, o długich szponach i poparzonej twarzy, z *Koszmaru z ulicy Wiązów*.

– Wyglądasz na zdenerwowaną – powiedział, kiedy usiedli.

Zdenerwowaną? Smarkacz jest stanowczo zbyt pewny siebie. Już ona mu pokaże, kto tu jest zdenerwowany.

– Co masz ochotę obejrzeć? – zapytał. – Coś naprawdę strasznego, krwistego czy raczej jakiś art horror? Slasher, stary klasyk czy coś realistycznego, niepokojącego i niezdrowego? Widziałaś już *Pluję na twój grób*, oryginał w reżyserii Meira Zarchiego z siedemdziesiątego ósmego?

A znasz *Królową czarnej magii* Kima Stamboela? Mam też stare rzeczy Jacques'a Tourneura i Toda Browninga.

Pogrzebał w stosiku z płytami Blu-ray stojącym na podłodze obok sofy.

– A, i mam też filmik z dwa tysiące czternastego *Gwiazdy w oczach*, z tą niesamowitą kanadyjską aktorką Alex Essoe.

Udała, że ogląda pudełko. Śledziła każdy jego ruch. Była czujna, ale się nie bała. Dlaczego miałyby się bać? Przecież to tylko student, który uwielbia horrory i lubi się bać, taki sam jak miliony innych, jasne, wpatrywał się w nią, jakby się do czegoś szykował, ale przecież wiedziała, o co chodzi. Nie robiło to na niej wrażenia.

– Są takie filmy, które biorą nas w posiadanie – powiedział rozwlekle, głębokim głosem. – Oglądając je, czujemy się, jakbyśmy byli prawiczkami. I te filmy w pewien sposób nas gwałcą. Zarażają. Tak że chcemy je oglądać bez końca – dodał. – Aż wreszcie stają się częścią nas samych. Filmy *Morbuse Delacroix* takie właśnie są.

Położył dłoń na kolanie Samiry. Spięła się. Przez lateks czuła ciepło jego palców. Jego głos stawał się coraz bardziej intensywny, ochrypły.

– Filmy, które sięgają najciemniejszych zakątków naszej duszy, które budzą w nas uczucia... zakazane. Instynkty. Pragnienia. Przyprawiają nas o bezsenność.

Przesuwał dłoń milimetr po milimetrze. Bardzo wolno. Z lekkim drżeniem. Zobaczyła, że jego źrenice się rozszerzyły.

– Lubisz ostry seks? – zapytała nagle.

Jego dłoń się zatrzymała.

– Hę? No taaak. A ty?

– Tak – odparła gardłowym głosem, który, doskonale o tym wiedziała, rozpałił go do czerwoności.

Dłoń Ronana znowu przystąpiła do natarcia.

– Dziwny smak ma to wino – powiedziała. – Jakiś taki korkowy.

– Moim zdaniem jest dobre – stwierdził, upijając łyk.

– Masz kajdanki?

– Hę? Co? Nie. Dlaczego?

– Szkoda. A jakieś chusty? Coś, czym mógłbyś mnie skępować? Lubisz to robić swoim partnerkom? Masz ochotę mnie związać?

Spojrzała na niego. Mężczyzna wpatrywał się w nią z konsternacją. Ale nie tylko. W jego oczach był jakiś nowy błysk.

– Masz ochotę mnie zbić? – dodała.

– Chcesz tego? Naprawdę cię to kręci? – Głos studenta przypominał teraz dźwięk zardzewiałej piły w zetknięciu z bardzo twardym drewnem.

Jego tęczęwki wyglądały jak dwie mroczne dziury między na wpół przymkniętymi powiekami, opuchniętymi, jakby notorycznie nie dosypiał. Co on robi po nocach? Jego grdyka przesuwiała się to w górę, to w dół.

– A ciebie, studencie Ronanie? Kręci cię to?

– Tak, szmato – warknął odmienionym, bardzo niskim głosem. – Tak, kurwo...

Na dźwięk tego słowa Samira poczuła, jak jej mózg ogarnia czarna chmura. Spuściła wzrok i zobaczyła, że to go podnieciło.

– Robiłeś to już?

– Taaak... taaak...

– Masz ochotę mnie zerznąć?

– Ożeż kurwa, jasne, że mam ochotę.

– Wiesz, że w horrorach rżnięcie oznacza śmierć? – szepnęła. – Zwłaszcza kiedy jest się młodym mężczyzną. – Wydała z siebie rozpustny, sardoniczny rechot. Sięgnęła po prawą dłoń chłopaka, położyła ją sobie na szyi i przycisnęła, tak żeby poczuł pod palcami jej puls. – No już, ściśnij.

Zrobił to. Ucisk na tętnice szyjne Samiry, widok jej twarzy pozbawionej dopływu tlenu. Czerń rozlała się w oczach Ronana jak plama benzyny – jego mózg powoli ogarniały ciemności. Nagle złapała jego nadgarstek i wykręciła go, gwałtownym gestem odrywając jego dłoń od swojej szyi.

– Aj! To boli!

– Ach tak? Judith Janssen. Mówi ci to coś? – rzuciła, nie zwalniając uścisku.

W oczach studenta zobaczyła mieszankę zaskoczenia i niezrozumienia.

– Co?

– Judith Janssen. Napadłeś na nią?

Wyswobodził się jednym szarpnięciem i poderwał z sofy. Odsunął się o krok i stanął naprzeciw niej. Wyczuła, że zaczął się bać.

– Coś ty za jedna? – rzucił.

Pokazała mu legitymację. Wyraz jego twarzy się zmienił, jakby w jednej chwili puściły wszystkie mięśnie.

– Znowu ta historia! – jęknął. – Cholera, ja nic nie zrobiłem! Kłamała, ta...

Nie dokończył. Samira również wstała i spojrzała mu zimno w oczy.
– W takim razie gdy przyjdzie czas, przedstawisz mi swoją wersję wydarzeń, studencie.

– Niech pan siada, komendancie. Chciałbym panu coś pokazać.

Servaz opadł na jeden z czerwonych foteli. Delacroix zajął miejsce obok niego i wcisnął guzik na pilocie. Ekran kilka razy zamrugał, a potem się rozjaśnił i pojawiły się pierwsze obrazy.

Dachy i dzwonnice miasteczka skąpanego w słońcu mimo wczesnej pory, o czym świadczą kładące się na ulicach długie cienie. Za szeregami dachów i tarasów widać szeroki pas pustyni i drogi, a dalej pasmo gór. Bicie brązowych dzwonów i pisk jerzyków wokół kampanili. Meksyk...

Film z całą pewnością nakręcono z balkonu, być może z pokoju hotelowego. Na pierwszym planie znana milionom ludzi twarz. Duże oczy, jasne, niemal przezroczyste, żywe i pełne humoru, spięte z tyłu, przylegające do głowy włosy, rysy wręcz nieziemsko doskonałe. Clara Janssen.

GŁOS DELACROIX: Pierwsza pobudka w Meksyku, jest ósma rano. Jak się pani czuje, Claro Janssen?

CLARA (śmiejąc się): Przestań! Przestań mnie ciągle filmować! Jeszcze ci się nie znudziło?

DELACROIX: Są dwie rzeczy, którymi nigdy się nie znudzę, maleńka. Filmowanie ciebie i pieprzenie się z tobą.

Śmiech aktorki.

CLARA (czule): Podaj mi fajkę, chujku.

W oku kamery pojawia się dłoń Delacroix z paczką papierosów. Aktorka bierze jednego, wsuwa go między swoje śliczne wargi gestem pełnym drwiącej elegancji. Dłoń pojawia się znowu, tym razem z zapalniczką. Clara Janssen pochyla się nad płomieniem. Każdy jej ruch jest nieskończenie czarujący, jej oczy lśnią.

DELACROIX: Claro, co pani myśli o tym przyprawiającym o zawrót głowy błękitnie nieba, o tym niemal białym pejzażu, o tym słońcu?

CLARA (z miną wyrażającą powątpiewanie): Osobiście wolę deszcz, plaże skąpane w deszczu, smagany ulewą morski brzeg, szare niebo, chmury, szpalery topól przy drogach, roślinność, zielone pola, niebo z obrazów flamandzkich mistrzów...

DELACROIX (rozbawiony): Którego mistrza konkretnie?

CLARA: Wal się!

Śmiech aktorki.

Garderoba w teatrze albo w kinie. Twarz Clary Janssen w prostokątnym lustrze, w jasnym świetle umieszczonych wokół lustra żarówek. Można się domyślić obecności Delacroix, który filmuje ją z cienia. Aktorka zmywa makijaż. Ma czerwone oczy, po policzkach ciekną jej łzy.

CLARA (głosem jednocześnie jęklwym, nieprzyjemnym, skrzekliwym i wulgarnym): Kurwa, przestań mnie filmować! Jesteś dupkiem, wiesz o tym? Przestań mnie traktować jak gówno, skurwysynu! Jeśli dalej będziesz mnie tak upokarzał na oczach wszystkich, podetnę sobie żyły.

DELACROIX (z cienia, niskim głosem): Okej, dawaj, nie krępuj się, mała. „Ostatni film Clary Janssen”, będziemy mieć miliony widzów.

CLARA: Świnia, świnia!

Aktorka płacze, Delacroix nagrywa.

CLARA: Twój film to gówno!

DELACROIX: Nie, twoja gra jest gówniana, kochanie. Mniej prochów, koki i whisky i może znowu stałabyś się w miarę przyzwoitą aktorką. Bo jeśli tak dalej pójdzie, niedługo nikt nie będzie chciał cię zatrudnić.

CLARA: Drań. Żałosna cipa.

DELACROIX: No już, mów dalej. Wylej z siebie żółć. Gdyby publiczność zobaczyła te nagrania, to byłby koniec boskiej, cudownej Clary Janssen, doskonale o tym wiesz. Ogarnij się, do cholery!

CLARA (wrzeszczy): Sram na ciebie! Wypierdalaj! Won z mojej garderoby! Spierdalaj, mówię ci! Zejdź mi z oczu!

Servaz westchnął. Cały czas się zastanawiał, co Delacroix próbuje udowodnić za pomocą tych obrazów. Wszystkie ukazywały bezbronną kobietę w niewoli narcystycznego, manipulującego mężczyzny. Niezbyt się nadawały, żeby go oczyścić z zarzutów. Więc o co mu chodziło?

Korytarz o geometrycznych kształtach, ciąg zakrętów w ciemnym labiryncie, brązowe, nagie, ziarniste ściany. Klepisko. Servaz rozpoznał niewyraźny korytarz ze zdjęć Renną. Jednak nie tak ciemny. Widać Clare Janssen, a wokół niej ekipę filmową, główny operator siedzi za zamontowaną na platformie kamerą. Delacroix z pewnej odległości filmuje plecy operatora, Clary Janssen i reszty zespołu.

DELACROIX: Powtórka!

GŁOS: Morb, jest trzecia w nocy!

DELACROIX: Nieważne, która godzina. Prawie to mamy!

Ubrana w długą, zwiewną białą suknię Clara Janssen czeka ze zwieszonymi ramionami. Wygląda na zmęczoną, zagubioną. Jak mechaniczna zabawka, którą ktoś zapomniał nakręcić. Drży.

DELACROIX: Clara, jesteś gotowa?

Żadnej odpowiedzi.

DELACROIX: Clara!

Kiwa głową i kołysze się z błędnym spojrzeniem.

DELACROIX: Kamera! Akcja!

Kobieta wygląda jak w transie. Zwłaszcza jej oczy mają w sobie coś przerażającego, szalonego. Jakby przeszła na drugą stronę lustra. Bardzo niepokojąca sekwencja. Na podstawie gestów i zachowania zespołu Servaz domyśla się panującego w nim napięcia. Clara ma w ręku nóż, idzie przed siebie, zatacza się. Nagle głęboko rozcina sobie rękę. Tryska krew.

GŁOS: Cięcie! To nie ten nóż! Ona krwawi! Ona krwawi!

OPERATOR (zatrzymuje kamerę i podbiega do aktorki): Ona sika krwią! Szybko! Dajcie coś, trzeba zrobić opatrunek!

Cały zespół opuszcza swoje stanowiska i biegnie w stronę kobiety. Kładą ją na ziemi, kucają dookoła. Tylko Delacroix nie przestaje nagrywać.

DELACROIX: Kurwa, dlaczego przestaliście kręcić? To było najlepsze ujęcie!

Pusta droga, noc, blask samochodowych reflektorów. Na horyzoncie kompletne ciemności. Za kierownicą jakiś mężczyzna, na miejscu pasażera Clara Janssen. Delacroix filmuje ich z tylnej kanapy. Reżyser obraca kamerę i widać, że obok niego siedzi jeszcze jedna osoba. Ponieważ ruch jest zbyt szybki, kamera z opóźnieniem łapie ostrość: w końcu ukazuje się

mężczyzna około trzydziestki, możliwe, że Meksykanin. Wygląda na zaniepokojonego.

FACET Z TYŁU (po francusku, z silnym akcentem): Jeżdżenie po tych drogach nocą nie jest rozsądne.

DELACROIX: Za piętnaście minut będziemy w hotelu.

FACET Z TYŁU: W tym regionie jest dużo porwań, a wy jesteście cudzoziemcami. To nie jest rozsądne. Poza tym za szybko pan jedzie. Może ja poprowadzę? Pański przyjaciel jest pijany, pan także.

KIEROWCA (rozwlekłym głosem człowieka po spożyciu alkoholu): Nie, jest okej. Clara, mów dalej.

CLARA (tak samo pijana albo naćpana, a może jedno i drugie): No więc jestem w biurze tego gościa i czytam tekst. Jest beznadziejny, do niczego. Ale czytam go mimo to, przykładam się. Nieważne, że to film z kategorii Z. To ma być moja pierwsza rola, rozumiesz?

KIEROWCA: Tak, tak...

CLARA: No więc czytam to gówno, które w ogóle nie powinno istnieć, którego nie powinno się kręcić, lepiej byłoby wydać te wszystkie pieniądze na bardziej pożyteczne rzeczy, nie sądzisz? A potem podnoszę wzrok i widzę, że ten tłusty wieprz za biurkiem rozpiął rozporek, wyciągnął interes i się brandzluje.

KIEROWCA: O kurwa! I co zrobiłaś?

FACET Z TYŁU: Niech pan patrzy na drogę, do cholery! I wolniej! Jedzie pan za szybko!

CLARA: No cóż, czytałam dalej. Tam nawet nie było mowy o seksie. Jakaś komedyjka. Rozumiesz, byłam młoda i chciałam dostać rolę. Więc udawałam, że nie widzę, jak jego ręka się porusza, a facet coraz głośniejszy dyszy. Czytałam dalej, aż w końcu facet jęknął ochryple, jakby się dusił. Wtedy spojrzałam na niego i zobaczyłam najdłuższy wytrysk w swoim życiu! Prawie poziomy. Prawdziwy gejzer! Sperma wylądowała na papierach, które miał na biurku, bałam się, że doleci do mnie!

KIEROWCA: Kurwa, ale porąbany numer! I co było potem?

CLARA: Potem mi podziękował, pochwalił i wyszłam. Na szczęście nie uścisnął mi ręki! Ten drań robił to z dziesiątkami, a może i setkami początkujących aktorek. Gdybym wtedy wiedziała, co zrobić albo co powiedzieć w takiej sytuacji. Ale chciałam dostać tę pieprzoną rolę. Powinnam wyjść i złożyć doniesienie na tego dupka. Ale oczywiście

gdybym to zrobiła, moja kariera aktorska skończyłaby się, zanimby się zaczęła. Bo to by się na pewno rozeszło. Mimo wszystko nie powinnam pozwolić na takie traktowanie, nie sądzisz?

KIEROWCA: I dostałaś tę rolę?

CLARA: Nie.

Śmieją się. Wyboista droga przesuwa się szybko w blasku reflektorów; noc dookoła jest czarna; samochód podskakuje na każdej dziurze. Nikt się już nie odzywa.

Nagle w strumień światła wpada jakiś kształt, niewyraźny, na czterech łapach. Kierowca przeklina, hamuje, skręca kierownicę i traci kontrolę nad pojazdem, który wypada z drogi. Słysząc krzyk Clary i kogoś jeszcze – może tego gościa z tyłu. Niebo i ziemia zamieniają się miejscami, przednia szyba eksploduje; przez krótką chwilę widać, jak aktorka, która nie zapięła pasów, odrywa się od swojego fotela i jakby w stanie nieważkości pośród deszczu szklanych odłamków wypada przez przednią szybę. Potem obraz się zatrzymuje.

Kolejny obraz. Twarz Judith Tallandier pałającej gniewem i nienawiścią. Wpatruje się w kamerę lub kamerzystę w tej samej sali projekcyjnej. W tle, na tym samym ekranie, niewyraźny zatrzymany obraz Clary Janssen wypadającej z samochodu.

JUDITH: Kurwa, przestań mnie filmować! Przestań mnie filmować! I wyłącz ten film!

DELACROIX: Judith, twoja matka zginęła w wypadku w Meksyku. To był wypadek.

JUDITH: Kłamstwa! Zabiłeś ją! I upozorowałeś wypadek! W tym Meksyku przez cały czas ją dręczyłeś, upokarzałeś, znęcałeś się nad nią w trakcie zdjęć! Są na to świadkowie!

DELACROIX: To prawda. Jestem skurwysynem. Przyznaję. Wydobywałem z moich aktorów to, co najlepsze, ponieważ zmuszałem ich do przekraczania granic. Kazałem im wypruć z siebie flaki. Co ty myślisz? Że aktorzy będą się starać, jeśli nimi nie potrząsniesz? Gdybyś wiedziała, ile leniwych beztalenci jest w tym zawodzie. Wszyscy pchają się na afisz, ale nie wszyscy są gotowi do poświęceń, jakich to wymaga. I nie zmuszałem ich do grania w moich filmach.

JUDITH: Zabiłeś ją!

DELACROIX: Judith, to był wypadek. Przyznaję, że zachowywałem się wobec twojej matki jak świnia i kawał chuja, że być może nie powinienem tamtej nocy wpuszczać pijanego gościa za kierownicę, ja też byłem nawalony, wszyscy byliśmy... Ale nie zabiłem jej.

JUDITH: Kłamca! Kłamca! Zapłacisz za to! Pokażę całemu światu, jaki z ciebie drań!

DELACROIX: Dla nikogo nie jest tajemnicą, że na planach filmowych byłem tyranem. Ale nigdy nie uderzyłem twojej matki. Nigdy. Nawet jej nie spoliczkowałem. Za to ona kiedyś to zrobiła, przy wszystkich, właśnie po tym, jak zmusiłem ją do przekroczenia granicy. Więc tym bardziej jej nie zabiłem... Kochałem ją.

JUDITH: Zamknij się!

DELACROIX: Judith, ja ją kochałem do szaleństwa! Tak było! Wiedziałem, że może zostać wielką aktorką, największą, ale żeby tak się stało, musiałem ją skłonić, żeby wydobyla na zewnątrz to, co miała w środku, a to, owszem, czasami bywało bolesne.

JUDITH: Szkoda twojej śliny! Odurzyliście mnie, ty i ci twoi znajomi! Co ze mną robiliście potem?

DELACROIX: Chcesz porozmawiać o tamtej kolacji? I o twoim zachowaniu? To prawda, postawiłem cię w stresującej sytuacji. Ale to ja powinienem zapytać ciebie, co brałaś tamtego wieczoru.

JUDITH: To wyście mnie naćpali! Powiem to na policji! Dobiorą ci się do dupy! Odkryją, co się stało z moją matką!

DELACROIX: Judith, pokazałem ci nagranie. Widziałaś i słyszałaś: to był wypadek...

JUDITH: To nagranie jest sfabrykowane!

DELACROIX: Nie, w tej sprawie zostałem już uniewinniony. Wiele lat temu.

JUDITH: Sędziowie są w to zamieszani, jak cała reszta! To jest spisek, oszustwo!

Młoda kobieta odwraca się i biegnie do drzwi. Delacroix podąża za nią, nie przestając filmować. Obraz podskakuje, chwilami, gdy kamera nie łapie ostrości, jest niewyraźny. Judith przechodzi już przez hol. Zbiega po stopniach ganku. Kamera ją dogania, opuszcza budynek, w tle widać ciemny las, w górze nocne niebo. Judith biegnie po żwirku, obchodzi samochód, otwiera drzwi; zatrzymuje się na moment i w poświacie lampy

wiszącej nad gankiem wpatruje się w Delacroix. Chwilę później jest już za kierownicą, włącza światła i rusza, spod opon przyskają drobiny żwiru. Delacroix cofa nagranie i robi stopklatkę, w chwili gdy Judith patrzy na niego, stojąc przy otwartym samochodzie.

Na jej twarzy nie ma żadnych obrażeń.

Zapalił światło.

– *Voilà*.

Servaz zrobił głęboki wdech. Panowała absolutna cisza, ekran był czarny. Wszystkie te nagrane na żywo obrazy były takie rzeczywiste, że czuł się jak podglądacz. Ale czyż w dobie mediów społecznościowych i kanałów informacyjnych ludzkość nie zmieniła się w społeczeństwo podglądaczy, cenzorów i sędziów, którzy, w każdej chwili gotowi do wydawania wyroków, spędzają czas na wściubianiu nosa w życie innych?

– Żeby było jasne – oświadczył Delacroix. – Nie uderzyłem Judith Janssen ani na nią nie napadłem. Ale zgadzam się z panem, że dzieje się coś, co ma związek z *Orfeuszem* i moimi filmami. Podobnie jak pan nie wiem, o co chodzi, ale konsekwencje tego właśnie obserwujemy. Dowiedziałem się, że mój przyjaciel i producent *Orfeusza* Kenneth Zorn w zeszłym tygodniu popełnił samobójstwo, a Matthias Laugier, który tworzył scenografie do moich filmów, zmarł w szpitalu niedaleko stąd. Co prawda chorował na raka w fazie terminalnej, ale żandarmi, którzy mnie przesłuchiwali, uważają jego śmierć za podejrzaną. No i mamy tę dziewczynę, Judith, która oskarża mnie, że zabiłem jej matkę, mamy śmierć pana kolegi, a przedtem zabójstwo Stana Du Welza i Florenta Cuveliera, którzy również pracowali przy moich filmach. To nie mogą być zbiegi okoliczności, komendancie.

– Jak to „uważają jego śmierć za podejrzaną”? – powtórzył Servaz. – O czym pan mówi?

Delacroix podzielił się z nim swoimi informacjami na temat śmierci Laugiera i śledztwa prowadzonego przez żandarmów z brygady kryminalnej w Foix.

– Komendancie, wygląda na to, że czemuś lub komuś zależy na wydobyciu przeszłości na światło dzienne i że wszyscy, którzy brali udział w pracach nad *Orfeuszem*, są w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

WTOREK, 28 CZERWCA

Gabinet psychiatry wyglądał jak... gabinet psychiatry. Czarne ściany, piaskowa wykładzina, szare żaluzje. Na szklanych półkach przedmioty mające ukazywać tajemnice ludzkiego umysłu: czaszka z namalowanymi zwojami mózgowymi, sowa – odwieczny symbol mądrości i poznania – reprodukcja słynnego obrazu Magritte’a *To nie jest fajka*.

Servaz stwierdził, że jeśli w tym gabinecie czegoś brakuje, to wyobraźni. Wszystko było aż za bardzo przewidywalne, ale może owa przewidywalność oznaczała nie tyle brak wyobraźni u psychiatry, ile jego pragnienie, by uspokoić pacjentów w kwestii natury i przeznaczenia tego miejsca.

Lekarz był wysokim, kanciastym mężczyzną około pięćdziesiątki, w koszuli w kratę i dżinsach, o pociągłej twarzy i przenikliwym aż do bólu jasnym spojrzeniu, które jednak równoważyły łagodny głos i miły uśmiech.

Samira i Servaz opowiedzieli mu o oskarżeniach wniesionych przez Judith na Ronana Lefeuvre’a i Morbusa Delacroix, a także o swoich rozmowach z domniemanymi napastnikami. W TAJ widniał zapis, że to on badał Judith po „pierwszej napaści” i że w tamtym okresie ją leczył. Doktor Fortuit wysłuchał ich bez słowa.

– Obawiam się, że Judith wszystko wymyśliła – podsumował spokojnie, kiedy skończyli.

Milczenie.

– Jak to? – Samira uniosła brew.

– Wszystko. Od A do Z. Tę historię z morderstwem i spiskiem związanym ze śmiercią jej matki podczas zdjęć do *Orfeusza*, graffiti w toalecie na stacji benzynowej, narkotyki, napaść, Delacroix... To bajka, którą wymyślił, stworzył, wyobraził sobie jej umysł. Bajka, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, ale Judith święcie w nią wierzy. Jestem pewien, że gdybyście na przykład pojechali na tę stację benzynową, znaleźlibyście w toalecie jakieś graffiti, ale z innym imieniem albo o innej treści, niż twierdzi Judith.

– Ale przecież była naćpana – zaoponowała Samira. – Wyniki badań są jednoznaczne. I była pobita.

– Albo sama coś zażyła, żeby oskarżyć Delacroix, ponieważ żywi głębokie przekonanie, że on jest winny śmierci jej matki. Urazy też mogła spowodować sama, takie przypadki są znane.

– Tak, ale... Te wszystkie elementy do siebie pasują, nakładają się na siebie – nalegała policjantka, nie wtajemniczając go we własne wątpliwości.

– One do siebie pasują w jej głowie – odparował psychiatra. – Judith wszędzie widzi zbieżności, symbole i znaki. Wierzy, że wszystkie one mają związek z jej historią, tak jak wyznawcy teorii spiskowych wiążą domniemane dowody z domniemanymi spiskami za pomocą pokrętnych operacji myślowych. Co oczywiście nie oznacza, że spiski nie istnieją. A co jeśli to jej umysł każe jej przypisywać sens zdarzeniom, które go nie mają? A przynajmniej nie taki, jaki ona im nadaje. I widzieć zbieżności tam, gdzie ich nie ma? Konstruować na bazie różnych, niezwiązanych ze sobą elementów narrację, która istnieje tylko w jej głowie? Tak naprawdę Judith od lat cierpi na dobrze znaną formę zaburzenia percepcji, które ma swoją nazwę: apofenia.

– Apofenia? – powtórzył Servaz.

Psychiatra skinął głową.

– Jak pan wie, ludzki mózg jest najbardziej złożoną i najbardziej tajemniczą strukturą w całym stworzonym świecie. Jest też niesamowitym komputerem, zdolnym do niewiarygodnych osiągnięć. Na przykład potrafi natychmiast rozpoznać jedną twarz wśród setek innych twarzy, z zawrotną szybkością i precyzją wyselekcjonować i zinterpretować wśród szumu informacyjnego istotne elementy, które do niego nie należą. Nasz mózg jest w tym tak dobry, że bywa wręcz nadgorliwy. Tak jak wtedy, kiedy wydaje nam się, że rozpozналиśmy kogoś z daleka w tłumie ludzi, a potem się orientujemy, że to pomyłka. Apofenia polega właśnie na dostrzeganiu czegoś, czego nie ma. Jej typowym przykładem jest pareidolia, od greckiego *eidolon*, czyli „przejaw”, „kształt”, kiedy człowiek rozpoznaje w niejednoznacznym bodźcu wzrokowym, takim jak plama na ścianie albo chmura, kształt głowy jakiegoś zwierzęcia lub twarz. Wszystkim nam się to zdarza. Różnica między osobami takimi jak Judith a nami polega na tym, że my wiemy, że to iluzja, że nasz mózg nas oszukuje, że to zwykły

przypadek, a nie znak zesłany nam przez Boga czy kogo tam... – Lekarz mówił powoli i spokojnie, jednak jego głos był tak niski, że Servaz miał wrażenie, jakby wibrował tuż przy jego splocie słonecznym. – DSM-5, diagnostyczny i statystyczny podręcznik zaburzeń psychicznych, zalicza patologiczną postać apofenii do zaburzeń ze spektrum schizofrenii. Dziś, w dwudziestym pierwszym wieku, ludzie gubią się w labiryncie symboli i znaków rozpowszechnianych przez pewną kontrkulturę. Moim zdaniem jest ona wynikiem systematycznej nadinterpretacji, występującej u części społeczeństwa obsesyjnej fascynacji ukrytymi znaczeniami, ezoterycznymi wyjaśnieniami, fantazjami o wielkich przekrętach możliwych tego świata, które rzekomo możemy zdemaskować za pomocą wyszukiwarki internetowej i dyskusji na forach. Tak żarliwie pragniemy znaleźć w panującym galimatiasie jakiś porządek, wyjaśnienie, zyskać pozory kontroli nad chaosem, który rządzi naszym życiem. W gruncie rzeczy zwolennicy teorii spiskowych to naiwniacy, którzy mają się za sceptyków i uważają, że to inni są łatwowierni. Co, powtarzam, wcale nie oznacza, że spiski nie istnieją. To tak jak z tym chłopcem, który kilkakrotnie dla żartu woła o pomoc, a kiedy naprawdę nadchodzi wilk, nikt go już nie słucha. –

Psychiatra rytmicznie poruszał długopisem, który wyglądał w jego wypięlegnowanej dłoni jak pałeczka dyrygenta. – W przypadku Judith ta mania interpretowania zrodziła się w związku ze śmiercią jej matki. Tak rozpaczliwie pragnęła, by tę historię dało się wyjaśnić inaczej niż głupim wypadkiem; czymś, co byłoby bardziej tajemnicze, ale zarazem bardziej logiczne, bardziej satysfakcjonujące niż banalna rzeczywistość. Stworzyła więc tę historię. Ale trzeba przyznać, że tutaj znowu wszystkie plotki i wymysły krążące w Internecie wokół tego tak zwanego przeklętego filmu *Orfeusz albo spirala zła* bardzo sprzyjały tej paranoi, dostarczając jej treści. – Spojrzał na nich zza zasłony długich, jasnych rzęs. – Wtedy u Judith rozwinęła się apofenia. Dziewczyna zaczęła wszędzie widzieć znaki. Znaki skierowane osobiście do niej, jak to graffiti, o którym pani mówiła, albo napis na drzewie. Zachęcam was, żebyście tam pojechali i sami to sprawdzili. Możliwe, że tak jak wspomniane twarze czy chmury mają one zaledwie jakiś mglisty związek z tym, co jej się wydawało, że widzi. Była już pod moją opieką, kiedy złożyła skargę na tego biednego studenta. Temat Morbusa Delacroix, zdjęć do tego przeklętego filmu i śmierci jej matki obsesyjnie powracał w jej wypowiedziach. – Wstał, podszedł do okna,

wyjrzał przez szparę w żaluzjach. Gabinet znajdował się na parterze kamienicy; mieli widok na ciężarówkę firmy przeprowadzkowej zaparkowaną przy chodniku. – A ten student, którego widywała na uczelni, a pewnego wieczoru poznała bliżej, był, jeśli dobrze zrozumiałem, zagorzałym fanem Morbusa Delacroix. Powiedziałem policji, z zachowaniem wszelkich zastrzeżeń, że oskarżenie Judith wydaje mi się podejrzane. Że lekarz sądowy powinien ją zbadać, zanim obrażenia znikną, żeby sprawdzić, czy nie mogła sobie ich zadać sama. Kiedy studenta zwolniono, oskarżyła mnie o udział w spisku, o działanie w zмовie z Delacroix, z tym studentem i z całą resztą, cokolwiek przez to rozumiała. Wciąż ma mi to za złe. – Wolnym krokiem wrócił do biurka, usiadł i spojrzął na nich tym swoim neutralnym, ale przenikliwym wzrokiem. –

Muszę przyznać, że przypadek Judith Janssen jest jednym z najdziwniejszych, jakie kiedykolwiek leczyłem. A spotkałem w mojej karierze wielu pacjentów żyjących w równoległej rzeczywistości, we własnym świecie. Taka skrajna postać apofenii jest jednak dość rzadka. Z całą pewnością śmierć uwielbianej matki na samym początku okresu dojrzewania pacjentki odegrała tu swoją rolę. A co do reszty... Nie wiem, w jaki sposób Judith doszła do tak wykrzywionego, opacznego rozumienia świata. Ale cóż, w naszych czasach nie ona jedna. To tylko kwestia skali.

– Sądzi pan więc, że wszystkie jej zarzuty wobec Morbusa Delacroix są nieprawdą, że Delacroix jej nie uderzył i nie zabił jej matki? – podsumował Servaz.

– Sprawa śmierci jej matki nie leży w moich kompetencjach. Ale co do pobicia, to jestem pewien. Poza tym... Bezwzględność tego reżysera na planach filmowych najwyraźniej nie jest tylko legendą. Możliwe, że znęcał się nad matką Judith, że stosował wobec niej przemoc psychiczną. Ale to też nie moja działka.

Wstali.

– Ostatnie pytanie, doktorze. Czy oglądał pan jakiś film Morbusa Delacroix? – spytała Samira.

– Tak – odparł psychiatra. – Kiedy Judith zaczęła o nim mówić, odrobiłem pracę domową.

– I co pan o nich sądzi?

– Pyta pani o to, czy Morbus Delacroix cierpi na jakieś zaburzenie psychiczne? Żeby pani odpowiedzieć, musiałbym go zbadać. Choć uważam

jego filmy za głęboko niepokojące i niezdrowe, wytwory działalności artystycznej czy kulturalnej i diagnoza psychiatryczna to dwie odrębne rzeczywistości. W przeciwnym razie musielibyśmy się zająć tysiącami artystów, którzy nas zachwycili na przestrzeni wieków, ale też zadać sobie pytanie o religie i ich wyznawców.

– Dziękuję, doktorze.

Zostawili samochód w niedozwolonym miejscu. Servaz przez chwilę patrzył na tragarzy, którzy przeszli przez chodnik i zniknęli w drzwiach kamienicy z ciężką komodą. Wyjął zza wycieraczki mandat i włożył go do kieszeni.

– Jeżeli Judith wszystko wymyśliła i Delacroix jest niewinny, to dlaczego Valek zamordował Vincenta? – zapytał.

W jego głosie pobrzmiwała jakaś nowa nuta – jakby częściowo znał już odpowiedź.

– I kto zabił pozostałą trójkę? – dodała Samira.

– Chce pani powiedzieć, że Judith Tallandier sama sobie to zrobiła? – zapytała funkcjonariuszka brygady śledczej żandarmerii w Saint-Gaudens dwie godziny później.

– Tak, mogło tak być – przytaknęła Samira.

Żandarmka zrobiła sceptyczną minę.

– Faktem jest, że lekarz stwierdził, że ciosy były wielokrotne, ale dziwnie słabe i że powstałe obrażenia są raczej efektem zaciętego powtarzania niż siły napastnika. Takie były jego wnioski.

– Kiedy człowiek uderza sam siebie, cios ma mniejszy napęd, a więc jest słabszy – stwierdziła Samira, która w wolnych chwilach uprawiała boks.

Kobieta ostrożnie skinęła głową i spojrzała na nią.

– Jeżeli Judith Tallandier sama się w ten sposób pobiła, musiało to być strasznie bolesne. – Zamyśliła się na chwilę. – Badania krwi wykazały obecność środka przeciwbólowego. A z analizy toksykologicznej wynika, że krótko przedtem paliła haszysz.

– Sprawdziliście jej samochód? – zapytał Servaz.

– Tak. Nie ma śladów krwi ani walki. Jeśli rzeczywiście sama to sobie zrobiła, to na pewno nie w samochodzie. Jak bardzo trzeba siebie nienawidzić, żeby aż tak się oszpecić...

– Albo nienawidzić kogoś innego – poprawiła ją Samira.

Żandarmka z Saint-Gaudens obróciła się na krześle. Sięgnęła na inne biurko po kilka spiętych kartek i podała im je. Servaz przeczytał:

Średni czas możliwego wykrycia substancji toksycznych w mieszkach włosowych:

Alkohol: 2 do 10 godzin

Amfetamina: 24 do 28 godzin

Barbiturany: do 6 tygodni

Benzodiazepiny: do 6 tygodni w przypadku spożycia dużej ilości

Fencyklidyna (PCP): 1 do 8 dni

Kokaina: 2 do 4 dni i 10 do 22 dni w przypadku spożycia dużej ilości
Kodeina: 1 do 2 dni
Heroina: 1 do 2 dni
Hydromorfon: 1 do 2 dni
Metadon: 2 do 3 dni
Morfina: 1 do 2 dni
Propoksyfen: 6 do 48 godzin
Tetrahydrokannabinol (THC): 6 do 11 tygodni w przypadku dużego spożycia

– Dziewczyna miała też w organizmie substancję psychoaktywną – zauważyła funkcjonariuszka żandarmerii, wskazując następną linijkę. – GHB...

– Albo zażyła sama, żebyśmy myśleli, że ktoś jej to podał. Tak samo jak pisała dziennik, wiedząc, że kiedyś go przeczytamy.

Wyraz twarzy żandarmki zdradzał ostrożność, do której skłaniała ją zarówno wysunięta przez policjantkę hipoteza, jak i jej osobliwy ubiór. Samira miała na sobie nabitą ćwiekami skórę, a pod nią czarną koszulkę z krwistoczerwonym napisem:

DO NOT READ THE NEXT SENTENCE...

You little Rebel I like you

– Słodki Jezu, jeżeli tak było, to nigdy się nie spotkałam z podobnym przypadkiem – podsumowała żandarmka.

Servaz rozglądał się po słabo oświetlonej nawie. Wysokie kamienne filary strzelające w stronę odległego sklepienia, szary półmrok, przez który z trudem przebijały się wpadające przez witraże promienie słońca oraz pocieszający, choć delikatny blask świec. Miał wrażenie, że ten półmrok i cisza wydobywają na powierzchnię wspomnienia z czasów, gdy był dzieckiem i matka – wbrew woli ojca – zapisała go na religię, a on został ministrantem i razem kolegami po cichu nabijał się z proboszcza. Podniósł wzrok na rzeźbę przedstawiającą jakiegoś świętego, na pochyloną w jego stronę nieskończenie smutną twarz i zaczął się zastanawiać, jaki jest powód tego smutku. Może odzwierciedlał on uczucia artysty, który wyrzeźbił ten

posąg? Z pewnością w tamtych czasach było wiele powodów do przygnębienia: wojny, klęski głodu, ubóstwo, epidemie. A dziś? Co zasmuciłoby świętego, gdyby żył w tych czasach? Ludzie odchodzący od religii? Niezmienna skłonność rodzaju ludzkiego do okrucieństwa i aktów przemocy? Internet, w którym nienawiść, groźby, wyzwiska, ignorancja i roszczeniowość są o wiele powszechniejsze niż życzliwość i pokora? Co pomyślałby ten święty z dawnej epoki o naszych czasach? Czy prowadziłby bloga zatytułowanego: „Na ścieżkach mądrości i wiary”? Servaz pomyślał, że mądrość i wiara bardzo by mu się teraz przydały. Wyszedł na dziedziniec i ruszył za Samirą.

– Gdzie on jest? – zapytała, patrząc na wyświetlacz telefonu. – Kazał przyjść w południe.

Ledwie wypowiedziała te słowa, od głównej ulicy nadjechał rowerzysta w jaskrawożółtym stroju, kasku i okularach słonecznych w białej oprawie. Podjechał do nich szerokim łukiem i zahamował.

– Dzień dobry, ksiądz Daniel Eyenga – powitał ich. – Przepraszam, przejazdka mi się przedłużyła. Przebiłem oponę w drodze powrotnej.

Servaz z uśmiechem patrzył na kapłana, który zszedł z roweru, zdjął kask, otarł pot z twarzy i podrapał się po głowie.

– Dzień dobry, proszę księdza. Jestem komendant Servaz, a to porucznik Cheung.

– Cheung? – powtórzył Eyenga, przyglądając się Samirze.

– Ojciec Chińczyk, matka krwi francusko-marokańskiej – wyjaśniła z uśmiechem. – Jak widać, bardziej jestem podobna do matki niż do ojca. Mam na imię Samira.

– A pan? – zwrócił się do Servaza.

– Martin.

– Okej, Samiro i Martinie. Chodźcie za mną.

Wszedł do świątyni, prowadząc rower. Jego kolarskie buty donośnie i zupełnie niereligijnie stuknęły na kamiennej posadzce. Ruszył środkiem głównej nawy, pozdrowił starszą kobietę klęczącą w ławce i skręcił w lewo przed ołtarzem. Servaz zastanawiał się, czy zdarza mu się dla zabawy jeździć rowerem po zamkniętym kościele.

Weszli za nim do zakrystii, która pełniła też funkcję plebanii. Niewielkie pomieszczenie. Na ścianach afrykańskie maski i kolorowe tkaniny. Niska komoda na przedmioty liturgiczne. Mały regał. Servaz podszedł bliżej.

Literatura chrześcijańska, ale też *Pod słońcem szatana*, *Ksiądz Leon Morin*, *Tam...* Były nawet powieści Stephena Kinga.

– Dajcie mi minutkę – poprosił duchowny.

Zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, a kiedy wrócił, bardziej już przypominał księdza: koloratka, czarna koszula i czarna marynarka, krzyżyk na piersi.

– Pysznic zaczeka – powiedział. – Przepraszam za spóźnienie. Moje dni to istne maratony. W tę niedzielę odprawiałem mszę w kościele wybudowanym na trzysta osób, a było nas jedenaścioro. Na wsi z powodu dużych odległości moi wierni często żyją w izolacji, a nie zawsze mają czym się przemieszczać. Jeżdżę ze spotkania na spotkanie, z młodymi i starymi. Mam napięty grafik, ale mimo wszystko próbuję znaleźć czas na sport. Prowadzę też kursy kuchni afrykańskiej. Myślę, że niektórych bardziej pociąga moje gotowanie niż religia – dodał z uśmiechem. Nagle spoważniał. – Ale wy nie o tym chcieliście porozmawiać...

– Rzeczywiście nie o tym – rzekł Servaz, który zaczął się już niecierpliwić. – Wiemy, że kontaktował się ksiądz z żandarmerią w sprawie Matthiasa Laugiera, scenografa chorego na raka, którego śmierć w szpitalu w Ax-les-Thermes jest przedmiotem śledztwa. Laugier przez długi czas pracował przy filmach Morbusa Delacroix, reżysera horrorów. Wydaje się, że śledztwa, które prowadzimy, mogą mieć związek, wiem, jak dziwnie to brzmi, z kinem Morbusa Delacroix. A żandarmi z Foix przekazali nam, że opowiadał im pan też o innych zdarzeniach, w tym o spotkaniu z pewnym producentem filmowym.

– Zgadza się.

Servaz czekał na dalszy ciąg.

– Matthias Laugier został zamordowany, jestem tego pewien – oświadczył nagle Eyenga. – Intuicja mówi mi, że ta śmierć kryje w sobie coś głęboko mrocznego, złego, jeśli pan woli. Zdarzenia, których byłem świadkiem, były naprawdę dziwne.

Servaz przez chwilę wsłuchiwał się w panujące w świątyni ciszę i spokój. Ale zdawało się, że spokój opuścił duchownego.

– Niech nam ksiądz o tym opowie.

Kapłan się nie śpieszył. Opowiedział im o burzliwej nocy w niewielkim szpitalu w Ax-les-Thermes, kiedy to udzielił Matthiasowi Laugierowi namaszczenia chorych, o kopercie, którą tamten mu powierzył i na której

była narysowana spirala, o naleganiu Laugiera, by została doręczona do rąk własnych, o wizycie u producenta filmowego Kennetha Zorna mieszkającego na bretońskiej wyspie, o dziwnych wypowiedziach producenta, który sprawił na nim wrażenie dotkniętego swoistym szaleństwem, a wreszcie o jego samobójstwie. Opowiadając o tym, Eyenga miał wrażenie, jakby znów miał go przed sobą. Z tą jego arogancją. Z tym jego obłudą. Wzdrygnął się. Wreszcie opowiedział o śmierci Laugiera w szpitalnym łóżku i o tym, że personel medyczny uznał ją za podejrzaną. Po twarzy duchownego ściekała strużka potu, jego oczy płonęły. Servaz widział ogromne napięcie, jakie ta relacja wywołała u kapłana.

– Wie ksiądz, co było w tej kopercie?

Eyenga przytaknął.

– Pendrive.

– A czy ksiądz wie, co na nim było? – zapytała Samira, która w miarę słuchania tej opowieści czuła narastającą mroczną fascynację.

– Tak, filmik.

Martin i Samira wymienili spojrzenia.

– Oglądał go pan?

Pytanie padło z ust Samiry. Martin miał wrażenie, jakby w pomieszczeniu panowała jakaś nadnaturalna atmosfera niepewności i zagrożenia. A może to mózg płatał mu figle? Nieubłaganie zbliżali się do prawdy. I było w tym coś przerażającego – Servaz bał się tego, co znajdują. Kapłan się zawahał.

– Zorn obejrzał go przy mnie, ale przedtem już go widziałem. – Przypomniał sobie, jak okłamał producenta. – Zanim przekazałem kopertę temu człowiekowi, rozkleiłem ją nad parą. Ostatecznie Matthias Laugier mi tego nie zabronił. Chciałem wiedzieć, co jest w środku. Czy nie ma tam czegoś nielegalnego. Albo... niemoralnego.

Eyenga opisał im, co widział na nagraniu: Matthiasa Laugiera, który obiecywał innym piekło, który kajał się z powodu tego, co zrobił – cokolwiek to było. Opowiedział im też o strachu w oczach Zorna po obejrzeniu filmiku, o pytaniach, jakie mu zadawał, i o dziwnym sposobie, w jaki tamten go pożegnał.

– Skopiował pan to nagranie?

Duchowny skinął głową.

– Tak. Przed wyjazdem do Bretanii z ostrożności zrobiłem kopię zapasową. Miałem wrażenie, że to jest dla tego biednego umierającego człowieka tak ważne, że chciałem mieć pewność, że zawartość nie zaginie.

Oddech Eyengi był teraz świszczący i chrapliwy. Servaz cały czas go obserwował. On się boi, stwierdził. Boi się tego, co odkrywamy. Tego, że mimo woli stał się współnikiem straszliwej zbrodni.

– I gdzie jest ta kopia?

Kapłan zrobił głęboki wdech.

– Oddałem ją żandarmom.

– Z brygady śledczej w Foix?

– Tak.

Czyli tym, którzy byli u Delacroix i poinformowali go o śmierci Zorna i Laugiera. Ciągle wracamy do Morbusa Delacroix i jego filmów, pomyślał Servaz.

Duchowny znowu się zawahał.

– Nie mam nic wspólnego z tym koszmarem – powiedział. – Nie wiem dokładnie, co się stało ani w jaki sposób te wszystkie zdarzenia są ze sobą powiązane. Ale widziałem już oblicze złego, zarówno na tym kontynencie, jak i na tym, z którego pochodzę. I wiem, że to jego sprawki.

Tak, pomyślał Martin, właśnie to łączy glinę i księdza. A potem wrócił myślą do Delacroix. Stan Du Welz, jego były specjalista od efektów specjalnych, oraz Florent Cuvelier, jego były dźwiękowiec, obaj torturowani i zabici w Tuluzie. Kenneth Zorn, jego były producent, popełnił samobójstwo po obejrzeniu filmiku zarejestrowanego przez Matthiasa Laugiera, jeszcze jednego członka bandy Delacroix. Wreszcie Laugier, prawdopodobnie zamordowany w szpitalu. Wszyscy oni tworzyli spiralę, która zbiegała się w jednym punkcie – a był nim Morbus Delacroix.

A jeśli Judith nie zmyślała? Jeśli jednak miała rację? I jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Valek? Dlaczego torturował Vincenta? Co odkrył jego zastępca, że musiał za to zapłacić życiem? W głowie Servaza powoli krystalizowała się odpowiedź na te pytania i znowu poczuł wściekłość. O śmierć Vincenta miał pretensje do całego świata.

– Kurwa, jak ta historia się skończy?! – wybuchła Samira, kiedy wychodzili z budynku, którego mury wznosiły się do szarego nieba jak wołanie o pomoc. – Cholery można dostać.

A jednak byli coraz bliżej. Martin był o tym przekonany. Jeszcze jeden czy dwa puzzle, a obraz będzie kompletny.

– Kierunek Foix – powiedział. – Musimy obejrzeć ten filmik.

Nastroje przy rue du Bastion 36 były równie ponure jak pogoda. Valek zniknął, nie było żadnych wieści od informatorów. Pierrat usiłował sobie przypomnieć coś, co powiedział mu Servaz tamtej nocy, gdy zostali porwani. Miał poczucie, że to było ważne. Ale nie mógł dojść, o co chodziło.

Nie potrafił się uwolnić od tych potwornych wspomnień. Ciągłe na nowo przeżywał porwanie, ucieczkę z chlewni, odnalezienie ciała Vincenta. Czuł pierwsze objawy załamania nerwowego. Na cholerę to wszystko? Podniósł do ust kubek z kawą i spojrzał na lepiałe się do szyb szare niebo. Do biura wszedł jeden z członków grupy.

– Wczoraj wieczorem byliśmy z przyjaciółmi na karaoke, straciłem głos!
– oznajmił.

Pierrat odwrócił się do niego.

– Coś ty powiedział?

Kolega spojrzał na niego, zaskoczony tonem pytania.

– Że byliśmy na...

– Nie, później!

– Straciłem głos – dodał tamten.

– Kurwa!

– Co się stało?

– Załatw mi jakiś telefon na kartę! Szybko! – Pierrat złapał za słuchawkę telefonu stacjonarnego na swoim biurku. – Gargamel, mamy gdzieś numer i adres tego aktora, Ezry Schrenkla?

– Nie wiem, sprawdzę – odparł Gargamel, którego przezwisko wzięło się stąd, że przez jakiś czas pracował w związku zawodowym komisarzy i wyższych funkcjonariuszy policji, potocznie nazywanym Schtroumpfs, czyli Smerfy.

Trzy minuty później przyszła odpowiedź: numer telefonu i adres aktora figurowały w aktach.

– Jedziemy! – rzucił Pierrat, sięgając po kurtkę w kolorze khaki, gdy jego kolega wrócił z komórką na kartę.

– Dokąd?

– Do Schrenkla.

– Tego aktora?

Pierrat nie odpowiedział. Łamał sobie głowę, żeby wydobyć z niej słowa Martina. To było coś o tym, że niby on, Pierrat, ma prawie taki sam głos jak ten drań Valek. Że prawie można ich pomylić. Tak, to było to. Wpadł na pewien pomysł.

Dojazd do obwodnicy jak zwykle był zakorkowany, a ruch utrudniony; sytuacja pogorszyła się zwłaszcza od czasu, gdy Paryż stał się gigantycznym placem budowy pod gołym niebem, a co za tym idzie, prawdziwą kostką Rubika dla kierowców. Przemieszczali się z nurtem syczącej rzeki metalu i Pierrat stwierdził w duchu, że marzenie ekologów o Paryżu bez samochodów nieprędko się spełni. Włączyli syrenę i koguta, na wysokości porte de Saint-Cloud opuścili obwodnicę, by przeciąć Boulogne-Billancourt, wjechali route de la Reine, która nie miała w sobie nic królewskiego, przeciwnie, była ciągiem brzydkich budynków, zakurzonych drzew, sklepów i skrzyżowań ze światłami. Przeprawili się przez Sekwanę mostem Saint-Cloud. Ezra Schrenkel mieszkał w parc de Montretout, jednej z ekskluzywnych dzielnic na zachodzie Paryża, na położonym na wzgórzach strzeżonym terenie poprzecinanym alejami, gdzie za sąsiadów miał jeszcze bardziej znanych celebrytów niż on sam.

Ogrodzona murem dziewiętnastowieczna willa stojąca w otoczeniu klonów, lip, sosen i wierzb. Cynkowe dachy, mansardowe okna, masywny ganek z markizą, okolony topiarami. Żeby móc zaparkować w alejce około dziesięciu metrów od bramy na posesję, przy wjeździe musieli okazać przepustkę. Patrząc na rezydencję, Pierrat zastanawiał się, dlaczego na loterii życia jedni wygrywają los, który pozwala im mieszkać w takiej wybrukowanej złotem dzielnicy, a inni muszą się zadowolić klitką z widokiem na obwodnicę i tłoczyć się w godzinach szczytu w wagonach metra i kolejki podmiejskiej. Pierrat uwielbiał science fiction – gatunek, na który jego eksmałżonka kolekcjonująca książki laureatów nagród literackich tak jak inni zbierają znaczki, patrzyła z pogardą – i przypomniał sobie, że przed laty czytał powieść Philipa K. Dicka *Słoneczna loteria*, w której losem ludzi rządził przypadkowy algorytm, dzięki któremu

posiadacz szczęśliwego numerka mógł zostać panem świata. Była to jego zdaniem jedna z najlepszych metafor życia, z jakimi się kiedykolwiek spotkał.

– Telefon – powiedział, wyciągając dłoń.

Partner podał mu urządzenie. Pierrat spojrział na kartkę z numerem i wystukał cyfry. Trafił na pocztę głosową. Cholera. Zaczekał na sygnał i nagrał wiadomość:

– Schrenkel? Tu Andreas. Verhagen – dodał. – Musimy pogadać, to ważne. Oddzwoń. We własnym interesie.

Rozłączył się. To był cholerny hazard. Nie miał nawet pewności, czy Schrenkel i Verhagen znają się na tyle blisko. A jeśli się znają, jaka jest natura ich znajomości. Ani czy aktor rzeczywiście ma coś do stracenia, jeżeli nie oddzwoni. Ale obserwując Schrenkla i słuchając sprawozdania Servaza z ich rozmowy, Pierrat wyczuł, że aktor nie powiedział wszystkiego, że może coś ukrywa.

– Co ty odwalasz? – zapytał Dino, jego zastępca.

– Nie widzisz?

Zapatrzył się w chmury, fundując sobie w ten sposób darmowy ekwiwalent ogrodu zen lub seansu reiki. Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Numer Schrenkla...

– Tak? – powiedział spokojnie.

– Czego chcesz? – zapytał aktor.

Psiakrew, zadziałało! Policjant przełknął ślinę. Wiedział, że powinien powiedzieć jak najmniej, żeby się nie zdradzić, ale wystarczająco dużo, by zanęcić rozmówcę. Stał po kruchym lodzie.

– Musimy pogadać.

Westchnienie.

– O czym?

– Przecież wiesz. O tym, co się stało.

– Nie mam nic...

– Słuchaj, dupku – przerwał mu Pierrat poirytowanym głosem – przez was tkwię po uszy w gównie! Nie masz wyboru. Albo przyjdiesz, albo wygadam mediom wszystko, co o tobie wiem.

Chwila milczenia.

– Gdzie?

W geście tryumfu Pierrat uniósł zaciśniętą pięść, zerkając na kolegę. Przechodzili do najdelikatniejszej kwestii.

– Wiesz, gdzie mnie szukać.

Znowu chwila ciszy. Za długa.

– Okej – powiedział w końcu Ezra i rozłączył się.

– O kurwa, ja pierdołę! – zawołał Pierrat, waląc dłonią w deskę rozdzielczą. – Ożeż kurwa mać!

Czarna brama zwieńczona kolcami powoli się otworzyła i porsche wyjechało na alejkę.

– Do dzieła – powiedział Dino, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– Powoli, żebyśmy przy wyjeździe nie wpadli mu w tyłek. Widział mnie na klifie w Étretat, mógłby mnie rozpoznać.

Dino się nie śpieszył. Nie było ryzyka, że w Montretout go zgubią. Dotarli do wyjazdu, w chwili gdy Schrenkel włączał się do ruchu na rue Dailly, wiodącej między starymi i nowymi kamienicami ku Sekwanie. Zjechali ze wzgórza na bezkolizyjne skrzyżowanie przed mostem Saint-Cloud, przeprawili się tym razem w kierunku Paryża, po czym skręcili w prawo i jadąc wzdłuż brzegu od strony Boulogne, minęli klub żeglarski oraz szkołę nurkowania i wjechali pod most w Sèvres. Zza ściany drzew wychynęła lśniąca kula La Seine Musicale, centrum muzyki i sztuk performatywnych położonego na końcu île Seguin. I dalej – przez quai du Point-du-Jour, voie Georges-Pompidou, pont du Garigliano – w kierunku centrum stolicy.

– Jedziemy do Paryża – stwierdził Dino.

– Nie, serio? – zażartował Pierrat.

W żyłach czuł starą dobrą adrenalinę. Trocadéro. Musée d'Art moderne, cours Albert I^{er}, quai des Tuileries. Przy wtórze szybko pracujących wycieraczek przemierzali cały turystyczny Paryż. Tuż za ratuszem Schrenkel nagle skręcił z nabrzeża Sekwany w wąską rue Lobau, w kierunku rue de Rivoli i Marais.

– Kurwa, nie wierzę – rzucił Pierrat.

Zobaczyli, jak Ezra wchodzi do Cabaret Rouge ubrany w czarne skórzane spodnie i – mimo upału – futro.

Pierrat się skrzywił.

– Cholera! Na pewno są tu jakieś wyjścia awaryjne. Jeśli Valek jest w środku, może się wymknąć tyłem. Za mniej niż pięć minut Ezra się zorientuje, że dał się nabrać, a Valek, że tu jesteśmy. Nie mamy czasu na wzywanie posiłków.

– To co teraz? – zapytał Dino, który po wysłuchaniu tej tyrady nie wiedział, czy nie mają nic do roboty, czy przeciwnie, muszą działać.

– A jak sądzisz, fujaro? Wchodzimy! – zarządził Pierrat, wyjmując broń i wprowadzając pocisk do komory spustowej. – Jeszcze możemy wykorzystać element zaskoczenia.

Trzasnął drzwiami, przegalopował przez rue des Archives, otworzył drzwi Cabaret Rouge i z bronią w ręku wpadł do obitej szkarłatnym aksamitem jaskini. Za ladą nikogo nie było, ale w kącie pod sufitem zauważył kamerę monitoringu. Odsunął kotarę sali teatralnej; scena była ciemna, krzesła leżały do góry nogami na stołach. Popędził do ukrytych małych drzwi wychodzących na korytarz prowadzący do biura Arkhane'a. Nikogo na horyzoncie. A czas płynął. Jeśli ktoś widział ich na monitorach, to najwyraźniej strajkuje. Chyba że Valek czeka na nich z wycelowaną spluwą.

Pierrat miał wrażenie, że krew dosłownie się w nim gotuje. Dobrze znał tego potężnego kopa, tę najczystsza postać narkotyku, to poczucie, jakby w jego żyłach pękały bąbelki szampana. Jakby ktoś nagle zapalił światło w jego uspionym do tej pory mózgu. Gdzie jest Ezra? Gdzie Valek? Gdzie Arkhane?

Jego mózg obracał się niczym wirówka. Pchnął drzwi biura, wpadł do środka. Arkhane siedział za biurkiem pośród oprawionych w ramki zdjęć, czaszek i mnóstwa dziwnych przedmiotów, pod rozgwieżdżonym niebem na suficie. Podniósł na nich wzrok, udając zaskoczenie, ale był bardzo kiepskim aktorem. Pierrat rozejrzał się po pomieszczeniu, celując z broni w każdy kąt.

– Gdzie oni są? – warknął.

– O kim mówisz? I o co chodzi z tą spluwą?

– Masz mnie za idiotę? Gdzie Valek? Wyobrazasz sobie, co zrobią w kiciu z twoją buźką?

Arkhan wyglądał, jakby ważył wszystkie za i przeciw. Czerwone oczy, którymi wpatrywał się w Pierrata, zdradzały pewien niepokój. W małym, słabo oświetlonym pomieszczeniu jego tatuaże wyglądały jak pajęcza sieć.

Nagle Pierrat usłyszał jakiś dźwięk. Z zewnątrz. Odsunął Dina. W głębi były jeszcze jedne drzwi.

– Zostań tu z nim!

Rzucił się naprzód, dopadł do drzwi i szarpnięciem otworzył je na oścież. W ostatniej chwili się odsunął. Garderoby... Puste o tej porze. Wielkie białe żarówki umieszczone wokół luster, oświetlające puste fotele, boa z piór i różnobarwne tkaniny na wieszakach, słoiki z pędzelkami, przybory do makijażu. Nie było tu jednak żywego ducha. Na drugim końcu pomieszczenia zobaczył jeszcze jedne drzwi, które właśnie się zamykały. Utorował sobie drogę, o mało nie przewracając jednego czy dwóch foteli, i wypadł na zewnątrz. Za drzwiami znajdował się jeszcze węższy, kiszgowaty korytarz, który skręcał pod kątem prostym i prowadził w głąb budynku. Czarne ściany i sufit z luksferów, przez które do środka sączyła się szara poświata. Pierrat poczuł, że jego mięśnie się napinają, a ciśnienie błyskawicznie rośnie.

Ostatnie drzwi, metalowe, to było wyjście ewakuacyjne: żeby je otworzyć, naciskało się na poprzeczny drążek. Pierrat rzucił się w ich stronę i wypadł na ulicę. Na chodniku stał Ezra Schrenkel i z obłędem w oczach wymachiwał rękami.

– Ja nic nie zrobiłem! To on mi groził! Nic nie zrobiłem!

Prawie szło chał. Policjant odwrócił głowę i omiótł wzrokiem ulicę. Tam! Valek biegł, a za jego plecami, jak w filmie klasy Z, łopotała długa peleryna. Pierrat bezceremonialnie odsunął aktora, pchnął go na maskę jakiegoś SUV-a – postanowił zająć się nim później – i ruszył w pościg za drugim mężczyzną. Rue Sainte-Croix-de-la-Bretonnerie. Na ulicach wciąż było jeszcze mnóstwo ludzi. Pierrat gonił Valka, klucząc w potoku pieszych. Zobaczył, że uciekinier nagle przebiegł między samochodami na drugą stronę ulicy – rozległo się nerwowe trąbienie klaksonów. Miał zrobić to samo, ale na drodze stanął mu autobus. Pierrat zaczekał. Krew tętniła mu w skroniach. Zgubi go! Autobus odjechał. Policjant w ostatniej chwili zdążył zobaczyć, że Valek skręca w uliczkę prowadzącą do uroczego placzyku, który również nosi nazwę Sainte-Croix-de-la-Bretonnerie i na którym znajduje się mnóstwo lokali, nie są to jednak pospolite kawiarnie czy restauracje, ale bistronomia, *fooding* i *concept stores*.

Pierrat rzucił się naprzód. Na prawo od niego jakiś kierowca zahamował rozpaczliwie z piskiem opon. Na szczęście dzielnica Marais była absolutnie

zakorkowana i samochody nie przekraczały dwudziestu kilometrów na godzinę. W ostatniej chwili uskoczył przed zderzakiem lexusa, w przelocie ujrzał wytrzeszczone oczy kierowcy i pasażerki i wpadł na ociekającą deszczem maskę. Złapał równowagę i wrócił do szalonego pościgu. Przyśpieszył. Był w formie, uczył boksu dzieciaki ze swojej dzielnicy. Metr po metrze zmniejszał dystans dzielący go od uciekiniera.

Dotarłszy na skwer, Valek popełnił błąd – skręcił w wąski pasaż dla pieszych zastawiony stolikami, krzesłami i parasolami. Pierrat znał to miejsce – to był ślepy zaułek. Valek nie miał drogi ucieczki. Zbyt późno zdał sobie z tego sprawę. Pierrat zobaczył, że tamten obraca się wokół własnej osi i zastanawia nad wejściem do włoskiego spożywcza. Policjant wstrzymał oddech. Gdyby Valek wyjął broń w sklepie pełnym klientów, jemu nie pozostałoby nic innego, jak tylko czekać na RAID, a i tak oskarżono by go o złamanie procedur. Valek zrobił krok w stronę sklepu. Nie rób tego, kurwa! I kolejny krok... A jeśli ten bandzior weźmie zakładników?

Pierrat zbyt późno usłyszał za plecami lekki tupot. Chłopiec z tornistrem na plecach minął go i wpadł w zaułek, między stoliki. Najwyraźniej mieszkał tutaj i wracał ze szkoły. Policjant widział, jak malec beztrosko pędzi w stronę Valka na swoich krótkich nóżkach. Valek również go zauważył. Miał teraz oczy jak wąż, który zobaczył mysz. Pierrat chciał zareagować, ale było to zbyt ryzykowne – chłopiec znalazł się na linii strzału.

Przeszedł go dreszcz. Wszystko stało się tak szybko, że ledwie zdążył krzyknąć:

– Nie!

Valek nonszalanckim, niemal eleganckim ruchem złapał przebiegającego chłopca za rękę i przyciągnął go do siebie. Dzieciak początkowo wyglądał na zaskoczonego, ale po chwili wpadł w złość. Zaczął się wyrывać, ale mężczyzna mocno go trzymał. Pierrat widział gniew na buzi chłopca. Mały się nie bał, w przeciwieństwie do policjanta, który umierał ze strachu. Valek trzymał przy głowie zakładnika glocka, od którego lufy odbijało się szare światło.

– Nie bądź idiotą, Verhagen – rzucił Pierrat bezbarwnym głosem, spocony jak mysz. – Nie rób głupstw. To jest dziecko...

Valek zwrócił ku niemu puste spojrzenie. Potem zaczął się rozglądać dookoła, szukając wyjścia.

– I co zamierzasz zrobić? Zastrzelisz tego chłopca? Wszystkich powystrzelasz?

Dookoła niego klienci, krzycząc z przerażenia, wstawali od stolików – z wyjątkiem jednego, który wyjął smartfon i nagrywał, czekając na śmierć policjanta, bandziora lub zakładnika.

– Daj mi odejść, psie – powiedział Valek zbyt wysokim głosem. – Daj mi odejść, a będzie żył.

– Nie licz na to.

– Jeśli spróbujesz mnie zatrzymać, to będzie rzeź – zagroził Valek, wskazując na dziecko. – Jesteś pewien, że będziesz mógł z tym żyć do końca swoich dni?

Pierrat poczuł nerwowe mrowienie w karku.

– Nie rób głupstw – powtórzył. – Wiesz, ile się płaci za zabicie dziecka. – A ty wypierdalaj, Stanleyu Kubricku od siedmiu boleści – warknął do kamerzysty amatora, który nie czekał na dalsze instrukcje.

– To co robimy? – zapytał Valek.

– Poddaj się. Jeszcze możesz to zrobić. I zapomnij o chłopcu. Nie wzięłeś zakładnika, nic nie widziałem.

Valek zarechotał gorzko.

– Nie bierz mnie za idiotę. Przecież ten osioł z telefonem wszystko nagrał. Filmik na pewno lata już po Internecie. I jest kilkudziesięciu świadków. Nie wrócę do pudła, stary. Nie ma mowy.

– Wrócisz, wrócisz – odezwał się jakiś głos za plecami Valka, który poczuł przy skroni zimny dotyk lufy.

W tej samej chwili dzieciak ugryzł bandziora w dłoń. Mężczyzna krzyknął. Pierrat zobaczył, że chłopiec się uwolnił i ucieka co sił w nogach. Uśmiechnął się.

– Zjebałeś sprawę, Valek – powiedział, celując do Verhagena. – Fajny ten chłopak, co? Dobra robota, Dino. Jak się tu dostałeś? Przecież to ślepy zaułek.

– Sklep spożywczy ma kilka wejść – odparł Dino, odbierając zatrzymanemu broń. – Połóż się na ziemi, śmieciu.

– Okej, okej – powiedział piękny brunet. – Możecie schować spluwy.

Nie przejęli się jego słowami.

– To nie ja zabiłem twojego kolegę – powtórzył Valek, kiedy Pierrat wpychał go skutego do policyjnej furgonetki.

– Zamknij się.

– Kurwa, to nie ja! – Dostaniesz za to wieczność – warknął z wściekłością Pierrat, patrząc, jak kawałek dalej do innej furgonetki prowadzą Schrenkla i Arkhane’a. Za zabójstwo policjanta posiedzisz co najmniej dwadzieścia lat!

Spojrzał na tłumek gapiów, którzy wyjęli telefony, by sfilmować znanego aktora w kajdankach prowadzonego do policyjnej furgonetki w towarzystwie wysokiego, przeraźliwie chudego gościa wyglądającego jak kosmita. Całą scenę oświetlał blask wirujących kogutów. Świetny materiał na telewizyjnego newsa, pomyślał Pierrat. Valek, niezbyt zainteresowany widowiskiem, popatrzył policjantowi prosto w oczy. Bał się.

– Naprawdę chcecie wiedzieć, kto za tym wszystkim stoi? Wszystko wam powiem! Ja tu jestem tylko bezpiecznikiem, do cholery! Ludzie, którzy za tym stoją, są o wiele ważniejsi ode mnie! Kurwa, podam wam wszystkie nazwiska, ale to nie ja zabiłem tego gliniarza, przysięgam!

„Cześć, Zorn...”

Servaz wpatrywał się w twarz Matthiasa Laugiera na ekranie. Rysy wyniszczone przez chorobę. Kredowobiała cera kontrastująca z czarnymi cieniami pod płonącymi wściekłością oczami.

„Zorn, ja zdycham. Czeka mnie piekło. I ten ksiądz, który do mnie przyszedł, niczego tu nie zmieni. Jeśli to oglądasz, wiesz, o czym mówię. Bo to znaczy, że dał ci kopertę”.

Servaz zerknął na Samirę, która odwzajemniła jego spojrzenie.

„Rak. Od azbestu. W tamtych czasach azbest był wszędzie. – Chwila milczenia. Laugier jakby zapadł się w sobie, po chwili znowu spojrzał wprost w obiektyw. – Ale ty też masz zagwarantowane piekło, Zorn. Ty i cała reszta. Bo zanim umrę, opowiem o wszystkim. Założę się, że nigdy się nie nawróciłeś. Że robiłeś to dalej. Że wszyscy robiliście to dalej. Wylądujecie w piekle, będę tam na was czekał. Na razie, Zorn”.

Mężczyzna po raz ostatni spojrzał w obiektyw i ekran poczerniał.

Cisza.

– To nie koniec – uprzedził ich żandarm.

Kliknął w duży okrągły guzik, by przyśpieszyć odtwarzanie. Ekran w dalszym ciągu był czarny. Nagle pojawił się inny obraz. Młoda kobieta siedząca na krześle pośrodku jasno oświetlonego pomieszczenia. Naprzeciw niej, za stołem, sfilmowane od tyłu cztery osoby.

Przesłuchanie. Casting.

Kamera zrobiła zbliżenie na twarz dziewczyny. Servaz dałby jej najwyżej osiemnaście lat.

GŁOS: Okej. Kamera?

DRUGI GŁOS: Kręcimy.

PIERWSZY GŁOS: Jak się pani nazywa? Na początek wystarczy imię.

MŁODA KOBIETA: Mia.

PIERWSZY GŁOS: Bardzo mi miło, Mio. Czy zna pani tekst?

MŁODA KOBIETA: Tak. Jestem gotowa.

PIERWSZY GŁOS: Świetnie. Czy rozumiała pani, o czym on mówi?

MŁODA KOBIETA: Tak. Chodzi o opętaną kobietę, która przechodzi atak...

PIERWSZY GŁOS: Tak jest. To dokładnie ten moment, kiedy demon bierze ją w posiadanie. Ona z jednej strony broni się przed tym, żeby w nią wszedł, ale z drugiej coś w niej tego chce.

Servaz spojrział na żandarma.

– To jest przesłuchanie do filmu. Co to ma wspólnego z tym, co oglądaliśmy wcześniej?

– Niech pan zaczeka.

Odwrócili się do ekranu.

PIERWSZY GŁOS: Rozumie pani, Mio? Ona cierpi, czuje ból, ale też pragnienie, przyjemność i narastającą ekstazę. Stopniowo wchodzi w trans, doświadcza czegoś, czego aż do tej nocy nigdy nie doświadczyła. Rozumie pani?

MŁODA KOBIETA: Sądzę, że tak.

DRUGI GŁOS: Dla pani większej swobody, żeby mogła się pani lepiej wczuć w tekst, zgasimy wszystkie światła. Kamera działa na podczerwień, więc będzie panią filmować, a my skupimy się na pani głosie, oddechu, intonacji. Czy jest pani gotowa?

MŁODA KOBIETA: Tak...

Dalszy ciąg sceny rzeczywiście został nagrany w podczerwieni. W mrocznym teatrze blasków i cieni młoda kobieta grała opętaną z przekonaniem, które dominujący szkarłat i głęboka czerń czyniły jeszcze bardziej niepokojącym. Kiedy scena dobiegła końca, znowu rozbłysło światło. Dziewczyna wyglądała na wyczerpaną, spłoszoną, miała rozszerzone źrenice. Mokre od potu włosy lepiły jej się do czoła.

Nagle w prawym górnym rogu ekranu pojawiła się roześmiana twarz sfilmowana w dużym zbliżeniu, tyłem do widocznej w głębi młodej kobiety. Szeroki uśmiech wyglądał na niej jak rana. Twarz wyrażała absolutny cynizm zmieszany ze złośliwością, przebiegłością, uszczypliwością i okrucieństwem. „I co wy na to? Nie jest fenomenalna? Nada się, jak myślicie?”

Valek...

– Co to było? – zapytała Samira, kiedy żandarm zapalił światło w niewielkim biurze bez okna.

– Facet, który się pojawia na końcu, to Andreas Verhagen alias Valek – oświadczył Servaz. – To jeden z tych, którzy... zabili Vincenta.

Przy ostatnich słowach jego głos się załamał.

– Cholera – szepnęła Samira zaskoczona.

– Wygląda na to, że ksiądz tego nie widział – dodał. – Musiał uznać, że koniec nagrania jest wtedy, kiedy ekran robi się czarny.

– Jedna z osób, które rozmawiają z tą młodą aktorką, to Kenneth Zorn, ten producent, który popełnił samobójstwo – wyjaśnił żandarm. – Ten, któremu ksiądz Eyenga przekazał nagranie. Przesłuchiwana młoda kobieta, drugi mężczyzna i kobieta, którzy siedzą tyłem, jeszcze nie zostali zidentyfikowani.

– Wiem, kim jest kobieta siedząca tyłem – powiedział Servaz.

– Co to miało oznaczać? Ten Valek z tym jego „nada się”? – zapytała Samira.

Servaz przez chwilę się wahał. Serce waliło mu w piersi. Byli już całkiem blisko. Właśnie miał przedstawić Samirze swoją hipotezę, kiedy jego telefon zawibrował. Dzwonił Gadebois. Martin wysłuchał tego, co zastępca miał mu do powiedzenia, i wyraz jego twarzy się zmienił.

– Jedziemy – rzucił. Zakończywszy połączenie, odezwał się do Samiry:
– Zatrzymali Résimonta.

– Co?

– Gadebois twierdzi, że w związku z awanturą między dwoma bezdomnymi. Pobili się o namiot nad kanałem. Interweniował patrol. Goście zostali zatrzymani i na podstawie odcisków linii papilarnych zidentyfikowano Résimonta. Mieszkał w namiocie mniej niż pół kilometra od komisariatu. Zmiana planów. Wracamy do domu.

Jonas Résimont nie wyglądał ani na istotę zdolną do przenikania przez mury, ani na człowieka, który byłby w stanie przywiązać drugiego pacjenta do łóżka, a potem poranić i wepchnąć mu do ust pszczoły. Błady jasnowłosy mężczyzna siedział pochylony do przodu. Wcisnął sękaty dłoń między kolana z przygaszonym spojrzeniem i zrezygnowaną miną. Ten człowiek żyje miotany prądem zdarzeń, pomyślał Servaz. Zmusili go, by wziął prysznic, ale jego ubrania śmierdziały życiem na ulicy.

– Jonas, nie sądzę, że to ty zabiłeś Stana Du Welza – zaczął od progu.

– Komendancie, nie wolno panu zwracać się do mojego klienta po imieniu – wtrącił się adwokat z urzędu, który siedział obok Résimonta. – I żądam niezwłocznego przeprowadzenia badań psychiatrycznych.

– Mecenasiu – westchnął Servaz. – Pan już miał swój czas. A pański klient został zbadany przez lekarza, który uznał, że można wobec niego zastosować zatrzymanie.

Odwrócił się do Résimonta.

- To nie ja – wymamrotał tamten. – Bardzo lubiłem Stana. Fajny był.
- A więc kto? – zapytała Samira z niespotykaną u niej łagodnością.
- Nie mogę powiedzieć.
- Dlaczego?
- Tego też nie mogę powiedzieć.

Servaz wyjrzał przez okno. Znowu nadchodziła burza. Jeszcze nie padało, ale po czarnym niebie tańczyły już błyskawice. W pomieszczeniu panowała atmosfera zawieszenia, oczekiwania. Servaz spojrzął na Résimonta zza swojego zawalonego papierami biurka. Jonas się bał. Ale kogo? Czego?

- Czy ktoś dał mu kawy? Wody? Jonas, chcesz coś do picia?
- Napiłbym się macchiato z karmelem.
- Nie mamy.
- To szklankę wody.
- Ja też poproszę – powiedział adwokat.

Samira wstała.

– Jonas, nic z tego, o czym tutaj mówimy, nie wyjdzie poza ściany tego pokoju. Nikt się nie dowie, co nam powiedziałaś. Nikt.

- O nie, ona się dowie...
- *Ona?*

Résimont się zaczerwienił.

- Groziła ci, tak?

Skinął głową.

- Co powiedziała?
- Że jeśli będę rozmawiał z policją, któregoś dnia wróci i mnie zabije.
- Uwierzyłeś jej?

Martin zobaczył wahanie w oczach mężczyzny.

- Kiedy to było? To możesz mi powiedzieć.
- Nie mogę z panem rozmawiać – upierał się Jonas.
- To będzie nasza tajemnica.

Jonas zerknął podejrzliwie na adwokata.

- Mecenasię... – powiedział Servaz.
- Ja się stąd nie ruszę – zaproponował adwokat.
- Mecenasię, proszę. Dwie minuty.

Papuga westchnął i wstał.

- To będzie nasz sekret, Jonas, okej? Gdzie byliście, kiedy ci groziła?

– W Cam.

Servaz domyślił się, że chodzi o szpital Camelot.

– Opowiedz mi o tym.

Résimont się zawahał. Wpatrywał się w swoje wciśnięte między kolana dłonie. Servaz czekał w napięciu. To był moment, w którym Jonas mógł się otworzyć albo przeciwnie, zamknąć na dobre. Mężczyzna przewrócił oczami.

– Przyszła do mnie i powiedziała, że muszę uciekać albo zostanę oskarżony o straszną zbrodnię. Powiedziała, że pomoże mi wyjść, ale jeśli zostanę, zabije mnie. Bardzo się bałem. Przeraziła mnie... Choć wcale nie była wysoka... I była taka młoda. Nie ma pan pojęcia, do czego ona jest zdolna, o nie. To wariatka, wie pan? – Pokręcił palcem na wysokości skroni. – Kompletnie stuknięta.

Wróciła Samira i cicho postawiła obok Jonasa szklanekę wody. Popatrzyła na Servaza, jakby pytała: „Czy myślimy o tej samej osobie?”. Martin przesunął w stronę Résimonta leżące na biurku zdjęcie.

– To ona?

Jonas twierdząco skinął głową. Judith...

– Tak. Ale była inaczej ubrana.

– Czyli jak?

– Cała na białe. Wie pan, tak jak pielęgniarki w Cam.

Servaz zastanawiał się, w którym kierunku iść dalej.

– W jaki sposób uciekłeś?

– Ona mnie wyprowadziła.

– Tamtej nocy, kiedy przyszła się z tobą spotkać, tak?

Servaz pomyślał o kobiecie, która pojawiła się na nagraniu z monitoringu po wizycie Rollina i pielęgniarki. Jonas zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, nie w nocy. To było w dzień.

– W dzień? Jak to?

– Przyszła w ciągu dnia, kiedy Stan był na spacerze. Groziła mi. Potem spokojnie odprowadziła mnie do wyjścia i wsadziła do autobusu. Na oczach wszystkich. I frrru!

Szlag! – zaklął w duchu Servaz i wstał.

Samira zrobiła to samo. Adwokat, zbity z tropu, patrzył, jak go mijają.

– Może pan do niego wrócić, mecenasie – rzucił Martin. – Dziękuję!

Weszli do biura Samiry.

– Fałszywa pielęgniarka to była Judith – powiedział. – To ona pomogła mu uciec!

– Ale na nagraniach widać ją w nocy – zaproponowała Samira. – A Jonas powiedział, że to było w ciągu dnia.

– Nie rozumiesz? Pierwszy raz przyszła w dzień, żeby wyprowadzić Jonasa ze szpitala, a drugi raz po zmroku, żeby zabić Du Welza. Chciała mieć spokój. I zmylić trop. Musiała wiele razy przychodzić do szpitala i obserwować wchodzący i wychodzący personel. Wiedziała, że nie będziemy przeglądać nagrań sprzed obchodu doktora Rollina, ponieważ on widział Stana Du Welza żywego. Poza tym nie mieliśmy żadnego powodu, żeby to robić.

– Ale pierwsza pielęgniarka powinna była zauważyć nieobecność Résimonta – stwierdziła skonsternowana Samira. – Podobnie jak psychiatra.

Servaz się zamyślił. Miała rację. Chyba że...

– Rollin powiedział, że Résimont spał. Może tylko zajrzał przez szybkę, a pod kołdrą leżały poduszki przypominające ludzki kształt? Pielęgniarka też się na to nabrała. Trzeba będzie ich zapytać, co tak naprawdę widzieli tamtego wieczoru.

– Musiała się spodziewać, że w końcu znajdziemy Résimonta i on nam opowie, co widział.

– No i? Ktoś przebrany za pielęgniarkę? To mógł być ktokolwiek. Jakie było prawdopodobieństwo, że powiązemy to z nią? Ze studentką filmoznawstwa, która nigdy wcześniej nie spotkała Stana Du Welza. Nagranie z monitoringu! Szybko!

– Tak, tak. – Samira już siedziała przed komputerem i przeglądała pliki.

Znalazła wideo w ciągu kilku sekund i włączyła odtwarzanie.

– Przyśpiesz.

Na ekranie zobaczyli kolejno doktora Rollina i pierwszą pielęgniarkę. Potem pojawiła się druga. Samira zatrzymała film, cofnęła i włączyła odtwarzanie w normalnym tempie. Zobaczyli, jak kobieta pojawia się w zasięgu kamery. Samira znowu zatrzymała wideo, a potem odtwarzała klatkę po klatce, aż trafiła na wyraźny obraz. Powiększyła. Nie było najmniejszych wątpliwości. Mimo że kobieta miała spuszczone głowę, a na oczach ciemne okulary, to była Judith Tallandier.

Wstał.

– Dzwoni do sędziego! I znajdźcie mi jej adres.

– To jednak było cholernie ryzykowne – stwierdziła Samira, sięgając po telefon. – Mogli przecież odkryć, że Résimont zniknął w ciągu dnia, jeszcze zanim wróciła, żeby się zająć Du Welzem.

– Do takich dużych ośrodków wchodzi się jak do młyna. Według Rollina w Camelocie pracuje mnóstwo ludzi. Pewnie się gdzieś schowała przebrana za pielęgniarkę i obserwowała personel, czekając z pszczołami w kieszeni na swoją kolej. Kiedy drugi raz weszła do pawilonu, wiedziała, że ani pielęgniarka, ani psychiatra nie zauważyli nieobecności Jonasa. W przeciwnym razie podnieśliby alarm. Więc w nocy miała spokój. Ona jest przekonana, że Delacroix zabił jej matkę. Cierpi na tę całą apofenię, o której mówił psychiatra. Torturowała Du Welza, żeby uzyskać informacje, teraz mamy na to dowód. Bo sądziła, że był współnikiem Delacroix, albo przynajmniej wiedział, co się wydarzyło. Na pewno z tych samych powodów torturowała i zabiła Cuveliera. Dlaczego akurat ich? Może dlatego, że mieszkali w tym samym regionie, więc łatwiej się było do nich dostać. Pewnie dlatego zaczęła właśnie od nich.

Pół godziny później zadzwonił Pierrat. Valek został zatrzymany i natychmiast zaczął sypać, oskarżając swoich współników o zamordowanie Vincenta. Pierrat skorzystał z okazji i od razu przystąpił do grillowania zatrzymanego. Słuchając relacji paryskiego kolegi z przesłuchania, Servaz pomyślał o castingu z udziałem początkującej aktorki, na którym pojawił się Verhagen, i o dwóch pozostałych osobach. O kobiecie, którą rozpoznał, i o tym, co powiedział Schrenkel... Gdy tylko się rozłączył, do biura wpadła Samira.

– Mamy problem. Judith faktycznie wynajmuje kawalerkę w mieście. Ale właśnie dzwonił jej psychiatra. Późnym rankiem zatelefonowała do niego i chciała porozmawiać o rzekomym pobiciu przez Delacroix. Powiedział jej, że rzeczywiście muszą porozmawiać, że w związku z tą sprawą odwiedziła go policja. Jego zdaniem była bardzo zaskoczona i dwa razy kazała mu powtórzyć, czy naprawdę chodziło o policję, a nie o żandarmerię. Roussier i Gadebois przed chwilą rozmawiali z jej sąsiadami, również studentami. Twierdzą, że jakąś godzinę temu widzieli, jak Judith zносиła bagaże do swojej lancii.

– Cholera! – ryknął Servaz. – Roześlijcie list gończy po wszystkich komisariatach i posterunkach żandarmerii w regionie. I zabierzcie Résimonta do akwarium. Zastanowimy się, co z nim zrobić. Muszę zapalić. A potem pozostanie nam już tylko zatrzymać osobę, która za tym wszystkim stoi.

– Judith? Ale przecież mówię, że...

– Nie, tę drugą.

Samira posłała mu nic nierozumiejące spojrzenie.

– Jaką drugą? Przecież to Judith zamordowała Stana Du Welza. Mamy już na to dowody.

– Jak również z całą pewnością Florenta Cuveliera. Ale nie sądzę, żeby to ona zabiła Laugiera.

– Nie? To w takim razie kto?

– Inna kobieta. Która tamtej nocy też przebrała się za pielęgniarkę. Interesująca zbieżność, nie?

Idąc do windy, myślał o tym, co powiedział mu Ezra Schrenkel. Że przy okazji kręcenia filmów Delacroix dochodziło do różnych rzeczy, że zaproszono go do wzięcia w nich udziału, a on w swojej słabości się zgodził. Że był przerażony tym, co zobaczył. Delacroix przy tym nie było. Ale aktor dobrze znał niektórych uczestników.

Znalazłszy się na zewnątrz, wciągnął do płuc naelektryzowane powietrze i zapalił papierosa. Wiatr targał mu włosy. Czuć było ozonem, burzą, ale nie padało. Myślał o Vincencie i po raz kolejny pękło mu serce, o Léi, która miała wrócić do kraju, ale od ostatniej rozmowy nie dała znaku życia, o ich nieżyjącym synu, którego nosiła pod sercem. Myślał o Delacroix, o Judith, o tym, co powiedzieli Ezra i Valek. O strategiach, jakie człowiek rozwija, żeby okłamywać samego siebie i innych, żeby przekonać siebie, że to on jest dobry, a inni są draniami. Żeby znaleźć pozory porządku i logiki w nieuporządkowanym i nielogicznym świecie. Myślał o drapieżcach ukrywających się pod różnymi maskami: sztuki, kultury, twórczości. Myślał o śmierci.

Dostrzegła ich z oddali, na wysokości bramek płatniczych, i wtedy zrozumiała. Zrozumiała, że wszyscy biorą udział w tym samym spisku. Że sięga on jeszcze dalej, niż sądziła. Najwyraźniej filmowiec miał współników nawet na najwyższych szczeblach władzy. Bo samochody oznakowane napisem URZĄD CELNY nie znalazły się tam przez przypadek – były tam ze względu na nią.

Bramka Lestelle-Saint-Martory na A64, autostradzie zwanej la Pyrénéenne, łączącej Tuluzę z wybrzeżem Oceanu Atlantyckiego. Z rozmowy z psychiatrą zrozumiała, że została zdemaskowana. Wywnioskowała to z jego tonu, ze wzmianki o odwiedzinach policji. Działania glin nie mogły mieć związku z jej doniesieniem złożonym na Delacroix, bo tym zajmowała się żandarmeria. Jak trafili na jej ślad? Zawinęła się od razu. Zamierzała jechać przez Hiszpanię, mając nadzieję, że macki Delacroix tam nie sięgają. Ale hydra nie dała jej szansy na dotarcie do granicy. Judith zwolniła, szukając wyjścia.

Ale wyjścia nie było. Jechała autostradą, nie mogła zawrócić. Wpadła. Nie. Za wszelką cenę musi się przedostać przez te bramki. Miała niecałe pięćdziesiąt kilometrów do granicy. Kiedy pokona tę barierę, wystarczy pół godziny, a będzie w Hiszpanii.

Wolno jechała za innymi samochodami. Nad drzwiami samochodu przed nią pochyliła się umundurowana celniczka – wzięła od kierowcy papiery i sprawdzała je. Przy barierce stało jeszcze dwóch funkcjonariuszy, a za nią kolejni. Przez chwilę Judith brała pod uwagę sforsowanie szlabanu. Odmowa zatrzymania się do kontroli. Każdego dnia we Francji zdarzają się dziesiątki takich sytuacji.

Jaka jest szansa, że uciekniesz przed ich supermocnymi samochodami swoją starą lanią, moja droga? Żadna. Spuść głowę, Jude. Bądź naturalna, wyluzowana. Mów jak najmniej. Jesteś zwykłą studentką, która wraca do domu. Kiedy przysza jej kolej, trochę za mocno wcisnęła gaz i rzuciło ją do przodu. Kurwa, Jude, co ty odwalasz?

Zatrzymała się na wysokości celniczki, opuściła szybę. Rozciągnęła usta w niezdarnym szerokim uśmiechu i od razu zdała sobie sprawę, że wygląda on podejrzanie.

– Dzień dobry – przywitała ją kobieta, przyglądając jej się przez uchylone okno.

Krótko ostrzyżona blondynka o niebieskich oczach, którą Judith natychmiast znienawidziła za jej pełną wyższości minę.

– Dzień dobry.

– Czy mogę prosić o dokumenty?

– Oczywiście.

Schyliła się do schowka, próbując opanować drżenie ręki. Nic z tego. Sięgnęła po prawo jazdy i dowód rejestracyjny i odwróciła się do kobiety, modląc się, by ta nie zauważyła jej rozdygotania.

– Dokąd pani jedzie?

– Wracam do rodziców. Jestem studentką, mam pracę na wakacje, ale wzięłam parę dni wolnego, bo mój ojciec jest chory.

– Gdzie oni mieszkają?

– W Saint-Gaudens.

Zaschło jej w gardle. Była pewna, że głos zdradza jej emocje. Kobieta skinęła głową. Spoglądała to na twarz Judith, to na jej prawo jazdy.

– Czego szukacie? – zapytała lekko, żeby przerwać niezręczną ciszę. – Narkotyków?

Na miłość boską, Jude, zamknij się!

Ostatnie słowo natychmiast wzbudziło zainteresowanie celniczki. Wbiła w nią spojrzenie lodowatoniebieskich oczu. Zauważyła jej bladość i podenerwowanie.

– A czemu pani pyta? Przewozi pani jakieś substancje psychoaktywne?

– Co? Nie, oczywiście, że nie! Jeżeli chcecie, możecie poszukać!

Serce waliło jej tak mocno, że była pewna, że je słyszą.

– Tak właśnie zrobimy – odparła spokojnie celniczka. – Proszę zjechać tutaj – dodała, gestem przywołując kolegów.

Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w ich mundury. Na wszystkich wyhaftowane było logo: rozek myśliwski, a nad nim kula i płomień. Co ten symbol oznacza? Była pewna, że ma jakiś ukryty sens. Słyszała wymianę zdań, trzask krótkofalówek. Rozmawiali o niej. Ale z kim?

Z całą pewnością nie przez przypadek znaleźli się tutaj, na tej autostradzie, na tej bramce. Wszystko do siebie pasowało. To jasne, dostali rozkazy. Morbus jest potężny. W końcu jego data urodzenia to szósty zero szósty siedemdziesiąt sześć. Jeszcze jeden znak. Nie, nie zrobią mi tego, pomyślała. Nie mnie...

Miała wybitny talent do odkrywania ukrytych pod powierzchnią tajemniczych powiązań, których inni nie widzieli, a one przecież istniały, mieli je pod nosem. Wystarczyło umieć połączyć A z B, potem B z C i tak dalej... Dlaczego ludzie są tacy naiwni, tacy łatwowierni? Jest jednak sporo forów i stron internetowych, na których prawda wychodzi na jaw. Przecież w mediach społecznościowych i książkach mówi się o tych wszystkich zbrodniach, niesprawiedliwościach i spiskach przeciw ludzkości.

Od czasu do czasu celnicy zerkali na nią przez przednią szybę. Musieli wiedzieć, że przejrzała ich na wylot. Byli poinformowani. Wet za wet, postanowiła, że też będzie się na nich gapić z prowokacyjnym uśmiechem, który mówił: wiem, kim jesteście i co robicie, nie nabierzecie mnie na swoje sztuczki, zdemaskowałam was.

– Judith Janssen właśnie została zatrzymana na bramce autostrady A64 w Lestelle-Saint-Martory przez brygadę nadzoru wewnętrznego wydziału kontroli celnej z Frouzin – poinformowała Samira, wchodząc do biura. – Jej nerwowość zwróciła ich uwagę, więc postanowili sprawdzić najnowsze listy gończe. Szybki refleks. Tym razem mieliśmy szczęście.

Tak, pomyślał Servaz. Najwyższy czas, żeby koło fortuny się obróciło.

Servaz jechał przez las. Wąska, kręta szosa była śliska od wilgoci i opadłych liści z poprzedniej jesieni. Po drodze trafili na potężną ulewę, ale już nie padało. Tylko z gałęzi drzew woda z głośnymi pacnięciami spadała na dach samochodu.

Powietrze było ciężkie, upalne, lepkie, a góry tego wieczoru malowały się przed nimi w wyjątkowo czarnych barwach. Bezdeszczowa pogoda w tym regionie zdarzała się rzadko, nawet latem. Była to kraina deszczu, ciszy i tajemnic. Kraina, do której wstrząsy tego świata docierały w postaci zamortyzowanej, przefiltrowanej przez wieki cierpliwości, i Servaz pomyślał, że być może kiedyś znajdzie tu schronienie, tak jak zrobił to Delacroix. Przejechali przez biegnące przecinką nieczynne tory kolejowe z podsypką porośniętą jeżynami, mchem i samosiejkami akacji i kawałek dalej wynurzyli się z lasu.

– Jest stacja benzynowa, tam – powiedziała Samira.

Zaparkował między sklepem a dystrybutorami. Wysiadając z samochodu, spojrzał na sunące po łupkowoszarym niebie chmury, których strzępki zahaczały o szczyty gór o zboczach obleżonych przez las przypominający czarną armię duchów. Powietrze u schyłku dnia było gorące, unosił się w nim zapach poszycia leśnego i burzy.

W sklepie, w którym powitało ich nieufne spojrzenie stojącego za kasą mężczyzny, paliły się wszystkie światła. Weszli do damskiej toalety. Samira od razu zauważyła napis, o którym Judith wspomniała w swoim dzienniku:

JULIETTE, TY CIEKAWSKA ŚWINTUCHO

Juliette, nie Judith... Słowa skierowane były do innej kobiety, ale Judith Janssen wzięła je do siebie.

– Co pan tu robi? – odezwał się głos za ich plecami. – To damska toaleta, nie męska.

Servaz pokazał legitymację i mężczyzna odszedł, mamrocząc pod nosem coś o policji i nadużyciach władzy.

Ruszyli w dalszą drogę. Martin stwierdził w duchu, że jeśli człowiek wszędzie szuka znaków, to je w końcu znajdzie. Każda zbieżność wzmacnia nasze przekonanie, że istnieje jakiś ukryty sens, jakaś informacja, którą tylko my widzimy, a inni są na nią ślepi.

– Stop! – zawołała Samira, która przeczesywała wzrokiem pobocza.

Zahamował.

– Cofnij.

Wykonał polecenie, powoli zjeżdżając tyłem po zboczu.

– Tutaj będzie okej, dzięki.

Wysiadła z samochodu i ruszyła ku strzelistym drzewom rosnącym przy drodze po drugiej stronie rowu. Nie wyłączając silnika, poszedł w jej ślady.

Wyjęła telefon i przełączyła go w tryb latarki, by lepiej oświetlić chropowaty pień porany głębokimi bruzdami, który wcześniej mignął jej w blasku reflektorów.



Rzeczywiście, krzyż – ale nie odwrócony, jak napisała Judith, i nie z jej inicjałami. Jeszcze jedna z niezliczonych sztuczek dotkniętego apofenią mózgu, który igrał ze zwodniczymi dowodami, konstruując własną narrację. Na ułamek sekundy las rozświetlił widmowy blask błyskawicy. Wrócili do samochodu.

U wylotu zielonego tunelu ukazał się dom Delacroix. Servaz miał wrażenie, że choć był jeszcze dzień, niebo pociemniało. Gdy wysiadał z auta, uświadomił sobie, że powietrze jest dziwnie ciężkie i wilgotne. Liśćmi bluszczu na fasadzie nie poruszał najdrobniejszy nawet powiew wiatru. Niebo przecinały milczące błyskawice. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Nacisnęli na dzwonek i usłyszeli jego dźwięk rozchodzący się po budynku, ale nikt do nich nie wyszedł. Z Samirą depczącą mu po piętach przeciął przypominający kaplicę wyłożony drewnem hol i wyszedł na korytarz, ale po chwili zamarł w bezruchu.

Na podłodze, około dwunastu metrów dalej, zobaczył czarny kształt. Poczuł, że jego nerwy są napięte do granic możliwości. Samira wyjęła broń z kabury. Kiedy szybkim krokiem ruszył w tę stronę, nie mógł powstrzymać dreszczu. Domyślił się, że to pies. Duże zwierzę leżało na boku, jego klatka piersiowa była nieruchoma. Nie żyło. Martwe oczy i koniec różowego języka wystający z płaskiego pyska. Nie było śladów krwi ani ran. Zwierzę musiało zostać otrute.

– Ona to zrobiła – odezwał się ponury głos.

Servaz podniósł wzrok. Morbus Delacroix, w szlafroku, stał przed nimi w korytarzu i płakał jak dziecko.

– Zabiła swoje psy i sama też wkrótce się zabije. Nie chciała, żeby zostały bez niej. Oglądałem film, nie miałem pojęcia, co się dzieje. Wiedziała, że jesteście w drodze. Nie wiem skąd.

Servaz zadrżał. Delacroix wyglądał na absolutnie zdruzgotanego. Był jeszcze bledszy niż zwykle, wręcz trupiobladły, miał zaczerwienione brzegi powiek i zupełnie bezbarwne usta.

– Nic już nie możecie zrobić – powiedział. – Jest za późno.

Odwrócił się i powoli ruszył przed siebie, jakby chciał, żeby szli za nim. Więc poszli. Servaz pomyślał o Vincencie i wściekłość rozlała się po jego mózgu jak plama tuszu. Spojrzał na Samirę – w jej czarnych oczach lśnił gniew.

Delacroix pchnął jakieś drzwi z boku i ruszyli w dół po stopniach. Ta część domu musiała zostać wykończona niedawno, ponieważ schody były zrobione z pomalowanego na biało betonu, ściany pachniały świeżą farbą, a piwnica lśniła nowością. Zeszli do jasno oświetlonego korytarza. Servaz wyczuł unoszący się w powietrzu lekki zapach chloru i zauważył tańczące na suficie tęczowe odbłaski, a po chwili za przeszkloną ścianą ujrzął okazałych rozmiarów podświetlony basen.

Podszedł do krawędzi i zatrzymał się osłupiały. Pomyślał, że nigdy nie zapomni tego widoku, podobnie jak widoku ciała Vincenta w rowie z gnojówką. Pośrodku basenu na dmuchanym fotelu – różowym ustrojstwie złożonym z licznych wałków, do tej pory widział takie tylko w filmach – siedziała Artemisia Delacroix. Na ramiona miała narzuconą czarną pelerynę z kapturem, a pod nią czarną bieliznę. Zgrabnymi nogami rytmicznie uderzała w wodę, wzbudzając drobne fale.

Pomieszczenie było pogrążone w półmroku, światło dochodziło tylko z basenu i z korytarza. Twarz kobiety podświetlona była od dołu i widok ten skojarzył się Servazowi ze sceną z *Carrie*, jednego z nielicznych horrorów, które w życiu widział.

Zamarł na dłuższą chwilę oszołomiony, sparaliżowany, z oczami utkwionymi w tym zjawisku, scenie żywcem wyjętej z filmu grozy. Bo twarz Artemisii była pokryta krwią, zresztą nie tylko twarz: także ramiona, piersi, brzuch – całe ciało zalewała krew z dziesiątków małych nacięć zrobionych cutterem, który kobieta trzymała w prawej dłoni; krew wypływała przypominającymi sos truskawkowy strużkami na fotel i ściekała do basenu, tworząc coraz większą szkarłatną plamę.

Ale to nie wszystko... W jej lewej ręce tkwiła zapalniczka, a nad nią unosił się płomień. Mały, żółty, delikatny, rozchwiany. Zapalniczka była pozłacana. Servaz miał wrażenie, że krew Artemisii wygląda w tym świetle jakoś dziwnie oleiście, podobnie zabarwiona na czerwono woda wokół fotela. Że mieni się tłustymi, tęczowymi refleksami. Wtedy poczuł zapach benzyny i zauważył unoszący się za fotelem kanister. Spojrzał niepewnie na Samirę.

– Artemisio, proszę cię! – załkał Delacroix. – Nie rób tego!

Ale kobieta nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Patrzyła na Martina i Samirę.

– Wiedziałam, że przyjdziecie – powiedziała słabym głosem i Servaz zaczął się zastanawiać, ile krwi już straciła.

– Godzinę temu postawiłam tarota. Karty powiedziały mi, że jest pan w drodze. Zobaczyłam pana, komendancie. Pana karta to trzynastka. Arkan bez nazwy. Zwiastuje śmierć. Jej kosa jest ostra, a działanie ostateczne. To karta, która zachęca, żeby nie uchylać się przed tym, co nieuchronne.

– A pani? Którą pani jest kartą? – zapytała łagodnie Samira.

Servaz zauważył, że jego zastępczyni dyskretnie się rozgląda. Podobnie jak on szukała wyjścia. Zastanawiał się, na czym polega sztuczka. W jaki sposób Artemisia zdołała przewidzieć ich przyjazd, wybrać właściwy moment, by zabić psy, okaleczyć się i połać benzyną.

– To oczywiste – powiedziała kobieta z uśmiechem na ustach zbroczonych krwią, która wyglądała jak szminka. – Jestem Diabłem. To arkan wszelkiego bezprawia. W tarocie marsylskim Diabeł jest postacią męską. Jego magnetyzm pozwala mu zdobyć władzę, podporządkować

sobie innych i nimi manipulować. Swój błyskotliwy umysł i wolę wykorzystuje wyłącznie do zaspokajania własnych żądz. A jego żądze nie mają granic. Takie właśnie żądze miał Kenneth i inni członkowie naszego małego... bractwa. Nie wyobraża pan sobie, komendancie, jak wielu ludzi fantazjuje o władzy, bogactwie i seksie; byliby zdolni do najgorszych czynów, gdyby w zamian mogli zaspokoić te fantazje, oczywiście jeśli mieliby pewność, że nie zostaną złapani. Oni, rzecz jasna, nigdy nie zrealizują swoich fantazji. Ale my nie poprzestawaliśmy na fantazjowaniu.

– My? – zapytał.

– Kenneth Zorn, garstka innych i ja...

– To pani zabiła Matthiasa Laugiera?

Skinęła głową. Zamrugła. Z trudem podniosła głowę, która po chwili znowu opadła. Była coraz słabsza. Kiedy wypuści z ręki zapalniczkę, benzyna się zapali. Zarechotała pogardliwie.

– Biedny Matthias, miał wyrzuty sumienia. Bał się, że umrze, zaczął nawet wierzyć w Boga. Chciał odkupić swoje grzechy, ujawniając się. I wsypując nas. Zawsze był słaby. Jak pan do nas dotarł, komendancie?

Servaz miał wrażenie, że jest cały mokry od potu i że jego serce nie mieści się już w klatce piersiowej, choć wciąż bije, podczas gdy on nie jest w stanie się ruszyć.

– Judith Janssen alias Tallandier – odpowiedział. – Studentka, którą tutaj gościliście. Z powodu zaburzenia psychicznego o nazwie apofenia Judith wszędzie widzi znaki i wymyśliła sobie historię na temat śmierci swojej matki, historię, która rzekomo wydarzyła się podczas zdjęć do filmu *Orfeusz albo spirala zła* i zgodnie z którą pani mąż ją zabił. Chcąc pogrążyć jego oraz jego rzekomych współników, nie wahała się torturować i zabijać. Jednak mordując dwóch członków ekipy filmowej, których podejrzewała o współudział, a przynajmniej o bycie świadkami tej domniemanej zbrodni, doprowadziła do uruchomienia śledztwa i naprowadziła nas na trop prawdziwych zbrodni, równie przerażających jak ta wyobrażona przez Judith, których listę właśnie sporządził dla nas Valek w paryskiej siedzibie policji. Zbrodni, których dopuszczała się pani z przyjaciółmi. Andreas Verhagen oczywiście się wybiela, twierdząc, że jego rola sprowadzała się jedynie do wybierania ofiar do waszych sadystycznych zabaw, że nie wiedział, co się z nimi działo potem...

– To nie były zabawy – poprawiła go w nagłym przypływie energii. – Wszystko zaczęło się na studiach, ponad dwadzieścia lat temu. Kenneth i ja byliśmy przyjaciółmi. Nie nazywał się jeszcze wtedy Zorn, lecz Kern. Naszym wspólnym konikiem były okultyzm, ezoteryka, spirytyzm, te sprawy. Rzeczywiście zaczęło się od zabaw dwójki studentów: magia seksualna, czarne pseudomsze, stawianie tarota, wirujące stoliki, rozumie pan. Zapraszaliśmy kolegów, żeby do nas dołączyli. Robiliśmy to dla beki. Przynajmniej na początku. Bo z czasem zaczęliśmy w to wierzyć. Studiowaliśmy wszystko, co nam wpadło w ręce. Alistaira Crowleya, ale też Marię de Nagłowską, Juliusa Evolę, historię Golden Dawn, Ordo Templi Orientis, Eliphasa Lévięgo, satanizm, hermetyzm, orfizm... Oddawaliśmy się najbardziej zdeprawowanym praktykom seksualnym. Wiara tworzy magię, a magia z kolei karmi wiarę...

Servaz słuchał i zastanawiał się. Złość bynajmniej go nie opuściła. Ale wściekając się na kompanów tej kobiety za to, co zrobili Vincentowi, jednocześnie desperacko poszukiwał sposobu, żeby jej uniemożliwić złożenie z siebie ofiary całopalnej.

– Kenneth był błyskotliwy, ciekawy, całkowicie wyzuty z sentymentalizmu i słabości, tak jak ja, komendancie. Było między nami niesamowite pokrewieństwo moralne i filozoficzne. To właśnie dzięki naszym rozmowom i doświadczeniom ten projekt nabrał kształtu. Nie chodziło już o zwykłe orgie, ale o skomplikowane, wymagające, niebezpieczne rytuały. Bardzo szybko zdaliśmy sobie sprawę, że potrzebujemy do nich niewinnych obiektów z zewnątrz, pięknych młodych kobiet, i to Kenneth wpadł na pomysł, żeby do szukania świeżej krwi, wyłapywania tych najbardziej bezbronnych, najbardziej podatnych na manipulację i najposłuszniejszych wykorzystać castingi.

Pochyliła głowę i wyglądała, jakby miała stracić przytomność. Servaz wpatrywał się w żółto-niebieski płomyk. Ale zapalniczka się zamknęła i płomień zniknął. Odetchnął. Kobieta podniosła zakrwawioną twarz i spojrzała na nich takim wzrokiem, jakby właśnie przebudziła się ze snu.

– W trakcie rytuałów odurzaliśmy je i robiliśmy z nimi najróżniejsze rzeczy, wmawiając im, że rytuał otwiera im drogę do sukcesu i chwały. Wszystkie tak bardzo pragnęły sławy... Z biegiem lat nasza „religia” stawała się coraz bardziej zawiła i było w niej coraz więcej przemocy. Byliśmy jak ćpuny, potrzebowaliśmy coraz mocniejszych doznań. Wie pan,

komendancie, że krew i sperma to płyny, które mają potężną rytualną moc? Za każdym razem wprowadzaliśmy do naszego kręgu wtajemniczonych nowe osoby, wpływowych, potężnych, zblazowanych ludzi, którzy spróbowali już wszystkiego: szefów dużych firm, polityków, a także ludzi kina, z którymi pracował Kenneth, takich jak Matthias, ale bardzo niewielu aktorów. Kenneth im nie ufał, uważał, że są zbyt egocentryczni, zbyt gadatliwi. Oczywiście zdarzyło się kilka wypadków... Przekonywaliśmy ofiary do milczenia albo pieniędzmi, albo uciekając się do przymusu i gróźb. To były inne czasy. Wszystko było wtedy o wiele łatwiejsze...

Martin poczuł dreszcz przerażenia połączonego z niedowierzaniem. Co za apetyt na przemoc, na zniszczenie! Tortury, gwałty, okaleczenia. Morderstwa. Jak daleko ci ludzie potrafili się posunąć w swoich potwornościach? I zabili Vincenta...

– Aż pewnego dnia w ramach castingu znaleźliśmy idealny, doskonały obiekt.

Servaz kątem oka obserwował Samirę. Zaczęła się powoli przesuwac wzdłuż krawędzi basenu. Dokąd ona się wybiera? Co jej przyszło do głowy?

– Miała na imię Mia. Nie tylko była piękna, miała w sobie też tę czystość, wewnętrzne światło, coś, co ma bardzo niewiele aktorek. Można by rzec: anioł. Nie miała wielkiego talentu aktorskiego, ale my nie szukaliśmy dobrej aktorki. To Valek ją wyhaczył. Od razu zrozumieliśmy, że to na nią czekaliśmy.

Artemisia spojrzała przelotnie na Samirę, która natychmiast znieruchomiała. Potem znowu zwróciła wzrok na Servaza. A Samira, nie spuszczać jej z oczu, zaczęła się przesuwac dalej.

– Z Mią posunęliśmy się w naszym rytuale tak daleko jak nigdy dotąd. Mężczyźni się rozszałeli. Ciemne moce również. Nigdy niczego podobnego nie czułam. Jakby otworzyły się drzwi do innego świata, do piekła... Jakbyśmy uwolnili jakiegoś potężnego demona. Po raz pierwszy byłam całkowicie owładnięta, przeniknięta tak lubieżną energią. I widziałam, że z innymi jest podobnie. Byli dosłownie w transie. Pamiętam, że był z nami wtedy jeden polityk, szef pewnej partii, gość, który ma gadane na mównicy, ale tamtej nocy był przerażony jak mały chłopiec.

Zaśmiała się nieprzytomnie, kołysząc głową. Martin przypomniał sobie słowa Delacroix: „Zgadzam się z panem. Dzieje się coś, co ma związek

z *Orfeuszem* i moimi filmami, podobnie jak pan nie wiem, o co chodzi, ale konsekwencje tego właśnie obserwujemy”.

– Kiedy rytuał się skończył – ciągnęła Artemisia, zebrawszy siły – Mia nie żyła. Nie wiem, co ją wykończyło: narkotyki, przerażenie, krwotok wewnętrzny z powodu doznanych obrażeń czy po prostu ta potworna istota, którą uwolniliśmy.

Zaschło mu w ustach. Na granicy pola widzenia zobaczył Samirę – była coraz bliżej Artemisii.

– Jak pozbyliście się ciała? – zapytał z ciekawości, ale też po to, by odwrócić jej uwagę.

– Bardzo łatwo. Gdzie ukryć kamyk? Na plaży. Gdzie schować trupa? Na cmentarzu. Przy współpracy sówicie opłaconego pracownika krematorium obróciliśmy jej ciało w proch i rozsypaliśmy.

Servaz zaczął się zastanawiać, ile krematoriów we Francji zostało już wykorzystanych w celach kryminalnych.

– To się działo naprawdę – powiedziała z naciskiem Artemisia. – Nasze rytuały miały moc. Po jednym z nich spotkałam Morbusa i dostałam od niego moją pierwszą rolę. Po innym Kenneth zdobył pieniądze na produkcję *Ceremonii*, a potem *Perwersji*. W miarę jak mieliśmy coraz więcej władzy, pieniędzy i siły, posuwaliśmy się coraz dalej.

W sumie obłęd Judith nie różni się specjalnie od szaleństwa tej kobiety, pomyślał Martin. Obie przejawiają jakiś rodzaj magicznego myślenia, chciałyby widzieć sens tam, gdzie go nie ma. Podobnie jak fani filmów Morbusa widzą w nich coś, czego on tam wcale nie umieścił.

– A potem nadszedł ruch #MeToo... Dziewczyny zaczęły mówić. Zrozumieliśmy, że to koniec, że nasza epoka się skończyła. Oczywiście przestaliśmy, to się stało zbyt ryzykowne. I niby przez przypadek nasza władza i zyski się skurczyły, a sukcesy stały się coraz rzadsze. To wtedy postanowiłam zakończyć karierę aktorską. Już mnie to nie bawiło.

Samira dotarła na wysokość unoszącej się w basenie Artemisii, która znajdowała się teraz cztery metry od niej.

– Nie musi pani tego robić! – zawołał, przewyciężając swoją wściekłość.

– Oczywiście, że muszę. Bo zostanę skazana nie tylko za okrucieństwa, które w oczach tego świata popełniłam, ale też za mój sposób myślenia, za to, co sobą reprezentuję, za to, kim jestem. Czy Izyda i Ozyrys, Śiwa,

Wisznu, Zeus i Pan, Thor i Freja, Abraham i Jezus byli fikcją czy rzeczywistością dla tych, którzy żyli w ich czasach, komendancie? Pańskim zdaniem nasze nowe religie są prawdziwe? We wszystkich epokach polowało się na heretyków, wolnomyślicieli, prześladowało, zabijało fizycznie i moralnie w imię tej czy innej wiary. Niech się pan zastanowi, kim są dzisiaj nowi inkwizytorzy, fałszywi cnotnisie, nowi kaci. To już nie jest mój świat, komendancie. – Zamknęła oczy, pochyliła zakrwawioną twarz, po czym znowu ją podniosła i otworzyła oczy. – Niech pan posłucha – mówiła dalej, wreszcie kierując wzrok na męża. – Morbus nigdy nie brał w tym udziału. O niczym nie wiedział. To dziecko, które bawi się swoimi zabawkami. Nie miał pojęcia, że wykorzystujemy castingi do rekrutowania nowych obiektów. Był kompletnie nieświadomy. Tak, wiedział o mojej fascynacji okultyzmem i że spotykam się z osobami o podobnych zainteresowaniach, ale nigdy nie próbował dowiedzieć się więcej. Dla niego liczy się tylko kino. Nic poza tym.

Skorzystał z okazji i ukradkiem spojrział na Samirę. Wpatrywała się w Artemisę, trzymając dłoń na kaburze.

– Po co ta cała inscenizacja? – zapytał, z gardłem suchym jak wiór.

Tym razem odpowiedział Delacroix.

– Artemisia zawsze uważała, że jej najlepszą rolą była rola wiedźmy w *Erzebet*. Była z niej bardzo dumna. – Jego głos brzmiał nieskończenie smutno. – Zna pan legendę o węgierskiej hrabinie Elżbiecie Batory? W moim filmie Artemisia gra wiedźmę, która przekonuje ją, że kąpiąc się we krwi młodych dziewczyc, zachowa wieczną młodość. W ostatniej scenie filmu po schwytaniu hrabiny mieszkańcy miasteczka kamienują wiedźmę, a potem prowadzą ją na stos. To jedna z najpiękniejszych scen, jakie nakręciłem.

– Morbus to geniusz – podjęła Artemisia. – Jest najbardziej niezwykłą osobą, jaką znam. Ta inscenizacja jest na jego cześć, bo jego filmy przetrwają... i dzięki nim ja też przetrwam. Ponieważ świat jest pełen ludzi, dla których takie pojęcia, jak wielkość czy geniusz są pozbawione sensu. Ponieważ wielcy artyści, tacy jak Morbus, zostają zrozumiani dopiero kilkadziesiąt lat później, a mój czyn będzie częścią jego legendy. Naszej legendy. Poza tym, komendancie, ogień oczyszcza, ogień wywyższa – dodała, znowu otwierając zapalniczkę i uwalniając płomień. – Czy wie

pan, że w trakcie rytualnych kremacji ogień jest pośrednikiem, który przenosi ze świata żywych do świata umarłych?

Servaz się nie poruszył, tylko na nią patrzył, zaskoczony własnym stuporem, niezdolnością do reakcji. I osobliwą logiką tego wszystkiego, czego był świadkiem. Bardziej się domyślił, niż zobaczył, że Samira, która wyjęła broń, celuje do aktorki. Przez chwilę zastanawiał się, czy ma zamiar ją zastrzelić, żeby oszczędzić jej straszliwej śmierci w płomieniach.

Zamiast tego jednak jego zastępczyni trzykrotnie strzeliła do wypełnionych powietrzem wałków fotela, kilka centymetrów od Artemisii. Pociski przebiły tworzywo i z krótkim bulgotaniem opadły na dno basenu. Ogłuszający huk wystrzałów odbił się echem od ścian, wywołując ból bębenków. Martin zobaczył, jak Delacroix podnosi dłonie do uszu. Powietrze z wałków po jednej stronie fotela natychmiast uleciało i Artemisia, straciwszy równowagę, wpadła do wody.

W zetknięciu z płomieniem zapalniczki oleista plama natychmiast zajęła się ogniem. Ale kobieta zniknęła już pod powierzchnią. Servaz zobaczył, jak Samira w pełnym rynsztunku skacze do basenu i energicznymi, płynnymi ruchami płynie pod wodą ku aktorce, która – otrzeźwiona przez kontakt z wodą, a może przestraszona płomieniami – usiłowała wydostać się z pułapki. Wynurzyły się w pewnej odległości od ognia i płynęły razem do brzegu.

Policjantka pchnęła Artemisję w stronę kucającego na krawędzi Servaza, który wyciągnął ją z wody, po czym sama wyszła na brzeg.

– Niech pan przyniesie jakieś szlafroki, ręczniki i opatrunki, szybko! – zawołała do Delacroix.

Reżyser wyglądał, jakby ocknął się z letargu. Wybiegł galopem. Servaz zadzwonił po pomoc. Policjantka pochyliła się nad leżącą na kafelkach Artemisją, która wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć, i dwukrotnie ją spoliczkowała. Bardzo mocno.

– Nie wywiniesz się z tego tak łatwo, szmato – warknęła, kiedy kobieta otworzyła oczy. – Przez ciebie zginął mój przyjaciel. Nie masz prawa teraz zdechnąć, jasne? Nie pozwolę ci!

– Skąd ona wiedziała, że jedziemy?

Samira stała przy samochodzie, owinięta w koc ratunkowy, który lśnił w blasku kogutów. Reżyser pożyczył jej suszarkę do włosów, zmieniła też przemoczone buty na suche.

– To proste – odpowiedział. – Ktoś musiał ją poinformować, że Valek i Arkhane zostali zatrzymani, więc domyśliła się, że Valek zaraz wszystkich wsypie. Z łatwością wydedukowała, że ma raptem kilka godzin.

Samira wolno pokiwała głową, ale nie wyglądała na przekonaną. Pnie okolicznych drzew mieniły się od różnokolorowych świateł samochodów ratunkowych i radiowozów.

– Ale pocięła się dopiero tuż przed naszym przyjazdem, a wcześniej jeszcze musiała otruć psy. Skąd wiedziała, że przyjedziemy akurat w tym momencie? Nie później albo nawet następnego dnia? Jeszcze pół godziny, a zastalibyśmy ją martwą. A gdybyśmy się pojawili wcześniej, nie zdążyłaby tego wszystkiego zrobić. Doskonały timing.

Servaz uśmiechnął się mimo woli.

– A ty jak myślisz? Że wyczytała to w kartach tarota, tak?

Rzuciła mu słodko-gorzkie spojrzenie. Poczul w kieszeni wibracje telefonu. Odebrał połączenie i wysłuchał wyjaśnień z laboratorium. Samira zobaczyła, że Martin jest wstrząśnięty.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Gdzie jest Delacroix?

– W środku. Dlaczego pytasz?

Po górach przetoczył się donośny grzmot. Servaz nie odpowiedział, tylko ruszył w stronę ganku i wbiegł po schodkach.

– Kurwa, Martin, możesz mi powiedzieć, co jest grane?! – zawołała za nim.

Odwrócił się, powiedział jej i zniknął w środku.

O szlag, pomyślała.

Z sali kinowej dochodził kobiecy głos. Drzwi były szeroko otwarte i na obity czerwona tkaniną korytarz padało pulsujące światło. Servaz wszedł do środka.

Delacroix siedział na tym samym miejscu co ostatnio. Z fotela w pierwszym rzędzie wpatrywał się w twarz Clary Janssen. Nie tej zagubionej, spłoszonej, rozczochranej Clary ze zdjęć Maximiliena Renna, ale Clary niewiarygodnie pięknej, smutnej, tajemniczej, która często gościła na pierwszych stronach gazet. Tej, którą wychwalano pod niebiosa, którą uwielbiała publiczność, którą prasa zasypywała pochwałami do czasu, aż zaczęła bezlitośnie szperać w jej życiu prywatnym, by nakarmić miłośników plotek tak przez nich wyczekiwaną papką podglądactwa i skandali. Jej twarz na ekranie miała rozmiary witrażu w katedrze. Rozmawiała z kimś, kto stał odwrócony plecami do kamery. Kiedy miała się odezwać, Delacroix zatrzymał odtwarzanie.

– Jeszcze pan tutaj jest, komendancie? Czy Artemisię już zabrali?

– Tak – odparł Servaz, schodząc po stopniach. – Dostałem wyniki badań DNA z miejsc zbrodni. Wykazały, że Judith Janssen była nie tylko w pokoju Stana Du Welza, ale również w mieszkaniu pana byłego dźwiękowca Florenta Cuveliera. Jest w tej chwili przesłuchiwana w wydziale policji kryminalnej w Tuluzie. Ale jest coś jeszcze...

Delacroix zwrócił się w jego stronę. W oczach reżysera malowała się mieszanka łagodności i smutku, która ścisnęła Servaza za serce.

– Wie pan, co to są centymorgany? – zapytał Martin.

– Nie.

– Dzięki nim można ustalić pokrewieństwo genetyczne między dwiema osobami. Służą do określania, które fragmenty DNA te osoby ze sobą dzielą. Im dłuższe są wspólne fragmenty, tym większe prawdopodobieństwo, że wspólny przodek jest nam bliższy w czasie.

– Do czego pan zmierza, komendancie?

– Gdy pan i Judith byliście zatrzymani, pobrano od was próbki DNA. Właśnie przyszły wyniki badań. Judith Janssen jest pańską córką.

Nie widząc u reżysera żadnej reakcji, Servaz zastanawiał się, czy nie powinien powtórzyć. A potem zobaczył w kąciku jego oka jedną jedyną łzę, która po chwili potoczyła się po bladym policzku.

– Dziękuję, komendancie.

I to wszystko. Wypowiedziane słabym głosem „dziękuję”, które oznaczało również „żegnam”. Servaz skinął głową i ruszył do wyjścia. Gdy był w połowie schodów, z głośników rozległ się delikatny, eteryczny, szlachetny głos Clary Janssen: „To koniec, Johnny... Co to było? Historia? Sen? Magiczna sztuczka? Oszustwo? Czy tajemnica ukryta w mroku?”.

Odwrócił się. Zdążył zobaczyć, jak na twarz aktorki wjeżdża słowo KONIEC, a potem po jej pięknych, nieruchomych rysach zaczęła się przesuwać tyłówka.

– „Montaż to dawanie życia martwym obrazom” – rzucił Delacroix ze swojego fotela. – Tak powiedział Robert Bresson. Dobrej nocy, komendancie.

Martin wyszedł bez słowa.

Epilog

Muzyka. Last Shadow Puppets, The Strokes, Gutter Twins, War on Drugs. Servaz nie znał żadnego z tych zespołów. Indie rock był dla niego językiem obcym, z którym nie miał nic wspólnego.

Ale obrazy, które przesuwały się po ekranie, były mu dobrze znane. Vincent wznoszący toast podczas jakiejś bibki na komisariacie. Vincent na plaży w towarzystwie małych Flaviena i Megan, budujący najwspanialsze zamki z piasku. Vincent solo, uśmiechnięty – z całą pewnością za obiektywem stoi Charlène – przed niebieskimi domami w Dźodhpurze. Jeszcze raz Vincent z dziećmi. I Vincent z Charlène.

Sala pożegnań przy krematorium w Cornebarrieu – jedynym w aglomeracji tuluskiej – oficjalnie mogła pomieścić trzysta osób. Servaz założyłby się, że przyszła ponad setka. Dziewięćdziesiąt procent zgromadzonych stanowili policjanci. Funkcjonariusze ze wszystkich wydziałów i wszystkich jednostek w mieście.

Przyjechali nawet starzy wyjadacze z komisariatu – ci, którzy na początku nabijali się z Vincenta i jego „zniewieściałych” manier. A także mer. I prefektka. Michèle Saint-Hamon w opiętym mundurze przyciągała wzrok. Gdy wchodziła, Servaz ściągnął ją wzrokiem, a ona odpowiedziała mu dyskretnym, porozumiewawczym, niemal intymnym gestem, który go zaskoczył. W centrum uwagi znalazła się również Charlène. Miała wilgotne oczy, a w dłoni trzymała zwiniętą chusteczkę. Po obu stronach matki siedzieli chrześniak Servaza Flavien i Megan. Zauważył, że ilekroć zerkał w ich kierunku, odwracali wzrok. Charlène przeciwnie, spojrzała na niego tak lodowatym wzrokiem, że ścisnął mu się żołądek.

Servaz zajmował miejsce w ostatnim rzędzie, obok Samiry. Nie mógł się powstrzymać od obserwowania reakcji przybyłych osób. Smutek, gniew, strach. W tych czasach bycie gliną oznaczało życie w stałym poczuciu zagrożenia. Ciągłe narażenie na akty irracjonalnej przemocy. W przypadku niektórych policjantów – odpowiadanie na te powtarzające się ataki równie nieokiełznaną agresją. Błędne koło. Spirala.

Myśli kłębiły się w jego głowie. Może było ich za wiele, może były zbyt negatywne. A może czuł się tak zamulony z powodu środków przeciwbólowych, które wciąż zażywał. Poprzedniego dnia przeszedł operację kciuka. Chirurg powiedział mu, że miał szczęście, bo o mały włos uniknął amputacji. Lekarz nie wiedział, że amputowano mu coś o wiele ważniejszego: jego najlepszego przyjaciela i najlepszego – obok Samiry – członka jego grupy. Amputowano mu wielki kawał jego rzeczywistości.

Uświadomił sobie, że odkąd sprawa została rozwiązana i zamknięta, odkąd jego umysł nie był już tak pochłonięty szczegółami śledztwa, nie zdarzył się ani jeden poranek, żeby po przebudzeniu nie pomyślał o Vincencie. A jednak jego życie toczyło się dalej. Bo ono zawsze toczy się dalej, prawda? I będzie się toczyło, nawet gdy jego już nie będzie – dla tych, którzy żyli obok niego.

Nie znał też piosenki *Where Does Brown Begin* Scotta Walkera ani poprzednich utworów, ale zobaczył, że ten nieskończone melancholijny kawałek wzruszył wiele osób do łez. A kiedy rozległy się melodramatyczne takty *Mishima Closing* Philipa Glassa w wykonaniu kwartetu smyczkowego, miał tak ściśnięte gardło, że musiał mocno zacisnąć powieki, żeby się nie rozpłakać.

Kiedy chciał przytulić Charlène, ta się od niego odsunęła. Jakby się bała, że ją ugryzie. Jakby miał ją czymś zarazić. Zamiast tego zaoferowała mu krótki, suchy uścisk dłoni. Flavien zgodził się, żeby Martin go przytulił, a Megan odmówiła i spojrzała w inną stronę. Co sobie powiedzieli? Że Vincent zginął z jego winy?

Gdy składanie kondolencji dobiegło końca, większość zgromadzonych opuściła budynek i rozeszła się do samochodów. Pozostała garstka ruszyła za rodziną, by wziąć udział w kremacji. Gdy wchodził do sali kremacji, Charlène odwróciła się do niego.

– Wolałabym, żebyś nie wchodził. Proszę cię, Martin, idź stąd.

Piękne, smutne rysy jej twarzy zastąpiła tak lodowata maska, że stracił dech w piersi. Z pustką w głowie dotarł do wyjścia i szybko zapalił papierosa. Trzęsła mu się ręka. Poczuł, że szok uderza w niego z opóźnieniem. To koniec. Odchodzi z tego zawodu. Rozumiał reakcję Charlène, oczywiście. Być może jej mąż by żył, gdyby Martin nie zostawił

go w Paryżu samego. Ale czy fakt, że ją rozumiał, w jakiś sposób mu pomagał? Ani trochę. Chciałby, żeby Léa była teraz przy nim.

Usłyszał jakiś dźwięk i odwrócił głowę. Spojrzał na wolno wznoszącego się airbusa A320. Do lotniska miał stąd mniej niż kilometr. Pomyślał, że tutejszym mieszkańcom ten hałas z pewnością nie przeszkadza; krematorium Cornebarrieu mieściło się pośrodku cmentarza.

Samira czekała na niego w samochodzie. Po jej zaczerwienionych oczach poznał, że skorzystała z chwili samotności, żeby sobie popłakać. Już miał otworzyć drzwi od strony pasażera, kiedy jego telefon wydał dźwięk przychodzącej wiadomości.

Zdjęcie zrobione na lotnisku Roissy-Charles-de-Gaulle z tablicą odlotów, na której wyświetlano między innymi lot Paryż–Tuluza. Ememes od Léi... Za kilka godzin wyląduje w tym samym miejscu, z którego startował tamten airbus. Uśmiechnął się. A potem niepokój powrócił. Dlaczego ona wraca? Co zamierza mu powiedzieć? Co się wydarzyło w ciągu tych dwóch lat jej pobytu w Afryce?

Kiedy wsiadł do swojego samochodu na parkingu komendy, rozdzwonił się jego telefon. Nieznany numer, kierunkowy trzydzieści jeden. Holandia. Natychmiast stał się czujny.

– Komendant Servaz?

– Tak, słucham.

Młody mężczyzna. Mówił z lekkim akcentem: Holender albo Niemiec.

– Gerrit Nooteboom. Jestem oficerem łącznikowym Europolu w Hadze.

Europol... Martin czekał na dalszy ciąg. Miał dziwne wrażenie, że wie, co tamten mu powie. Czekał na tę wiadomość od lat. Od zawsze wiedział, że ten dzień w końcu nadejdzie.

– To pan doprowadził do zatrzymania Juliana Hirtmanna, prawda?

– Ja go zatrzymałem – poprawił go.

– Uciekł.

– Co?

Wyłączył silnik. Z zapartym tchem wbił wzrok w przednią szybę.

– Trzy dni temu. Z więzienia w Leoben. Skarżył się na ból w klatce piersiowej. Austriacka policja twierdzi, że został przewieziony do szpitala pod dobrą eskortą. Ale wygląda na to, że tamtejsze służby go nie doceniły.

Drzwi do pokoju pilnował tylko jeden strażnik i wszystko wskazuje na to, że został unieszkodliwiony przez jego współników.

– Chce pan powiedzieć, że się urwał?

– Urwał? Nie rozumiem.

– Nieważne. Trzy dni temu? To znaczy, że może być wszędzie. Dlaczego dopiero teraz mnie pan o tym informuje?

– Znalazłem pana numer w jego aktach, figuruje pan jako „osoba do kontaktu w pilnych sprawach”. A akta dostałem dopiero wczoraj wieczorem. Wygląda na to, że wcześniej nikt nie uznał za stosowne tego zrobić.

Hirtmann na wolności. Dlaczego go to nie zdziwiło? Podziękował holenderskiemu policjantowi i gorączkowo, z sercem walącym jak werbel, zaczął szukać numeru Radomila. Poczta głosowa. Jasna cholera! Z piskiem opon wyjechał z miejsca parkingowego i na pełnym gazie ruszył do bramy. Syrena, kogut. Kurwa, pośpieszcie się! Nie mam czasu!

Jechał zygzakiem między samochodami. Lewa, prawa. Na pasie autobusowym stanęła ciężarówka dostawcza. Kierowca otworzył drzwi od swojej strony, blokując prawie dwa pasy. Na widok samochodu policyjnego na sygnale natychmiast je zamknął i przywarł do kabiny.

Avenue Honoré-Serres, boulevard d'Arcole, boulevard de Strasbourg, rue du Rempart-Matabiau, place Victor-Hugo. Zaparkował przy krawężniku przed budynkiem. Wyłączył syrenę. Jak oparzony wypadł z samochodu. Spojrzał w górę i zobaczył ogromną błyskawicę, z hukiem rozdzierającą ciemne niebo. Jej kształt odbił mu się na siatkówce. Próbował się go pozbyć, mrugając, ale na cokolwiek teraz patrzył, obraz przecinało białe pęknięcie.

Ruszył w górę okratowaną windą i jeszcze raz zadzwonił do Radomila.

– Martin?

– Czy Gustav jest u ciebie? – zawołał.

– Tak, bawi się z Anastasią, a o co chodzi? Co się dzieje?

– Nie ruszajcie się stamtąd, zaraz będę!

Zaniepokojony Radomil powitał go w drzwiach. Wybitny bułgarski muzyk, pierwsze skrzypce tuluskiej Orchestre national du Capitole, z kędzierzawą brodą i długimi włosami wyglądał jak wcielenie artysty

z romantycznej cyganerii. Kruczoczarne brwi i rubaszny głos ze środkowoeuropejskim akcentem dodawały mu swoistego uroku.

– Co się dzieje, Martin?

Powiedział mu. Radomil zbladł. Od dawna wiedział o wyczynach sąsiada. Nie żeby Servaz był w tej kwestii szczególnie wylewny, ale wiedziony ciekawością Bułgar przeczesał Internet w poszukiwaniu artykułów, w których pojawiało się nazwisko Martina, i śledztw, w które był zaangażowany – a było ich sporo. Spośród zaś wszystkich spraw, o których pisano w prasie, z całą pewnością najsłynniejsza była ta, która dotyczyła szwajcarskiego seryjnego mordercy Juliana Hirtmanna.

– Co zamierzasz zrobić?

– Poprosić o ochronę – odparł Servaz. – I nie mieszać do tego ciebie ani Anastasii. Wezmę kilka dni urlopu.

Stał na balkonie i obserwował ulicę. Rzec by można – cisza przed burzą. Jak na czerwcowy wieczór w mieście panował zadziwiający spokój. Może dlatego, że większość studentów wyjechała do rodzin i miała wrócić dopiero z końcem wakacji.

Patrolu ciągle nie było. Havelin obiecał mu, że na noc będzie. Jasne, noc jeszcze nie zapadła, ale nadkomisarz złożył mu tę obietnicę przez trzema godzinami. Dokończył papierosa i wrócił do salonu. W mieszkaniu również panował spokój. Gustav już spał. Nie było słyhać nawet skrzypiec Radomila. Włączył V Symfonię Mahlera, sięgnął na półkę po książkę: René Girard *Sacrum i przemoc*. Zerknął na telefon.

Przez WhatsAppa wysłał kilka wiadomości do Léi – nie wspomniał jej jednak o Hirtmannie, żeby jej nie przestraszyć – ale nie odpowiedziała. Ponieważ komunikator wyświetlił podwójne ptaszki, Martin wiedział, że doszły. Ale nie zostały odczytane. Pomyślał, że chce mu zrobić niespodziankę i bez uprzedzenia zadzwoni do drzwi. Zerknął na zegarek.

21.37. Czuł, że serce bije mu mocniej. Gdzie jest Hirtmann? Krąży po okolicy jak drapieżnik, który wraca na swoje terytorium, czy może zaszył się gdzieś daleko stąd? Pierwsza hipoteza była bardziej przerażająca, ale też dla kogoś takiego jak Martin, który znał Szwajcara lepiej niż ktokolwiek, bardziej prawdopodobna.

Zauważył leżący na stoliku pistolet, podniósł go i wsunął na najniższą półkę biblioteczki zasłoniętą przez sofę. Będzie musiał pomyśleć o tym,

żeby lepiej go schować, gdy wróci Léa, a zwłaszcza kiedy obudzi się Gustav.

21.40. Próbował czytać, ale jego oczy bez żadnego zrozumienia ślizgały się po tekście.

Nagle usłyszał dzwonek. Zerwał się na równe nogi i popatrzył na drzwi mieszkania. Wyłączył muzykę i wyteńczył słuch, ale na piętrze za drzwiami panowała cisza.

Jego puls szalał. Martin schylił się za sofę i wyciągnął broń. Wprowadził pocisk do komory. Wziął głęboki oddech. Wstał i z bronią w ręku podszedł do drzwi. Nasłuchiwał. Cisza. Odsunął rygiel. Otworzył.

– Dobry wieczór, Martin.

CIĘCIE

PIEKŁO KINA

Lista stu pięćdziesięciu filmów grozy w wyborze autora (klasycznych, kultowych, przerażających, przeklętych, chorych, szokujących, perwersyjnych, obłąkanych, pokręconych, strasznych, gore, niepokojących, niezdrowych, skandalicznych – niektóre z nich mogą być naprawdę wstrząsające dla wrażliwego widza).

Gabinet doktora Caligari, Robert Wiene, 1920

Doktor Jekyll i pan Hyde, John S. Robertson, 1920

Czarownice, Benjamin Christensen, 1922

Nosferatu – symfonia grozy, Friedrich Wilhelm Murnau, 1922

Upiór w operze, Rupert Julian, 1925

Upadek domu Usherów, Jean Epstein, 1928

The Cat Creeps, Rupert Julian i John Willard, 1930

Drakula, Tod Browning, 1931

Frankenstein, James Whale, 1931

Doktor Jekyll i pan Hyde, Rouben Mamoulian, 1932

Wyspa doktora Moreau, Erle C. Kenton, 1932

Hrabia Zarow, Ernest B. Schoedsack i Irving Pichel, 1932

Wampir, Carl Theodor Dreyer, 1932

Dziwolągi, Tod Browning, 1932

Białe zombie, Victor Halperin, 1932

Narieczona Frankensteina, James Whale, 1935

Ręce Orlaka, Karl Freund, 1935

Le Comte Lazare, Max Castle, 1938

Ludzie-Koty, Jacques Tourneur, 1942
Wędrowałam z zombie, Jacques Tourneur, 1943
Porywacz ciał, Robert Wise, 1945
Inwazja porywaczy ciał, Don Siegel, 1956
Noc demona, Jacques Tourneur, 1957
Dracula, Terence Fisher, 1958
Psychoza, Alfred Hitchcock, 1960
Oczy bez twarzy, Georges Franju, 1960
Wioska przeklętych, Wolf Rilla, 1960
Voyeur, Michael Powell, 1960
Maska szatana, Mario Bava, 1960
Młyn kamiennych kobiet, Giorgio Ferroni, 1960
Nawiedzony dom, Robert Wise, 1963
Kwaidan, czyli opowieści niesamowite, Masaki Kobayashi, 1964
Dwa tysiące maniaków, Herschell Gordon Lewis, 1964
Wstręt, Roman Polański, 1965
Godzina wilka, Ingmar Bergman, 1967
Noc żywych trupów, George A. Romero, 1968
Dziecko Rosemary, Roman Polański, 1968
Krwawy obóz, Mario Bava, 1971
Nie torturuj kaczuszki, Lucio Fulci, 1972
Egzorcysta, William Friedkin, 1973
Nie oglądaj się teraz, Nicolas Roeg, 1973
Kult, Robin Hardy, 1973
The Legend of Blood Castle, Jorge Grau, 1973
Czarne święta, Bob Clark, 1974
Teksańska masakra piłą mechaniczną, Tobe Hooper, 1974
Carrie, Brian De Palma, 1976
Omen, Richard Donner, 1976

Głowa do wycierania, David Lynch, 1977
Odgłosy, Dario Argento, 1977
Zagubione dusze, Dino Risi, 1977
Wzgórza mają oczy, Wes Craven, 1977
Halloween, John Carpenter, 1978
Pluję na twój grób, Meir Zarchi, 1978
Furia, Brian De Palma, 1978
Obcy – ósmy pasażer Nostromo, Ridley Scott, 1979
Nosferatu wampir, Werner Herzog, 1979
Horror Amityville, Stuart Rosenberg, 1979
Mgła, John Carpenter, 1980
Lśnienie, Stanley Kubrick, 1980
Maniak, William Lustig, 1980
Cannibal Holocaust (Nadzy i rozszarpani), Ruggero Deodato, 1980
Piątek trzynastego, Sean S. Cunningham, 1980
Martwe zło, Sam Raimi, 1981
Opętanie, Andrzej Żuławski, 1981
Coś, John Carpenter, 1982
Duch, Tobe Hooper, 1982
Martwa strefa, David Cronenberg, 1983
Wideodrom, David Cronenberg, 1983
Koszmar z ulicy Wiązów, Wes Craven, 1984
Mucha, David Cronenberg, 1986
Wyznawcy zła, John Schlesinger, 1987
Blisko ciemności, Kathryn Bigelow, 1987
Hellraiser: Wysłannik piekieł, Clive Barker, 1987
Nierozłączni, David Cronenberg, 1988
Laleczka Chucky, Tom Holland, 1988
Drabina Jakubowa, Adrian Lyne, 1990

Candyman, Bernard Rose, 1992
Drakula, Francis Ford Coppola, 1992
Wywiad z wampirem, Neil Jordan, 1994
W paszczy szaleństwa, John Carpenter, 1995
Krzyk, Wes Craven, 1996
Funny Games, Michael Haneke, 1997
The Ring: Krąg, Hideo Nakata, 1998
Łowcy wampirów, John Carpenter, 1998
Blair Witch Project, Daniel Myrick i Eduardo Sanchez, 1999
Gra wstępna, Takashi Miike, 1999
Jeździec bez głowy, Tim Burton, 1999
Stygmaty, Rupert Wainwright, 1999
Ceremonia, Morbus Delacroix, 2000
Anatomia, Stefan Ruzowitzky, 2000
Człowiek widmo, Paul Verhoeven, 2000
Kręgosłup diabła, Guillermo del Toro, 2001
Głód miłości, Claire Denis, 2001
Inni, Alejandro Amenábar, 2001
Puls, Kiyoshi Kurosawa, 2001
Ju-on: The Grudge, Takashi Shimizu, 2002
28 dni, Danny Boyle, 2002
Dark Water, Hideo Nakata, 2002
Perwersje, Morbus Delacroix, 2002
Monstrum, Morbus Delacroix, 2003
Piła, James Wan, 2004
Świt żywych trupów, Zack Snyder, 2004
Zejscie, Neil Marshall, 2005
Hostel, Eli Roth, 2006
The Host: Potwór, Bong Joon-ho, 2006

Oni, Xavier Palud i David Moreau, 2006
Wzgórza mają oczy, Alexandre Aja, 2006
Sierociniec, Juan Antonio Bayona, 2007
REC, Jaume Balagueró i Paco Plaza, 2007
30 dni mroku, David Slade, 2007
Erzebet, Morbus Delacroix, 2007
Martyrs. Skazani na strach, Pascal Laugier, 2008
Pozwól mi wejść, Tomas Alfredson, 2008
Antychryst, Lars von Trier, 2009
Pragnienie, Park Chan-wook, 2009
Ludzka stonoga, Tom Six, 2009
Sierota, Jaume Collet-Serra, 2009
Bloody Games, Morbus Delacroix, 2010
Bedevilled, Jang Cheol-soo, 2010
Serbski film, Srdjan Spasojević, 2010
Ujrzałem diabła, Kim Jee-won, 2010
Naznaczony, James Wan, 2010
Słodkich snów, Jaume Balagueró, 2011
Sinister, Scott Derrickson, 2012
Granice bólu, Juan Carlos Medina, 2012
Obecność, James Wan, 2013
Noc oczyszczenia, James DeMonaco, 2013
The Green Inferno, Eli Roth, 2013
Coś za mną chodzi, David Robert Mitchell, 2014
Gwiazdy w oczach, Kevin Kölsch i Dennis Widmyer, 2014
Widzę, widzę, Veronika Franz i Severin Fiala, 2014
Czarownica: Bajka ludowa z Nowej Anglii, Robert Eggers, 2015
Crimson Peak. Wzgórze krwi, Guillermo del Toro, 2015
Zombie express, Yeon Sang-ho, 2016

Lament, Na Hong-jin, 2016
Mięso, Julia Ducournau, 2016
Split, M. Night Shyamalan, 2016
Under the Shadow, Babak Anvari, 2016
Uciekaj, Jordan Peele, 2017
Dziedzictwo. Hereditary, Ari Aster, 2018
Ghostland, Pascal Laugier, 2018
Ciche miejsce, John Krasinski, 2018
Midsommar. W biały dzień, Ari Aster, 2019
Królowa czarnej magii, Kimo Stamboel, 2019
Niewidzialny człowiek, Leigh Whannell, 2020
Scare Me, Josh Ruben, 2020
Ostatniej nocy w Soho, Edgar Wright, 2021
Smutek, Rob Jabbaz, 2021
Uczta, Lee Haven Jones, 2021
Uśmiechnij się, Parker Finn, 2022

Podziękowania

Ta powieść z pewnością nie powstałaby w obecnej formie, a wypowiedzi Morbusa Delacroix straciłyby na ostrości i precyzyjności, gdybym przed jej napisaniem nie przeczytał kilku nieocenionych prac na temat kina, w tym dwóch niezwykłych książek François Theurela (zapożyczyłem nawet od niego jedno zdanie, które bezczelnie włożyłem w usta jednej z moich postaci): *Camera obscura* (Hoëbeke) i *T'as vu le plan?* (Tana éditions), do których należy dodać *Faire un film (Making Movies)*¹ Sidneya Lumeta, źródło anegdoty o Kurosawie (wydawnictwo Capricci), *Leçons de cinéma* Laurenta Tirarda (Nouveau Monde éditions), w których trzydziestu dziewięciu wybitnych filmowców oferuje jedyny w swoim rodzaju wgląd w swoje metody pracy, *En un clin d'oeil (In the Blink of an Eye)*² Waltera Murcha, montażysty ściągniętego przez Francisca Forda Coppolę (Capricci) i wreszcie bardzo ciekawą i stymulującą książkę *100 films de genre à (re)découvrir* magazynu „MadMovies” (Hachette). Bo jak z pewnością zauważyliście, mówimy o kinie gatunkowym.

Muszę pozdrowić wszystkich reżyserów, którzy przez wiele miesięcy karmili mnie swoimi fascynującymi, przerażającymi, pokręconymi dziełami – wybrałem spośród nich sto pięćdziesiąt filmów, które umieszczam na osobnej liście. Oglądałem je wszystkie między dziewiątą wieczorem a pierwszą w nocy przez długi okres i wyszedłem z tego trudnego doświadczenia z dziwnym wrażeniem, że przebywałem w jednym z kręgów *Piekle* Dantego wypełnionym wyciem umęczonych ciał, potępionych dusz, szokującymi obrazami i zaskakująco radosną gehenną.

Winien też jestem podziękowania dwóm osobom, które poprawiały ten tekst z takim samym jak zawsze polotem i cierpliwością (a przyznaję, że nie jestem łatwym „klientem”, jeśli chodzi o manipulacje przy stworzonych przeze mnie zdaniach): Sarah Hirsch i Ève Sorin.

I oczywiście śpieszę z zapewnieniem przyjaźni do Bernarda Fixota i Édith Leblond oraz ich zespołu oraz załogi Pocket (ze specjalną dedykacją

dla Pauline Ricco, której talent tchnął powiew młodości w okładki kieszonkowych wydań moich książek).

I wreszcie: ta książka nie byłaby taka, jaka jest, bez ostrego spojrzenia i błyskotliwego umysłu Laury, *como siempre*.

1. Wydanie polskie: *Praca nad filmem*, przeł. Jarosław Banaszek, Wydawnictwo Filmowe, Myślenice 2013 (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
2. Wydanie polskie *W mgnieniu oka. Sztuka montażu filmowego*, przeł. Katarzyna Karpińska, Wydawnictwo Wojciech Marzec, Warszawa 2019 (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Pozostałe książki Bernarda Miniera

Bielszy odcień śmierci, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2012.

Krąg, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2013.

Nie gaś światła, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2014.

Paskudna historia, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2015.

Noc, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2018.

Siostry, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2019.

Na krawędzi otchłani, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2019.

Dolina, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2020.

Polowanie, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2021.

Lucia, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2023.